

Nekrosis - Przebudzenie

Jacek Piekara



calibre 0.9.27

TIMN

Jacek Piekara

Damian Kucharski

Necrosis

Przebudzenie





Rozdział 1

Opętanie

lochach śmierdziało krwią i bólem. Śmiercią. Może mu się tak w zresztą jedynie zdawało, może czuł tylko zatechłą wilgoć osiadłą na starych kamieniach. Jednego był pewien. Wdychał ostry, zwierzęcy odór, bijący z ciała człowieka, który trzymał ciężką dłoń na jego ramieniu. Zgniłosłodki smród łachmanów i ciała, pokrytego zapewne skorupą zastarzałego brudu. Mężczyzna pchnął go tak mocno, że upadł, boleśnie uderzając kolanami o posadzkę. Nie podnosił się, nie uniósł nawet głowy, tylko podparł się łokciami.

– Nie tak ostro, Gred. – Usłyszał cichy kobiecy głos, dobiegający od strony, gdzie pod ścianami czał się mrok. – Nie chcemy przecież poranić ani zabić naszego gościa, prawda?–

W pytaniu tliła się iskierka humoru.

– Nie, moja pani. Wybacz, moja pani. – Tym razem pilnujący go człowiek był pokorny i uniżony.

– Cieszę się, że mnie odwiedziłeś, panie Tronheim– powiedziała kobieta. – I wybacz, że przyjmuję cię w tym miejscu. Ale taki mamy... – umilkła na chwilę – zwyczaj – dodała.

– Wielcy ludzie nie muszą prosić o wybaczenie – odparł, nie podnosząc wzroku i nie wstając z klęczek.

– Wielcy ludzie – powtórzyła, jakby zamyślona. – Dziękuję, panie Tronheim. To miłe, choć zapewne nie wszyscy by się zgodzili z podobną tezą. – Wesoła nutka zabrzmiała w jej głosie.

Czekał już i nie odzywał się, bo wiedział, że do niej należy pierwszy ruch. Pierwszy i ostatni. Każdy. Życie człowieka, którego wezwano do kazamat pod Kloudobergen, nie było warte złamanego grosza. A raczej warte było tylko tyle, ile zechciała zapłacić za nie Pani.

Swoją drogą, szczególnie miała poczucie humoru, wybierając sobie na siedzibę miejsce o tak strasznej przeszłości i tak przerażającej sławie.

– Domyślasz się, dlaczego poprosiłam cię o rozmowę? – zagadnęła uprzejmym tonem, jakby nie wiedziała, że klęczy z pochyloną głową, wpatrzony w wilgotne, ciemne kamienie, a kolana zaczynają pulsować mu tęnym bólem. Jakby nie wiedziała, że dwóch opryszków porwało go z jego kwatery i założyło mu czarny kaptur na głowę, pod groźbą ostrza sztyletu każąc milczeć.

– Nie, pani – odparł – ale czuję się zaszczycony, iż zechciałaś poświęcić mi uwagę. –

Starał się, by zabrzmiało to szczerze, chociaż gdyby powiedziano mu wcześniej, że takiego właśnie zaszczytu dostąpi, omijałby Kloudobergen łukiem najszerszym z możliwych. I święcie sobie obiecał to na przyszłość. Jeżeli w ogóle dana mu zostanie jakaś przyszłość, w co w tej właśnie chwili mocno powątpiewał...

– O tak – rzekła. – Z całą pewnością. Nie będę owijała w bawełnę, panie Tronheim.

Pragnę skorzystać z twych zawodowych zdolności i hojnie cię wynagrodzę, jeśli odniesiesz sukces. Możesz wstać – przyzwoliła.

Podniósł się z klęczek, ale nadal nie patrzył w stronę, z której dobiegał głos jego rozmówczyni. Nie sądził, co prawda, aby cokolwiek wypatrzył w ciemnościach, ale nie chciał

sprawiać wrażenia, że nawet usiłuje wypatrywać. O Pani mówiono, że potrafi widzieć w mroku, a więc wolał, aby wiedziała, że ma opuszczoną głowę i oczy skierowane w stronę posadzki. Pokora, cierpliwość i brak ciekawości – tylko to mogło go uratować. Jeśli w ogóle coś mogło go uratować.

– Zawodowych zdolności, pani? – zapytał. – Jestem jedynie nędznym włóczęgą, usiłującym przeżyć na tym nie najlepszym ze światów.

– Nie doceniasz się. – Znowu usłyszał rozbawienie w jej słowach. – A to niedobrze, gdyż każdy człowiek powinien znać własną wartość. Tymczasem doniesiono mi o twoich specjalnych – mocno zaakcentowała ostatnie słowo – umiejętnościach.

Tronheim poczuł, jak zimny dreszcz przebiega mu od nasady kręgosłupa aż po sam kark.

Kiedyś zastanawiał się, czy sformułowanie „oblać się lodowatym potem” jest prawdziwe, i w tej chwili doskonale już wiedział, że tak. Jest prawdziwe. Aż nazbyt.

– I chcę je wykorzystać – ciągnęła dalej Pani. – A kiedy wszystko się zakończy szczęśliwie, nagroda przejdzie twoje najśmielsze oczekiwania. Wierz mi, Tronheim, potrafię nagradzać tych, których uważam za użyteczne narzędzia, i nigdy nie zapominał oddanych przysług. Nigdy też nie zapominał zniewag – umilkła na chwilę – ale to już inna historia. Bo ty nie masz zamiaru mnie znieważać, panie Tronheim, prawda?

– Wolałbym się zabić – rzekł, i słowa te nie tylko zabrzmiały szczerze. One były szczerze.

Gdyż Tronheim zadałby sobie śmierć w sposób bezbolesny i szybki. Pani nie byłaby zapewne aż tak łaskawa.

– Bardzo dobrze. – Roześmiała się. – Zaczynam cię lubić, Tronheim... Ale powróćmy do interesów. Mam nadzieję, iż wierzysz, że dotrzymam wszelkich danych ci obietnic?

Tak, Tronheim wierzył w to święcie. O Pani mówiono różne rzeczy, ale nikt nie mógł jej zarzucić nieuczciwości. Hojnie nagradzała i surowo karała. Choć może słowo „surowo” nie w pełni oddaje to, co kazała robić z wrogami lub ludźmi, którzy zawiedli jej zaufanie.

– Będziesz chciał z całą pewnością zadać wiele pytań i jestem gotowa cierpliwie na wszystkie odpowiedzi – powiedziała. – Pytaj o wszystko, co może pomóc ci w pracy.

Odczekał chwilę, zanim zrozumiał, że skończyła, gdyż ostatnim, czego sobie życzył, było wejście jej w słowo.

– Jestem oszustem, pani – rzekł, przełykając ślinę, bo wiedział, że tylko szczerłość może mu pomóc. – Chciałem wyłudzić parę groszy i wymyśliłem całą legendę. – O mało nie dodał:

„której nieopatrznie dałaś wiarę”, ale w porę ugryzł się w język. – Znam kilkanaście sztuczek i umiem stwarzać odpowiedni nastrój. Wynajmuję pomocników. – Bezwiednie wzruszył

ramionami, choć wcale nie zamierzał tego zrobić. – To wszystko, pani. Tak naprawdę jestem nikim...

I bardzo, ale to bardzo chciałbym już wrócić do domu. W jednym kawałku, pomyślał. A potem jak najszybciej opuścić to przekłete miasto i zapomnieć, że kiedykolwiek w nim był. I, że kiedykolwiek klęczał na wilgotnych, szarych kamieniach, słysząc w ciemnościach lekko rozbawiony, kobiecy głos, który tak samo łatwo oraz uprzejmie wydałby wyrok śmierci, jak i poprosił o kieliszek wina.

– Ach, tak – powiedziała tylko i nie usłyszał w tym tonie gniewu, ale coś w rodzaju zawodu lub znużenia. Może nawet smutku. I to było chyba jeszcze gorsze.

– Pokornie upraszam o wybaczenie – wymamrotał, a strużka zimnego potu spłynęła mu po kręgosłupie. Był tak przerażony, iż nie czuł nawet upokorzenia.

– Wybaczenie – powtórzyła, smakując to słowo i napawając się jego brzmieniem. Tak jakby jawiło się nowym pojęciem, które trzeba wpierv poczuć gdzieś w ustach i pod językiem, zanim się je zrozumie. – On prosi o wybaczenie, Adler, słyszałeś? – zwróciła się do kogoś, kto musiał stać obok niej, a o którego obecności Tronheim do tej pory nie wiedział.

– Słyszałem, moja pani. – Głos mężczyzny był cichy, ale twardy i stanowczy.

Nie było w nim nuty strachu i pokory wibrującej w słowach strażnika Greda. I z całą pewnością w moich, stwierdził z niechęcią Tronheim, bo boję się jak diabli. Boję się jak jasna cholera. Jestem jeszcze za młody, aby umierać.

Pomyślał o wszystkich kobietach, z którymi jeszcze nie był, i o wszystkich pieniądzach, których jeszcze nie zarobił. Poczuł, że niechciane łzy napływają mu pod powieki, kłując niczym ostre ziarenka żwiru. Jak to jest widzieć, że ktoś pełza u twoich stóp, mieć władzę nad jego życiem i

śmiercią? Czy Panią to jeszcze bawi? – zadał sobie pytanie, wiedząc, że jedynym miejscem, gdzie może je zadać, są myśli.

– Zawiodłam się na tobie, Tronheim – powiedziała z leciutkim westchnieniem. Dzięki niemu stała się jeszcze bardziej kobieca. – Ale pomimo tego mam w sobie dość poczucia sprawiedliwości, by uznać, że jesteś bez winy. Każdy próbuje jakoś przeżyć...

Tronheim znowu opadł na kolana, bo ta pozycja wydała mu się najodpowiedniejsza, kiedy słuchało się smutnego głosu Pani. Z trudem powstrzymał szloch, ale została mu jeszcze ta odrobina godności, która szeptała, by nie umierał, płacząc. Nie będzie jęczał, krzyczał ani rozpaczliwie chwycił się nogawic strażnika. Wiedział, że cokolwiek by zrobił, jego śmierć nie przetrwa ani w legendzie, ani w pieśni, ani nawet w anegdocie. Za dzień, dwa lub miesiąc nikt nie będzie pamiętał o egzorcyście Tronheimie, który miał pecha znaleźć się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej godzinie. Ale odrobina godności miała być ostatnim prezentem Tronheima dla samego siebie.

– Dlatego twoja śmierć nie stanie się odstrasającym przykładem dla innych – dodała. –

Utopcie go w kanałach – rzuciła już chłodnym tonem i Tronheim usłyszał szelest sukni.

Widać musiała wstać z krzesła, fotela lub tego, na czym właśnie siedziała.

– Pani – powiedział szybko, z trudem dobywając słów, bo krtań miał tak zaciśniętą, jakby ktoś chwycił go za gardło i trzymał mocno. – Pozwól jeszcze...

– Mów – odparła po chwili, ale tym razem jej suknia nie zaszeleściła. A więc nie usiadła.

Najwyraźniej stała w ciemności, być może trzymając dłoń na oparciu fotela. Jaka to była dłoń? Biała, dziewczęca, o długich, arystokratycznych palcach? Czy nosiła na nich pierścienie? Masywne, złote obręcze z kolorowymi oczkami szlachetnych kamieni? A może jedynie jakiś drobiazg? Delikatną, srebrną żmijkę z małą koralową koralikową? A może to były dłonie starej kobiety? Pomarszczone, z palcami wykrzywionymi artretyzmem? Bo któż tak naprawdę wiedział cokolwiek o Pani?

– Nie jestem egzorzystą i uzdrowiaczem, dostojna – rzekł. – To prawda. Ale znam się na księgach i piśmie. Studiowałem wiedzę tajemną na uniwersytecie w Alehandrii. – Wolał nie dodawać, że wylano go po trzecim roku, czyli nie dotrwał nawet do połowy studiów. – Byłem też asystentem, jednym z asystentów – poprawił się – brata Modlinga z Faree. Znam obrzędy i słowa, choć nie mam mocy. Ale może będę mógł pomóc. Bardzo bym chciał pomóc –

dopowiedział niemal z rozpaczą.

– Adler? – zapytała.

– To nie może zaszkodzić – odparł po chwili doradca Pani. – Zawsze zdążymy go zabić, jeśli wyrazisz takie życzenie...

– Panie Tronheim. – Znowu usłyszał szelest sukni, więc zrozumiał, że usiadła i rozmowa potrwa dłużej. W myślach rozpoczął dziękczynną litanię do wszystkich znanych bogów. –

Mogłeś umrzeć lekko, bez bólu. Jeśli próbujesz mnie zwieść i kupić sobie tylko parę chwil życia, to zaręczam, iż Adler postara się uprzyjemnić ci ostatnie chwile. Kogo mamy w mieście, Adler?

– Fokiusa, moja pani.

– A, Fokiusa... Bardzo dobrze. Fokius jest mistrzem w swoim fachu. Widziałeś kiedyś człowieka, któremu obdarto skórę ze stóp, biegnącego po rozżarzonych węglach? Co, Tronheim?

– Nie, pani, nie widziałem. – Miał tak sucho w ustach, że nie mógł nawet przełknąć śliny.

– I wolałbym nie zobaczyć, jeśli łaska...

– Módl się więc, żebyś tego nie zobaczył na własnym przykładzie. – Roześmiała się. –

Więc jak? Szybka, bezbolesna śmierć, czy spróbujesz?

– Spróbuję pomóc, pani. Czy mógłbym jednak zadać pytanie?

– Tak, tak, pytaj, o co chcesz – odparła. – Dajcie mu krzesło – rozkazała.

Rozległy się kroki, potem szuranie i ktoś wyszedł z mroku po lewej stronie. Tronheim wstał z klęczek i przysiadł na skraju zydła. Nadal starał się omijać wzrokiem mrok, z którego dobiegał głos Pani.

– On mi się podoba – powiedziała. – Wiesz, dlaczego mi się podobasz, panie Tronheim?

– Jestem zaszczycony, pani, ale nie wiem.

– Twoje oczy – odparła. – Nie starasz się patrzeć w moją stronę. Ani jednego zerknięcia, ani jednego szybkiego, spłoszonego spojrzenia...

A więc jednak widziała w ciemnościach. Gratulował sobie w myślach, że potrafił

zachować dyscyplinę. Pomimo pokusy. Bezsensownej pokusy, gdyż w tym mroku i tak niczego by nie dostrzegł. Zresztą nie sądził, aby poznanie twarzy Pani mogło mu wyjść na zdrowie.

– No, dobrze. Pytaj.

– Z twoich słów, pani, wnioskuję, iż potrzebujesz egzorcysty – powiedział i odczekał

moment, ale nie zaprzeczyła. – To rzadki zawód i z tego, co wiem, a wiem dobrze, żaden nie przebywa obecnie w mieście. Jednak egzorcystów można znaleźć w Alehandrii a również w Jasnym Klasztorze, gdzie oprócz czarodziejek i uzdrowiaczek znajdują się kobiety potrafiące wypędzać demony...

– Wiedźmy z klasztoru... – Po raz pierwszy w jej głosie zabrzmiał chłód. – Tego mi jeszcze brakowało.

A to ciekawe, pomyślał Tronheim. Skąd ta niechęć do czarodziejek? Zwykle ludzie nie obawiali się ich, a wręcz darzyli szacunkiem. Bo tak naprawdę mało kto widywał

czarodziejki. Najczęściej siedziały w klasztorze i nie wychylały nosa na zewnątrz.

– Zależy mi na czasie, panie Tronheim – wyjaśniła – a do Alehandrii droga jest długa.

Oczywiście, posłałam tam ludzi, ale zanim wrócą, może być po wszystkim.

Po wszystkim? Cóż, Tronheim zdawał sobie doskonale sprawę, co oznaczają te słowa.

Albo manifestacja przybierze trwały charakter i demona nie da się usunąć bez zabicia opętanej osoby, albo demon sam zabije żywiciela. Zresztą bezsensownie, gdyż wtedy będzie musiał wrócić do nie-świata i zbierać siły, by szukać następnej ofiary. Ale demony nie postępowały według zasad ludzkiej logiki i zapewne nie za bardzo się nimi przejmowały.

– Czy wolno mi spytać, jakie są objawy nawiedzenia? Kto jest obiektem? Co jaki czas następuje manifestacja oraz jaki ma przebieg i skutki? Jaki jest stan zdrowia ofiary? Jak...

– Hola, hola! – zawołała. – Nie wszystko naraz, panie Tronheim – umilkła na moment. –

Zaprowadźcie go do komnat – rozkazała – i traktujcie z szacunkiem. Pan Tronheim na razie pracuje dla mnie.

Tronheim wstał i skłonił się bardzo głęboko, nadal nie podnosząc oczu w stronę mroku.

Znowu usłyszał szelest sukni, a potem jego nozdrzy doszedł mdlący odór bijący z ciała Greda i poczuł na ramieniu jego ciężką dłoń.

– Chodźmy, panie. – W głosie strażnika pojawiła się teraz nutka szacunku.

Jednak egzorcysta nie zamierzał zapominać o tym, co powiedziała Pani. „Pan Tronheim na razie pracuje dla mnie”. Na razie. Te dwa słowa były warte zapamiętania.

Poza tym nagle pomyślał, że praca, której miał się podjąć, mogła oznaczać dla niego coś dużo gorszego niż gniew samej Pani. Bowiem do tej pory, usilnie starając się bronić życia, nie wziął pod uwagę jednej rzeczy. Ktoś z najbliższego otoczenia jego nowej pracodawczyni został opętany przez demona. A demony mają to do siebie, iż bardzo nie lubią egzorcystów. A jeszcze bardziej nie lubią ludzi, którzy, nie posiadając odpowiednich zdolności ani odpowiedniej wiedzy, ośmielają się tychże egzorcystów udawać. Tronheim nie miał żadnych złudzeń co do swoich kwalifikacji i poziomu wiedzy. Był człowiekiem na tyle inteligentnym, iż potrafił właściwie oceniać siły. Mógł mieć tylko nieśmiałą nadzieję, że w rzeczywistości nie chodziło o demona, lecz o jakieś zaburzenia psychiczne, które mógłby wyleczyć, przekonując pacjenta do własnych zdolności i odprawiając odpowiednio efektowne rytuały.

Czasami sama wiara w skuteczność lekarza wystarczała za lekarstwo. Jednak jeśli faktycznie osobę, o której mówiła Pani, opętał demon, sprawa stawała się dużo poważniejsza. Tronheim ufał, że

poradzi sobie z małym, złośliwym poltergeistem pierwszego kręgu, być może nawet z zaplątanym w rzeczywistym świecie demonem drugiego kręgu. Z nimi radzili sobie nawet ludzie bez specjalnego przeszkolenia, wystarczała tylko odpowiednio silna wola. Ale co się stanie, jeśli ciałem obiektu zawładnął prawdziwy posesor? Któryś z potężnych wysysaczy dusz, złańiony odwiedzin w ludzkim uniwersum i gotowy bronić się za wszelką cenę przed wygnaniem do zimnych pustkowi nie-świata? Wtedy Tronheim mógłby się tylko zastanawiać, czy seans z wprawnym w sztuce katowskiej mistrzem Fokusem nie byłby jednak lepszym rozwiązaniem niż rozżłoszczenie demona.

* * *

Opaskę zdjęto mu dopiero, kiedy weszli do komnaty. Zamrugął przyzwyczajonymi do ciemności oczami, bo w środku było naprawdę jasno. Na rzeźbionym blacie stołu, biurku i sekretarzyce stały wysmukłe, siedmioramienne kandelabry z długimi, białymi świecami, płaczącymi grubymi kroplami wosku. W kominku płonęły brzoźowe polana, a tuż obok niego stał ogromny, wyściełany adamaszkiem fotel.

– Siadajcie, panie Tronheim – rzekł ktoś i Tronheim zobaczył, że obok niego stoi szczupły mężczyzna o długich, opadających na ramiona włosach.

Od niego przynajmniej czuć było zapach ciężkich perfum, a nie odór niemytego ciała.

Mężczyzna był dostatnio ubrany w haftowany srebrem czarny kaftan i buty ze srebrnymi zapinkami. U pasa kołysał mu się sztylet z rękojeścią oraz pochwą zdobionymi drogimi kamieniami.

– Nazywam się Theobald, panie Tronheim – powiedział uprzejmym tonem. – Będę się wami opiekował. Za drzwiami – powiódł dłonią – jest wasza sypialnia, jednak uprasza się, abyście nie próbowali opuszczać tych dwóch komnat. Jeśli macie jakieś życzenia dotyczące posiłków, z przyjemnością je spełnię. To samo dotyczy ksiąg, jeśli takowe będą potrzebne.

– Dziękuję – odparł Tronheim i z ulgą opadł na fotel.

Od kominka biło przyjemne ciepło, a ogień figlarnie tańczył między brzoźowymi polanami. Tronheim uśmiechnął się do własnych myśli, ale zaraz zrobiło mu się nieswojo, kiedy zdał sobie sprawę, że przy tym ogniu można się zarówno grzać, jak i można w nim rozpaścić potrzebne katowskiemu mistrzowi narzędzia.

Ciekawe, czy kiedyś jeszcze będę mógł patrzeć w ogień bez wyobrażania sobie, że w żarze biegają ludzie, którym zdarto skórę z podeszew stóp? – zadał w myślach pytanie.

– Będą mi potrzebne księgi – rzekł głośno. – Wszystkie, jakie znajdziecie w moim domu.

– Te już przyniesiono – odparł Theobald. – Czy coś jeszcze?

– Nie mam zbyt wielkiej pracowni – powiedział Tronheim – lecz znajdują się w niej pewne odczynniki, zioła, poświęcone gromnice i kreda z Alehandrii...

– Wszystkie wasze rzeczy zostaną spakowane i przeniesione.

– Są też pewne dzieła – dodał po namyśle egzorcysta. – Ale nie sądzę, abyście je dostali...

– Proszę przygotować spis – przerwał mu opiekun. – Inkaust, papier i pióra znajdziecie w sekreterze.

– Przygotuję. – Tronheim podniósł się z fotela. – Zaraz przygotuję. A kiedy będę mógł

porozmawiać z Panią? – Pytanie przyszło mu nadspodziewanie łatwo, choć myśl o rozmowie z tą kobietą napełniała go strachem.

Strach – to za mało powiedziane. Wiedział, że Pani może bez drgnienia powieki i wyrzutów sumienia kazać go zabić albo torturować. A potem zjeść kolację przy świecach i...

No właśnie, i co? Co robi Pani, kiedy nie zajmuje się sprawami swej organizacji? Ucztuje w gronie przyjaciół? Oddaje się najwymyślniejszym seksualnym perwersjom? Schodzi do piwnic i słucha jęków torturowanych więźniów? Czyta księgi? Haftuje lub tka? Poluje za miastem, tak jak większa część bogatej szlachty? A może po prostu na nic nie wystarcza jej już czasu? Na nic, poza planowaniem dalszych zbrodni...

– Nie wiem – odparł Theobald. – Sądzę, że niebawem. Mam zaczekać?

– Tak, proszę.

Tronheim otworzył sekreterę i wyjął buteleczkę z czarnym inkaustem, dobrze wyostrzone pióro i kartę pergaminu. Usiadł przy biurku, na wysokim krześle o zdobionych poręczach.

Włożył do ust lewy kciuk – odruch, który pozostał mu z dzieciństwa i który zawsze dawał

znać o sobie, gdy Tronheim nad czymś się poważnie zastanawiał. A potem zaczął pisać.

Kusiło go, by wymyślić kilka nigdy nieistniejących pozycji (zawsze byłaby to jakaś wymówka, kiedy przysłoby co do czego), ale potem uznał, że igranie z Panią i próba oszukiwania jej są tak samo bezpieczne, jak spacer po sparciałej linii nad przepaścią. Jak na razie starał się być bezwzględnie szczerzy i, nie ma co ukrywać, wyszło mu to na zdrowie.

Zapisał więc tylko takie tytuły, o których wiedział, że istnieją. Dwa z nich były, co prawda, tylko luźno związane z tematem egzorcyzmów, ale za to należały do takich rzadkości, że Tronheim nie mógł odmówić sobie nadziei na choćby zobaczenie tych woluminów.

Kiedy skończył, posypał inkaust piaskiem i złożył pergamin na pół.

– Nie sądzę, byście to zdobyli – rzekł – ale jeśli się uda, tym lepiej.

Theobald przyjął pergamin z pobłażliwym uśmiechem na ustach.

– Jeśli ktokolwiek w mieście posiada te księgi, jutro wy będziecie je mieć na stole –

powiedział, a Tronheim, wbrew rozsądkowi, natychmiast mu uwierzył.

W końcu, jakież miał prawo podejrzewać, że dla Pani istniały rzeczy niemożliwe, skoro od lat władała całym podziemnym światem Kloudobergen, a i głośno, i cicho mówiło się, że nawet margrabia jest na jej żołdzie. Nie mówiąc o burmistrzu, rajcach oraz straży miejskiej.

– Odpocznijcie teraz – rzekł Theobald. – Prześpijcie się, czy co, bo czeka was ciężki dzień.

* * *

Tronheim dawno nie spał w tak wygodnym łożu i tak miękkiej pościeli. Wyśmienite wino o korzennym aromacie ukołysało go do snu, ale nie był to bynajmniej sen spokojny. I trudno zresztą spać spokojnie, kiedy jest się jedynie szalbierzem oraz oszustem, mającym za zadanie pokonać demona nękającego osobę bliską Pani. Sny Tronheima były pełne koszmarów. Jakieś czarne postaci wrzucały w żar ludzi o obdartych stopach, ktoś tańczył na węglach i skarżył

się, że nogi nierówno mu się przypiekają, a ktoś inny podlewał ogień gęstym winem w kolorze krwi. W tym koszmarze nieustannie pojawiała się napuchnięta twarz o skórze pełnej napęczniałych bąbli, spod których ciekła żółta, śmierdząca ropa. Kiedy jeden z bąbli wytrysnął, zalewając twarz Tronheima cuchnącą mazią, mężczyzna obudził się z krzykiem i poderwał głowę z poduszki.

– Zły sen, panie Tronheim? – Usłyszał głos, tym razem pozbawiony znanej już nutki wesołości.

Zamarł, a potem drżącą dłonią otarł pot z czoła. Powstrzymał się, by nie spojrzeć w stronę, skąd dobiegały słowa, chociaż w komnacie panowała absolutna ciemność. Nie dostrzegł nawet własnych palców, którymi przed chwilą przetarł powieki.

– Tak, pani – odparł cicho. – Koszmar...

– Tu często ludziom śnią się koszmary – powiedziała zamyślona. – Coś jest w tych ścianach. Coś bardzo złego, panie Tronheim. Coś pradawnego. Coś, co spało i obudziło się z chęcią na nowe życie...

Tronheim słuchał jej spokojnego, monotonnego głosu i po kręgosłupie przebiegły mu ciarki. Poczuł, że ramiona ma pokryte gęsią skórą.

– Wiesz, gdzie jesteśmy, prawda? – zapytała. – Znasz historię Kloudobergen. Czy zło mogło przetrwać?

– Nie – powiedział i przełknął głośno ślinę. – Nie wierzę w to, dostojna pani. Zbyt wiele lat upłynęło, by pozostał po nim choćby ślad. Jeśli, rzecz jasna, myślimy o tym samym –

zastrzegł się.

– Mieli tu swoją akademię – mówiła, jakby nie słyszała jego słów. – Odprawiali mroczne rytuały, składali ofiary ze zwierząt i ludzi, prowadzili w laboratoriach badania tak straszne, że nie została po nich nie tylko pamięć, ale nawet wspomnienie tej pamięci. Przecież tak było, panie Tronheim, prawda?

– Prawda – przyznał. – Ale byli tylko ludźmi, wasza łaskawość. Złymi, okrutnymi, znającymi potęgę mrocznych sił. Ale tylko ludźmi. I zabito ich. Wszystkich. Nawet oni nie mogli przetrwać wieków. Jasny Klasztor zwyciężył. Raz na zawsze.

– Nic nie jest raz na zawsze – odparła z nutą smutku.

Przeszło mu przez myśl, jaką grozę musieli budzić przed wiekami dawni mieszkańcy tej budowli, skoro nawet Pani mówiła o nich z lękiem. Ta sama Pani, która rządziła Kloudobergen twardą ręką i nie była bynajmniej znana z litościwego charakteru. Pytała go, czy zło przetrwało? Owszem – odpowiedziałby, gdyby był samobójcą – zło przetrwało dzięki ludziom takim jak ty. Dzięki ludziom, którzy każą zrywać ofiarom skórę ze stóp i tańczyć w żarze. W czym jesteś lepsza od adeptów mrocznej sztuki?

Ciekawe, jak długo przeżyłby, zadawszy podobne pytanie? A może jego śmiałość i szczerłość spodobałyby się Pani? Nie zamierzał jednak próbować, gdyż i tak balansował na granicy życia i śmierci.

– Skąd więc te sny? Skąd lęk, który wielu ogarnia, kiedy samotnie staną nocą w pustej komnacie? Skąd jęk, lament i płacz murów? Skąd nieznane, bluźniercze szeptu dobiegające zewsząd i znikąd? Od pewnego czasu coraz silniej, coraz potężniej...

– Wyobraźnia – odparł tak cicho Tronheim, że sam ledwo się usłyszał. – A może pamięć zawarta w ścianach – dodał już głośniejszym i pewniejszym tonem. – Bezbronna, niczym obraz lub rzeźba. Dawne chwile i słowa zatopione w murach, jak muchy w bursztynowej żywicy.

– Może – zgodziła się po chwili. – A może nie. Zbyt długo czekałam, by wyjaśnić to wszystko. Zbyt długo lekceważyłam ostrzeżenia. Powinnam wcześniej posłać po egzorcystów z Alehandrii, może nawet po wiedźmy z Jasnego Klasztoru. Tak jak mówiłeś. A teraz zostałeś mi ty. Szalbierz, fałszywy egzorcysta i sprzedawca talizmanów. Zabawne, prawda?

– Pozwolę sobie – znowu ślina napłynęła mu do ust – wyrazić odmienne zdanie, pani.

Żałuję, że kiedykolwiek ośmieliłem się zakłócić spokój mieszkańców Kloudobergen.

Powiedział szczerze, co myślał, i wiedział, że ona nie może się poczuć urażona. Musiała zdawać sobie sprawę z faktu, że jej towarzystwo jest ostatnim, czego życzyłby sobie spokojny człowiek, pragnący jedynie w pokorze zarobić na miskę stawy.

– Tak – odparła po chwili. – Sądzę, że naprawdę żałujesz. Wierzysz w przeznaczenie, panie Tronheim?

– Nie – odrzekł. – Wierzę w splot okoliczności, ale nie w przeznaczenie. Nie w bogów, czy Boga, którzy kierują ścieżkami naszego życia. Wierzę, że mamy wolną wolę.

Ograniczoną, ale wolną w tymże właśnie ograniczeniu.

Roześmiała się smutno. Tronheim podciągnął wyżej kołdrę, bo zdawało mu się, że w komnacie robi

się coraz zimniej.

– Jesteś filozofem, panie Tronheim – stwierdziła bez ironii. – Być może, gdyby czas i okoliczności były inne, porozmawialibyśmy o filozofii, o życiu, o nieszczęsnych lub szczęsnych przypadkach, kierujących nasze kroki na te, a nie inne drogi...

Zapewne, pomyślał zgryźliwie, właśnie takie było marzenie mojego życia. Rozprawiać o filozofii z najbardziej bezwzględna i najbardziej tajemniczą przestępczynią w Kloudobergen.

To równie ekscytujące, jak znaleźć jadowitego węża pod poduszką.

– Pomożesz mi, prawda? – zapytała po chwili.

– Tak, pani – odrzekł i wyobraźnia ukazała mu widok człowieka tańczącego w męce na zarzających się węglach.

– Nie obawiaj się mnie – powiedziała, jakby czytając w jego myślach. – Nie chcę, by strach paraliżował twoje sądy i działania. By pozbawił cię umiejętności... Które, jak mówisz, i tak nie są zbyt duże. Przyszłam ofiarować ci dar, panie Tronheim.

Kiedy usłyszał te słowa, nagle przyszło mu do głowy, że za chwilę usłyszy szelest zdejmowanej sukni i w ciemnościach, obok siebie, poczuje nagie ciało Pani. Wzdrygnął się, choć przecież nie wiedział, czy w rzeczywistości nie jest piękną, młodą kobietą, której kunszt i uroda mogą sprawić rozkosz mężczyźnie. Ale potem zdał sobie sprawę, że przecież nie może chodzić o to. I rzeczywiście, nie chodziło.

– Oddaję ci twoje życie – powiedziała. – Staraj się uratować drogą mi osobę, a spełnię każde twoje życzenie. Jeśli zawiedziesz, wygnam cię z miasta i nigdy nie wolno ci będzie wrócić do Kloudobergen. Ale zachowasz życie oraz zdrowie.

– Dziękuję, pani – szepnął, chociaż szczerze wątpił, by spełniła obietnicę. Chciał jednak ufać, iż w razie niepowodzenia pozwoli mu przynajmniej umrzeć szybko i bezboleśnie.

Chyba, że jej rozpacz będzie tak wielka, iż żal serca ukoi jedynie męka Tronheima.

– Nie dziękuj – odparła chłodnym tonem. – Nie miłosierdzie ani sympatia kierują moimi słowami. To tylko rozsądek, panie Tronheim. Gdyby rozsądek podpowiadał mi, że lepiej wykonasz zadanie, kiedy cię oślepię i wykastрую, już teraz byłbyś oślepiiony i wykastrowany.

Tronheim splótł palce, aby nie dostrzegła, że zadrżały mu dłonie. W komnacie było ciemno, ale wierzył przecież, że Pani potrafi widzieć w ciemnościach. Była zapewne przyzwyczajona, że okazywano jej lęk, lecz Tronheim nie przywykł, by kogokolwiek bać się aż tak bardzo.

– Wiem jednak – kontynuowała łagodniejszym tonem – że działając bez strachu, będziesz działał skuteczniej i pewniej. Jakiż miałabym cel, by wpierw przerazić cię niemal na śmierć, a potem wymagać, byś wzniósł się na wyżyny swego kunsztu? Wiem, że praca egzorcysty wymaga skupienia, wiary i mądrości...

– I mocy, dostojna. – Ośmielił się jej przerwać szybciej niż zdążył pomyśleć, co robi. Nie pogniewała się jednak. – A ja nie mam mocy.

– A czym jest moc? – zapytała z prawdziwą ciekawością. – Wiesz to?

– Jest... jest... – szukał odpowiedniego sformułowania. – Jest winem w dzbanie, mieczem w pochwie. Widząc dzban, pani, nie umiesz powiedzieć, czy jest w nim wino, czy też nie. Ale dzban, gdyby czuł i myślał, potrafiłby to poznać.

– A więc jesteś tylko pustą, bezużyteczną skorupą... – Czy w jej głosie znowu pojawiła się żartobliwa nutka, czy tylko mu się wydawało? Nie był pewien, gdyż jej słowa za mocno go zraniły, mimo iż zdawał sobie sprawę, że sam nie ująłby tego lepiej. – Jak więc mogłeś służyć egzorcystę? Mówiłeś prawdę, Tronheim?

– Pani, mówiłem prawdę! – rzekł szybko, starając się wykrzesać z siebie jak najwięcej entuzjazmu. – Służyłem bratu Modlingowi z Faree przez cztery lata, zanim nie zdecydowałem się pójść własną drogą.

– Na co przydawał mu się ktoś nie posiadający mocy? – zapytała podejrzliwie.

Tronheim pluł sobie w brodę, że rozpoczął dyskusję na temat mocy, jej braku oraz zalet jej posiadania.

– Brat Modling wyganiał demony wraz z dwoma starszymi asystentami, którzy wspomagali go w modlitwie. Ale rytuały są długie i skomplikowane, dostojna. Ktoś musiał

również przyrządzać ziołowe mieszanki, palić kadzidła oraz rysować mniejsze symbole. Poza tym przy wypędzaniu demonów liczą się nie tylko moc i modlitwa, lecz siła woli uczestniczących w egzorcyzmach osób. Im więcej wierzących wspiera egzorcystę, tym słabszy staje się demon. A myśmy całym sercem wierzyli w brata Modlinga, bo też nie słyszano, by kiedykolwiek zawiódł.

– Ach, tak – powiedziała i zamyśliła się. – Dziękuję, panie Tronheim, za te cenne objaśnienia. – W słowach nie wyczuł szyderstwa.

– Pani, wybacz mi śmiałość, ale czy mogę zadać pytanie?

– Pytaj, panie Tronheim – odparła po chwili.

– Czy mógłbym kiedyś... zobaczyć twoją twarz? – zapytał, zastanawiając się, skąd znalazł tyle odwagi i skąd do głowy przyszło mu tak aroganckie oraz pozbawione sensu pytanie.

– Dlaczego? – spytała, nie dziwiąc się jego prośbie.

– Aby dokonać konfrontacji wyobrażeń z rzeczywistością – odparł.

– Wiedza nie jest dobrem samym w sobie, panie Tronheim – powiedziała spokojnie. –

Uważajcie na pytania, które zadajecie, gdyż możecie usłyszeć odpowiedź. – Westchnęła lekko. – A teraz ty odpowiedz na moje pytanie: czemu nie chcesz umrzeć?

Mógł odpowiedzieć na wiele sposobów. Stwierdzić, że w życie człowieka wpisany jest instynkt samozachowawczy, że trzeba żyć, by pomagać innym, że należy cieszyć się radościami codziennego dnia, że życie jest darem od Boga lub bogów, darem, z którego nie wolno rezygnować bez oporu. Zamiast tego rzekł:

– Gdyż nigdy nie ogarnął mnie płomień, pani – odpowiedział. – I żyję tylko nadzieją, że kiedyś to się zdarzy.

Cisza, która przebrzmiała po jego słowach, przeciągnęła się niemal w nieskończoność.

Tronheim nie sądził, aby zrozumiała, co powiedział, ale ważny był fakt, iż udzielił absolutnie szczerzej odpowiedzi.

– To przekonujący powód, by żyć – stwierdziła w końcu.

Zaszeleściła suknią, więc domyślił się, że wstała.

– Śpij teraz. Jutro Theobald odpowie na wszystkie twoje pytania. Dobranoc, panie Tronheim.

Musiała lekko stawiać stopy, bo nie usłyszał, kiedy odchodziła. Tylko po chwili cichutko skrzypnęły drzwi. Położył się i naciągnął kołdrę pod brodę. „Wszystkie twoje pytania”, powtórzył w myślach. Chciałbym się dowiedzieć, czy jutro będę jeszcze żył!

* * *

Obudziły go głosy dobiegające z sąsiedniego pomieszczenia i hurgot przesuwanego mebli. Uniósł się na łokciach i przetarł zaspane oczy wierzchem dłoni. W komnacie panowała jednak nadal całkowita ciemność, więc skrzesał ogień i zapalił świece w stojącym u wezgłowia kandelabrze. Teraz dopiero, przy migotliwym blasku płomieni, zobaczył, że spod ciężkich, drewnianych okiennic nie prześwitują promienie słońca. Wstał i siłował się przez chwilę z żelaznymi zasuwami. Wreszcie otworzył okiennice, tylko po to, by zobaczyć za nimi mur z czerwonej cegły.

– Ha! – powiedział sam do siebie.

Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Czy była to główna kwatera Pani? Jej sztab dowodzenia? Pałac? Czy przebywał w lochach, czy też wręcz przeciwnie: w wieży? Usiłował

sobie przypomnieć, jak wygląda kompleks budynków wzniesiony na miejscu dawnej siedziby nekromantów, ale zbyt słabo znał Kloudobergen. Zresztą wiedza o tym, gdzie się znajduje, niewiele by mu dała, gdyż liczyła się tylko jedna rzecz: jak uratować głowę z opresji?

Nieważne, czy są to podziemia, czy wieża, czy pałac. Droga prowadząca do wyjścia, a co za tym idzie do bram Kloudobergen (które Tronheim miał jeszcze nadzieję kiedyś przekroczyć), wiodła tylko przez spełnienie woli Pani. Tronheim zastanawiał się, czy zeszłej nocy mówiła szczerze. Czy

rzeczywiście w razie niepowodzenia znajdzie w sobie tyle litości, by puścić go wolno? Śmiał w to wątpić. Ból i rozgoryczenie, spowodowane utratą bliskiej osoby, będą zbyt wielkie, aby znaleźć w sercu litość dla małego oszusta. Przynajmniej mógł ufać, że ofiarowana mu śmierć będzie szybka i bezbolesna. Choć wcale nie zamierzał umierać. I nie zamierzał się poddawać. „Póki serce bije w piersi, póty jest nadzieja” – tak mówią. I dobrze mówią.

Otworzył drzwi sypialni i w gabinecie zobaczył poznanego wczoraj Theobalda oraz dwóch pomocników. Na podłodze, równo i pieczołowicie poukładane, leżały sprzęty oraz magiczne przedmioty pochodzące z pracowni Tronheima. Część faktycznie miała w sobie ociupinkę magii. Kreda pochodziła z Alehandrii i była poświęcona przez tamtejszych kapłanów, grube jak męskie przedramię, żółte, woskowe gromnice zostały wytopione w alehandryjskiej świątyni i pobłogosławione. Natomiast nic niewart był komplet amuletów oraz talizmanów, a srebrne obręcze do pętania demonów w rzeczywistości były jedynie posrebrzаныmi falsyfikatami. Lecz Tronheim nie miał najmniejszego zamiaru kogokolwiek pętać. Mógł tylko żywić nieśmiałą nadzieję, że słaby demon zechce wynieść się z ciała obiektu. Bo nie przypuszczał, aby potrafił uwięzić nawet pierwszopoziomowego mieszkańca nie-świata. W końcu inna to sprawa spłoszyć szczura, a inna – schwytać go i zamknąć w klatce, prawda?

Kto w ogóle pamięta, że kiedyś istnieli ludzie potrafiący zmuszać demony do posłuszeństwa? – pomyślał Tronheim. Przecież nawet Modling z Faree, człowiek potężnej wiary i niewzruszonych zasad, nie ośmieliłby się korzystać z mocy najsłabszego z demonów.

I nie tylko dlatego, by nie skazić duszy obcowaniem z nieczystą istotą, a ze zwykłego lęku, iż cała rzecz wymknie się spod kontroli.

– Witajcie – rzekł serdecznym tonem Theobald. – Zaraz przyniosą wam śniadanie.

– Patrzcie – dodał, wskazując palcem w kąt pokoju, gdzie piętrzył się równy stos książek. –

Zdobyliśmy wszystko, czego pragnęliście. Jej dostojność kazała powiedzieć, że jeśli wasze zamysły się powiodą, wszystko należec będzie do was.

Gruszki na wierzbie, pomyślał Tronheim, ale nie mógł się powstrzymać, aby nie kucnąć przy księgach i nie zerknąć na tytuły.

Faktycznie, w stosie znajdowały się nie tylko tomy wyniesione z jego własnej kwatery, ale również wszystko, co zamówił. Ze wzruszeniem wziął do rąk „Rozprawę o uzdrawianiu ciała” brata Althausa z Gottham. Książka była zupełnie niepotrzebna przy wypędzaniu demonów, ale za to jaki rarytas! Podobno na całym świecie istniały tylko dwa egzemplarze: jeden w Jasnym Klasztorze i jeden w alehandryjskiej Akademii. Krążyły tu i tam mniej lub bardziej udolne kopie albo odpisy tej pozycji, ale oto w rękach Tronheima znalazł się jeden z antycznych oryginałów. Trzeci na świecie? Skąd go mogli wziąć? A może tak naprawdę książki pochodziły z biblioteki Pani? Cóż w końcu mógł wiedzieć o jej pasjach? Może była miłośniczką wiedzy i w przerwach pomiędzy knuciem intryg a mordowaniem zajmowała się poznawaniem dzieł starożytnych autorów?

– Panie Tronheim? – Głos Theobalda wyrwał go z zamyślenia.

– Już, już... – Oderwał się od tomów i podniósł z klęczek. – Wybaczcie, ale to wielkie wzruszenie widzieć tak cudowne księgi. Trzymać je w dłoniach... Ach, nawet sobie nie wyobrażacie...

Theobald uśmiechnął się leciutko, samymi kącikami ust, i Tronheim mógł się założyć, że zamięłowanie do wiedzy nie było jego zdaniem rzeczą, którą należało się chlubić. Ot, kaprysem i fanaberią.

Theobald pstryknął palcami. Jego dwaj pomocnicy opuścili komnatę, zamykając za sobą drzwi. Mężczyzna rozsiadł się w fotelu.

– Jestem, by udzielić wam wszelkich wyjaśnień – powiedział. – Na temat tego... opętania.

– Czy dobrze usłyszałem wątpliwości w waszym głosie? – Tronheim podsunął sobie zydel, zastanawiając się, kiedy służba przyniesie posiłek. Nie miał ochoty rozmawiać bez śniadania, ale widać najpierw miała być praca, a potem przyjemność.

– Wątpliwości – powtórzył Theobald. – Może za dużo powiedziane? Ale, jako specjalista, wiecie na pewno lepiej ode mnie, że to, co mylnie bierzemy za opętanie, bywa czasem... –

urwał i Tronheim zauważył, że jest trochę zakłopotany.

– Obląkaniem? – poddał.

– Staramy się nie używać też tego słowa – chrząknął Theobald. – Choć być może opisuje ono problem w... pewnym stopniu.

– Zaczniemy od początku, bo ja nic nie wiem. – Tronheim splótł palce. – Jakie są wiek i płeć obiektu?

– Obiektu... – Mężczyzna skrzywił się z wyraźną niechęcią. – Starajcie się nie używać tego słowa, panie Tronheim. Dziewczynka ma dziewięć lat – kontynuował, nie zwracając uwagi, że Tronheim gorliwie mu przytaknął. – Wesoła, żywa, ciekawa świata. Mądra. Miała najlepszych preceptorów, jakich można znaleźć...

– Kiedy doszło do pierwszej manifestacji?

– Miesiąc temu – rzekł Theobald, wzdychając. – Rzuciła się na swoją nianię i podrapała jej twarz. Krzyczała... – przerwał na chwilę. – Jaki to był krzyk, panie Tronheim! Nie dziecka, o nie. Gardłowy, chrapliwy, gruby... Jak rżenie... Nie mogłem tego słuchać.

– Zmiany na twarzy?

– Zmiany na twarzy? – Jego uśmiech teraz przypominał grymas. – Panie Tronheim, jej twarz zmieniła się, jakby założyła maskę. Oczy rozjarzyły się żółtym blaskiem, a źrenice stały się pionowe i poszerzyły niczym u kota...

Tronheim silniej zacisnął dłonie. Objawy były dokładnie takie, jak przy opętaniu.

– Coś jeszcze?

– Mówiła w innym języku... Zresztą może to był tylko bełkot. Ale te słowa. Ja ich nie rozumiałem. – Theobald patrzył gdzieś w kąt pokoju i z wyraźną niechęcią przywoływał

wspomnienia. – Brzmiały jak bluźnierstwa. Jak przekleństwa. Słyszałeś je i wiedziałeś, że chciałbyś zatkać uszy. – Wyraźnie się wzdrygnął, a potem rozejrzał wokół. – Macie tu jakieś wino? A, macie. Sam przecież przyniosłem.

Sięgnął do szafki i wyjął butelkę oraz dwa rżnięte z kryształu kieliszki na smukłych nóżkach. Nalał wino, a Tronheim zobaczył, że dłoń ma spokojną i pewną. Przyjął od Theobalda kieliszek i umoczył usta.

– Mówcie dalej, proszę – powiedział.

– Przytrzymaliśmy ją. To mała dziewczynka, panie Tronheim, a ledwo we trzech zdołaliśmy ją spętać i zanieść na łóżko. Tam rzucała się jeszcze... Jej ręce i nogi...

– Wyginały się pod dziwnymi kątami? – zapytał Tronheim, znając odpowiedź, i nie zdziwił się, kiedy Theobald przytaknął.

– Potem zasnęła, a kiedy się obudziła, znowu była dzieckiem, jakie wszyscy znaliśmy. –

Odetchnął i upił łyk wina. – Tyle, że płakała, bo wszystko ją bolało.

– Ano tak. – Tronheim potarł czoło opuszką palca i sam miał ochotę się rozpłakać.

Wszystko wskazywało, że dziecko było naprawdę opętane. Może podejrzewałby zwykłą epilepsję, gdyby Theobald nie wspomniał o oczach. Żółte oczy o pionowych, rozszerzonych źrenicach. Ten objaw nie występuje przy epilepsji. Chyba, że świadkowie widzieli, co chcieli wiedzieć... A może światło świec tak właśnie padało i spowodowało złudny efekt?

– Rozumiem, że doszło do następnej manifestacji? – zapytał słabo.

– Doszło – odparł Theobald. – Dwa dni temu. Wszystko się powtórzyło, ale tym razem Selia, ona ma na imię Selia – dodał tonem wyjaśnienia i zastanawiał się przez moment – czy raczej nie ona, a to, co w niej było... W każdym razie powiedziało coś. Grubym, nieludzkim głosem. Do tej pory mnie ciarki przechodzą. – Nalał sobie wina, nie patrząc, czy Tronheim ma jeszcze coś w kieliszku.

– Co takiego usłyszeliście?

– Powiedziała, że nazywa się Azhael Azdrubał Adahał...

– Boże jedyny – szepnął Tronheim i dreszcz przebiegł po jego ciele od czubka głowy po koniuszki palców u stóp.

– Co takiego? – Theobald zerknął zaniepokojony.

– On nie jest jeden. – Tronheim zaciskał tak mocno dłonie, że paznokcie zostawiały krwawe pólkola na skórze. Ale i tak ramiona drżały mu jak w febrze. – To trzy imiona!

Azrael – demon rozkładu, Azdrubal – mistrz wiedzy tajemnej, i Adahal, nazywana Wielką Nierządnicą.

– Mówiła potem trzema głosami – powiedział wyraźnie Theobald, przyglądając się bacznie drżącemu egzorcysty. – Powolnym i spokojnym...

– Azdrubal.

– ...starczym dyszkantem...

– Azrael.

– ...i matowym, słodkim, kobiecym...

– Adahal.

– Powiedzieli, że są w tym dziecku i w nim zostaną, że nabierają mocy i niedługo wyjawią swe żądania.

Tronheim pokiwał głową.

– Będą chcieli dokonać translokacji – powiedział cicho. – Ciało dziewczynki im nie wystarcza. Muszą znaleźć trzy inne ciała, ale, żeby się do nich przenieść, potrzebne jest wykonanie szczegółowych rytuałów. Tego od was zażądają.

– No cóż, lepiej chyba mieć demona w jednym ciele niż w trzech, prawda?

– Zamęczą dziecko, jeśli się nie zgodzicie – rzekł Tronheim i ukrył twarz w dłoniach.

Wszystko już dawno go przerosło.

– Zamęczą?

– Azrael rzuci na nią klątwę. Będzie gniła od wewnątrz. Jak trędowata. Ciało zacznie odpadać od kości. Będzie się wypróżniać własnymi jelitami. Azdrubal zmąci jej umysł

wizjami pradawnych, mrocznych rytuałów. Adahal ześle tak wielkie pożądanie, że aż graniczące z szaleństwem. Jej organy... – Machnął tylko dłonią, bo nie chciał więcej mówić.

– Jednak dużo wiecie o demonach. – Theobald musiał być wstrząśnięty, lecz nie okazywał tego. Ale kiedy Tronheim odjął dłonie od twarzy, zobaczył, że mężczyzna jest blady jak prześcieradło.

– Ja przecież... studiowałem – wyjąkał Tronheim. – Uczyliśmy się o nich. Ale...

teoretycznie, na Boga!

– Czy ktoś leczył już opętanych? Opętanych właśnie przez tę trójkę?

– Tak! – wrzasnął Tronheim. – Tak, do cholery! Barnaba z Kestii, zwany Świętym, zwany Pogromcą demonów, zwany Dłonią Boga, autor ksiąg i modlitw...

– Wezwijmy go więc. – Theobald wpatrywał się w Tronheima, zdumiony jego wybuchem.

– Wezwijmy? – powtórzył egzorcysta. – A to akurat nic trudnego, bo Barnaba jest w Kloudobergen.

– Jak to?!

– Dwa metry pod ziemią. Ma taki piękny, marmurowy grobowiec pośrodku nekropolii.

Od stu trzydziestu pięciu lat.

Theobald opadł na krzesło.

– Umarł.

– Nie, nie umarł – warknął Tronheim. – Zginął. Jego ciało pękło jak dojrzały arbuż zrzucony z wysokości. Podobno cała komnata była we krwi i flakach. Ale poradził sobie z opętaniem. Przegnał demony z powrotem do nie-świata.

– Jakie demony?

– A jak myślisz? – szyderczo zapytał Tronheim. – Przedstawiły wam się już.

– Ach, tak. – Theobald wstał i położył dłoń na ramieniu Tronheima. – Będziesz więc musiał dokończyć robotę – rzekł. – To, co zaczął ten twój Barnaba.

– Dokończyć, zacny panie?! – Tronheim nie panował już nad głosem i bezmierną ironią, jaka płynęła szeroką strugą z jego ust. – Tyle, że nie wiem, czy dosłyszałeś, jak nazywano Barnabę? Świętym, że powtórzę! Dłonią Boga! Pogromcą demonów! Był najlepszy.

Największy. Najsilniejszy. Najbardziej uczony. Jego moc była jak sztorm. A ja? Ja jestem, do cholery, nikim!

Theobald szarpnął go za kołnierz koszuli i podniósł z krzesła. Jego oczy zwęziły się z wściekłości.

– Więc starajcie się – syknął. – Starajcie się ile sił, panie Tronheim, bo będziemy bardzo niezadowoleni, jeśli dacie umrzeć córce naszej Pani.

* * *

Tronheim siedział przy stole, a obok piętrzyły się księgi. Oczy go piekły, jakby nasypano w nie

piasku, cały czas czuł tępy ból pod mostkiem i ogarniały go mdłości tak potężne, że tylko z trudem powstrzymywał się od wymiotów. Ale czytał. Z trudem przebijał się przez zaklęcia, modlitwy i formuły. Omal nie zapłakał, kiedy okazało się, że to, co brał za oryginał

„Spisu Demonów” mistrza Claviusa, jest tylko aramhejską kopią, zapisaną piekielnymi aramhejskimi robaczkami, których nikt już dzisiaj nie potrafił odczytać. Znalazł też zadziwiającą czarną księgę, zapisaną krwawoczerwonym, lśniącym pismem, którego nigdy nawet do tej pory nie widział. Zdziwił się, bo tego woluminu ani nie miał w zbiorach, ani nie zamawiał. Ale studiując tom za tomem, przerzucając karty drżącymi palcami, zdawał sobie sprawę z jednego: jego przygotowania były równie skuteczne, co próba zatrzymania sztormu przez dziecko budujące mur z piasku. Azrael, Azdrubal i Adahal nie byli najpotężniejszymi z demonów. Istniały byty jeszcze bardziej przerażające i dysponujące o wiele większą mocą.

Ale te istoty cechowały szczególna złośliwość oraz wyjątkowo mocna chęć wydobycia się z nieświata. Poza tym: była ich trójka. Nie jeden słaby poltergeist, ale trzech złąknionych życia wysysaczy dusz, których badacze lokowali w piątym, a czasami nawet szóstym kręgu.

Demony zapewne doskonale pamiętały upokorzenie, jakie zesłał na nie Barnaba. I były wściekłe. Tronheim wolał sobie nie wyobrażać, co mogą uczynić fałszywemu egzorcystyście.

Będzie miał szczęście, jeśli skończy jak Barnaba. Szybka, miłosierna śmierć. Bach!, i już cię nie ma, a potem tylko służba zbiera szuflami oraz szmatami szczątki ze ścian i podłogi.

Tronheim przytulił policzek do zimnego blatu i rozszlochał się. Łkał jak dziecko, zawodził, zachłystywał się własnymi łzami. Podejrzewał, że w pokoju może się znajdować otwór, przez który ktoś go śledzi, ale było mu teraz wszystko jedno. Niemal żałował, że wtedy, w lochach, zatrzymał Panią i nie pozwolił, by po prostu utopiono go w kanałach. To byłoby na pewno lepsze od tego, co miało się zdarzyć. I wtedy, w chwili najgłębszej rozpacz, usłyszał głos. Nie dobiegał z zewnątrz, lecz przemawiał w jego głowie. Spokojny i zimny. Mężczyzny w sile wieku. W nim była moc i dostojeństwo. Oraz jakaś nuta utajonego bólu.

– Tronheim – powiedział głos. – Słuchaj mnie uważnie, mały człowieczku, jeśli chcesz żyć.

– Kim... kim ty jesteś? – wyszeptał i zaraz zakrył usta dłonią. – Ja wariuję – powiedział

do samego siebie z rozpaczą. – Boże mój, ja wariuję...

I pomyślał, że może to nawet lepiej, i może szaleństwo jest dobrym sposobem obrony przed bólem, który ma nadejść.

– Tronheim – powtórzył ktoś z naciskiem i lekkim zniecierpliwieniem. – Nie jesteś szalony. Słuchaj mnie uważnie, bo nie mogę zostać długo. Czarna księga. Czy widzisz moją księgę?

– Twoją księgę? Twoją... – Zorientował się nagle. – Mam czarną księgę, ale nie rozumiem...

– Milcz i słuchaj! Potrzebna mi jest krew, Tronheim. Na każdą stronę księgi kropla twojej krwi. Zrób to dzisiaj, w ciemnościach. I myśl o mnie. Myśl o mnie, Tronheim, o mnie, który zapisałem tę księgę

krwawym pismem... Połączą się. Twoja i moja... – głos słabł, jakby postać oddalała się. – Zrób to, jeśli chcesz ich pokonać.

Zapadła cisza, a egzorcysta wpatrywał się oniemiały w księgę o czarnej oprawie, od której zdawał się teraz bić mroczny blask. Dotknął okładki i z sykiem cofnął palec. Skóra była zimna niczym lód.

– Zwariowałem – powiedział z przekonaniem. – Zupełnie zwariowałem.

Ale wiedział też, że niezależnie od wszystkiego, posłucha rozkazów głosu. W końcu cóż mu szkodziło nakapać krwią na martwe stronice nieznannej księgi? I tak nie mogło go spotkać nic gorszego od tego, co już się zdarzyło. A jeśli będzie dalej brnął w szaleństwo, zapewne łatwiej przyjdzie mu znieść to, co nieuchronne.

Zawinął rękaw i otworzył księgę przez materiał, a mimo tego zabezpieczenia poczuł

lodowaty dotyk na opuszkach. Mógł przysiąc, że nigdy w życiu nie widział podobnych liter, jeśli to w ogóle były litery. Strony pozbawiono rysunków czy schematów, wypełniono, rząd przy rządzie i szereg przy szeregu, drobnym, dokładnym pismem. Na niektórych tylko kartach pojawiały się śródtytuły, wykonane stylem nieco bardziej kunsztownym i ozdobnym.

I nagle, niczym błysk, przedziwna wizja przemknęła przez umysł Tronheima. Ujrzał

wnętrze komnaty, gdzie przy wielkim stole siedziała postać w ciemnym płaszczu, z kapturem narzuconym na głowę. Postać była odwrócona tyłem, więc nie widział jej twarzy. Ale dostrzegł gęsie pióro w jej dłoni i dostrzegł też, że spokojnie, pieczołowicie zapisywała coś na kartach księgi. Dłoń była alabastrowo biała, o długich palcach i wypolerowanych paznokciach. Na palcu wskazującym zastygły kropelki czerwonego inkaustu. A potem wizja rozviała się tak samo niespodziewanie, jak się pojawiła.

Tronheim zbyt dużo wiedział i czytał, by lekceważyć tego typu objawienie. Czy dostrzegł

przeszłość? Tajemniczego autora księgi? A jeśli to...? Serce zamarło mu w pełnej oczekiwania nadziei. A jeśli to Barnaba? Jeśli duch wielkiego egzorcysty powraca, aby dać wskazówki, jak rozprawić się z demonami?

– Kimkolwiek jesteś – powiedział w pustkę. – Pomóż mi, a zrobię, co tylko zechcesz.

Dawno już stracił poczucie dnia i nocy, bo nie widział tu przecież słonecznych promieni, a posiłki przynoszono mu niezależnie od pory wtedy, kiedy tego zażądał. Lecz głos w jego głowie nie chciał, aby rytuał odbył się w nocy. Wystarczyło, jeśli odbędzie się w ciemnościach. Tronheim dawno już postanowił, że uczepli się tej szansy. Niebываłej i nieodgadnionej, ale jednak szansy. Wziął ze stołu nożyk do ostrzenia pióra (nie bali się, że podetnę sobie żyły? – pomyślał), po czym wsadził pod pachę czarną księgę i wszedł do sypialni, zostawiając świece w gabinecie. Namacał w mroku łóżko, usiadł na nim, a potem zaciął się nożem w opuszek wskazującego palca. Zbyt mocno, bo drżały mu dłonie i poczuł, jak po skórze spływa lepka krew. Potem otworzył księgę (już okładkę musiał zabrudzić krwią) i dotykał każdej stronicy, przyciskając palec. Oczywiście, że na każdą kartę padało

więcej niż jedna kropla, ale przecież to akurat nie mogło zaszkodzić. I myślał. Modlił się.

Błagał. Wydawało mu się, że znowu ma wizję. Znowu krótką, jak błysk, i znowu przedstawiającą człowieka w kapturze, siedzącego przy biurku i kreślącego znak za znakiem piórem umaczanym w krwawym inkauscie. Mężczyzna nagle przestał pisać i lekko odwrócił

głowę, ale egzorcysta nadal nie dostrzegał jego twarzy. I, nie wiedząc czemu, zdał sobie sprawę z tego, że dostrzec jej wcale nie chce.

Tom był gruby, a Tronheim starał się zachować jak najdalej idącą dokładność, więc dość długo trwało, zanim oznaczył krwią wszystkie strony. Ale wreszcie skończył, wznosił w ciemność ostatnie, błagalne westchnienie i zatrzasnął okładki.

– Stało się – powiedział do siebie. – Nic więcej zrobić nie mogę.

– Stało się – odparł głos w jego głowie, silny i dudniący jakby echem kamiennych ścian.

– O tak, stało się!

Tronheim drgnął przestraszony, ale nikt więcej się nie odezwał. Egzorcysta wyszedł z sypialni i zmrużył powieki, bo blask świec uderzył w oswojone z ciemnością oczy. Spojrzał

na dłoń i zobaczył, że cała jest we krwi, a z rozcięcia na palcu wciąż sączy się gęsta, czerwona strużka. Położył na biurku czarną księgę i dopiero po chwili zdał sobie sprawę z jednego. Księga nie była już czarna. Była purpurowa. I nie lodowata, jak poprzednio, lecz zdawała się emanować rozkosznym ciepłem, niczym nagrzany od ognia pień drzewa.

– Nie mogłem jej aż tak zabrudzić – mruknął oszołomiony Tronheim i potarł skórę oprawy palcami prawej ręki.

Ale tom po prostu był purpurowy, a nie zabrudzony purpurą. Okładka wyglądała, jakby była szklaną szybą położoną na basenie pełnym krwi. Tronheim ostrożnie otworzył księgę.

Jasnożółty pergamin nie został zaplamiony. W ani jednym miejscu. Tyle, że równe, eleganckie pismo autora nie tylko było już krwistoczerwone, lecz jarzyło się szkarłatnym blaskiem. Tronheim wszedł z otwartą księgą w mrok sypialni i zobaczył, że ten szkarłatny blask liter rozjaśnia ciemność. Ale rozjaśnia w niepokojący sposób. Sprzęty i ściany zdawały się pałać migotliwą poświatą, a samo powietrze drgało, tak jak zwykle drga tylko w słoneczny, upalny dzień. Tronheim nie mógł wytrzymać tego dziwnego światła i zatrzasnął

księgę. Wyszedł z sypialni.

– Boże mój – powiedział do siebie. – Zrobiłem... coś.

Nie był na tyle głupi, by nie zdawać sobie sprawy, iż dokonał właśnie magicznego obrzędu. Ale obchodziło go tylko jedno – zyskanie mocy do walki z demonami. Tymczasem wcale nie czuł, żeby spłynęła na niego siła, wiedza lub łaska. Miał nadzieję, że może będzie mógł odcyfrować szkarłatne

literę, ale gdzie tam! Nadal pozostawały nic nie znaczącymi, choć intrygującymi symbolami.

Nagle ktoś z impetem pchnął drzwi jego komnaty. Do środka wpadł Theobald z dwoma służącymi.

– Znowu! – ryknął. – Są w niej!

Dostrzegł zakrwawione dłonie Tronheima i chwycił go za ramiona.

– Próbowalesz nas opuścić? – syknął wściekle.

Tronheim przez chwilę nie rozumiał, co tamten ma na myśli, a potem wyciągnął przed siebie obronny gestem lewą dłoń.

– Zaciałem się w palec – wyjaśnił łagodnie. – Tylko zaciałem się w palec.

Theobald wpatrywał się w niego przez chwilę, a potem klepnął go w plecy.

– Już dobrze – rzekł spokojnie. – Idziemy. Powiedzcie im, co mają zabrać.

– Nic – huknął głos w jego głowie. – Trzymaj tylko naszą księgę. Nikomu jej nie oddawaj.

– Nic – powtórzył Tronheim, choć serce mu zamarło.

Może chociaż świętą kredę z Alehandrii? – zabelkotał w myślach.

– Nic? – zdumiał się Theobald. – Hmm... To wy jesteście egzorcystą – dodał po chwili, ale widać było, iż nie jest przekonany. – Na pewno wiecie, co robicie?

– Wiem. – Pokiwał głową Tronheim. – Dzięki księgom, które mi dostarczyliście, poznałem starożytny rytuał wypędzania demonów. Być może rzecz się powiedzie.

Teraz mógł kłamać, gdyż było mu wszystko jedno. I tak nikt nie rozliczy go z kłamstwa, bo jeśli cokolwiek pójdzie źle, to w najlepszym wypadku komnata zostanie udekorowana krwią i flakami niezręcznego, acz zuchwałego egzorcysty.

– Jestem z tobą – rzekł głos kojącym tonem. – Nie bój się, Tronheim. Jestem z tobą i w tobie. Jeśli ty zginiesz, ja zniknę. A do tego nie dopuścimy, gdyż nasze pojawienie się tutaj jest częścią wielkiego planu, który musi się powieść...

Egzorcysta mimo woli odetchnął z ulgą. To było coś! Jeśli istocie, przemawiającej z głębi jego umysłu, zależało na życiu Tronheima, to będzie się starała bronić człowieka, który dzieli się z nią ciałem. Pytanie tylko brzmiało, czy ma wystarczająco dużą moc, aby oprzeć się trzem potężnym demonom.

– Potężnym? – zadrwił głos. – Tronheim, przyjacielu. Jakże spodleliście i skarleliście wy, ludzie, skoro takie demony uważacie za potężne! Gdybyś tylko widział... – urwał. – Nie, nie wytrzyma tego – rzekł do siebie.

– Czego nie wytrzymam?

– Słucham? – zapytał nerwowo Theobald. Szybkim krokiem przemierzali wąskie, puste korytarze.

– Nie, nic, tak mówię do siebie.

– Wizji – wyjaśnił głos. – Nie zniósłbyś pewnych obrazów. A ja nie chcę, abyś oszalał.

Przynajmniej jeszcze nie teraz. – Usłyszał nutkę mrocznego rozbawienia.

Stanęli przed drzwiami, przy których czuwało dwóch bladych wartowników. Widząc Theobalda, odstąpili. Mężczyzna pchnął drzwi, a Tronheimowi serce zastygło. Ale to jeszcze nie była ta właściwa komnata. Tutaj kręciło się tylko kilka zdesperowanych i zapłakanych służebnic, a pod ścianą stał człowiek w czarnym kaftanie z olśniewająco białą kryzą i nerwowo łamał palce.

– Gaspar – rzekł do niego Theobald. – Egzorcysta jest gotów. Czy ona jest w środku? –

Tronheim domyślił się, iż Theobald myśli o Pani.

– Nie pozwoliłem. – Pokręcił głową Gaspar. – Niech mnie każe ściąć, ale nie pozwoliłem.

– Bardzo dobrze. Chodźmy.

Weszli do komnaty we trzech. Na wielkim łożu, na puchowych pierzynach i poduchach leżała dziewczynka. Spojrzała na nich, kiedy wchodzili, złośliwym wzrokiem żółtych źrenic.

Jej twarz była zlana potem i koszmarnie wykrzywiona.

– Gaspaaar – powiedziała, przeciągając miękko zgłoski. – Chciałbyś mnie pierdolić, Gaspar? Lubisz takie małe dzieciaczki, prawda? Chodź i zrób mi to...

Człowiek w czerni oparł się plecami o ścianę i mamrotał coś do siebie.

– I Theobald tu jest – rzekł demon. – Rozmarzony, śliczny Theobald, co nocami wdycha do swej pani. Chciałbyś ją, Theobaldzie? Mogę ci ją dać. Wierną, kochającą, posłuszną.

Musisz tylko...

Tronheim krzyknął. Nie chciał krzyknąć, ale krzyknął. Nie swoim głosem, lecz głosem tego, który mieszkał w nim. Nie swoimi słowami, lecz jego słowami. Bo on sam nawet nie pojmował, co mógł oznaczać ten krzyk. Demon szarpnął się do tyłu.

– Kim jesteś? – zapytał po chwili wolno i spokojnie.

Azdrubal, pomyślał Tronheim. Teraz mówi do mnie Azdrubal.

– Jestem tym, który przybył cię przegnać – rzekł, przetykając ślinę. – Zmusić, byś uwolnił

to niewinne stworzenie i odszedł w przeklęty niebyt.

Azdrubał przez długą chwilę przyglądał się egzorcyście straszny, przewiercającym na wylot wzrokiem żółtych oczu. Ktoś, kto był w Tronheimie, schował się tak głęboko, że egzorcyista nie czuł nawet cienia jego obecności.

– Jesteś nikim – powiedział Azdrubał z lekceważeniem. Teraz już nie był ani zdziwiony, ani zaniepokojony. – Choć ciekawi mnie, gdzie nauczyłeś się Słów. Pozwól, że zastanowię się, co z tobą zrobię. Co będę z tobą robił przez następnych kilka tysięcy lat. – Roześmiał się, a z ust Selii spłynęła gęsta strużka żółtej śliny. Tronheim, mimo, że stał parę kroków od łóżka, poczuł mdlący smród zgnilizny.

– Przywiedliście egzorcyistę – ciągnął Azdrubał spokojnym tonem dobrze wykształconego człowieka. – I zostaniecie surowo ukarani. Przywiedliście fałszywego egzorcyistę, oszusta oraz złodzieja. A więc za swą głupotę zostaniecie ukarani dodatkowo. Najsurowiej jednak ukarany zostanie on! – Azdrubał kazał Selii wyciągnąć wskazujący palec, który teraz godził, jak grot, prosto w serce Tronheima.

I wtedy Tronheim poczuł, że mieszkający w nim obcy znowu się pojawia. Nie tylko pojawia. Teraz jego obecność objęła cały umysł Tronheima niczym pożoga ogarniająca wyschnięty las. Obcy rozparł się w mózgu egzorcyisty jak w wygodnym fotelu.

– Nie bój się – rzekł uspokajającym tonem, bo Tronheima przeraziło to niespodziewane zawłasczenie.

Ale wycofał się, gdyż wiedział, że przybysz musi mieć siłę, by skutecznie poprowadzić walkę. I znowu usłyszał, że w jego krtani rodzą się nieznane słowa. Słowa, których nie tylko nie znał, ale które napełniały go irracjonalną trwogą. Które wypełzały z jego ust niczym smugi czarnego dymu. Niczym rozwścieczone, jadowite węże o rozwartych pyskach.

Demon wrzasnął i skulił się w wezglowiu łoża. Zaczął przeraźliwie charczeć, a z ust dziewczynki potokami płynęła już nie tylko zmieszana ze śliną cuchnąca żółć, ale również błyszczące wymiociny. Tronheimowi wydawało się, że stoi obok. A nawet nie obok.

Wydawało mu się, że unosi się gdzieś pod sufitem i z góry obserwuje całą scenę. Widzi siebie samego, jasnowłosego, dość przystojnego, ale o zaciętej, okrutnej twarzy. Czy ja tak naprawdę wyglądam? – pomyślał w panice. I widział też kulącą się na łóżku dziewczynkę. I drżącego pod ścianą Gaspara. I wpatrującego się we wszystko w napięciu Theobalda. I widział też, jak blednie płomień stojących w kandelabrach świec, a w komnacie gęstnieje mrok.

Tronheim wyciągnął prawą dłoń. Nie było teraz na niej śladu krwi ani nawet blizny po zacięciu nożem. Dotknął czoła dziewczynki. Demony wrzasnęły trzema głosami. Gaspar upadł na posadzkę, z jego uszu popłynęła czarna, gęsta krew. Theobald wił się w kącie i próbował złapać powietrze rozwartymi ustami, z których jednak nie dobywał się żaden dźwięk. Trzy czarne stwory skoczyły niczym błyski mrocznego światła w stronę Tronheima.

Ale ten tylko wyciągnął rękę i zamknął je w garści. Płomienie świec rozbłysły na nowo, a na łóżku

leżała przeraźliwie płacząca, obolała dziewczynka. Płacząca rozpaczliwym, dziecięcym szlochem. Ładna dziewczynka o delikatnej buzi i niebieskich oczach.

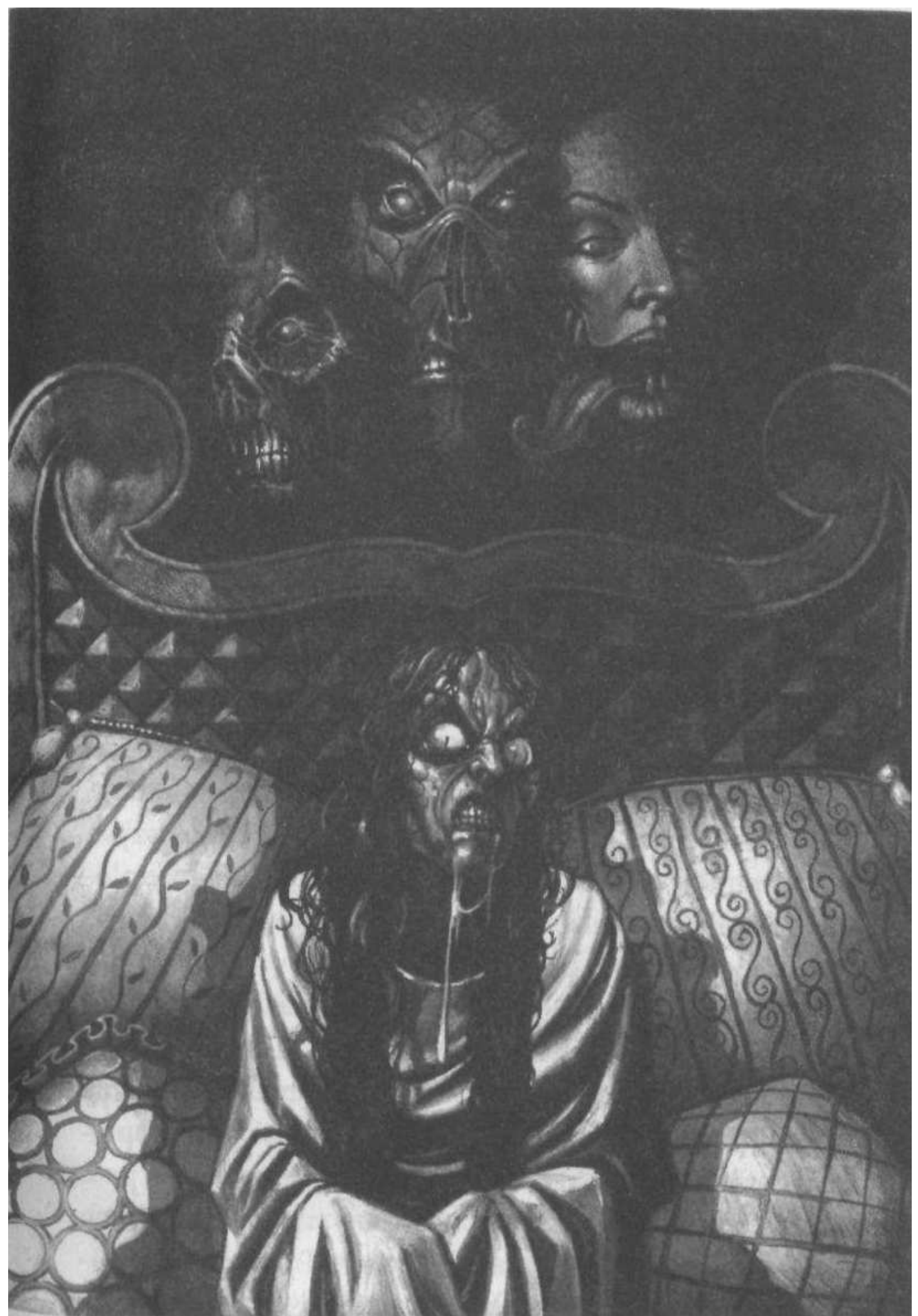
– Wszystko już dobrze, maleńka. – Tronheim, znowu on, usiadł na łóżku i przytulił

dziecko. Objęła go ramionami i wtuliła się w niego. – Wszystko już dobrze – powtórzył.

– Czas na nagrodę, Tronheim – odezwał się leniwie głos w jego głowie. – Nie napracowaliśmy się zbyt, ale...

– Nagrodę?

Do komnaty wbiegli słudzy i podnosili z posadzki Theobalda oraz Gaspara. Jakież dwie młode kobiety tuliły Selię w objęciach, głaskały ją i pieszczotliwie przemawiały.



– Od Pani – wyjaśnił przybysz z namysłem. – Będzie nam potrzebna, by zrealizować pewne cele.

– Cele?

– Tronheim, czy zamierzasz powtarzać po mnie każde słowo? Wykaż odrobinę inteligencji. Wykonaliśmy robotę i oczekujemy nagrody. Królowa podziemnego świata Kloudobergen. Ha! Może być użytecznym narzędziem.

– Narzędziem? – powtórzył znowu Tronheim, który wszystko mógł sobie wyobrazić, ale nie to, że złowieszcza władczyni Kloudobergen mogłaby być narzędziem w czyichkolwiek rękach, a zwłaszcza w jego rękach.

– Bogowie – westchnął głos. – Czeka nas, widzę, dużo pracy. Ale poświęcimy się jej z całym oddaniem.

Tronheim nie wiedział czemu, ale jakoś nie spodobały mu się te słowa.

– Gdzie one się podziały? – zapytał, aby zmienić temat. – Zesłałeś je do nie-świata?

– Co najwyżej zesłaliśmy – poprawił przybysz łagodnie. – Nie zapominaj o swej roli, przyjacielu. Ale nie. Nie należy trwonić pewnych mocy. Nie wiesz, gdzie są? Więc przypatrz się uważnie!

Tronheim na początku nie rozumiał, co tamten ma na myśli, ale potem ktoś delikatnie poprowadził go w stronę takich zakamarków umysłu, z których istnienia nawet nie zdawał

sobie sprawy. I tam zobaczył trzy spętane, okiełznane, bezbronne, lecz bezbrzeżnie wściekłe postaci.

– Oto są – powiedział głos. – Zamknęliśmy je w klatce, Tronheim. I wypuścimy, kiedy przyjdzie taka potrzeba. Jak złe psy. Atakujące i wracające na rozkaz. Żadnej mocy nie należy bezmyślnie trwonić.

– Mój Boże. – Tronheim wycofał się w panice, bo nie mógł nawet patrzeć na to, co zostało ukryte w jego umyśle. – Kim ty jesteś? Kto potrafi władać taką mocą? Nawet Barnaba...

– Barnaba – parsknął obcy, nawet nie szyderczo, tylko z rozbawieniem – mógłby być uczniem naszych czeladników. Naprawdę nie wiesz, kim jestem, przyjacielu Tronheim?

Tronheim podejrzewał już, kim jest jego zbawca, ale ta myśl była zbyt śmiała i zbyt okrutna, by ją zwerbalizować.

– Widzisz – kontynuował obcy. – Mądre księgi mówią, że wielkie zło należy i można zwalczać tylko za pomocą zła jeszcze większego. – Roześmiał się, jakby to, co powiedział, było bardzo zabawne.

– A więc ty... – Słowa uwięzły Tronheimowi w gardle.

– A więc ja – odparł pogodnie głos.



Rozdział 2

Następny piękny dzień

askinia była ukryta za płataniną krzewów, najeżonych sterczącymi na J wszystkie strony ostrymi i długimi kolcami. Rosły na nich małe, pokurczone, jasnobrązowe maliny, sprawiające wrażenie, jakby były tylko chorymi naroślami wśród zielonych listków. Tobias rozgniół jedną z nich językiem i zaraz wypluł, bo poczuł gorzki smak, jak gdyby spróbował czegoś bardzo starego i bardzo zgniłego. Przedzierał się z trudem przez krzewy, łagodnie odgarniając splątane gałązki. Ale mimo to kilka kolców porysowało mu dłonie, a inne zaczepiły o koszulę i rozdarły ją w dwóch miejscach. Już wyobrażał sobie krzyk matki, kiedy zjawi się w domu.

I co, gamoniu? – powie, patrząc na niego zimnymi, martwymi oczami jaszczurki. –

Znowu zniszczyłeś ubranie! Gdzie byłeś cały dzień, ty diabelskie nasienie? A on, jak zwykle, będzie stał z pochyloną głową, czekając na nieuniknione ciosy, które spadną na głowę, kark i plecy. Ciosy bardziej upokarzające niż bolesne, bo drobne pięści matki nie sprawią mu ani bólu, ani nie będą w stanie wyrządzić krzywdy. Ale jeśli wszystko pójdzie źle, to w domu pojawi się ojciec i, jak zwykle, chwyci za kij.

Zeszłej zimy stłukł Tobiasa tak, że chłopiec przez kilkanaście dni pluł i sikał krwią.

Wiedział, że nigdy tego nie zapomni. Próbował się wtedy bronić, ale opór tylko rozwścieczał

ojca. Ten wielki mężczyzna o szarej, skołtunionej brodzie i oczach przypominających czarne kamyki bił go z zimną, zaciekłą zawziętością, a kiedy Tobias upadł na ziemię, kopał butami o ciężkich, wielokrotnie zelowanych podeszwach. Tobias pamiętał doskonale, jak kulił się, obejmując rękami głowę, a ojciec wtedy kopał go w plecy i nerki. Potem odstąpił, ciężko oddychając, jak po dobrze wypełnionym obowiązku. Chłopiec został na podłodze, a pod językiem czuł słodki smak krwi spływającej ze zmiążdżonych warg i rozciętego języka.

Najgorsze było, że nie mógł nic zrobić.

Czy to raz stał nad ojcem z nożem w dłoni i z nienawiścią wpatrywał się w jego czerwoną,

zapuchniętą twarz? Słuchał spokojnego, przesączonego przepalanką oddechu i zastanawiał się, co by było, gdyby pchnął ostrzem pod serce? Czy ojciec jeszcze zdążyłby otworzyć oczy i zobaczyć, kto nad nim stoi? Tobias w marzeniach upajał się tą chwilą. Tym pozbawionym zrozumienia przerażeniem, które zobaczy w źrenicach swego oprawcy. A potem błaganie. Ale na błaganie będzie za późno. Jednak nigdy nie zdobył się na krok tak ostateczny. Nie z miłości czy szacunku, bo tych uczuć nigdy nie zaznał. Ale ze zwykłego strachu. Co będzie, jeśli ostrze nie trafi pod serce, lecz ześlizgnie się po żebrach? Wtedy ojciec wstanie, potężny niczym góra, zraniony i wściekły. Tobias wolał nie myśleć, co mogłoby się wydarzyć dalej. A nawet gdyby zabił ojca, to jaki los go czeka? Uciezka i wygnanie. Tu miał przynajmniej dach nad głową i jedzenie. Ciepły kął w zimie, resztki słoniny, kaszy czy chleba, zostawiane przez litościwych sąsiadów. Poza wioską czekały go tylko głód, zimno i dzikie zwierzęta.

Najbliższe miasto było daleko za rzeką i za życia Tobiasa nikt z wioski nie zapędzał się aż tak daleko. Kiedyś, dawno temu, ojciec Mariki służył w straży miejscowego kasztelana i wszyscy uważali go za człeka bywałego oraz obieżyświata. Miasto nie było potrzebne mieszkańcom wioski. Zdawało im się miejscem dziwnym i nieco przerażającym. Owszem, co bogatsi gospodarze kupowali żonom, od wędrownych kupców, tkane w mieście chusty czy ozdoby ze srebra i bursztynu, a sami sprzedawali zboże oraz bydło. Ale tak naprawdę miasto nie było im potrzebne do szczęścia. Okoliczny kowal wyklepywał ostre i dobrze wyważone kosy, beczki składane przez grubego Horfista trzymały się całymi latami, a mały, czarniawy Hum szył mocne buty z grubej skóry, futra na zimę i skórzane lub wełniane bluzy. Stara Anzia jak nikt potrafiła obracać garncarskim kołem i spod jej rąk wychodziły kształtne słoje, dzbany i misy. Czego więcej mogli chcieć od życia? Chłopi z okolicznych wiosek spotykali się w drewnianej karczynie na rozstajach dróg i tam widzieli biesiadujących kupców, a czasem nawet szlachcica o butnym głosie i śmiałych oczach. Ale nie ciągnęło ich do innego życia.

Było im dobrze tam, gdzie byli.

Tylko Tobias czasami marzył. Z tęsknotą wpatrywał się w horyzont i zastanawiał, co znajduje się po drugiej stronie lasu, na końcu rzeki, czy za górami, których szczyty przy dobrej pogodzie lśniły w słońcu białymi czapami lodu i śniegu? Potrafił tak przesiedzieć cały dzień, a czas mijał obok niego, nie wiadomo kiedy. I Tobias wracał do domu dopiero, gdy słońce rozmywało się po niebie czerwoną smugą. Wracał tylko po to, aby wysłuchać jazgotliwych narzekań i oberwać razy zadawane kościstymi pięściami matki.

Teraz przedzierał się przez krzewy bez specjalnego celu, ot tak, z ciekawości, by zobaczyć, co znajduje się za nimi. Mozolna wędrówka w malinowym gąszczu zajęła mu co najmniej godzinę, ale nie chciał się już wycofywać. Zdumiewał go fakt, że nie przypominał

sobie, by kiedykolwiek rosły w tym miejscu te gęste krzewy o gorzkich, brązowych owocach, choć wydawać by się mogło, że najbliższą okolicę znał jak własną kieszeń. Im dłużej przedzierał się przez maliniak, tym silniejszy stawał się dziwny zapach. Słodki, odrażający smród padliny. Coś tu niedaleko gniło i wydzielało ten zatykający dech w piersiach odór. Ale Tobias nie zamierzał się cofać. Martwy lis czy gniazdo opuszczonych i zdechłych piskląt na pewno nie mogły go zawrócić z drogi. I nagle, za krzewami, dojrzał

wąską szczelinę, prowadzącą w mrok jaskini. Smród zgnilizny nasilił się. Jej źródło było wyraźnie tam, w ciemnym, zatechłym wnętrzu. Widział tylko zarys skalnego pęknięcia i kilka sporych, poszarzałych kamieni, leżących przy wejściu. Pochylił się i z trudem, pełznąć na kolanach, wszedł do środka, starając się powstrzymać oddech, gdyż odór był

przytłaczający. Domyślił się, że skała musiała niedawno pęknąć, odsłaniając wejście prowadzące w głąb pagórka. Co mogło znajdować się w środku? Na pewno coś, co od dawna nie żyło, a więc czego nie należało się obawiać. Zresztą, w okolicach wioski było spokojnie.

Wilki zapędzały się pod obejścia tylko zimą, a niedźwiedzie były prawdziwą rzadkością.

Kilka lat temu Tobias widział oprawionego niedźwiedzia, którego upolował ojciec Mariki.

Potężne zwierzę leżało skurczone i pokłute ostrzami włóczni. Ale ta jaskinia na pewno nie była niedźwiedzią gawrą. Jeśli jakiegokolwiek zwierzę chciałoby tu mieszkać, to Tobias zobaczyłby przede wszystkim wydeptaną ścieżkę w malinowym gąszczu.

Jaskinia okazała się nadspodziewanie obszerna. Tobias bez trudu wyprostował się, a kiedy powiódł wokół dłońmi, nie dotknął ścian. Czy mógł tu znaleźć coś cennego? Niegdyś nasłuchiwał się opowieści o zbójceckich jaskiniach, gdzie nagromadzono złote i srebrne ozdoby, bele aksamitu i złotogłowia, skrzynie pełne dźwięczących monet, błyszczące, szlachetne kamienie. Ach, gdyby tak znalazł chociaż garsteczkę srebra! Już tego samego dnia uciekłby z wioski, wiedząc, że jakoś poradzi sobie w mieście, jeśli tylko będzie miał za co kupić jedzenie i dach nad głową. I nagle, kiedy tak marzył o garści srebra (która powoli w jego myślach zamieniała się w wypełnione złotem skrzynie), raczej wyczuł niż usłyszał ruch w głębi jaskini. Poruszył się gwałtownie, a po plecach przebiegł mu lodowaty dreszcz.

– Kto tu jest? – zawołał przestraszony.

Krzyk nie dodał mu odwagi. Cienki i cichy, utonął gdzieś w mroku, zniknął i zagubił się we wszechogarniającym słodkim smrodzie. Tobias cofnął się w stronę wyjścia, ale uderzył

plecami o ścianę. Rozpaczliwie macał dłońmi w poszukiwaniu szczeliny, ale wciąż tylko trafiał na zimną, wilgotną skałę. Zaczęła ogarniać go panika. W mroku coś się ruszało. Coś zmierzało w jego stronę. Coś pełzło, szurając po mokrym podłożu. Coś cicho jęczało, wzdychało, mlaskało i szeptało dziwnym tonem, pełnym bóleści i pożądania. Tobias nie widział nic. Nie zobaczyłby nawet własnej dłoni, gdyby machnął nią przed oczyma. Jakże żałował, że nie ma ze sobą kaganka albo pochodni! Jakże żałował, że nie ma chociaż kija, którym mógłby się osłonić przed tym czymś, co zbliżało się do niego!

Nagle poczuł dotyk na ramionach i twarzy. Lepki, wilgotny i ciepły. Jakieś zwinne, miękkie palce ślizgały się po ciele, zbliżały do nosa, uszu, policzków i włosów. Nie był w stanie nawet drgnąć. Sparaliżowany przerażeniem, mógł tylko stać i znosić dziwny, ale przecież delikatny dotyk. Coś, co wyłoniło się z ciemności, najwyraźniej nie chciało mu zrobić krzywdy. Przynajmniej na razie. Oglądało go, jakby uczyło się kształtu ludzkiego ciała. I w pewnym momencie usłyszał głos. Szeleszczący, cichy, wypowiadający poszczególne słowa z trudem, a może nawet bólem. Tak jakby

istota żyjąca w tym mroku dopiero uczyła się ludzkiego języka lub też przypominała sobie dawno zapomniane pojęcia.

– Czczłooowiek. Małły czczłooowiek. Wilgotne, lepkie palce przestały ślizgać się po twarzy chłopca.

– Neeeee bóóój się, maaałły czczłooowieku.

Istota odpełzła z powrotem w głąb jaskini. Tobias słyszał szuranie, ciche jęki i jakby płaczliwe gaworzenie. A potem, po długiej, długiej chwili, kiedy cały czas zdrętwiały ze strachu stał przy ścianie, to coś z ciemności znów się zbliżyło. Namacało jego dłoń i Tobias poczuł, że wkłada mu w palce twardy, zimny przedmiot.

– Weee*zzzzzz* to, człooowieku. – wyszeptano stworzenie – i przynieeeeśś mi jedzenie.

Dostaaaaniesz więcej, więęę-cej... – Głos załamał się, a dłoń istoty pchnęła go w stronę wyjścia z jaskini.

Światło słonecznego popołudnia niemal go oślepiło. A przecież wśród drzew, w gęstwie malinowych krzewów, wcale nie było tak jasno. Tobias klapnął na ziemię, nie zważając, że ostre kolce rozdzierają mu policzek. Starł krew z twarzy i wtedy, z głębi jaskini, usłyszał coś w rodzaju głuchego westchnienia lub stęknienia. Rozwarł palce, aby przyrzeć się, co otrzymał od stworzenia mieszkającego w mroku. Metalowy walec o długości i grubości serdecznego palca połyskiwał żółto w promieniach słońca. Złoto? Tobias nigdy nie widział

złotego przedmiotu ani monety, ale wystarczająco dużo nasłuchiwał się o tym kruszcu, aby podejrzewać, że ma w ręku właśnie złoto. Lub coś, co złoto bardzo przypominało. Podniósł

się i szybko zaczął przedzierać się przez maliniak. Droga powrotna okazała się nadspodziewanie łatwa. Może już poprzednio wydeptał sobie dróżkę i połamał lub ponaginał

zagradzające drogę gałęzie? A może to strach niósł go z taką prędkością? Zastanawiał się, co ma teraz robić? Jeśli walec był rzeczywiście złoty, to mógł kosztować prawdziwą fortunę. Ale Tobias doskonale wiedział, że nigdzie w okolicy i nikomu nie sprzeda tego kawałka tak, by wszędzie nie rozniosły się plotki. A w najgorszym razie po prostu mu go zabiorą. Pozostawał

więc tylko jeden sposób: przynieść jedzenie dziwnemu stworzeniu z jaskini i dostać jeszcze więcej złotych, błyszczących przedmiotów. Tobias włożył skarb do kieszeni spodni. Zdawało mu się, że złoty walec ciąży tam i wyraźnie odznacza się spod materii. Jak ukryć go przed ojcem i matką? Czy zakopać gdzieś, a może schować w dziupli lub pod korzeniami drzewa?

Nawet nie zorientował się, kiedy, pogrążony w myślach, zawędrował prawie przed sam dom.

Matka siedziała na progu i cerowała starą suknię. Podniosła na niego złośliwe, ciemne oczy.

– Jesteś wreszcie, obwiesiu – syknęła. – Ojciec zaraz się za ciebie weźmie!

Krzyknęła w głąb domu. Tobiasz cofnął się o krok. Ojciec stał w drzwiach. Wielki jak góra, szarobrody i napuchnięty. Postąpił naprzód i chwycił chłopca za koszulę. Materia trzasnęła głośno w jego sękatych palcach. Oddech ojca zajeżdżał wymiocinami i przepalanką.

– Ty diable – powiedział z niebezpieczną czułością w głosie. – Czy wiesz, że twój tatuńcio musiał cały dzień plewić pole? Sam!

W chwili, kiedy ojciec wypowiadał ostatnie słowo, jego lewa dłoń zatoczyła krótki łuk i Tobiasz poczuł ból pod okiem. Zaniewidział na moment. Próbował się cofnąć, ale ojciec był

bardzo silny. Następny cios spadł na głowę, kolejny smagnął po policzku i szyi. Potem ojciec pchnął go tak mocno, że Tobiasz potknął się i upadł na ziemię. Wiedział, że teraz do pracy zabiorą się nogi ojca. Wielkie niczym dębowe kłocce. W twardych butach, które celnie odnajdą miękkie miejsca w skulonym ciele.

– Zobacz, co przyniosłem! – wrzasnął Tobiasz, bo wszystko było lepsze od bicia.

Wyrwał z kieszeni złoty walec i rzucił ojcu pod stopy. Mężczyzna pochylił się z wahaniem i podniósł kawałek metalu. Oglądał go w milczeniu, zadrapał paznokciem i zgryzł

w zębach.

– Patrz – rzekł do matki Tobiasza. – To złoto. Oboje nie zwracali już uwagi na chłopca, a on odczołgał się pod drzewo i zaczął ssać rozkrwawioną wargę.

– Skąd to masz? – Głos ojca chlasnął jak bicz.

– Znalazłem w lesie – zająknął się. – Pod drzewami.

Nie zamierzał opowiadać o jaskini i dziwnym stworzeniu mieszkającym w jej głębi.

Wiedział, że ojciec poszedłby tam, zabrał całe złoto i zabił to coś, co żyło w jaskini.

Tymczasem stwór nie skrzywdził przecież Tobiasza. Przyglądał się mu i dotykał, ale nie zranił.

Poza tym zawarli umowę. Tobiasz przyjął podarunek, a więc powinien przynieść jedzenie. I znowu dostać złoto. A potem? Potem będzie mógł wyrwać się z wioski i uciec do miasta.

Może zaciągnie się na któryś ze statków i zwiedzi dalekie krainy, a może zacznie służbę u bogatego szlachcica?

– Gdzie? – Ojciec aż drżał z podniecenia. – Gdzie to znalazłeś, ty mała świnię?

– Pod drzewami. – Tobiasz skulił się, ale cios nie padł. Silna dłoń poderwała go na nogi.

– Zaprowadź mnie tam.

Tobias skinął głową posłusznie. Ale nie zamierzał pokazywać ojcu malinowej gęstwiny.

Poprowadził go nad rzekę, pod szarozielone wierzby, których ciężkie gałęzie zwisały nad samą wodę. Pokazał płataninę zbutwiałych, omywanych przez wodę korzeni i wyciągnął dłoń.

– Zobaczyłem, że coś tu błyszczący – powiedział.

Przez następną godzinę ojciec brodził w szarej wodzie pokrytej zielonym nalotem, rozgarniał błocko i myszkował w splątanych korzeniach. Nie znalazł nic poza truchłem wodnego szczura. Ale, o dziwo, nie był nawet wściekły. Uderzył Tobiasa tylko raz i to bardziej z przyzwyczajenia niż rzeczywistej złości. Potem wrócili do domu, a ojciec szeptał

coś z matką do późna i położył się spać. Rano, zanim Tobias się obudził, ojca już nie było.

Chłopiec domyślał się, że prawdopodobnie poszedł do miasta. Bo gdzie indziej mógłby sprzedać złoto? Jego nieobecność była mu zresztą na rękę. Nadszedł czas, aby wywiązać się z danej obietnicy. Tobias zastanawiał się jednak, skąd wziąć jedzenie. W domu było tylko trochę przypalonej kaszy oraz kilka zeschniętych, zbrązowiałych na brzegach podpłomyków.

Chłopiec jednak nie raz i nie dwa był już w takiej sytuacji.

Dawno temu, kiedy był głodny, prosił o pomoc sąsiadów, a ci czasami dzielili się z nim chlebem, a nawet mięsem. Potem jednak nauczył się podkradać króliki z sideł zakładanych przez starego Jolmasa. Porywał białe, futrzane kłęбки i jednym uderzeniem kamienia rozłupywał im głowy. Następnie, gdzieś w głębi lasu, rozpalał ogień i piekł mięso, wbite na zaostrowany patyk. Często też zachodził nad rzekę i siadał z wędką na jej brzegu. Znał miejsca, gdzie w mętnej wodzie pływały szybkie i zwinne okonie, leszcze o srebrzystej łusce, a nawet wielkie, stateczne miętusy. Dziś miał sporo szczęścia. Trzy okazałe leszcze złapały się na przynętę, jeden po drugim. Leżały teraz na trawie, trzepocząc się rozpaczliwie i bezgłośnie rozwierając podłużne pyszczki. Tobias zdzielił każdą rybę zaostrowym na brzegach kamieniem i zawinął wszystkie w lnianą chustę. Postanowił, że zanieś je do jaskini surowe, a dopiero tam, na miejscu, rozpali ogień. Nie tylko upiecze złowione ryby, ale może również zobaczy, jak wygląda to coś, co mieszka w jaskini.

Droga przez malinowe chaszczki była tym razem o wiele łatwiejsza. Tobias po odgiętych i złamanych gałązkach widział, którądy szedł wczoraj. Odór zgnilizny był słabszy niż poprzedniego dnia. W krzakach zalatywało padliną, ale ten smród był już do wytrzymania i Tobias nie musiał wstrzymywać oddechu ani nie krzywił się z obrzydzeniem. Zobaczył skalną rozpadlinę i tak jak poprzedniego dnia, na kolanach, wpełzł do niej.

– Przyniosłem jedzenie – zawołał.

Coś poruszyło się w ciemności. I zaczęło z wysiłkiem sunąć w stronę Tobiasa. Chłopaka znowu dobiegły te dziwne dźwięki: szurania, mlaskania i jęczenia.

– Ddddaj, ddddaj. – Głos był słaby, chyba słabszy niż poprzednio, ale przepojony tak wielkim

głodem, że Tobiasz nawet nie śmiał zaproponować, aby stworzenie zaczekało, aż rozpali ogień i usmaży ryby.

Rzucił zawiniątko tam, skąd dobiegały słowa. A potem słyszał już tylko odgłosy jedzenia.

A raczej nie jedzenia, lecz pożerania. Stworzenie wysysało mięso, zgryzało i miażdżyło ości, a Tobiasz mógłby nawet przysiąc, że połyka rybnie łuski. Oparł się o ścianę i czekał, aż ucza się skończy. Musiał czekać. Wiedział, że nie odejdzie, zanim nie dostanie następnej porcji złota. I chciał się dowiedzieć, kim lub czym jest istota mieszkająca w wiecznym mroku jaskini. Wreszcie wszystko ucichło. Poczul dotyk na prawym nadgarstku. Istota oddawała mu lnianą chustę, w którą zawinął ryby.

– Dzię-kkkuję ccci – powiedziała znacznie mocniej i pewniej. – Dobrze ryyyby. – Przez chwilę w jaskini panowała cisza i Tobiasz słyszał tylko cichutki stuk kropel skapujących z jej ścian. – Przynieśśś więccej. Więęcej mięsssa...

Chłopiec zastanawiał się, czy stworzenie da mu następny złoty przedmiot, ale odczekał

chwilę i nic się nie stało. Docierało do niego tylko lekkie posapywanie, tak jakby to coś, najedzone i zadowolone, odpoczywało teraz po wysiłku.

Hmm, pomyślał Tobiasz, pewnie dostanę zapłatę następnym razem. Był nieco zawiedziony, ale zdecydował się jednak wyjść. W zasadzie mógł jeszcze spróbować upolować coś dla stworzenia mieszkającego w jaskini. Ha! Przecież na polanie w głębi lasu, wśród leszczynowych zagajników, zawsze śmigały szare wiewiórki o puszystych ogonkach.

Tobiasz, dawno temu, upolował jedną z nich, ale zwymiotował po zjedzeniu gorzkawego i żylastego mięsa. Nawet głód nie był w stanie go przekonać do następnych łowów.

Najwyraźniej ich mięso nie nadawało się do jedzenia. Ale przecież tajemnicza istota pożerała surowe ryby. Z ościami i łuskami. A więc może wiewiórcze mięso będzie jej smakowało?

Tobiaszowi blisko godzinę zajął spacer do leszczynowego zagajnika. Był on miejscem zabaw i żerowiskiem całych stad wiewiórek. Zwierzątka o puszystych, sterczących kitach nie bały się ludzi. Nie zbliżały się, co prawda, do nich, ale też nie przejmowały specjalnie ich obecnością. Chłopcy z wioski, którzy zwykle nie mieli nic przeciwko nadmuchiowaniu żab, okulawianiu ptaków czy wrzucaniu piskląt do mrowisk czerwonych mrówek, zostawiali gryzonie w spokoju. Czasem, kiedy leżeli pod leszczynami, zdarzało im się rzucić w któregoś kamieniem, ale robili to bez specjalnego przekonania. Ot tak, aby zająć czymś czas i ręce. Na szczęście tego dnia w zagajniku nikogo nie było. Tylko wiewiórki jak zwykle figlowały wśród gałęzi. Tobiasz najpierw jednak poszedł nad strumyk, który rozlewał się szeroką strugą na podmokłej łące. Uważnie wybierał nieduże, szare kamyki. Najlepiej w miarę okrągłe, niezbyt ciężkie i o ostrych brzegach. Rzucił kilka razy na próbę w pień drzewa, trafiając prawie, że tam, gdzie chciał. W końcu wybrał sześć kamieni i, pieczołowicie ściskając je w dłoni, wrócił do zagajnika.

Nie spieszył się. Ostrożnie czekał, aż któreś ze zwierzątek znieruchomieje, zajęte jedzeniem albo szukaniem czegoś przy pniu, i wtedy celował. A potem tylko szybki wyrzut ramienia i mały pocisk

mknął z wielką szybkością. Tobiasowi udało się w ten sposób upolować trzy wiewiórki. Ostatnia okazała się jeszcze żywa, kiedy ją podnosił. Paciorkowate oczka błysnęły strachem i nienawiścią, ale chłopiec w ostatniej chwili zdołał uniknąć ostrych zębów i skręcił zwierzęciu kark. Był zadowolony, że zaskoczy tajemniczą istotę z jaskini, przynosząc jej pożywienie jeszcze tego samego dnia. I liczył, iż zostanie odpowiednio wynagrodzony.

– To znowu ja! – krzyknął, kiedy stał już w mroku jaskini. – Mam tylko wiewiórki, ale może będą dobre.

Rzucił trzy pozbawione życia kłębki przed siebie. Martwe, przed momentem leżące spokojnie w jego dłoniach, w niczym nie przypominały tych pełnych witalnych sił stworzeń, które śmigały niedawno wśród drzew. I znowu doszły go przerażające i obrzydliwe odgłosy chrupania, mlaskania i wysysania. Czyżby jadł je razem z futrem? – zastanowił się Tobias.

– Wracasz mi życie, mały człowieku – usłyszał. – Ale to mięso nie smakuje najlepiej.

Zresztą muszę jeść więcej, dużo więcej. Czy możesz mi przynieść sarnę albo cielaka?

– Nie. – Chłopiec przełknął ślinę. – Choć może uda mi się złapać królika. Króliki są smaczne.

Stworzenie westchnęło.

– Niech będzie i królik – odparło. – Wszystko zajmie po prostu więcej czasu.

Tobias zauważył, że tajemnicza istota nie przeciągała już słów i nie posykiwała, mówiąc.

Czyżby był to znak, że powracały jej siły, czy też po prostu wargi przyzwyczajały się do ludzkiej mowy? Bo jak długo to coś mogło mieszkać w jaskini? W tym wiecznym mroku, wilgoci i zimnie? Ciężko było tu wytrzymać latem, ale zimą jaskinia musiała stać się śmiertelną pułapką. Zwłaszcza dla kogoś, kto sam nie potrafił zapewnić sobie odpowiedniej ilości pożywienia.

– Czy chcesz więcej złota? – zapytał spokojnie głos z ciemności.

– Tak – odparł szybko Tobias. – Chcę.

– A co zrobiłeś z tym, które ci dałem?

– Ojciec mi zabrał – wyjaśnił niechętnie Tobias. – Ale nie powiedziałem mu o tobie.

Powiedziałem, że znalazłem je przy rzece, w korzeniach drzew.

– Jesteś mądrym chłopcem, Tobiasie.

– Czy mówiłem ci, jak mam na imię? – ośmielił się zapytać i lodowaty dreszcz przebiegł mu po plecach.

Przecież doskonale pamiętał, że nie wymieniał swojego imienia. Na pewno nie.

Rozmawiał ze stworzeniem tylko i wyłącznie o jedzeniu i złocie. A może po prostu szepnął

coś do siebie? Coś na kształt: „no, nie bój się, Tobiasie”. Spędzał w samotności tak dużo czasu, że przyzwyczał się prowadzić rozmowy sam ze sobą. Może istota właśnie w ten sposób poznała jego imię?

– Nie muszę cię pytać o imię, by je znać – odparła istota, jakby nieco zniecierpliwiona. –

Powiedz mi, co zrobisz ze złotem, które ci dam?

– Ucieknę do miasta – powiedział Tobias. – Znaczący, wtedy, kiedy nie będziesz mnie już potrzebował... – dodał szybko. I kiedy dostanę wystarczająco dużo złota, dopowiedział w myślach. – W mieście sprzedam złoto i... – zawahał się, bo tak naprawdę jego plany nie sięgały dużo dalej.

Myślał o zaciągnięciu się na służbę czy na statek, ale teraz zdał sobie sprawę z tego, że wcale nie musi to być łatwe. A pieniądze? Przecież był tylko chłopcem.

– Nie sprzedasz złota w mieście, Tobiasie. – Głos był zadziwiająco mocny i chłopak wyczuwał w nim coś na kształt złośliwego rozbawienia. – Albo zabierze ci je ojciec, albo obrabują cię z niego po drodze, albo zrobi to, już w mieście, kupiec. Będziesz miał szczęście, jeśli wyjdiesz z tego z życiem. Złoto służy tylko silnym, chłopcze. Słabi nie mają z niego pożytku.

Tobias usiadł podścianą. Kimkolwiek była ta istota, cuchnąca zgnilizną i karmiąca się surowymi rybami oraz gorzkim mięsem wiewiórek, niewątpliwie miała rację. Tobias mógł

sobie wyobrazić, że tak samo łatwo utraci następne kawałki złota, jak utracił pierwszy.

Stworzenie powiedziało dokładnie to, co myślał sam Tobias, tyle, że myśli potrafiło ubrać w zgrabne i przekonujące słowa.

– Więc co mam robić? – zapytał nieco bezradnie, bo nie widział już przed sobą przyszłości, a jedyna nadzieja wydawała mu się teraz tylko złudą.

– Zmęczyłem się już – odparł mieszkaniec jaskini. – Idź, Tobiasie, i przynieś mi jutro tyle mięsa, ile tylko możesz. Nie dam ci dzisiaj złota, ale tak będzie bezpieczniej dla nas obu.

Jednak możesz być pewien, że nie minie cię nagroda.

Chłopiec nie śmiał nalegać, chociaż wiedział, że tym razem ukryłby skarb w bezpiecznym miejscu. Ale stworzenie mówiło o nagrodzie i Tobias chciał mu wierzyć. Być może dowie się też, co należy robić ze złotem, aby nie utracić go tak prędko.

Ojciec nie pojawił się tego wieczora, nie wrócił również na noc. Tobias nie pytał o nic matki, która jak zwykle krzątała się po domu w milczeniu i tylko od czasu do czasu spoglądała na syna zimnym wzrokiem jaszczurki. Tobias nie mógł już doczekać się następnego dnia. Zastanawiał się, w jaki

sposób zdobyć pożywienie dla stworzenia z jaskini.

Jeśli będzie miał szczęście, to złowi znowu ryby lub uda mu się podebrać królika z sideł. A jak nie? No cóż, wtedy trzeba będzie powtórnie zapolować na wiewiórki. Nie były smaczną potrawą, ale lepsze one niż nic. Zresztą, w najgorszym razie istota umrze, a Tobias i tak znajdzie jej złoto. Jaskinia przecież nie mogła być duża i Tobias nie sądził, by znajdowały się w niej jakieś przemyślnie kryjówki. Przemknęło mu przez myśl, że mógłby po prostu nie przychodzić więcej do jaskini i czekać, aż jej mieszkaniec umrze, a potem dokładnie przeszukać legowisko. Jednak rosło w nim przeczucie mówiące, iż rozmowy z tym kimś mogą okazać się pożyteczne. Czyż stworzenie nie obiecało nauczyć Tobiasa, co robić, by nie utracić złota? By nie zostać okradzionym, a nawet zabitym? Poza tym musiało posiadać dziwną moc. Przeżyło w ciemnościach, jadło surowe mięso, mówiło mądre rzeczy i wyraźnie oraz błyskawicznie nabierało sił. Być może rozsądnie będzie zyskać takiego przyjaciela, zwłaszcza jeśli cena za tę przyjaźń miała zostać policzona tylko w rybach i królikach.

Dlatego chłopiec postanowił wstać o samym świcie i wyszedł z domu, kiedy nad polami unosiła się jeszcze siwa mgła. Matka spała przy piecu z rozwartymi ustami, a zaschnięta ślina przywarła do kącików jej warg. Tobias obszedł okolicę, szukając sideł starego Jolmasa.

Jolmas wiedział, że chłopcy ze wsi starają się podbierać jego króliki, więc często zmieniał miejsca, w których zakładał wnyki. Ale Tobias był bardzo cierpliwy i miał sporo szczęścia.

Odnalazł trzy sidła, w jednym z nich szamotał się szary królik o przerażonych oczach.

Zamarł, kiedy zobaczył człowieka, i dał się wziąć na ręce. Tobias głaskał go po nastroszonym futerku i czuł, jak rytm szaleńczo bijącego serduszka powoli się uspokaja. A potem jednym, szybkim ruchem skrzył zwierzątku kark. Był zadowolony, że udało się zabić królika, nie sprawiając mu zbytecznych cierpień. Do południa złowił jeszcze cztery nieduże okonki i z tą zdobyczą, znowu zawiniętą w lnianą chustę, poszedł do jaskini, przedzierając się przez gęsty maliniak.

Tym razem smród zgnilizny był już ledwo wyczuwalny. Unosił się gdzieś pośród zielonych listków, ale niknął, przytłoczony zapachem paproci, przeganiany przez lekkie podmuchy ciepłego wiatru. Tobias, jak zwykle, wpłynął do jaskini, tym razem już zupełnie bez strachu. Jakby wracał do znajomego i przyjaznego miejsca. Odczuwał zarówno zaciekawienie, jak i podniecenie następnym spotkaniem z tajemniczą istotą. W jaskini odór padliny był znacznie silniejszy niż na zewnątrz, ale nie był to już ten odurzający i paraliżujący smród, co dwa dni temu.

– Przyniosłem jedzenie – zawołał.

– Dziękuję, Tobiasie. – Tym razem stworzenie odezwało się natychmiast. – Rzuć mi je.

Chłopiec posłusznie rzucił zawiniątko i znowu dobiegły go odgłosy łapczywego jedzenia.

Słyszał, jak czyjeś zęby lub pazury rozdierają mięso, jak trzaskają kości miażdżone w potężnym uścisku. Już z samych tych dźwięków mógł się zorientować, że istota wraca do sił

coraz szybciej. Czy jednak powinien się w takim razie bać? Czy to coś mogło wyrządzić mu krzywdę?

– Dziękuję – powiedziało stworzenie po długiej chwili. – To było dobre, mój chłopcze.

Nagle ciemność jaskini zaczęła się powolutku rozjaśniać. Z początku było to wręcz niezauważalne, lecz w pewnym momencie Tobias dostrzegł własną dłoń, później zarys ścian jaskini, a potem wreszcie jakiś kształt na przeciwległym jej krańcu. Rozglądał się za źródłem światła, ale nie mógł go dostrzec. Po prostu nocny mrok ustąpił miejsca szarówce, bez żadnego wyraźnego powodu.

– Zbliź się.

W głosie było tyle stanowczości, że nieśmiało się oprzeć żądaniu. Wolno, noga za nogą, podszedł w stronę tajemniczego stworzenia. I ze zdumieniem dostrzegł, iż jest to człowiek.

Siedział oparty o ścianę jaskini, a jego twarz ginęła pod ciemnym, zetłałym kapturem. Ubrany był w podartą i rozlatującą się ze starości szatę, skrywającą jego ciało aż po stopy. Tobias widział dokładnie tylko dłonie mieszkańca jaskini, które przypominały kości obleczone na wpół przezroczystą, żółtą skórą. Od palców odchodziły długie, połamane paznokcie brunatnego koloru. Być może była to zakrzepła krew królika.

– Czy chciałbyś widzieć w ciemnościach, Tobiasie? – zapytał nieznajomy.

– Widzieć w ciemnościach... – nie zrozumiał Tobias. – Ludzie nie potrafią widzieć w ciemnościach.

– Niektórzy potrafią, niektórzy nie – stwierdziła istota. – Jeśli chcesz się nauczyć tej sztuki, to musisz powtarzać za mną.

Chłopiec usłyszał słowa, wypowiedane w jakimś przedziwnym, syczącym języku, i wydawało mu się, że nigdy nie będzie w stanie odtworzyć nawet fragmentu długiego zdania.

Ale nieznajomy był dobrym i cierpliwym nauczycielem. Błędy i niezręczności Tobiasa nie denerwowały go. Spokojnie powtarzał każde słowo, poprawiając najmniejsze przeinaczenie.

Tobias w pewnym momencie pomylił całą sekwencję i, przerażony, odruchowo zasłonił twarz ręką. Poczł dotyk na dłoni.

– Tobiasie – szepnął człowiek. – Lęk nie jest dobrym nauczycielem. Nie obawiaj się mnie.

Jestem tu, by odwdzięczyć się za twą przyjaźń. Będziemy próbowali aż do skutku. Jesteś bardzo zdolny, mój chłopcze, trzeba tylko, byś w to uwierzył...

Chłopiec szybko otarł rękawem oczy.

– Spróbuję.

– Nigdzie nam się nie spieszy – powiedziała istota. – A zważ również, że jeśli mistrz nie potrafi swej

wiedzy przekazać chętnemu uczniowi, to wina nader często leży właśnie po jego stronie.

– Taaak? – zapytał Tobias. – Wybacz, ale ja jestem tępy i nawet...

– Ciiii – zaszeptał nieznajomy. – Odrzuć złe myśli, dziecko. Pozwól, by tylko słowa mocy pozostały w tobie. Zapomnij o całym świecie...

Wreszcie, a chłopcu wydało się, że musiało to trwać całymi godzinami, istota wzięła głęboki wdech.

– Oooo taaak – rzekła. – Właśnie tak. Powtarzaj często te słowa, póki wypowiedzenie ich nie będzie dla ciebie czymś tak naturalnym jak oddech. Ale kiedy zechcesz, by zaklęcie zadziało, musisz nie tylko powtórzyć wszystkie słowa. Kiedy skończysz, wraz z ostatnim oddechem i ostatnią głoską zabij coś, co żyje. Pająka, mrówkę, muchę, obojętne. Tylko siła uchodzącego życia spowoduje, iż czar zadziała.

– A więc to czary – szepnął Tobias z nabożnym podziwem.

– Tak, to czary – potwierdził nieznajomy i Tobias usłyszał w jego głosie nutę rozbawienia. – I mogę nauczyć cię jeszcze wielu, które będą cenniejsze niż złoto całego świata. Uczysz się szybko, Tobiasie. – Milczał przez chwilę. – Nawet bardzo szybko. To dobrze. Wypróbuj dziś w nocy zaklęcie, a jutro powiesz mi, jak ci się powiodło. Teraz idź.

Muszę odpocząć.

Tobias wyszedł z jaskini z jeszcze większym podnieceniem, niż kiedy do niej wchodził.

Kim był tajemniczy człowiek? Czyżby naprawdę czarodziejem? A może tylko kpił z niego, gdyż nie chciał dać więcej złota? Albo też, co gorsza, nie miał więcej złota? Tobias wiedział, iż gdy tylko nadejdzie noc, wypróbuje zaklęcie, którego się nauczył. Zresztą nie musiał długo czekać. Siedząc w jaskini, nie zorientował się, jak szybko upłynął czas. Kiedy wracał do domu, słońce już zachodziło i kładło czerwony poblask na drzewach i trawie. Matka przywitała go złościami, ale ojca nadal nie było. Jeśli rzeczywiście poszedł do miasta, to Tobias mógł być spokojny, iż nie pojawi się co najmniej przez następne dwa dni.

Położył się na derce pod ścianą, a w spoczonej dłoni trzymał dużą stonogę, którą wyciągnął spod zbutwiałego pnia. Uważał, by nie zacisnąć palców zbyt mocno, i cały czas czuł delikatne drapanie wewnątrz dłoni. Gdy usłyszał już chrapliwy oddech śpiącej matki, uniósł się na łokciu i zaczął wypowiadać zaklęcie. A potem, tak jak przykazał nieznajomy, w chwili wypowiedzenia ostatniego słowa zgniótł stonogę. Poczuł, że dłoń robi się mokra i lepka, ale nie miał czasu, by się nad tym zastanawiać gdyż w tej samej chwili ciemność spowijająca izbę ustąpiła. Tobias widział już wszystko tak dokładnie, jak w jasny dzień. Spalony kociołek na palenisku, rozdeptane buty matki rzucone przed posłaniem, kosę opartą o ścianę izby, brudny i podarty pled ciśnięty na zydel przy stole.

Serce łomotało mu jak oszalałe. A więc zaklęcie działało! Nauczył się czarować! Nauczył

się tego, o czym słyszał tylko w bajaniach starców, opowiadających długie historie o czarownikach,

wróżkach i rycerzach. Znał tylko to jedno zaklęcie, ale skoro człowiek z jaskini mógł go nauczyć tak szybko jednego czaru, to być może nauczy go równie prędko następnych! Co jeszcze może się wydarzyć? Tobias długo w noc nie mógł zasnąć, myśląc, że najchętniej znalazłby się z powrotem w jaskini i powtarzał za zakapturzonym człowiekiem dziwne słowa w syczącym, szeleszczącym języku.

Moc zaklęcia w pewnym momencie zaczęła słabnąć. Wyglądało to tak, jakby jasny dzień powoli zastępowany był szarością wieczoru, a wreszcie głębokim mrokiem nocy. I Tobias zasnął jak kamień, otulony tym mrokiem, pełen radosnych myśli. Wreszcie, po raz pierwszy w życiu, uśmiechnęło się do niego szczęście!

Matka, o dziwo, nie obudziła go rano, a on nie słyszał jej porannej krzątaniny. Kiedy wychodził z izby, siedziała na progu z martwymi dłońmi na kolanach i wpatrywała się w bezruchu gdzieś przed siebie. Nie zaszczyliła go ani spojrzeniem, ani przekleństwem, więc szybko poszedł w stronę lasu. Był głodny jak wilk. Nie jadł nic przez cały poprzedni dzień i czuł, że kiszki grają mu marsza. Znowu spędził do południa czas nad wodą, ale tym razem usmażył sobie nad ogniskiem sporego karasia, dla nieznanego z jaskini zachowując tłustego lina i dwa małe okonie. Ryby brały wspaniale. I chociaż Tobias znał po prostu miejsca, gdzie należy ich szukać, to jednak był zdumiony tym, że zadanie idzie mu jak z płatka. Swoją drogą, zdawał sobie sprawę, że gdyby nie rybackie zdolności, miałby kłopoty z przeżyciem na wodnistych zupach matki i garści przypalonej kaszy. Do jaskini szedł jak na skrzydłach, upojony tym, że znowu może nauczyć się czegoś nowego i wspaniałego. Złapał

się na tym, że przez cały ranek spędzony nad wodą powtarzał szeleszczące słowa zaklęcia i teraz był pewien, że potrafiłby je bez błędu wypowiedzieć, nawet gdyby zerwano go ze snu.

– Czy zaklęcie podziałało, Tobiasie? – spytał nieznamy, kiedy ustały już odgłosy pożerania i mlaskania.

– Tak, panie. – Tobias sam nie wiedział, czemu dodał „panie” do swojej wypowiedzi.

Wydawało mu się to zarówno naturalne, jak i właściwe.

– A więc czas, abym nauczył cię czegoś, co przyda się nam obu – odparł człowiek w kapturze. – Ale najpierw odpowiedz mi na kilka pytań. Po pierwsze: który mamy rok, Tobiasie?

Chłopiec zastanawiał się przez długą chwilę.

– W Ostorigoth włada król Bramn – odparł niepewnie. – I mówią, że to, zdaje mi się, trzydziesty piąty rok jego rządów. A może dwudziesty piąty – dodał ciszej.

– Ostorigoth? – Nieznajomy westchnął. – A cóż to jest Ostorigoth?

– Jakże? – zdumiał się Tobias. – Stolica marchii, panie.

– Marchii – powtórzył mężczyzna, jakby to było jakieś obce słowo. – No cóż, nieważne.

Dzisiaj nauczę cię, Tobiasie, jak przywoływać małe, dzikie zwierzęta. Jak sprawić, by zające czy króliki przybiegały pod twoje nogi, a ryby ufnie wpływały do twych dłoni. Dzięki temu obaj nie

będziemy już głodni. A ja muszę dużo jeść, chłopcze – dodał. – Bardzo, bardzo dużo.

– Panie? – ośmielił się zagadnąć Tobias.

– Tak?

– Czy powiesz mi, kim jesteś?

– Tak, chłopcze, powiem ci, kim jestem. – Zakapturzona postać pokiwała głową. – Ale jeszcze nie teraz. Gdyż teraz niewiele byś zrozumiał z moich wyjaśnień.

Zdanie, które czarodziej kazał powtarzać Tobiasowi, było dużo trudniejsze niż to z poprzedniego dnia. Słów było więcej, niektóre bardzo długie, a inne wymagały szybkiego wypowiedzenia na wdechu, co sprawiało chłopcu szczególne kłopoty. Ale nieznajomy był

równie cierpliwy jak wcześniej. Spokojnie i do znudzenia powtarzał poszczególne wyrazy, uczył Tobiasa, jak układać język i usta, jak zaczerpywać tchu, jak wypuszczać powietrze przez zęby i jak akcentować zgłoski. Wreszcie skinął głową z zadowoleniem.

– Pamiętaj, chłopcze, że to proste zaklęcie. Nie zwabisz nim dużego zwierzęcia, a nawet małe zwierzę nie przyjdzie do ciebie, kiedy będzie przerażone, zajęte godami lub miejsce, do którego je wabisz, wyda się niebezpieczne. Aby czar zadziałał, zwierzę musi być niezbyt daleko od ciebie i cały czas musisz je widzieć. No i pamiętaj, by zabić coś żyjącego, kiedy wypowiadasz ostatnie słowo. Co zabiłeś wczoraj?

– Stonogę – odparł Tobias.

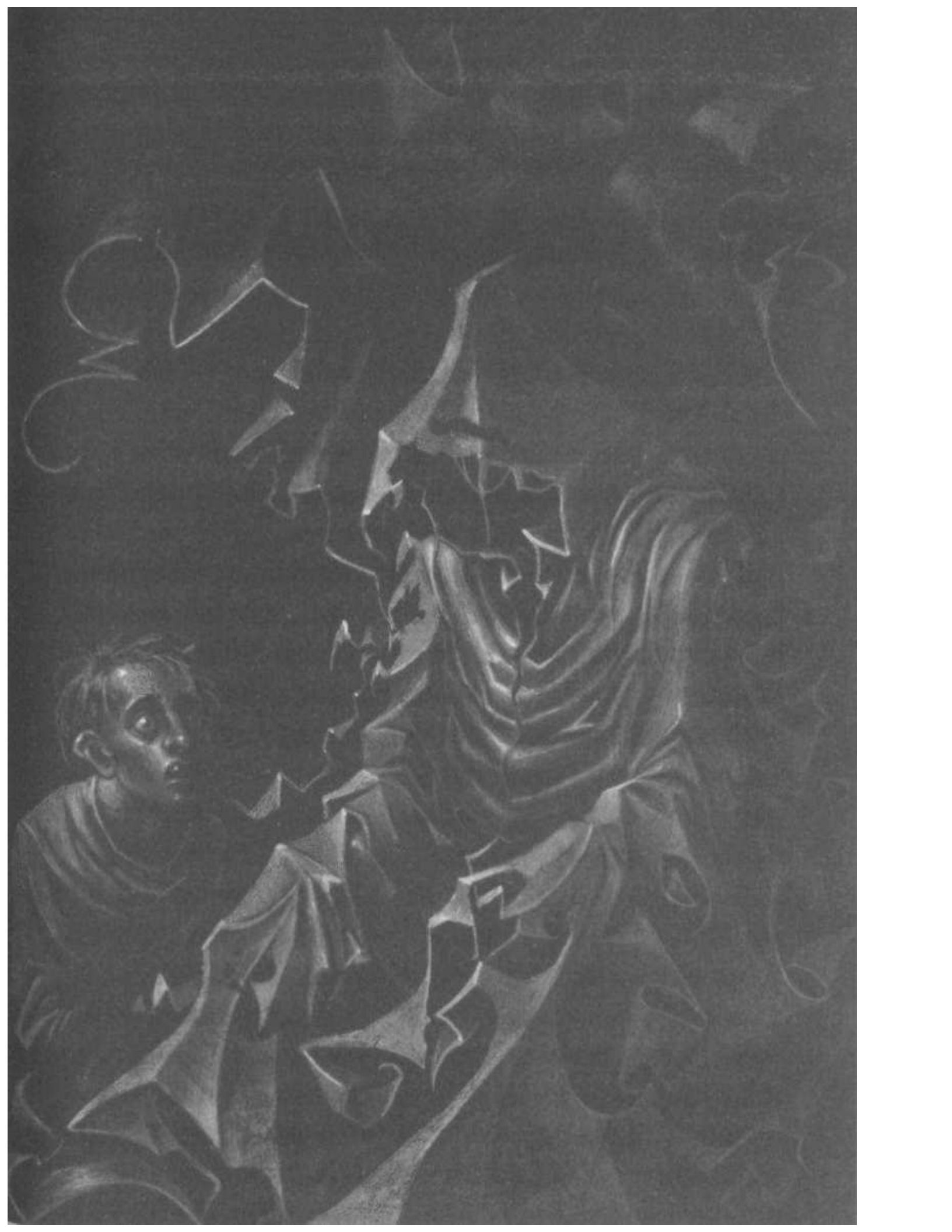
– I zapewne czar nie trwał zbyt długo – powiedziała postać, kiwając głową. – Im więcej sił w stworzeniu, które zabijesz, tym dłużej działać będzie zaklęcie. Pamiętaj o tym, chłopcze.

Ale uważaj też, by nikt nie dowiedział się o twych umiejętnościach. Bądź ostrożny, Tobiasie, jeśli chcesz żyć.

Tobias po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, że jego nowe umiejętności mogłyby naprawdę obudzić gniew i strach ludzi. Czy nie mówiło się o dawnych czasach, kiedy czarowników i czarownice palono na stosach, przeganiano jak dzikie zwierzęta i polowano na nich? Ale ci czarownicy z baśni zawsze wyrządzali zło. A Tobias przecież nie robił nic złego.

Cóż strasznego w tym, że nauczy się widzieć w ciemnościach lub przywabiać zwierzęta?

Wiedział jednak, że musi ufać słowom nauczyciela. Słyszał, że gdzieś w odległej stolicy żyli potężni magowie. Mieszkali w białych wieżach, nosili błękitne szaty z wyhaftowanymi złotymi gwiazdami i potrafili przez długie lata zachowywać ten sam wygląd: krzepkich starców o jasnych oczach. Jolmas i ojciec Mariki, kiedy byli w dobrych humorach, opowiadali historie o czarodziejach i smokach. Mówili, jak to przed wiekami dobrzy magowie zza morza przegнали potężnych czarnoksiężników. Wypędzili ich z fortec, zbudowanych z czarnego, błyszczącego kamienia. Tych, którzy przeżyli bitwę, topiono i palono, tych, którzy uciekli, ścigano po krańce świata.



Tobias wierzył w stare baśnie i opowieści i wiedział, że wierzą w nie też inni. Doskonale zdawał sobie sprawę, że mogliby go zabić tylko za to, że umie coś, czego oni nie potrafią.

Mimo, że nie była to przecież żadna czarnoksięska sztuka, gdyż magowie z legend umieli sprowadzać rujnąjące pola burze, wzywać na pomoc dzikie zwierzęta i przemieniać się w wilki o pałającym spojrzeniu oraz ostrych jak brzytwy kłach.

Kiedy wychodził z jaskini, było już ciemno. Złapał w dłoń przelatującą ćmę i wypowiedział zaklęcie, czując w dłoniach gmeranie kosmatych nówek i tarcie skrzydełek.

Gdy dopowiadał ostatnie słowo, zacisnął dłoń w pięść. I zrobiło się jasno jak w dzień.

Widział każdy listek na krzaku i każdą brązową malinę. Starł z dłoni resztki ćmy. Jakież to było cudowne! Widzieć w nocy! To nie to co blask kaganka lub pochodni, których chwiejny płomień niewyraźnie oświetlał tylko najbliższą okolicę. Tobias mógł w mroku nocy truchtem biec do domu i widział każdą gałązkę, każdy wykrot, każdy pień zagrażający drogę.

Zobaczył sowę przelatującą bezgłośnie wśród gałęzi, małą nornicę, która, przerażona obecnością drapieżnika, przywarła do pnia, widział ćmy tańczące pośród liści, a nawet ogromnego pająka, który zastygł pośrodku promieniście rozchodzącej się sieci.

Kiedy wszedł do izby, matka już spała, więc położył się cicho na derce. Wiedział, że zaraz z rana wypróbuje nowo poznane zaklęcie. Był na tyle mądrym chłopcem, że już w tej chwili orientował się, jak wiele może mu dać umiejętność widzenia w ciemnościach oraz radzenia sobie tam, gdzie inni ludzie są bezbronni i bezradni.

Jednak użycie czaru przywabiania zwierząt okazało się trudniejsze, niż Tobias myślał.

Najpierw pomylił się przy wypowiedaniu ostatnich słów, potem jakiś pyłek wfrunął mu do nosa i chłopiec kichnął w trakcie inkantacji. Potem z kolei królik, którego obserwował po drugiej stronie polany, zniknął za jakimś krzaczkiem. Tobias przeniósł się więc nad rzekę.

Wypatrzył w zatoczce spokojnie pływającego przy dnie dużego miętusa i zaczął recytować zaklęcie. W odpowiedniej chwili zgniótł w palcach pająka i z zachwytem zauważył, jak ryba płynie wprost w jego ręce. Delikatnie objął ją dłońmi, a ona nawet nie drgnęła. Zwierzęcy instynkt, wywołujący chęć ucieczki przed człowiekiem, został skutecznie zagłuszony. Tobias jednym, zręcznym ruchem poderwał rybę i wyrzucił ją na brzeg, a potem, trzepoczącą się, zabił kamieniem. W ten sam sposób złowił jeszcze lina. Potem na łące udało się chłopcu zwabić dużego polnego szczura i złamać mu kark, zanim zwierzę zdążyło zdać sobie sprawę z własnej nieostrożności. Wreszcie złapał czwartą zdobycz, z której był najbardziej dumny.

Tłusta kuropatwa weszła mu prosto w dłonie. Przedreptała kilkadziesiąt metrów i ufnie zamarła tuż przy stopach Tobiasa. Co prawda niewiele brakowało, by umknęła, ale chłopakowi udało się kopnięciem złamać jej skrzydło, a potem już rzucił się za uciekającym ptakiem i skręcił mu szyję. Tobias niósł ciężką zdobycz i chciało mu się tańczyć oraz śpiewać z radości. Wiedział, że nie będzie już nigdy głodny. Moc przywabiania dzikich zwierząt dawała pewność codziennego, sutego posiłku.

A przecież to był dopiero początek! Dwa pierwsze zaklęcia! Czy tajemnicza postać знаła ich dużo więcej? I jakie były to zaklęcia?

Nieznajomy w jaskini był bardzo zadowolony, lecz tego dnia nie chciał nauczyć Tobiasa niczego nowego.

– Nie spiesz się tak, chłopcze – odparł, przerywając nieśmiałe błagania, ale w jego głosie nie było złości, lecz rozbawienie. – Powtarzaj to, czego już się nauczyłeś. Powtarzaj ciągle i do znudzenia. Być może jutro spróbujemy znowu.

Zawiedziony Tobias pokiwał tylko głową, ale musiał pogodzić się z decyzją nauczyciela.

Zauważył, że jego wystające spod płaszcza dłonie nie przypominały już obleczonych skórą kości. Węzłaste i długie palce zdawały się teraz grube i silne. Cała postać jakby urosła w oczach. Zakapturzony człowiek wydawał się potężniejszy. Płaszcz nie zwisał już smętnie na wychudzonym tułowiu. Teraz wydawał się być rozrywany w szwach przez ukryte w nim silne ciało. Czarownik jakby odgadł myśli Tobiasa.

– Tak, mój chłopcze – rzekł. – Nabieram sił, to prawda. Ale będę jeszcze potrzebował

twojej pomocy. Przynajmniej przez pewien czas. Chcę, byś wiedział jedno. Kiedy zdecyduję się odejść, będziesz mógł pójść ze mną i uczyć się dalej. Lecz jeśli zechcesz zostać, dam ci tyle złota, abyś mógł żyć bez trwogi o następny dzień. I mam nadzieję, że dobrze je wykorzystasz.

Zapewne dostrzegłeś już, że nawet te dwa małe zaklęcia pozwolą ci robić rzeczy, o jakich inni ludzie mogą tylko marzyć.

– Będę chciał ci towarzyszyć, panie – odparł cicho Tobias, bo dawno już wiedział, że o taką łaskę byłby zdolny błagać na kolanach.

Mieszkaniec jaskini milczał chwilę.

– Skoro takiego dokonasz wyboru – powiedział – to tak właśnie się stanie. Muszę jednak cię ostrzec, że być może nie wybierasz najłatwiejszej drogi.

Ale Tobias nie zamierzał słuchać ostrzeżeń. Sam wiedział już, ile pracy wymagało nauczenie się dwóch zaklęć, i domyślał się, że później może być tylko dużo, dużo trudniej, że w pocie czoła będzie musiał nagiąć usta i język, do znudzenia, setki razy powtarzać te same słowa, te same zdania. Być może nawet całymi dniami. Ale za to jakąż cudowną nagrodą była możliwość wypowiedzenia zaklęcia. Ujrzenia nocnego światła, jakby był opromieniony blaskiem słońca, zmuszenia dzikich zwierząt, aby ufnie oddawały się w jego ręce. Wiedział, że dla przeżycia takich niezwykłych chwil jest gotów na każdy trud i wyrzeczenie.

Tego wieczora do domu powrócił ojciec. Kiwał się, jadąc wierzchem na ośle. Był pijany, w zabłoconej, lecz nowej odzieży. Przed matką rozsypał garść miedziaków, zabłysnęły wśród nich dwie srebrne monety. Tyle zostało mu po sprzedaży złotego walca, który zabrał

Tobiasowi. Chłopiec zauważył jeszcze nową siekierę, a w jukach solidny antałek z gorzałką i wielką bryłę otłuszczonej po brzegach szynki. Ojciec zaraz po powrocie zwałił się na siennik i zasnął ciężkim snem, pochrapując i pogwizdując.

Tobias długo spod przymrużonych powiek przypatrywał się tej czerwonej, napuchłej twarzy, szarej, rozwichrzonej, pozlepianej brudem brodzie, spękany ustom i czarnym trzpieniom przegniłych zębów. Wiedział, że nienawidzi ojca z całego serca i całej duszy, i wiedział też, że ta nienawiść jest grzechem. Ale czy ojciec kiedykolwiek wziął go na kolana lub żartobliwie podrzucił pod sufit? Czy kiedykolwiek niedbałym, lecz czułym ruchem zwichrzył mu włosy? Czy zdarzyło się, aby poszedł z nim na ryby lub wędrował po lesie, przyglądając się zachodowi słońca lub buszującym w krzakach zwierzętom? Tobias zasypiał, nienawidząc ojca i pełen smutku, że ta nienawiść płonie w nim aż tak silnym ogniem. Miał

nadzieję, że jak najszybciej odejdzie z wioski. Zapomni o wszystkim złym. Wspomnienia zbledną i rozwieją się, aż nadejdzie taki dzień, że o ojcu będzie mógł pomyśleć zupełnie obojętnie, a nienawiść wygaśnie.

Kiedy Tobias obudził się, mężczyzna jeszcze spał. Chłopiec znowu przez chwilę wpatrywał się w niego marząc o dniu, w którym zobaczy ojca po raz ostatni. Odejdzie na zawsze od niego, od matki i od wioski. Od bicia, ucieczek z domu i głodowania. Od mrozu w zimie i łapczywego przeżuwania zmarzniętej, ledwo przypieczonej rzepy. Odejdzie do lepszego świata z kimś, kto chciał go uczyć cudownych rzeczy. Z kimś, kto nigdy się nie złościł i kto z tak niezwykłą cierpliwością poprawiał wszystkie jego błędy.

Rano miał ochotę najszybciej jak tylko można znaleźć się w jaskini. I kiedy zastanawiał

się, czy uda mu się sprawnie złowić ryby, pochwycić królika lub ptaka, jego wzrok padł na potężną szynkę przywiezioną przez ojca. Niewiele myśląc, porwał ją ze stołu i zawinał w chustę. Miał nadzieję, że pieczone mięso będzie smakowało mistrzowi równie dobrze jak surowe. Zmarnował jeszcze chwilę w lesie. Rozsiadł się pod drzewem i wdychał szeroko rozwartymi nozdrzami cudowny zapach dobrze przyrządzonego mięsa. Ukroił sobie kilka soczystych, smakowitych plastrów i jadł je, delektując się, przeżuwając i smakując. Z trudem zmusił się, by wstać i zawinąć resztę mięsa. Może nie był nawet głodny, tylko po prostu łakomy, ale zdawał sobie sprawę, że jedzenie jest potrzebne przede wszystkim magowi z jaskini. Im szybciej jego nauczyciel dojdzie do pełni sił, tym szybciej obaj będą mogli opuścić to miejsce. Opuścić na zawsze. Myśląc o tym, jak piękna będzie przyszłość, wszedł w malinowe chaszczki. I nagle poczuł, że na jego ramieniu zaciskają się niczym kleszcze silne palce.

– Jesteś, mały złodzieju. – Głos ojca pełen był satysfakcji, ale jednocześnie z trudem powstrzymanej wściekłości. – Gdzie niesiesz szynkę swojego tatuńcia?

Po ciosie w ucho Tobias przewrócił się na ziemię i próbował odpełznąć na bok, ale lekkie kopnięcie ojcowego buta zatrzymało go w miejscu.

– Nie tak szybko, mała świnió. – Usłyszał. – Nie skończyliśmy jeszcze naszej pogawędki.

No więc? – Ojciec pochylił się, chwycił go za koszulę i poderwał na nogi. – Dokąd to idziesz z tą wielką szyneczką? Przecież nie zjesz całej naraz?

Nagle w ciemnych, zmętniałych oczach ojca błysnęło zrozumienie.

– Masz jakąś kryjówkę, tak? – zapytał wręcz pieszczotliwym tonem. – Śliczną, małą kryjówkę, której nie zna twój tatuńcio? I zaprowadzisz go tam, prawda? I może się okaże, że jest tam troszkę więcej takich ślicznych, złotych, błyszczących przedmiotów? Prawda?

Następne uderzenie rozbiło Tobiasowi nos. Poczuł, jak chrząstka chrupnęła pod twardymi knykciami ojca. Fale bólu i krwi spłynęły jednocześnie. Potem pięść ojca wylądowała na nerkach Tobiasa. Stracił na długą chwilę dech i przerażony pomyślał, że być może nigdy już nie będzie mógł złapać powietrza. Gdy tak stał, zachłystując się, płacząc i nie mogąc wydać krzyku, ojciec trzymał go za kark i wpatrywał się w jego wybałuszone oczy mrocznym, zaciekawionym wzrokiem kogoś, kto obserwuje wyjątkowo paskudnego insekta.

– Więc zaprowadzisz tatuńcia do swojej kryjówki, prawda? – Usłyszał Tobias i sam nie wiedział, kiedy znowu odzyskał dech, tylko po to, by móc wychlipać: „tak!, tak!, tak!”.

Szli przez malinowe chaszczce. Tobias pierwszy, czując na ramieniu ciężką dłoń ojca. Nie miał żadnej szansy, by się wyrwać z tego uścisku, i wiedział, że jeśli tylko spróbuje, to ojciec z satysfakcją zatłucze go na śmierć właśnie tutaj, wśród najeżonych kolcami krzewów. W

pewnej chwili mężczyzna pociągnął nosem.

– Co tu gnije? – mruknął. – Ale znalazłeś sobie miejsce...

W tym samym momencie zobaczył rozpadlinę i gwizdnął cicho.

– A więc jesteśmy w domciu. – Pchnął Tobiasa. – Właż tam, hultaju, i pokaż wszystko tatuńciowi.

Chłopiec na kolanach wszedł do środka, a ojciec, posapując i złorzecząc, wpęzł za nim.

W jaskini było jak zwykle ciemno i duszno. Z wilgotnych ścian, kap, kap, spadały na podłogę ciężkie krople.

– Gdzie złoto? – warknął ojciec.

I wtedy jaskinia rozbłysnęła światłem. Zrobiło się jasno jak w dzień. Przy ścianie stał

zakapturzony człowiek w zetlałym płaszczu. Był niemal o głowę wyższy od ojca Tobiasa. Na palcach miał pierścienie z krwiście połyskującymi oczkami rubinów. Ale najstraszniejsze było to, że nie tylko rubinowe pierścienie połyskiwały w tym świetle. Cała postać maga otoczona była delikatną, czerwoną poświatą, która zdawała się znajdować swe źródło i emanować spod jego zamkniętych powiek.

– Kto to jest, Tobiasie? – zagrzmał.

Ojciec jeszcze klęczał i mrugał porażonymi światłem oczami. Z niedowierzaniem wpatrywał się w stojącą naprzeciw niego złowrogą postać. I wtedy Tobias poczuł, że nadeszła chwila, o której zawsze marzył. Czas zemsty, czas spełnienia, czas wolności. Ojciec sam wybrał swój los. Tobias chciał odejść i zapomnieć o nim, zostawić go samego z jego nienawiścią, złorzeczeniami, pijaństwem i kłopotami. Chciał tylko i wyłącznie wolności, ale teraz los dawał mu w ręce więcej niż tylko wolność.

– To? – zapytał, patrząc na klęczącego mężczyznę, który teraz wcale już nie wydawał się wielki i groźny. – To tylko świeże mięso, panie.

A kiedy zakapturzony człowiek ruszył w stronę ojca, Tobias wyszedł z jaskini. Usiadł na progu i zaczął recytować poznane zaklęcia, aby mieć się czym pochwalić przed nauczycielem, gdy ten skończy już obfity posiłek. Wiedział, że niedługo będą mogli wyruszyć w podróż, w której każdy nadchodzący dzień będzie piękniejszy od poprzedniego.



Rozdział 3

Księżniczka i wiedźma

ło bardzo zimno. Wiatr jęczał i wył, przeciskając się przez szczeliny w okiennicach. Zawodził smutno, wirował i wpychał do łoża lodowato zimne igiełki. Ainee podciągnęła kolana wysoko pod brodę i otuliła stopy dłońmi, starając się je ogrzać. Poczula się tak, jakby włożyła w nie dwie bryły lodu. Skuliła się w kłębek, przykryła kołdrą, próbując zagrzać łóżko własnym, ciepłym oddechem. Wiedziała, że polana na kominku dawno wygasła, ale nikt nie przyszedł, by rozniecić ogień. Nikt nie przyszedł z gorącym śniadaniem, nikt nie pomyślał, aby zapytać, czy Ainee nie potrzebuje wełnianych narzut lub puchowych kołder. Cały zamek oszalał w nerwowym oczekiwaniu na tę, która niedługo miała stać się jego panią i gospodynią. Nikt więc nie zamierzał zajmować się małą księżniczką, mającą nieszczęście urodzić się w wiecznym mroku.

Oczy Ainee były błękitne jak północne morza (tak przynajmniej twierdziła jej niania), ale widziały tylko ciemność. Czasami tę ciemność rozjaśniały wirujące światła, zygzaki olśniewających błyskawic i burze kolorów, ale nie miały one nic wspólnego z tym, co działo się na świecie. Księżniczka nigdy nie widziała ani zamku, ani ojca, ani nikogo ze sług. Nie mogła podziwiać blasku

słońca, wysrebrzonego gwiazdami nieba, nie oglądała posępnych, szarzielonych lasów swego państwa ani strzelistych skalnych turni, które wbijały się prosto w prawie zawsze zachmurzone, granatowe niebo. Ludzi poznawała po brzmieniu głosu, po zapachu, a nawet po krokach. Umiała odgadnąć, kiedy zbliżał się ojciec. Miał zdecydowany chód i twardo stawiał stopy. Roztaczał wokół siebie zapach psiarni i zgonionych koni. Jego głos huczał niczym grzmot, a Ainee zawsze miała wrażenie, że ten dźwięk otacza ją ze wszystkich stron. Przy ojcu czuła się mała, nic nie znacząca i zagubiona. Nigdy jej nie skrzywdził, ale wiedziała też, iż nie potrafi zapomnieć, że jego ukochana żona umarła w trakcie porodu. Gdybyż jeszcze umarła, rodząc syna, który mógłby przejąć dziedzictwo, polować, prowadzić wojny i dyplomatyczne rozmowy. Syna, którego można uczyć fechtunku i konnej jazdy, wprowadzić w tajniki polowań, wielkiej polityki oraz amorów. Ale matka Ainee umarła, rodząc niewidomą córeczkę. Jej śmierć poszła na marne, bo komuż może przydać się ślepa księżniczka?

Ojciec nie traktował jej ani lepiej, ani gorzej niż swoje ulubione psy. Zapewnił opiekę i dobre jedzenie. Czasami pogłaskał szorstką dłońią, a w wyjątkowych chwilach przytulał na moment do piersi, tak, że księżniczka mogła czuć niepokojący zapach bujnej brody. Jediną przyjaciółką Ainee była stara niania, która poświęcała dziecku czas od chwili narodzin.

Opowiadała jej baśnie i historie z dawnych lat, uczyła ładnie się wysławiać i poruszać w wiecznych ciemnościach zamku, gdzie każdy sprzęt i każdy stopień licznych, stromych schodów był wrogiem niewidomej księżniczki. Dziewczynka rozpoznawała z odległości jej chód, mimo, że przez lata bardzo się on zmienił. Kiedyś był szybki i zdecydowany, teraz wolniejszy, a niania powłóczyła z trudem jedną nogą i stawiała stopy tak ostrożnie, jak gdyby poruszała się nie po zamkowych posadzkach, lecz po śliskiej powierzchni skutego lodem jeziora. I teraz Ainee dobiegły jej kroki w korytarzu. Ale nie miała odwagi, by wyskoczyć z łóżka i postawić bosc stopy na lodowatej podłodze. Skuliła się jeszcze bardziej i tylko wystawiła głowę ponad kołdrę. Skrzypnęły otwierane drzwi i opiekunka weszła do komnaty.

– Moje biedne dziecko – krzyknęła od progu. – Mój Boże, jak tu zimno!

Pocałowała dziewczynkę w czoło, a ta poczuła dotyk jej ciepłych i miękkich ust.

– Zaraz się tym zajmimy, kochanie. – Pogłaskała włosy Ainee, o których kiedyś powiedziała, że są miękkie i delikatne jak czysty jedwab.

Księżniczka usłyszała gniewne nawoływanie niani z korytarza i zaraz potem szybkie kroki jednego ze służących.

– Natychmiast przynieś drwa i rozpal ogień. – Ainee po raz kolejny zdumiała się, jak bardzo potrafi zmienić się głos opiekunki.

Teraz wypowiedane słowa nie były już ciepłe, miłe i łagodne. Ainee czuła w nich wręcz bolesną, wibrującą moc. Były zdecydowane, szorstkie i rozkazujące. Polecenia, których nie sposób nie wypełnić. Księżniczka wiedziała, że gdyby to jej je wydano, wyszłaby z łóżka i wbrew sobie, marznąc, wykonała wszystkie rozkazy. Zaraz też usłyszała, jak służący przeprosza cichym, pokornym tonem, a potem rozbrzmiał na korytarzu tylko tupot jego stóp.

Niania usiadła obok i wzięła ją w ramiona.

– Zaraz tu będzie ciepłutko, moja mała perełko. – Jej głos znowu był miękki i łagodny. –

A jak tylko w pokoju się nagrzej, to ubierzemy cię i zjemy razem śniadanie. Zgłodniałaś, kwiatuszku?

Ainee pokiwała gorliwie głową, szczęśliwa, że znajduje się już w tych ciepłych, silnych objęciach. Nawet wiatr zdawał się cichnąć, od czasu kiedy kobieta weszła do komnaty. Teraz nie był już potępieńczo i złowrogo między szparami w oknach, lecz tylko coś podśpiewywał i wygwizdywał cudaczne melodie.

– Tak, tak. – Niania wzięła w dłonie stopy Ainee i rozgrzewała je mocnymi ruchami.

Księżniczka czuła, jak w lodowatym ciele zaczyna żywiej, wręcz boleśnie, ale też i przyjemnie, pulsować krew. – Do zamku przyjeżdża wielka pani i wszyscy już zapomnieli o mojej gwiazdeczce. Nawet mnie nie obudzili na czas i dlatego musiałaś tu siedzieć sama, kochanie.

– Jaka ona jest? – pisnęła Ainee.

– Żona twojego ojca? – Ton piastunki stracił miękkość. – To wielka pani, mój skarbie.

Wielka, bogata pani, która przyjeżdża ze świtą, karocami i ogromnymi skarbami.

– Dlaczego? – zapytała księżniczka. – Sama mówiłaś przecież, że żyjemy na końcu świata. Czemu taka dama pragnie tu mieszkać?

– Widzisz, perełko. – Niania zastanawiała się przez chwilę. – Mówiłam ci, że od roku twój ojciec wysyłał żołnierzy na wielką wojnę na południu. I miał tyle szczęścia, że wojnę tę wygrał. Bogata pani i jej posag są częścią pokojowego traktatu.

Po wyrazie twarzy Ainee rozpoznała, że dziewczynka nie do końca zrozumiała jej słowa, więc powtórzyła:

– Kiedy jej ojciec przegrał wojnę, musiał oddać część swych skarbów. A także córkę, aby twój ojciec miał pewność, że nie będzie następnej wojny. Przecież nie powinno się walczyć z rodziną, prawda?

– Ach, tak – powiedziała poważnie Ainee. – A czy gdyby żołnierze ojca przegrali, to musiałyby wtedy oddać mnie?

– Nie, kwiatuszku. – Kobieta roześmiała się szczerze. – Jesteś jeszcze za mała, aby wychodzić za mąż.

Ale Ainee wiedziała, że nie chodzi o jej wiek. Smutno pomyślała sobie, że nie ma nikogo na świecie, kto chciałby otrzymać rękę niewidomej księżniczki. Nawet gdyby dodatkiem do niej miały być skarby ojca.

– Co ze mną będzie, nianiu? – zapytała cichutko.

– A co ma być? – Dziewczynka poczuła, jak staruszka wzrusza ramionami. – Całe to szaleństwo minie, a życie potoczy się dawnym trybem.

Ale Ainee usłyszała w głosie niani ton zwątpienia i niepewności. Była pewna, że kobieta nie do końca wierzy w to, co mówi, a jej słowa wynikają tylko z tego, iż chce ją pocieszyć.

Mała księżniczka od zawsze umiała poznawać, co czują ludzie, kiedy wypowiadają pewne zdania, i dziwiła się, jak bardzo ich uczucia różnią się od słów. Nie mówiła o tym nigdy, nawet swojej opiekunce. Kiedyś wydawało jej się, że wszyscy doskonale to wiedzą – tak jak ona. Ale potem nauczyła się, że reszta ludzi jest w pewien sposób ślepa. Owszem, widzieli przedmioty, których dotykali, widzieli innych ludzi, z którymi rozmawiali, ale nie potrafili dotknąć prawdziwej istoty rzeczy. Księżniczka wyczuwała strach, niepewność oraz kłamstwo, poznawała radość, obojętność i gniew. Nie były dla niej ważne słowa, lecz emocje im towarzyszące. Najpierw dziwiła się bardzo, kiedy słowa różniły się od uczuć, ale potem zdarzało się to tak często, iż zdołała się do tego przyzwyczaić. Ale zawsze, ale to zawsze, rozpoznawała różnicę.

Znowu usłyszała tupot stóp służących, potem trzask otwieranych drzwi i wreszcie odgłos polan układanych w kominku.

– Zaraz będzie śniadanie, wasza wysokość. – Dobięły ją ciche słowa jednego z chłopców. – Już niosą je z kuchni.

– Tylko dobrze rozpal ogień. – Niania znowu była miła i łagodna. – A potem przynieś puchową kołdrę i wełniany koc. Kiedy już to zrobisz, weź pakuły i pozatykaj szpary w tych oknach. Jeśli księżniczka będzie marzła, to własnoręcznie... – głos kobiety przeszedł w tak cichy szept, że Ainee nie zrozumiała dalszych słów, ale wręcz czuła, jak służebny chłopiec sztywnieje z przerażenia.

– T-ttak, p-ppani – wyjąkał tylko.

Na śniadanie nie było żadnych specjalów. Grube kromki białego, świeżo wypieczonego chleba, plastry mięsa poprzerznanego żyłami tłuszczu, gorące mleko, które jednak w czasie drogi z kuchni zdołało się zamienić w zaledwie ciepłe, i kilka małych, kwaśnych jabłuszek z przyzamkowego ogrodu. Staruszka, widząc to śniadanie, prychnęła z niezadowoleniem, ale nic nie powiedziała. Sama doskonale zdawała sobie sprawę, że cały zamek zapomniał teraz o wszystkim oprócz jednego: już niedługo pojawi się tu wielka dama z południa, cudzoziemska królowna i przyszła własna królowa. I to nic, że jej ojciec przegrał wielką wojnę. To nic, że jego wojska uciekały w popłochu, a zamki kapitulowały jeden po drugim. Królowna pochodziła z rodu tak starego, że istnienie całego państwa ojca Ainee zdawało się być w porównaniu z nim jedynie chwilą. Mała księżniczka nie mogła tego wiedzieć, ale w zamku ich dotychczasowego wroga, a teraz członka rodziny i sprzymierzeńca, znajdowała się cała amfilada korytarzy, gdzie, jeden przy drugim, wisiały setki naznaczonych patyną portretów, przedstawiających kolejnych władców królestwa, które niegdyś było wielkie i potężne.

Tymczasem ojciec Ainee nie wiedział nawet dobrze, kim był jego prapradziad, a pradziad trudnił się jeszcze zbójowaniem na górskich przełęczach.

Księżniczka ze smakiem jadła świeży chleb i z nieco mniejszym zapalem przerośnięte mięso.

– Kiedy ona tu przyjedzie, nianiu? – zapytała z pełnymi ustami.

– Niedługo, kochanie. Ale drogi przez przełęcz są strome i zwodnicze. Ciężko je przemierzyć nawet konnym rycerzom, a co dopiero wozom i karocom. A jeśli spadną deszcze lub śnieg...

Ainee pokiwała głową. W czasie śnieżyc nawet na zamkowym dziedzińcu grzęzło się po pas w lodowatym puchu, zanim służba wszystkiego nie uprzątnęła. Całymi dniami słychać było tylko wtedy hurgot drewnianych i metalowych szufl oraz nawoływania służących.

Księżniczka mogła sobie więc wyobrazić, jak ciężko przedrzeć się przez takie śniegi ciężkim wozom oraz zbrojnym rycerzom.

– Czy myślisz, że ona mnie polubi?

– A kto by cię nie polubił, kochanie? Jesteś uroczą, małą dziewczynką, a niedługo staniesz się uroczą, młodą damą – powiedziała spokojnie niania. – Zresztą zawsze ci mówiłam, że mądry człowiek potrafi rozpoznać, czy w skrzynce jest perła, czy szkiełko. A ty jesteś perłą, skarbie.

Ale Ainee wyraźnie poczuła, że stara kobieta nie mówi całej prawdy. Wyczuwała lęk w jej głosie i sama też zaczęła się bać jeszcze bardziej niż przedtem.

– Zjadłaś już? – Staruszka zabrała tacę z resztkami jedzenia. – Może przynieść ci coś słodkiego? Widziałam w kuchni miodowe ciasteczka.

Ainee pokręciła przecząco głową. Nie miała ochoty na słodczyce.

– Może poszłybyśmy na spacer? – zaproponowała.

– W taki ziąb? – zdumiała się piastunka. – No cóż, jeśli naprawdę tego chcesz, perełko.

Ale pamiętaj, że ubiorę cię tak, że ciężko ci się będzie ruszać.

Księżniczka roześmiała się.

– Mogłybyśmy osiodłać mojego kucyka i wyjechać za zamek.

– Hmm... – Stara kobieta przez chwilę myślała nad słowami Ainee. – Czemu nie? Skoro nie ma jeszcze ani deszczu, ani śniegu.

Mała księżniczka nauczyła się kilka lat temu jeździć na kucyku i w stajni stało jej ulubione zwierzę. Nie mogła go oczywiście zobaczyć, ale bezbłędnie poznawała zapach jego sierści, czuła pod palcami ciepłe, ruchliwe nozdrza i głaskała sterczące uszy. Uwielbiała, jak wkładał pysk w jej rękę, szukając w dłoni jabłek albo ciasteczek. Kucyk nazywał się Żuk i zawsze reagował na swe imię cichym rzeniem. Teraz niania zaczęła ubierać Ainee. I rzeczywiście zamierzała potraktować serio swoje obawy przed zimnem. Księżniczka najpierw założyła ciepłą bieliznę, potem wełniane rajtuzy i

welnianą koszulę, a wreszcie suknię z grubo uprzedzonej wełny i skórzane buty z wyściełanymi futrem cholewami.

– Ja już się nie mogę ruszać – zaprotestowała.

Kobieta wzięła jej palce w swoją dłoń.

– Chodź, skarbeczku – rzekła. – Płaszcz założysz już na zewnątrz.

Na korytarzach zamku wrzało. Służba hałasowała, nawoływała się, przesuwiała meble.

Słysząc było krzyki, czasami nawet przekleństwa, rozkazy wydawane ostrym tonem, rzadziej złośliwe lub wesołe śmiechy. Ainee i niania wyszły na zamkowy dziedziniec, gdzie księżniczka musiała założyć szeroki płaszcz z bufiastymi, obszytymi futrem rękawami i obszernym kapturem.

– Muszę wyglądać jak futrzana kulka – powiedziała.

Wiatr hulał na dziedzińcu, gwizdał, wył i wirował w dzikiej płasawicy. Ale księżniczka była tak szczelnie opatulona, że tylko czasami czuła mroźne szczygnięcia w nos. A w pewnym momencie chłodny i mokry jeszcze płatek śniegu usiadł na jej policzku.

– Nie wiem, jak będzie z tą przejażdżką – zawahała się opiekunka.

– Pani... – Ainee usłyszała nagle cichy głos.

Poznała, że to Hrumweld, podczaszy królewski i zaufany ojca. Co robił tutaj, na tym zimnym dziedzińcu, zamiast pilnować piekarzy, kucharzy i piwnicznych?

– Tak?

– Jego Miłość prosi, aby księżniczka przybyła po obiedzie na komnaty.

– Księżniczka będzie gotowa – powiedziała niania. – Czy macie jakieś wieści z przełęczy?

– Nie, pani – odparł Hrumweld. – Ale nasi ludzie są z królowną Calinne i dopilnują, by dotarła szczęśliwie. W Bogu nadzieja, że pogoda nie zmieni się szybko i zdążą przejść góry przed śnieżycami.

– Z królowną Calinne? – zdumiała się staruszka. – Nie pomyliłeś czegoś? Przysięgłabym, że królowna ma na imię Marshia!

– Och, pani, nie słyszałaś o poselstwie, które przybyło w lecie? – Tym razem podczaszy był szczerze zaskoczony. Ainee widziała jego zdumienie, które przelewało się niczym błękitne fale. – Królowna Marshia ciężko zachorowała i była bliska śmierci. Król Dorian postanowił przysłać do nas swą młodszą córkę, Calinne. Jeśli portrety mówią prawdę, to jest jeszcze piękniejsza od siostry!

– W lecie chorowałam – mruknęła niania, a Ainee przypomniała sobie te nudne dni, kiedy zajmowały

się nią młode dziewczki służebne, przestraszone i onieśmiałone jej ślepotą. – Nie wiedziałam, że król Dorian ma jeszcze jedną córkę.

– Przeznaczył ją służbie zakonnej – wyjaśnił Hrumweld. – Dziesięć lat spędziła w Jasnym Klasztorze, ale Dorian kazał jej przerwać nauki i przybyć na nasz dwór.

– W Jasnym Klasztorze? – Stara kobieta miała spokojny głos, ale Ainee zobaczyła czerwone strumienie przerażenia, które spłynęły tak gwałtownie, że mało nie krzyknęła z wrażenia.

– Tak, pani. Chyba można powiedzieć, że jest kimś w rodzaju czarodziejki. – Podczaszy chrząknął niepewnie, jakby dawał znać, że nie trzeba jego słów brać zupełnie poważnie.–

Mówią, że kiedyś zostałyby pewnie przeoryszą, ale teraz...

– Bardzo ciekawe – skwitowała niania.

Czerwony strumień przerażenia już nie płynął. Teraz Ainee miała już przed oczami tylko wirujące, różowe smugi niepokoju. A w to wszystko wdarło się szare zniecierpliwienie podczaszego.

– Wybaczcie mi? Wasza miłość? Pani? Mnóstwo roboty – westchnął. – Król pragnie olśnić naszą nową królową.

– Tak, tak – odparła piastunka i obie usłyszały stukot ciężkich butów oddalającego się Hrumwelda.

– Chyba nie pójdziemy do Żuka, gwiazdeczko – powiedziała staruszka, obejmując Ainee ramieniem. – Zaczyna się robić naprawdę zimno. Niedobrze byłoby jeździć w taką pogodę.

Księżniczka słyszała spokój w głosie niani, ale wyczuwała też w nim ogromne, wewnętrzne napięcie. Wiedziała, że jej opiekunka najchętniej znalazłaby się już sama, w swojej komnacie. Było jej przykro, ale potrafiła to zrozumieć. Nigdy przedtem nie widziała tak czerwonego i tak mocnego strumienia przerażenia jak ten, którym niania zareagowała na słowa podczaszego. Sama była teraz lekko zalękniona, bo jeśli jej piastunka czegoś się bała, musiało to być naprawdę straszne.

– Dobrze – powiedziała, wzdychając. – I tak opatuliłaś mnie tak, że nie usiedziałabym w siodle.

Calinne miała osiemnaście lat. Była smukłą kobietą o lodowato zimnej, pięknej twarzy, złotych lokach i brązowych oczach. Na pierwszy rzut oka wydawała się nieprzystępna i odległa. W rzeczywistości wszyscy, którzy mieli do czynienia z królową-czarodziejką, chwalili jej łagodność i mądrość. Ale teraz Calinne była naprawdę zła, chociaż starannie usiłowała to ukryć.

Po pierwsze, cały czas nie potrafiła pogodzić się z myślą, że studia w Jasnym Klasztorze musi porzucić dla władania dzikim, barbarzyńskim, choć zwycięskim w wielkiej wojnie królestwem. Po drugie, nie uśmiechała jej się rola młodej królowej u boku dojrzałego w latach władcy, którego dziad był jeszcze zwykłym, górskim rabusiem. Po trzecie wreszcie, sama podróż nie przebiegała jak powinna. Wozy klinowały się w górskich przejściach, osie kół łamały na kamieniach, towarzyszący królowi rycerze mieli kłopoty z końmi, których podkowy ślizgały się na stromych, oblodzonych ścieżkach. Cała podróż trwała dłużej, niżby ktokolwiek mógł przypuszczać. Przynajmniej ktokolwiek ze świty królowy, bo wysłannicy jej przyszłego męża zapewniali, iż tak naprawdę nie ma się czym przejmować i trzeba tylko koniecznie się spieszyć, aby zdążyć przed mrozami i śnieżycami. Śpieszyć się, spieszyć – te słowa królowa do znudzenia słyszała każdego dnia. Zastanawiała się też, jak wyglądają mrozy w jej nowym królestwie, skoro już teraz, u schyłku cieplej jesieni, musiała ubierać się w futrzane szuby i wełnianą bieliznę. A mimo tego ciągle wydawało jej się, że porywisty wiatr wdziera się przez najmniejszą szczelinę i smaga ciało lodowatymi biczami.

Tego wieczora zatrzymali się w karczynie na rozstajach dróg. Oberża była niewielka, ale zbudowana solidnie i dobrze ogrzewana. Królowa siedziała przed kominkiem, w którym płonęły wielkie bale, i słuchała wycia wiatru łomoczącego w ciężkie okiennice. Na stole przed nią stał kielich słodkiego, korzennego wina. Wpatrywała się leniwie w różowe płomienie pełgające po powierzchni drewna.

– Czy przeszliśmy już góry? – zapytała.

Obok, na krześle, siedział książę Harrim, doradca jej ojca i daleki kuzyn po kądzieli.

Roześmiał się niewesoło.

– Spytałem o to samo naszych przewodników – odparł. – Powiedzieli, że jeszcze nawet nie wjechaliśmy w prawdziwe góry. To tutaj oni nazywają dopiero przedgórzem.

– To straszne – westchnęła Calinne. – Jak ci ludzie żyją?

– Zamek twojego przyszłego męża, pani, jest po drugiej stronie gór. Szkopuł w tym, że jesteśmy bardzo spóźnieni. Jeśli nie zdążymy przed śnieżycami, będzie my musieli przezimować w jednej z górskich fortec. Tutejsi ludzie mówią, że w czasie zadymki nie widać nic na dwa kroki, a schodzące lawiny zasypują wszystkie szlaki.

– Mówiłam, żeby ruszać wcześniej! – Królowa uderzyła pięścią w stół, aż kielich zachybotał się na blacie. – Żeby nie robić tych wszystkich przyjęć i pożegnań. Bal w Westernesee, uroczysta trzydniowa msza w Hallgork, polowanie z księciem Yamalem... I po co było to wszystko?

– W Bogu nadzieja, że zdążymy – odparł Harrim. – Jeszcze tylko tydzień, może osiem dni, i będziemy na miejscu.

– Jeśli nie spadną śniegi – powiedziała powoli Calinne, wsłuchując się w łomot wiatru. –

Straszny jest ten wichur – dodała. – Jakby żył własnym życiem i jakby chciał dostać się do ludzi i zawładnąć nimi.

– W końcu nazywają te góry Wichrowymi – westchnął Harrim. – I jak widać, wszystko pasuje do nazwy.

– Mówią, że po Oczyszczeniu było to jedno z miejsc, gdzie uciekły wiedźmy i czarnoksiężnicy...

– Czego ludzie nie bają. – Wzruszył ramionami Harrim. – To było tak dawno temu. Tylko wy, czarodziejki, pamiętacie jeszcze o tych czasach. Słyszałem, że nekromanci i czarnoksiężnicy ukrywali się w jamach, jaskiniach i podziemiach, i tam, wykorzystując swą sztukę, zasypiali na setki lat, by obudzić się, kiedy świat stanie się dla nich bezpieczny.

– I na pewno jest bezpieczniejszy niż dawniej – rzekła królowa. – Bo tak jak mówisz: tylko my, czarodziejki, pamiętamy jeszcze o tamtych strasznych czasach.

Księżę podniósł omszałą, pękatą butlę i dolał wina do kielichów. Calinne w milczeniu przechyliła swój.

– Idź już – powiedziała w końcu. – Czas spać, skoro jutro o świcie mamy ruszać dalej.

– Trzeba – westchnął Harrim. – Służba będzie całą noc naprawiać wozy. Znowu połamały się osie. Jak dobrze, że doradzono nam, byśmy wzięli w podróż własnych cieśli.

– Mróz, góry, dzikie królestwo – mówiła Calinne przez zaciśnięte zęby. – Dlaczego mój ojciec musiał zacząć tę głupią wojnę, za którą teraz wszyscy płacimy?

Księżę Harrim rozsądnie zmilczał. Był jednym z tych, którzy wplątali króla Doriana w tę, jak to określiła królowa, głupią wojnę. Ale wojna wcale nie była taka głupia. Ileż można było znosić napady na pograniczu, branie ludzi w jasyr, palenie miast i wiosek? Król Dorian postanowił zaatakować hydrę w jej własnym gnieździe. Tyle, że gniazdo okazało się zbyt daleko dla jego wojsk. A kiedy teraźniejszy zięć i sojusznik zawarł układ z wrogimi Dorianowi plemionami znad Żółtej Rzeki, stało się jasne, że królestwo stanęło nie w obliczu porażki, ale klęski grożącej samemu jego istnieniu. I jeśli ręka królowy-czarodziejki oraz nieziemskiej wysokości haracz w złocie oraz drogich kamieniach miały być ceną za przetrwanie, to taką cenę trzeba było zapłacić. Ale Calinne nie interesowała się wielką polityką. Od dziesięciu lat przebywała w Jasnym Klasztorze, studiując nie tylko magiczne nauki, ale historię, literaturę i sztuki piękne. I kontrast tego życia z jej poprzednim życiem był

zbyt bolesny, aby łatwo przejść nad nim do porządku dziennego.

– No dobrze – westchnęła królowa. – Miejmy nadzieję, że następny dzień będzie lepszy.

Niania odprowadziła Ainee do komnaty i pomogła jej się rozebrać. Teraz w pokoju było ciepło, bo napalono w obu kominkach. Stara kobieta złapała jednego z przechodzących służących.

– Zawołaj do mnie panią Lorianę – rozkazała. – Ale natychmiast.

– Lorianna poczyta ci coś, perełko – wyjaśniła. – A ja sobie trochę odpocznę.

Księżniczka wyraźnie zobaczyła kłamstwo w słowach opiekunki. Kobieta nie zamierzała wcale odpoczywać. Wręcz przeciwnie. Była zdenerwowana, przestraszona i miała coś bardzo ważnego do zrobienia. Ainee miała w tym względzie tak wielką pewność, jakby ktoś wyszeptał to jej do ucha.

– Niechęć Lorianny, nianiu – zamarudziła. – Chciałabym pograć z tobą w karty.

– Zagramy wieczorem, moje dziecko – powiedziała staruszka. – Obiecuję ci, że na pewno zagramy.

Ainee postanowiła zadowolić się tym przyrzeczeniem. Popołudnie spędzone z Lorianą wcale nie wydawało się takie złe. Lubiła tę młodą, uprzejmą kobietę o melodyjnym głosie, która czytała jej baśnie oraz historie z dawnych czasów. O rycerzach króla Palomara i smoku z Czarnej Góry, o wyprawie Sigryda Długouchego, o czarnych ludziach, którzy mieli po dwie głowy i żyli w krainie, gdzie nigdy nie zachodziło słońce. Lorianna pięknie czytała i nigdy nie okazywała znudzenia, mimo, że niektóre historie musiała już znać na pamięć. Teraz też weszła do komnaty lekko jak ptak.

– Mam nową książkę, moja pani – rzekła od progu. – To historia miłości pięknej Genevie i walecznego księcia Rodryga. Chciałabyś posłuchać?

– Czy to odpowiednia lektura dla młodej panienki? – zaniepokoiła się niania.

Lorianna powiedziała jej coś na ucho i stara kobieta roześmiała się.

– No, skoro tak – rzekła i pogłaskała księżniczkę po głowie.

– Przyjdę po obiedzie, perełko – obiecała. – I pójdziemy do twojego ojca, skoro chce cię widzieć. Zjesz z nią obiad, Lorianno.

– Z radością, moja pani – odparła młoda kobieta, ale Ainee dostrzegła chmurkę rozczarowania w jej słowach. Lorianna najwyraźniej miała inne plany i decyzja niani właśnie je pokrzyżowała.

Ainee rozłożyła się wygodnie na łóżku i kazała Lorianie usiąść tuż obok. Dziewczyna zaczęła czytać historię miłości walecznego Rodryga, ale księżniczka nie uważała. Cały czas zastanawiała się, skąd wzięło się to zaniepokojenie, a wręcz przerażenie niani. I cóż takiego pilnego miała ona do roboty? Ainee znała swą piastunkę, od kiedy tylko sięgała pamięcią. I nigdy, ale to nigdy nie słyszała takiej obawy w jej głosie i nie widziała tej szkarłatnej powodzi, która wylewała się przy każdym słowie. Czyżby niania wiedziała, że młoda królewna z południa była złą kobietą? Czy obawiała się, że może skrzywdzić ojca Ainee albo ją samą? Wszystko to było niezwykle zagadkowe, ale księżniczka czuła też, że na razie nie odpowie na żadne z pytań. I wiedziała też, że próba skłonienia opiekunki do

zwierzeń byłaby z góry skazana na niepowodzenie. Dlatego zaczęła w końcu słuchać melodyjnych słów Lorianny, która z uczuciem czytała o wielkiej bitwie pomiędzy bagienną hydrą, strzegącą zamku złego czarnoksiężnika, i dzielnym księciem. Potem wtuliła twarz w ciepłą poduszkę i, nie wiedząc nawet kiedy, zasnęła.

– Lektura nie była nazbyt interesująca, gwiazdko? – Obudził ją głos niani.

Ainee z trudem wracała do rzeczywistości. Śniło jej się właśnie, że jest piękną księżniczką i z zamkowych okien przygląda się walce księcia z hydrą. Hydra miała siedem wielkich głów o kobiecych twarzach, a na każdej głowie koronę.

– Księżniczka musiała być zmęczona – powiedziała, śmiejąc się, Lorianna. – Zasnęła w najbardziej dramatycznym momencie opowieści.

– Dziękuję, Lorianno – odrzekła staruszka. – Czy chcesz zjeść z nami obiad?

– Opuszczę was, jeśli pozwolisz – poprosiła dziewczyna. – Ktoś na mnie czeka. – Ainee zobaczyła w słowach Lorianny zieloną łąkę nadziei i purpurowe kwiaty wzruszenia.

– Idź więc. – W tonie niani brzmiało rozbawienie. – W takim razie zjemy same.

Na obiad służący przynieśli pieczone kapłony z borówkami i całą stertę świeżutkich pszennych placków. Do tego grzyby w ciężkim, zawiesistym sosie, wino dla opiekunki i miodowe ciasteczka dla Ainee. Księżniczka zajadała, jakby nie miała nic w ustach od tygodni, a niania tylko od czasu do czasu klepała ją po ramieniu i mówiła: „jak będziesz tak szybko jadła, to się udławisz, gąsko”.

* * *

Z daleka ta mała forteca wydawała się jedną ze skalnych turni. Ale tak naprawdę zameczek strzegł przełęczy. Prowadziła do niego wąska, stroma droga, na której ledwo co mieścił się jeden wóz. Woły mozolnie pięły się pod górę, kopyta koni ślizgały się na kamieniach. Niebo ciemniało. Potężne, czarne chmurzyska nadpływały w stronę krwisto zachodzącego słońca. Książę Harrim spojrzał z obawą w stronę tych chmur.

– Niedobrze – powiedział, przekrzykując gwizd wiatru. – Bardzo niedobrze.

Obok Harrima jechał jeden z wysłanników ojca Ainee. Młody, brodaty, opatulony w futrzaną szubę, narzuconą na połyskującą srebrzyście kolczugę.

– Nadchodzą śniegi – rzekł. – Boże, miej nas w opiece. Za szybko – dodał z rozpaczą w głosie. – O wiele za szybko!

– I co z nami będzie? – Harrim zbliżył się tak, że jechali, ocierając się strzemionami.

– Nie wiem, książę. Być może będziemy musieli przezimować w fortecy.

Harrim spojrzał na maleńki zameczek zlewający się z szarymi, skalnymi turniami.

– Mamy tu spędzić trzy miesiące?! – krzyknął. – Kiedy jesteśmy tak blisko?

– Blisko i daleko, panie – odparł wysłannik. – Gdy spadną śniegi, przejście jednej mili może zająć cały dzień. Nie wolno nam narażać królowy. Jeśli coś by się jej stało, co nie daj Boże – splunął zabobonnie za siebie – to jego wysokość kazałby nas obedrzeć ze skóry.

Nie wiedzieć czemu, ksiązę Harrim nie uznał wcale tego za zwrot retoryczny. Spokojnie mógł sobie wyobrazić, że barbarzyński król w taki właśnie sposób karze ludzi zawodzących jego zaufanie.

– Jeszcze nie prószy – powiedział, pragnąc, aby wysłannik króla podtrzymał jego nadzieję.

– Ale zacznie. – Usłyszał pewność w głosie młodego rycerza. – Znam te chmury, ksiązę. I ten wiatr. Wierz mi, że jutro będzie padać jak diabli. Cała nadzieja w tym, że popada dwa, trzy dni i przestanie na tydzień lub półtora. Wtedy zdążymy się przedrzeć.

Harrim westchnął i uderzył pięścią w łęk siodła.

– Trzy miesiące – rzekł z rozpaczą. – Trzy miesiące na tej pustyni.

Wysłannik króla spojrział na niego z ukosa i ksiązę przysięgłby, że widzi w jego oczach z trudem ukrywane rozbawienie.

– To mały zameczek, ale głodu i zimna nikt nie będzie cierpieć – odpowiedział rycerz. –

Ręczę, że dowódca dobrze opatrzył wszystko na zimę.

Być może dobrze dla swych żołnierzy, pomyślał Harrim, dla twardych, surowych ludzi, od dziecka przyzwyczajonych do ciężkich zim. Ale na pewno nie zaopatrzył zamku z myślą o delikatnej królowie z południa i jej świcie. Ksiązę pocieszał się tylko myślą, że stanie się według przypuszczeń młodego rycerza. Śnieg popada dwa, trzy dni, a potem pogoda się wyklaruje. Wtedy zostawią ciężkie wozy w fortecy, a sami ruszą przez góry, aby zdążyć przed śnieżycami i lawinami. Trudno. Calinne będzie musiała wytrzymać kilka dni w siodle.

Z tego, co wiedział Harrim, w Jasnym Klasztorze nie zaniedbywano ćwiczeń fizycznych.

Królowna umiała dobrze jeździć konno, chwaliła się również, że uczono ją fechtunku i brała udział w polowaniach. Powinna wytrzymać. Lepiej pomęczyć się trochę niż spędzić zimę w barbarzyńskiej norze.

* * *

Ainee nie bała się spotkań z ojcem, ale jego zapach i tubalny, srogi głos onieśmiały ją.

Musiała jednak przyznać, że ojciec zawsze starał się być dla niej miły. Nigdy nie krzyknął ani nie ukarał jej w żaden sposób. Ale wiedziała również, że jej widok nie jest mu wcale miły.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że za każdym razem przypomina mu się ta straszna noc, kiedy

wśród grzmotów i olśniewająco białych zygzaków błyskawic, królowa rodziła córkę, jęcząc z bólu i krwawiąc. Ainee oczywiście nie pamiętała tej nocy, choć słyszała o niej od niani. O tym, jak zrozpaczony król przez trzy dni siedział w swej komnacie, nie jedząc, nie pijąc i nie przyjmując nikogo. A kiedy z niej wyszedł, w jego smolistoczarnej brodzie tkwiły już gęste pasma siwizny. Księżniczka wiedziała, że pamięć tej nocy zawsze będzie stała pomiędzy nią a ojcem i nie ma siły, która mogłaby to zmienić. Oczywiście, musiały minąć lata, zanim to zrozumiała, i nie było osoby, z którą mogłaby na ten temat porozmawiać.

Szła do tronu ojca, stawiając drobne kroki na grubym dywanie, którego miękkość czuła pod stopami. Słyszała, jak milkły rozmowy, rozumiała, że dworzanie otaczający ojca wpatrują się teraz w nią i jej opiekunkę. Nie mogła ich widzieć, ale czuła ten wzrok i czuła ogarniającą komnatę aurę zakłopotania. I sama również była speszona.

– Mój panie. – Głos niani był mocny i spokojny. – Chciałeś zobaczyć księżniczkę.

– Chodź do mnie, córko. – Ainee dobiegły twarde słowa ojca.

Palce starej kobiety, obejmujące jej ramię, leciutko ją nakierowały. Ale nie było to potrzebne, gdyż księżniczka doskonale wiedziała, skąd dochodzi głos. Poza tym czuła już zapach ojca. Zapach psiarni i zgonionych koni. Musiał więc niedawno wrócić z przejażdżki lub polowania. Podeszła ostrożnie, a król po chwili wahania przygarnął ją i posadził na kolanach. Usiadła tam, sztywno wyprostowana, z twarzą zwróconą w stronę, skąd dobiegały oddechy i szepty dworzan.

– Za kilka dni, jeśli bogowie pozwolą i nie ześlą śnieżyc, przybędzie tu moja przyszła żona, królowna Calinne – rzekł ojciec głosem, który huczał w komnacie niczym pomruk nadciągającej burzy. Ainee słyszała, że szepty dworzan zamarły jak nożem uciął. – Jest więc naszą wolą przedstawić wam plany dotyczące mej jedynej córki, księżniczki Ainee. Po naradzie z naszymi oddanymi doradcami zdecydowaliśmy, co następuje: księżniczka w przyszłym roku uda się do Jasnego Klasztoru, aby pobierać nauki. Wiemy, że powinna tam trafić w młodszym wieku, lecz dzięki wstawiennictwu króla Doriana, naszego przyszłego teścia i sojusznika, Jasny Klasztor postanowił odejść od swych niezłomnych zasad, przyjmując naszą córkę i otoczyć ją opieką.

Ainee była tak zdumiona słowami ojca, że wstrzymała dech. Miała opuścić zamek? Miała odejść z miejsca, które poznała i w którym się wychowała? Miała znaleźć się daleko od domu, gdzieś, gdzie nie zna rozkładu schodów, położenia sprzętów, głosów ludzi i zapachów?

Poczuła, jak łzy napływają jej do oczu, i zacisnęła usta, by nie zaszlochać. Dlaczego ojciec obwieszczał o tym w wielkiej tronowej sali przy dworzanach i radzie? Dlaczego nie powiedział jej o podjęciu tej strasznej decyzji w inny sposób? Ale zdawała sobie również sprawę, iż decyzji władcy nikt i nic nie będzie w stanie zmienić. Słowa ojca płynęły niczym wartki, jasny strumień. Nie było tu miejsca na wahanie i wątpliwości. Ainee poznawała, że niektórzy ze słuchających jego słów są zdumieni, a najbardziej chyba zdumiona, może nawet zła, była niania. Księżniczka przypuszczała, że nie pozwolą staruszce pojechać wraz z nią na dalekie południe. Zresztą kobieta była już chyba zbyt słaba, aby odbyć tak daleką i tak trudną podróż.

Ojciec po oznajmieniu decyzji dał znak, że czas na wieczerzę. Ainee znów usłyszała gwar rozmów, a

potem odgłosy mlaskania, gryzienia, siorbania i zgrzytania noży o srebrne talerze.

– Będzie ci tam dobrze, córko. – Ojciec starał się mówić przyjaźnie i ciepło. – Jasny Klasztor jest pięknym miejscem. Leży wśród lasu, nad rzeką, nigdy nie pada tam śnieg ani nie wieją zimne wichry. Będiesz miała nauczycieli, służących i mnóstwo przyjaciółek. –

Zaskakujące, ale Ainee widziała w słowach króla zarówno prawdę, jak i smutek. – Nie możesz przecież całego dzieciństwa spędzić tylko z nianią.

– Czy ona pojedzie ze mną? – odważyła się spytać.

– Nie – odparł ojciec takim tonem, iż wiedziała, że nigdy go nie przekona. – Jej miejsce jest tutaj. Poza tym Jasny Klasztor nie pozwala na to. Mają własnych nauczycieli i własną służbę.

Pogłaskał Ainee po włosach i cofnął zaraz dłoń. Księżniczka zobaczyła chmurę czarnej rozpacz, która rozlała się wokół, i zrozumiała, że ten dotyk musiał mu przypomnieć utraconą żonę.

– Nianiu! – zawołał ojciec. – Odprowadź księżniczkę do pokoju. Zadbaj, żeby jej niczego nie brakowało.

– Oczywiście, wasza wysokość. – Wzięła ją za rękę.

W milczeniu przeszły przez pełną gwaru salę. Ktoś głośno gadał, ktoś inny wystukiwał

dzbanem szybki rytm na blacie stołu, siedzący w kącie grajek stroił instrumenty, kobieta, której głosu Ainee nie poznawała, donośnie domagała się tańców i pieśni, słyhać było chrzęst kości pękających w szczękach ogryzających je pod stołem psów. Księżniczka czuła się tak, jakby obie z nianią były duchami przechodzącymi przez tę salę. Duchami, które być może się zauważało, ale tylko po to, by natychmiast odwrócić wzrok. Nie należały do tych ludzi i do tego miejsca.

– Zagramy w karty, nianiu? – zapytała, ściskając kościste palce starej kobiety.

– Przecież ci obiecałam.

Szły zamkowymi korytarzami i krużgankami, czołobitnie pozdrawiane przez dworzan i służbę. Kiedy stanęły na rozwidleniu korytarzy, Ainee usłyszała chód pani Terlony, jednej z zastępczyń ochmistrzyni. Terlona zawsze pachniała świeżo wypraną i nakrochmaloną pościelą, miała szorstkie dłonie i nieco piskliwy głos.

– Moja pani. – Ainee czuła, jak Terlona zniża się w dygu. – Pani Gothre.

Pani Gothre – tak nazywano piastunkę księżniczki, chociaż Ainee zauważyła, że niewiele osób zwraca się do starej kobiety po imieniu. Część, tak jak jej ojciec, mówiła po prostu: nianiu, część nazywała ją dostojną panią. Dziwne, ale po raz pierwszy księżniczce przyszło do głowy, iż jej opiekunkę traktowano z szacunkiem dużo większym, niżby na to zasługiwała stara kobieta, która na kilka lat przed urodzinami księżniczki pojawiła się na zamku. Pojawiła się i została...

– Racście wybaczyć, miłościwa księżniczko. – Ainee usłyszała w słowach Terlony smutek i zaniepokojenie. – Ale czy mogę zadać pytanie?

– Proszę – odparła Ainee.

– Pani Gothre, nie widziałaś może moich kotów? Wybacz, że niepokoję cię takim głupstwem, ale oba gdzieś zaginęły...

– Nie widziałam – powiedziała zdziwiona niania i Ainee zamarła.

Doskonale zobaczyła kłamstwo w tych słowach. Tylko przez moment, przez chwilę tak krótką, że człowiek nie zdążyłby nawet zaczerpnąć powietrza. Ale jednak to kłamstwo było.

– Ach, jaka szkoda – lamentowała Terlona. – To takie mądre koty, nigdy nie odchodziły daleko...

– Na pewno się znajdą – przerwała piastunka. – Wybacz nam, proszę.

Ujęła dłoń księżniczki i poszły dalej wzdłuż korytarza.

– Dlaczego skłamałaś? – cichutko spytała Ainee, dziwiąc się sobie, czemu zadaje to pytanie.

Kobieta aż przystanęła, a jej palce zacisnęły się na dłoni Ainee.

– Czemu sądzisz, że skłamałam? – zapytała chłodnym tonem.

– Ja to wiem, nianiu – odparła Ainee jeszcze ciszej.

– Wiesz, moje dziecko? Co to znaczy: wiesz?

– Po prostu. – Dziewczynka wzruszyła ramionami, chociaż wiedziała, że to niegrzeczne i księżniczki nie powinny się zachowywać w ten sposób.

– No dobrze, perełko – poddała się staruszka. – Chodźmy do mojego pokoju i tam sobie spokojnie porozmawiamy.

– Aha – zgodziła się Ainee z ulgą, czując, że uścisk palców niani rozluźnił się.

W milczeniu przeszły do pokojów pani Gothre. Składały się one z dwóch pomieszczeń.

Obszernej komnaty, w której stały masywny stół z gładkim jak szkło blatem, kilka rozłożystych foteli i, rzadkość w zamku, sekretera z książkami oprawionymi w cielejącą skórę.

Ainee lubiła brać te książki do rąk i wodzić opuszkami palców po złożonych, wypukłych tytułach. Potrafiła nawet przeczytać w taki sposób litery i wiedziała na przykład, która z ksiąg opowiada o przygodach banity z Dębowego Lasu, a która traktuje o historii Cesarstwa, wszystkich wojnach, rozejmach i małżeństwach. Drugi pokój był małą sypialnią, gdzie stało tylko obszerne łóżko i dwa ogromne kufry o szerokich pokrywach, ozdobionych solidnymi, metalowymi klamrami. Księżniczka

chętnie odwiedzała nianię, bo po pierwsze, nudziło jej się we własnej komnacie, a po drugie, to tu właśnie grały w karty. Ainee bardzo lubiła tę zabawę, chociaż nie mogła dostrzec wizerunków widniejących na licach. Jednak jej opiekunka, jeszcze dwa lata temu, kazała przygotować specjalny zestaw kart, gdzie liczby i litery można było wyraźnie poczuć pod palcami. Dzięki temu Ainee zawsze wiedziała, czy ma w dłoniach króla, tuza, pазia, damę, czy też którąś z blotek. Niania opowiedziała jej też dokładnie, co przedstawiają karty, i dlatego, kiedy księżniczka dotykała palcami literki „K” i wyczuwała pod opuszkami kształt serca, to doskonale orientowała się, że ta karta przedstawia siwobrodego króla, zasiadającego na złotym tronie. Król trzymał w jednej dłoni berło, w drugiej jabłko, a jego korona błyszczała od drogich kamieni. Z kolei paź kierowy był

młodym, roześmianym mężczyzną o długich lokach. W dłoniach dzierżył srebrny puchar pełen wina, a szkarłatne krople znaczyły jego zieloną, szamerowaną srebrem, koszulę.

– Usiądź, perełko – poprosiła staruszka i Ainee posłusznie utonęła w szerokim fotelu.

– Powiedz mi, moje dziecko, dlaczego sądzisz, że kłamałam, rozmawiając z panią Terloną?

– Ja to wiem – odparła i zacisnęła dłonie w pięści. – Ja zawsze wiem, co ktoś czuje. Po prostu to widzę, nianiu.

Pani Gothre przez długą chwilę milczała.

– Och, moje dziecko – westchnęła w końcu. – Dlaczego nigdy mi o tym nie opowiedziałaś?

Księżniczka skuliła się, ale niania pogłaskała ją delikatnie po ramieniu.

– Nie martw się, perełko – powiedziała pogodniejszym tonem. – Szkoda, że nie mówiłaś mi o tym, co czujesz. Ale pamiętaj! – Głos starej kobiety stwardniał. – Mnie możesz powiedzieć o wszystkim, ale nigdy, przenigdy – zaakcentowała ostatnie słowa – nie opowiadaj o tym nikomu innemu. Czy obiecasz mi to?

– Tak, nianiu – szepnęła Ainee. – Obiecuję.

– A teraz – księżniczka usłyszała, jak opiekunka otwiera sekreterę – zagramy sobie w karty. Dobrze, dziecko?

Nie czekając na odpowiedź, wyciągnęła karty z pudełka i rozdała. Księżniczka słyszała szelest kart, padających na blat stołu, i ten szelest wydał jej się inny niż zwykle. Jakby karty były cięższe. Nie ślizgały się po blacie, lecz padały na niego ciężko niczym mokre płachty.

Jak len nasączony krwią, pomyślała, zaskoczona, skąd przyszło jej do głowy takie porównanie. Wzięła je do rąk i zdziwiła się.

– Rozdałaś złe karty, nianiu – powiedziała, nie czując pod opuszkami palców charakterystycznych wypukłości.

– Nie, dziecko. To rzeczywiście inna talia, ale zobaczymy, jak sobie z nimi poradzisz.

Spróbuj, perełko.

Ainee odłożyła karty z powrotem na stół i zostawiła sobie w ręku tylko jedną. Zaczęła wodzić palcami po jej licu, starając się wykryć ślad rysunku, ale powierzchnia była gładka.

Gładka i zimna. Księżniczka zastanawiała się, dlaczego padały na blat tak głośno. Przecież ta, którą trzymała w palcach, była cieniutka niczym opłatek i lekka jak piórko.

Ainee nagle i nie wiadomo czemu wyobraziła sobie, że ta karta jest niezwykle stara.

Miała wrażenie, jakby przed laty czy nawet wiekami dotykały jej jakieś przedziwne palce.

Stare i młode, palce królów i księżniczek, palce magików o alabastrowych twarzach i czarownic z haczykowatymi nosami. A nawet jakieś inne, dziwne palce, zakończone ostrymi szponami. Nieludzkie, węzłaste palce o trzech stawach, zamiast dwóch, pokryte szarą, poznaczoną drobnymi łuskami skórą. Księżniczce zrobiło się zimno i niepokojąco, a jednak jednocześnie przyjemny dreszcz przebiegł jej po plecach. I nagle, a było to niczym olśnienie, spłynęła na nią świadomość tego, jaką kartę trzyma w dłoni. Była to dama kier. Ale inna niż znana ze starej talii. Tutaj na tronie siedziała jasnowłosa kobieta o twarzy jednocześnie pięknej i okrutnej. Miała rozchełstaną na piersiach koszulę, a w dłoniach trzymała srebrną tacę. Na tacy leżała głowa człowieka z wybałuszonymi oczami i wiechciem włosów zlepionych krwią.

– Nianiu – szepnęła przerażona Ainee i wypuściła kartę z rąk.

– Zobaczyłaś, prawda? – zapytała opiekunka cicho i z jakimś niesamowitym napięciem w głosie.

Księżniczka w milczeniu skinęła głową.

– Nie bój się, moje dziecko. To tylko obrazki. Są jak opowieści w książkach. Żyją tylko o tyle, ile ty im zechcesz udzielić życia. Weź następną, gwiazdko.

W księżniczce zaniepokojenie i strach walczyły z przemożną ciekawością. Słuchając opowieści czytanych przez panią Lorianę lub nianię, często wyobrażała sobie smoki, rycerzy, wieże z białego kamienia i lasy pełne jednorożców. Ale to, co przeżyła przed chwilą, nie było wyobrażeniem. Ona zobaczyła kobietę siedzącą na tronie. Widziała okrutny uśmiech igrający na jej twarzy i małe, perłowobiałe zęby, wysuwające się spod silnie uszmińkowanych ust. Dokładnie też widziała odciętą głowę. W szaroniebieskich oczach zastygły cierpienie oraz przerażenie. Zlepione krwią włosy były czarne, lecz tkwiły w nich nici siwizny, a twarz poznaczona była bruzdami i zmarszczkami. Ainee pomyślała, a myśl ta graniczyła z pewnością, że głowa na tacy należała do ojca lodowatej piękności, zasiadającej na tronie.

– To jej ojciec, prawda? Ojciec królowej kier?

Kiedy zadawała to pytanie, zobaczyła strumień jaskrawo niebieskiego zdumienia, który zalał ją oślepiającą falą. Ale zaraz potem coś się stało i strumień cofnął się do źródła prawie tak samo szybko, jak się pojawił.

– Tak, dziecko – odparła kobieta. – To jej ojciec. Skąd wiesz?!

– Wiem. – Ainee sięgnęła po następną kartę, zachwycona wrażeniem, jakie wywołała.

Przeciągnęła po licu opuszkami palców. Tym razem obraz pojawił się prawie natychmiast. To był paż trefl. Rozebrany do połowy zwisał z krzyża w kształcie treflowego symbolu. Jego dłonie były rozdarte ostrzami gwoździ, a na twarzy rysowało się cierpienie połączone ze zdumiewającą euforią. Długie, czarne włosy spływały na ramiona w przepoconych strąkach, a klatka piersiowa poznaczona była pręgami po uderzeniach bicia.

Tym razem Ainee nie odłożyła karty tak szybko jak poprzedniej. Chłonęła ją i dostrzegała coraz więcej szczegółów. Na tle treflowego krzyża widać było zamek o strzelistych wieżach, a w promieniach czerwonego słońca wirowały ciemne punkciki. To sępy nadlatywały na żer.

Księżniczka przyjrzała się jeszcze raz krwawym pręgom na piersi mężczyzny i wiedziała, że kiedy go biczowano, to przeżywał coś... coś zdumiewającego, czego charakteru nie była w stanie zrozumieć. Westchnęła i odłożyła kartę, a obraz zniknął sprzed jej oczu.

– Zagramy, kochanie? – spytała łagodnie niania.

– Tak. – Ainee była wciąż myślami przy tym czarnowłosym młodzieńcu, w którego wzroku malowały się tak nieziemski ból i ekstaza.

Wzięła do rąk wszystkie karty. Oprócz tych dwóch figur miała już w ręku same blotki.

Dziesiątkę kierową z dziesięcioma rozdartymi sercami, czwórkę pikową z pikami jak zatrute ostrza i ósemkę karo z karami przedstawiającymi schlapane krwią lustra. Gra była prosta.

Należało odrzucić jedną z kart i wziąć następną z leżącej na stole kupki. Wtedy niania musiała też wziąć kartę z kupki lub sięgnąć po tę, której pozbyła się Ainee, i odrzucić swoją.

W grze chodziło o to, by zebrać i odłożyć trzy takie same karty, niezależnie od tego, czy blotki, czy figury. Chyba, że ktoś zebrał trzy tuzy, wtedy od razu zwyciężał. Księżniczka skupiła się na grze. Rozpoznawała teraz karty za pierwszym dotknięciem, ale nie przyglądała im się zbyt dokładnie. Miała właśnie w ręku tuza pikowego – rycerza na czarnym koniu, z trupią czaszką zamiast hełmu, i tuza kierowego – grubego mężczyznę o upierścienionych palcach, leżącego w łóżu z baldachimem. Marzyła o tym, aby dostać następnego tuza i zakończyć grę. Dotknęła wierzchniej karty leżącej na kupce i nie musiała obracać jej licem, aby wiedzieć, że to marna blotka treflowa. I nagle tak strasznie zapragnęła, aby to był tuz, że poczuła, jak karta pod dotykiem jej palców zaczyna się zmieniać. Najpierw było to jak spojrzenie w mętne lustro odbijające brudną wodę. Ale potem obraz zaczął się zmieniać i przybierać właściwe kształty. Treflowe krzyże uciekły ze środka pola na rogi karty, a w samym centrum wyrosła sylwetka czarnoskórego barbarzyńcy, odzianego w skórę z czarnej pумы, trzymającego w dłoni włócznię o ostrzu w kształcie księżyca. Ainee wyciągnęła tę kartę i triumfalnie wyrzuciła tuzy na środek stołu.

– Wygrałam! – krzyknęła radośnie.

– Tak, perełko – odparła bardzo wolno niania. – Ciekawe tylko, że ja również mam treflowego tuza.

A olśniewająca błękitem rzeka jej zdumienia znów ogarnęła księżniczkę i porwała ją ze sobą, płynąc nie dającym się powstrzymać nurtem.

* * *

Dowódcą fortu był wysoki, szpakowaty mężczyzna o wysuszonej twarzy i bystrych oczach. Nazywał się Graf i królowa Calinne doskonale zdawała sobie sprawę, że w szansie goszczenia przyszłej żony króla upatruje nadziei na ruszenie swej kariery z martwego punktu.

Bo rzeczywiście nie można było czuć się szczęśliwym, dowodząc tą garścią żołnierzy w miejscu opuszczonym przez bogów i ludzi. Oczywiście, w czasie wojny fort byłby jednym z najważniejszych punktów obrony i strzegłby drogi przez góry, aby wróg nie mógł się wdrzeć do serca królestwa. Ale czasy po druzgocącym zwycięstwie barbarzyńskiego władcy były spokojne i nikt nawet nie myślał, aby w ciągu wielu najbliższych lat przełęczom mogła zagrozić inwazja.

Kapitan Graf spodziewał się przybycia królowy i jej orszaku, dlatego też wystąpił z całą pompą, na jaką stać było jego i jego ludzi. Calinne została powitana przez szpaler żołnierzy w wypolerowanych niczym lustra puklerzach, komnaty królowy przygotowano z wielką pieczołowitością, a powitalna uczta przeszła najśmielsze marzenia. Nie wiadomo dlaczego Calinne spodziewała się, że trafi do mrocznych, kamiennych izdebek, a wieczerza składać się będzie z chleba, mięsa i cienkiego wina. Tymczasem w jej komnacie poczesne miejsce zajmowało ogromne łóżko z aksamitnym baldachimem, a kamienne mury wyściełane były ciężkimi gobelinami ociekającymi od srebrnych i złotych ozdób. Kolacji, podanej w komnatach kapitana Gralfa, też nie można było niczego zarzucić. Stół uginał się pod ciężarem kunsztownie przygotowanych potraw z dziczyzny, serów i najlepszych południowych win, które dowódca kazał specjalnie na tę okazję wyciągnąć z piwnic. We wszystkich komnatach wysoko płonęły ognie na paleniskach i w kominkach, a królowa mogła, bez obaw o przeziębienie, ubrać lekkie suknie. Wreszcie też miała okazję założyć złoty naszyjnik z migoczącymi płomienście rubinami, których czerwień odznaczała się na bieli jej skóry.

Dlatego też była głęboko wdzięczna Grafowi i obiecała sobie w duchu, że wyprosi u przyszłego męża jakieś ciekawsze stanowisko dla uprzejmego dowódcy. Książę Harrim też nabrał otuchy i przy stole sypał żarcikami oraz przypowiadkami. Ale dobry nastrój rozwiął

się jak poranna mgła, kiedy książę zapytał:

– Czy będziemy mogli jutro ruszać?

Kapitan Graf spojrział na niego zdumionym wzrokiem.

– Jutro? Czy wasza książęca mość wie, co się dzieje na zewnątrz?

Harrim tylko wzruszył ramionami w odpowiedzi.

– Nie widać nic na dwa kroki! Zadymka! My tutaj nazywamy ją „trzydniowcem”, bo po trzech dniach śnieżycy pogoda się poprawia na jakiś tydzień. Wtedy pojedziecie, chociaż ja radziłbym zostać do

wiosny.

Wysłannik króla, młody mężczyzna, który towarzyszył Calinne w podróży, gwałtownie zaprotestował.

– Jego wysokość nie będzie czekał do wiosny – rzucił ostrym tonem. – Przez tydzień damy radę przejechać. Tu zostawimy, pod waszą opieką, kapitanie, wszystkie wozy i woły. A sami konno ruszymy przez góry. Każ przez te trzy dni przygotować kolebkę dla jej wysokości, bo przeprawa będzie trudna.

Książę Harrim pomyślał, że dobrze się stało, iż nie on wystąpił z pomysłem szybkiej, konnej przeprawy przez ośnieżone szczyty. W razie czego wszyscy zapamiętają, kto poddał tę myśl, a kto zgłosił obawy.

– Czy to nie będzie nazbyt niebezpieczne? – zapytał więc z obłudną troską.

Wysłannik króla rozłożył ręce.

– Będzie niebezpieczne – powiedział. – Jak wszystko tutaj. Ale nie: nazbyt niebezpieczne, bo nigdy nie śmiałybym narazić waszej wysokości na przykre przygody. –

Sklonił głowę przed królową. – Lecz będziemy musieli bardzo się spieszyć i podróż może nie być wygodna.

– Poradzę sobie – odparła Calinne. – W klasztorze co dzień jeździłam konno.

– To nie będzie przejażdżka po lesie. – Wysłannik postanowił być szczery. – Widziałas już, pani, nasze góry, a najgorsze dopiero przed nami.

Kapitan Graf nerwowo splótł palce. Zastanawiał się, kogo monarcha oskarży o niedopilnowanie obowiązków, kiedy królowie przydarzy się po drodze nieszczęśliwa przygoda. Ale jeśli po trzydniowej zawierusze nastąpią dwa tygodnie pięknej pogody, a on, Graf, wyda obecnym rozkaz pozostania w zamku? A rozkaz taki mógł przecież wydać. W

fortecy to on podejmował decyzje. Potem będzie za nie odpowiadał przed królem, ale póki co... Kapitanowi nagle okazja goszczenia przyszej królowej nie wydała się już tak pociągająca, jak jeszcze przed chwilą.

– Kiedy śnieżycy ustąpi, zastanowimy się, co wypada nam czynić – powiedział oględnie.

– Jednak wasza wysokość musi wiedzieć, że jej bezpieczeństwo jest najważniejsze. Nasze góry są groźne, pani. Tu czasem pogoda zmienia się w przeciągu chwili. Widzisz, wasza wysokość, bezchmurne niebo i słońce, a nie minie pacierz i wszystko pogrąży się w mroku, deszczu lub śniegu.

– Ta pogoda jest jak miłościwie nam panujący – zażartował wysłannik, ale w jego słowach dowódca fortu odczytał, a może tylko wydawało mu się, że odczytuje, ukryty podtekst.

Trzy dni w górskiej fortecy upłynęły królownie nadspodziewanie miło. Kapitan Gralf okazał się dobrym gospodarzem, ale nie zadreślał gości swą obecnością. Natomiast poproszony, opowiadał fascynujące historie zarówno o tym, co działo się w górach teraz, jak i co działo się w nich przed dawnymi laty.

– Czy słyszałeś, kapitanie, że po Oczyszczeniu w te góry uciekły niedobitki wiedźm i nekromantów?
– zapytała kiedyś królowna.

– Tak, wasza wysokość, słyszałem o tym. – Skinął głową kapitan. – Ludzie powiadali, że posiadli oni zdolność zasypiania graniczącego ze śmiercią. Znaleźli opuszczone jaskinie, gdzie postanowili zapaść w sen i przeczekać do lepszych czasów. Ale, jako żywo, nikt nie widział w tych stronach ani wiedźmy, ani nekromanty. – Roześmiał się. – Więc to pewnie tylko bajędy.

– Pewnie tak. – Calinne w zamyśleniu dziobała srebrnym widelczykiem kawałek mięsa. –

Jednak opowieści zwykle skądś się biorą.

– Opowiadałem ci, miłościwa pani, też legendę o smoku, mieszkającym w jamie u podnóża Wichrowego Wierchu. Byłem w niej i nic nie znalazłem. Jedynie okoliczni pasterze czasami chronią się w tamtym miejscu w czas śnieżyc. Smoka więc nie spotkałem, a za to zobaczyłem kilka owczych kości, ślady po ognisku i stare buty. – Zaśmiał się. – Nie w każdej legendzie tkwi ziarenko prawdy.

– Zapewne – odparła królowna. – Sądzę, że w czasie Oczyszczenia zabito prawie wszystkich, a ci, którym udało się uciec, umarli z zimna, głodu, chorób i pożarci przez dzikie zwierzęta.

– Masz rację, wasza wysokość. W naszych górach nie przetrwałby nikt dzięki samej magii. To okrutny świat. – Spojrzał w stronę okiennic, tak grubych i tak ściśle zawartych, że nie słyhać było łomoczącej na zewnątrz śnieżycy.

Po wieczerzy Harrim odprowadził królownę do jej komnaty.

– Czy mogę o coś spytać, wasza wysokość?

– Pytaj.

– Nieprzypadkowo zadałaś kapitanowi pytanie o Oczyszczenie, prawda?

– Prawda.

– A więc?

– To nie jest zwykła śnieżycy – powiedziała królowna, patrząc gdzieś ponad ramieniem księcia. – Czuję tu czarną magię, Harrimie. Nie jestem pewna, ale czuję... – urwała na moment. – Długie lata uczono mnie, jak poznawać sygnały wysyłane przez ciemne moce i teraz wydaje mi się... – znowu przerwała.

– Nie zamierzam lekceważyć twych przeczuć – odparł poważnie Harrim. – To ty, pani, byłaś

szkolona przez lata w Jasnym Klasztorze, byłbym więc głupcem, żartując z twych obaw. Czy możemy coś zrobić?

– Tak, kuzynie, możemy. Jeśli ktoś wysła w naszą stronę śnieżycę, to znaczy, że bardzo, ale to bardzo nie chce, byśmy dotarli na dwór króla przed nadejściem wiosny.

– A więc? – poddał Harrim.

– A więc musimy zjawić się tam jak najszybciej – powiedziała twardo Calinne. – I wtedy już, na miejscu... – Nagle do królowny dotarło, że tam, na królewskim dworze, będzie miała już tylko jedno wyjście. Będzie musiała zabić wiedźmę lub nekromantę i na myśl o tym, że ma pozbawić życia myślącą istotę, dreszcz przerażenia przebiegł jej po plecach.

* * *

– Przeszukałam cały zamek. – Księżniczka widziała dojmującą rozpacz w głosie kobiety.

– Ale nigdzie go nie znalazłam.

– Wiesz, jakie są dzieci. – Królewski podpiwniczny był zniecierpliwiony, że oto w tym całym nawale obowiązków dochodzi mu nowy kłopot. – Pewnie schował się gdzieś i zaśmiewa z nas do rozpuku. Daj mu w skórę, kiedy go znajdziesz.

– To trzeci dzień! – zaszlochała kobieta. – Trzeci dzień już go nie ma!

Niania lekko ścisnęła dłoń Ainee na znak, aby szły dalej, ale księżniczka nie ruszyła się z miejsca. Chciała posłuchać do końca tej rozmowy. Ciekawe, gdzie schował się syn służącej?

Księżniczka też czasami wyobrażała sobie, że chowa się gdzieś i wszyscy, bardzo przerażeni i bardzo zaniepokojeni, szukają jej po całym zamku.

– Dobrze – rzekł podpiwniczny. – Każę przeszukać lochy, jeśli to ma cię uspokoić –

westchnął ciężko. – Choć nie wiem, jak szczeniak mógłby przejść przez zamknięte drzwi. A klucze – zabrzączał metalem – mamy tylko ja i dostojny pan Hargald.

– Błagam cię. – Ainee wyobraziła sobie opuchniętą od płaczu twarz kobiety. – Szukaj dobrze.

– Ach, chłopcy – westchnęła niania i pociągnęła księżniczkę, która tym razem ruszyła za nią. – Zawsze z nimi tyle kłopotów. Jak to dobrze, moja perełko, że ty jesteś dziewczynką.

Grzeczną i dystygowaną młodą damą.

– Nie chcę jechać do Klasztoru – powiedziała nagle Ainee. – Dlaczego ojciec chce się mnie pozbyć?

Piastunka pogładziła księżniczkę po włosach.

– To nie tak, gwiazdeczko – odparła. – Ojciec wierzy, że w Jasnym Klasztorze pomogliby ci zrozumieć świat i z tym światem sobie radzić. Z tego, co słyszałam, mieszkają tam naprawdę mądry ludzie...

Ainee widziała, że niania mówi prawdę, ale jednocześnie coś ukrywa. W końcu przeraziła się, kiedy usłyszała, że macocha Ainee pochodzi z Jasnego Klasztoru, a więc musiała się bać mieszkających tam ludzi. Ale księżniczka zauważyła też, że pani Gothre od czasu ich rozmowy o widzeniu słów bardzo starannie maskuje swe prawdziwe uczucia. I teraz też, zanim kolory zdołały popłynąć i zanim Ainee mogła dostrzec ich intensywność oraz barwę, coś je zagarnęło i wepchnęło z powrotem. Księżniczka nie miała o to do opiekunki żadnych pretensji. Doskonale rozumiała, że każdy człowiek pragnie pewnego rodzaju intymności i nie jest zachwycony, gdy jego myśli, czy nawet towarzyszące im emocje są widoczne jak na dłoni.

– Porozmawiasz z moim ojcem? – zapytała.

Niania milczała przez chwilę.

– Nie, perełko – odrzekła szczerze. – Twój ojciec podjął już decyzję i ją obwieścił. Nie mam i nigdy nie miałam tyle władzy, by móc ją zmienić.

– Ale mogłabyś... – księżniczka zacisnęła dłoń staruszki w swojej – spróbować, prawda?

Milczenie było jeszcze dłuższe. Pani Gothre szła zamyślona.

– Nie mogę ci nic obiecać, dziecko – powiedziała w końcu.

Weszły do pokojów niani i ta zamknęła starannie drzwi. Pomogła usiąść księżniczce i nalała jej kielich słabiutkiego jabłkowego wina rozcieńczonego wodą.

– Widzisz, moja droga księżniczko. Wedle naszych praw jesteś spadkobierczynią tronu i przyszłą królową. – Starannie ważyła słowa. – Ale panowie rada i szlachta nigdy nie zgodzą się na rządy niewidomej księżniczki. Twój ojciec chce mieć potomka. Najlepiejsyna, któremu przekaze koronę. A jeśli ty będziesz daleko, w Jasnym Klasztorze, nikt nie upomni się o twoje prawa... Zresztą ty sama, jeśli tam już trafisz, nie będziesz chciała wracać...

– Tu ktoś jest! – zawołała nagle Ainee. – Ktoś jest w twoim pokoju, nianiu!

Brudnoniebieska chmura zdumienia nie zdołała wypłynąć do końca, ale księżniczka i tak ją dostrzegła. Pani Gothre raptownie rozwarła drzwi do sypialni.

– Tam nie ma nikogo, perełko – powiedziała, ale w jej głosie było coś dziwnego.

Ainee widziała strach sączący się z sąsiedniego pokoju. Przerażliwy, zatykający dech w piersiach strach, i słyszała powtarzane wciąż, w kółko i w kółko słowa: „nie rób mi tego, nie rób mi tego, nie rób mi tego”. Ale rzeczywiście, w pewnym momencie zrozumiała, że w pokoju nikogo nie ma. Zostały tylko myśli pełne trwogi, niezwykle ból i tęsknota za uciekającym życiem.

– Tam ktoś umarł. – Drżała na całym ciele. – Prawda, że ktoś tam umarł, nianiu?

Ciepła dłoń starej kobiety przesunęła się po jej ramieniu i włosach.

– Nie, kochanie. To tylko koszmary i zwidy. Ten zamek pełen jest głosów przeszłości i śladów, które mogą odczytać jedynie wiedzący. A ty szybko się uczysz, moja śliczna, i często będziesz słyszeć głosy i w myślach widzieć duchy przeszłości. Ale to nic takiego, dziecko. To tylko złuda.

Pani Gothre mówiła spokojnie, kojącym tonem, a jej dłoń była ciepła i miękka.

Bełkoczący w przerażeniu głos w myślach księżniczki rozwiewał się, cichł, aż wreszcie umilkł. Ainee oparła się wygodnie i podłożyła sobie rękę niani pod głowę.

– Jestem taka zmęczona – powiedziała niewyraźnie. – Dlaczego chce mi się aż tak bardzo spać? – Ziewnęła rozdzierająco i skuliła się w fotelu w kłębek.

Kobieta zabrała dłoń dopiero wtedy, kiedy usłyszała jej spokojny, głęboki oddech.

* * *

Czwartego dnia śnieżycy szalała tak samo, jak pierwszego, drugiego i trzeciego. Może tylko wichura nieco zelżała, ale biała kurtyna śniegu i mgły pokrywała szczyty gór i kładła się na przełęczach. Królowna stała na szerokim, kamiennym tarasie, okutana w futrzaną szubę, z dłońmi ukrytymi w cieplej mufce. Taras był zaledwie kilka metrów nad zamkowym dziedzińcem, ale Calinne nie widziała nic poza mleczną zasłoną. Jedynie gdzieś, na granicy widoczności, majaczyły spoza tej zasłony kontury baszt.

– Sama widzisz, pani – rzekł kapitan Graf. – Musimy czekać.

– Nie możemy czekać.

– Wasza wysokość, podróż teraz to pewna śmierć. Nawet ludzie wychowani w górach zgubiliby drogę...

– Czy masz kogoś wśród żołnierzy, kto tu się urodził, wychował? Kto zna te góry od dziecka?

– Oczywiście, pani. – Kapitan Graf odpowiedział, zanim zorientował się, że w tej specyficznej sytuacji powinien skłamać.

– Przyślij do mnie takiego człowieka. Zaraz, nie... – Królowna zastanowiła się. – Trzech takich ludzi. Odważnych i wychowanych tutaj. Takich, co znają każdy kamień i każdą ścieżkę.

Kapitan smętnie pokiwał głową. Upór królowny drażnił go i niepokoił. Był człowiekiem prostodusznym i mocno stąpającym po ziemi. Wyprawa w najgorszą śnieżycę, poprowadzona tylko dlatego, że królowna podejrzewała, iż na królewskim dworze grasuje wiedźma, wydawała mu się nie tylko najgorszym z najgorszych pomysłów. Była po prostu szaleństwem. Ale postanowił na razie robić dobrą minę do złej gry. Niech królowna porozmawia z żołnierzami, niech dowie się, że

wyprawa jest całkowicie niemożliwa. I niech czeka. Dzień, tydzień, a może aż do wiosny. Tak długo, jak to tylko będzie konieczne.

Jednak dowódca fortu był człowiekiem na tyle uczciwym, że wybrał naprawdę najlepszych ludzi. Trzech jego zwiadowców stanęło w komnacie królowej. Trzech górali, znających ścieżki niedostępne dla innych i potrafiących czytać pogodę z chmur, smakować śnieg, wiatr i deszcz. Posługiwali się nie tylko mową królestwa, ale i własnym narzeczem, w którym było kilkadziesiąt różnych określeń śniegu oraz wiatru. Kapitan Graf nie rozumiał

nawet różnic pomiędzy połową z nich. I wiedział, że nigdy tego nie zrozumie, bo wychował się w mieście na przedgórzu, a do czasu objęcia komendy nad fortem, góry widział jedynie z daleka.

– Oto, pani – rzekł – moi najlepsi zwiadowcy. Nikt nie zna tych okolic jak oni i możesz wierzyć, że powiedzą ci szczerą prawdę.

Królowa skinęła poważnie głową i przyjrzała się uważnie trzem przybyłym żołnierzom.

Wszyscy byli jeszcze młodzi, ale Calinne zdawała sobie sprawę, że to akurat nie ma najmniejszego znaczenia. Tu, w górach, starość wcale nie musiała iść pod rękę z doświadczeniem.

– Chcę, abyście powiedzieli mi, czy możemy dotrzeć na dwór króla – powiedziała.

Mówiąc, delikatnie użyła Głosu, by zachęcić ich do mówienia prawdy, ale jednocześnie nastroić optymistycznie i natchnąć odwagą.

– Najpewniej martwi – burknął jeden z nich. – Wasza wysokość – dodał.

– Ile możemy czekać na zmianę pogody?

– To trydniowiec, jasna pani – rzekł drugi. – Zobaczymy, kiedy się przejaśni.

– Ten trydniowiec trwa już cztery dni – odparła Calinne. – Dziwny tu macie sposób liczenia.

Trzeci z żołnierzy, ten, który do tej pory milczał, zaśmiał się lekko. Królowa zauważyła, że miał równe, białe zęby i jakąś nieoczekiwaną hardość spojrzenia.

– Wasza wysokość, trydniowiec może trwać cztery albo i pięć dni, ale zawsze mija –

powiedział mocnym głosem bez akcentu. – Teraz iść, to szaleństwo, lecz kiedy się przejaśni, trzeba ruszyć bez wahania. Ale nie na koniach, dostojna pani, bo to pewna śmierć. Tylko piesi dadzą radę przejść oblodzonymi szlakami i przedrzeć się przez zaspy. Zajmie nam to tydzień, jeśli pójdziemy górskimi ścieżkami, z dala od głównych szlaków. To trudniejsza droga, ale bezpieczniejsza, bo tam może unikniemy lawin.

– Bredzisz – wybuchnął czerwony na twarzy kapitan Graf. – Chcesz, aby królowa szła na piechotę górskimi ścieżkami? Ja tam nawet widziałem martwe kozice, które spadły ze żlebów!

– My mamy rozum, kapitanie – ośmielił się przeciwstawić zwiadowca. – A kozice – nie.

Od kiedy skończyłem trzy lata, chodziłem po górach najpierw z ojcem, a potem sam czy z towarzyszami. Jeśli królowna rozkaże, przeprowadzę ją do zamku.

Oto następny, któremu uśmiecha się zrobienie kariery na królewskim dworze, smętnie pomyślał kapitan. A jeśli królowna zginęła by w czasie wyprawy? Cóż, wtedy prędej znajdzie się echo w tych górach niż człowieka, który do tej śmierci doprowadził.

– Nie zgadzam się – rzekł. – Nie dam swej zgody – powtórzył.

– Dasz. – Uśmiechnęła się promiennie Calinne. – Ale poczekamy jeszcze do pojutrze. I niezależnie od tego, jaka będzie pogoda – ruszymy. Jak się nazywasz? – zapytała żołnierza.

– Hardal, moja pani. Mam zaszczyt być sierżantem wojsk jego królewskiej mości.

– Zajmij się więc wszystkim, Hardalu. Każ przygotować, co niezbędne do podróży przez góry. Jeśli tylko będziesz czegoś potrzebował, daj znać moim pokojowcom. Liczę na ciebie.

Zwiadowca pochylił się w głębokim ukłonie i razem z towarzyszami wyszedł z komnaty królowny.

– Pani... – Kapitan Graf załamał dłonie. – To pewna zguba! – Odwrócił się, bo usłyszał

trzask otwieranych drzwi. – Jaśnie oświecony książę – rzekł z błaganiem w głosie, widząc Harrima.

– Przecież pójdziemy na śmierć...

– Pójdziemy? – zdumiała się księżniczka. – Chcesz zostawić dowództwo?

– Wolę zginąć w górach niż z królewskiego rozkazu – rzekł szczerze kapitan. – Czy myślisz, że pozwoliłbym, byś poszła sama z tymi góralami?

– Nie zapomnę ci tego. – Calinne popatrzyła na niego uważnie i odwróciła się w stronę Harrima.

– A ty, kuzynku? – zapytała lekkim tonem. – Wybierzesz się na małą wycieczkę?

– Nie – zaprzeczył książę. – I ty również nigdzie nie pójdziesz. Prędej każ kapitanowi zamknąć cię w lochu.

– Podlegam tylko rozkazom króla – rzucił Graf ostro. – Jesteś gościem, panie, i nie zapominaj o tym.

Calinne roześmiała się.

– Widzisz? – powiedziała. – Już mam obrońcę.

– Nie chciałem cię urazić, kapitanie – poddał się Harrim, chociaż gotował się od wewnątrz. Na południu tego człowieka kazano by już wysmagać i zesłano do kopalni lub kamieniołomów. – Ale sam chyba wiesz, że to szaleństwo.

– Drogi kuzynie, drogi kapitanie. – Calinne już się nie uśmiechała. – Jestem pewna, że zadymka zrodziła się na skutek wiedzmiich czarów. A czy wiecie, jaką magię stosują wiedźmy, czarnoksiężnicy i nekromanci?

Usiadła w fotelu, zakładając nogę na nogę. Graf odwrócił szybko wzrok, widząc zgrabną kostkę, która wyłoniła się spod sukni.

– Muszą korzystać z siły żywych istot. Zakłęcie jest tym potężniejsze, im mocniejsza jest istota, którą wiedźma zabija, rzucając czar. Mówiąc zrozumiale: jeśli zabije muchę, zakłęcie będzie słabutkie. A domyślcie się, co trzeba zabić, by wywołać taką zadymkę jak ta?

– Konia? – zaryzykował Graf.

– Kochany kapitanie... – Calinne mimo woli się uśmiechnęła. – Gratuluję ci poczciwości serca. Ale najstraszliwsze zaklęcia działają tylko wtedy, kiedy zabija się człowieka. Bo to w człowieku skupiona została najpotężniejsza ze znanych nam mocy. Większa niż w koniu, wole czy niedźwiedziu. Moc nieporównywalna z niczym innym.

– Więc ktoś tam zabija ludzi? – zapytał z niedowierzaniem Harrim. – Przecież go złapią!

To nie zapadła wieś, tylko królewski dwór! Sama wiesz, jak trudno ukryć cokolwiek na dworze. A co dopiero morderstwo oraz czary!

Kapitan Graf tylko pokiwał przytakująco głową.

– Nie – odparła twardo księżniczka. – Nie mamy do czynienia z dworzaniem, który morduje w gniewie przyjaciela i z przerażenia sam wpada w ręce justycjariuszy. Nie jest to rabuś, zabijający dla pełnej kiesy. To ktoś bardzo stary, bardzo sprytny i bardzo przerażony moim przybyciem. Wyobraźcie sobie kogoś... – Królowna wstała i nagle wydała się Grafowi niezwykle jasna, niezwykle wysoka i niezwykle potężna. Jej głos grzmiał niczym dzwon, ale nie przerażał, tylko onieśmielał. – Kogoś, kto uratował się z Oczyszczenia. Kto umknął przed śledztwami, stosami i Inkwizytorami. Kto przespał całe wieki w opuszczonej jaskini. Kto po przebudzeniu żywił się robakami i małymi zwierzętami po to, by przybrać znów ludzki kształt. O takim człowieku mówimy. Bezwzględny i groźny. O kimś, czyja siła wyrosła z nienawiści oraz samotności. O kimś, kto wyćwiczył się w mrocznej sztuce w sposób znany tylko starożytnym mistrzom.

Calinne usiadła z powrotem w fotelu. Graf przetarł oczy. Siedziała przed nim osiemnastoletnia dziewczyna o chłodnej, alabastrowej twarzy i bystrych oczach. Wiedział, że do końca życia nie zapomni, iż ujrzał ją w zupełnie innej postaci. Albo wydawało mu się, że ujrzał.

– Czy twoje zaklęcia mogą nam pomóc, moja pani? – zapytał cicho po chwili.

– Byłam tylko dziesięć lat w Jasnym Klasztorze – odparła. – Zaledwie zaczęłam nowicjat.

Ale zrobię, co tylko w mojej mocy. Cokolwiek by się działo – pojutrze ruszamy!

Calinne leżała przykryta puchowymi pierzynami. W kominku płonął ogień, a na blacie sekretory stała miseczka wystygłego już rosołu. Jak przez sen pamiętała, że ktoś poił ją tym rosołem, kiedy jeszcze był gorący niczym płynny ogień. Obok, na zydlu, siedział postawny, czarnobrody mężczyzna o pobrużdżonej zmarszczkami twarzy i zatroskanym spojrzeniu.

Poznała, że nie może to być nikt inny, tylko jej przyszły mąż. Portrety, które widziała na dworze ojca, nieco upiększały rzeczywistość, ale i tak królowie na pierwszy rzut oka spodobała się ta męska, szczerza twarz.

– Twoja odwaga jest niesłychana – rzekł król z podziwem, ale i wyczuwalnym zaniepokojeniem w głosie. – Niewielu ludzi odważyłoby się dokonać tego, czego ty dokonałaś. Lecz nie ryzykowałam życiem tylko, by szybciej wziąć ślub, prawda? Więc wyjaw mi, jeśli możesz, cóż takiego skłoniło cię do przedsięwzięcia tej szalonej wyprawy?

Calinne spodziewała się podobnego pytania, gdyż nie sądziła, by król wziął za dobrą monetę tłumaczenia, które zapewne przekonały jego dwór. Jak przez mgłę pamiętała, że, odnaleziona przez królewskich zwiadowców, bełkotała coś o szybkim ślubie i o tęsknocie.

Cóż, górale będą mieli następny, piękny temat do legendy.

Teraz cała podróż wydawała się królowie przerażającym snem. Zgłuszony przez wichurę krzyk Harrima, spadającego w przepaść, której dno ginęło w mlecznej otchłani. Martwy wzrok jednego ze zwiadowców, który złamał nogę i sam postanowił, że zostanie, gdyż niosąc go, zginęliby wszyscy. Skóra, płatami odpadająca z odmrożonych policzków kapitana Gralfa.

I ten młody sierżant, który pewnego ranka wstał, bez słowa zanurzył się w mlecznobiałą mgłę i już z niej nie wrócił.

Ale czy mogła wyjawić królowi prawdę? Powiedzieć, dlaczego zdecydowała, że warto poświęcić życie tych wszystkich ludzi? Czy sam władca nie wiedział o wiedźmie lub nekromancie, grasującym na jego dworze? Nie, odpowiedziała sama sobie, nie wiedział z całą pewnością. Mroczne sztuki cieszyły się złą sławą w pamięci barbarzyńców z północy. Jak to się działo, że to głównie subtelni, delikatni i wyrafinowani ludzie z południa schodzili na złą drogę? Przecież w czasie Oczyszczenia, głównie południowców palono na stosach i rozrywano końmi. W każdym razie tych, którym udało się ująć z życiem z chłopskich obław dowodzonych przez Inkwizytorów.

Królowa westchnęła i zdecydowała się mówić prawdę. Prawdę, całą prawdę i nie używać nawet Głosu. Jeśli jej przyszły małżonek wyczułby, iż usiłuje go oczarować za pomocą Głosu (a niektórzy ludzie to potrafili), mógłby już na zawsze stracić zaufanie do jej prawdomówności. A w tej chwili na tym właśnie zaufaniu zależało jej najbardziej na świecie.

Władca wysłuchał jej bardzo spokojnie, nie przerywając i nie zadając pytań.

– Jesteś wychowanicą Jasnego Klasztoru – rzekł wreszcie. – I nie mam powodu, by nie ufać twoim słowom, zwłaszcza, że narażałaś życie, by dowieść prawdy. Wiem, że uważacie nas za barbarzyńców, ale ja czytałem książki o Oczyszczeniu i rozprawie z nekromantami.

Powiedz mi więc: kto to jest?

– Nie wiem – odparła Calinne, zdumiona, iż przekonała go tak szybko. W tej samej chwili przyszło jej na myśl, że być może to małżeństwo będzie mniejszym poświęceniem, niż do tej pory sądziła. – Nie wiem, ale się dowiem. I to bardzo szybko. Żadna wiedźma, żaden czarnoksiężnik i żaden nekromanta nie potrafi się ukryć przed moim wzrokiem. I nie myśl, mój panie, że przeceniam swe możliwości. Adeptci mrocznej sztuki są po prostu na zawsze otoczeni aurą, która jest dla nas widoczna jak na dłoni. Potrafią ją chować, lecz nie potrafią się jej pozbyć. A kiedy śpią, nie umieją jej w żaden sposób kontrolować.

– Dobrze więc – stwierdził. – Zarządę śledztwo, zwołam dworzan...

– Nie, panie. – Calinne naprawdę się przeraziła. – Zostaw to tylko mnie. Dam ci znać, kiedy poznam prawdę, a wtedy uczynisz, co uważasz za stosowne. Ale potrzebna nam tajemnica. Czy chcesz, aby twoi ludzie zaczęli zajmować się śledzeniem czarownic i czarowników? Czy chcesz, by szaleństwo ogarnęło twój dwór? Szaleństwo wzajemnych podejrzeń i oskarżeń? Szaleństwo strachu i nieufności?

Nie powiedziała władcy o jednym. O starym przesądzie, który mówił, iż kiedy zło pojawi się po raz wtóry na świecie, wtedy wrócą Inkwizytorzy. Jasny Klasztor sprzymierzył się z nimi w czasie Oczyszczenia, ale pamięć o uczynkach tych ludzi była niemal tak samo przerażająca, jak pamięć o samych nekromantach.

– Masz rację, pani – odparł król po chwili namysłu. – Rozkażę jednak postawić straż pod twoimi drzwiami. Kazałbym czuwać kapitanowi Gralfowi, bo jest tak samo szalony jak ty, ale on jeszcze długo nie wstanie z łoża. Pozostawiam ci obmyślenie dla niego stosownej nagrody.

– Uśmiechnął się lekko i jego surowa, kwadratowa twarz stała się w tym momencie prawie, że miła.

Ujął jej dłoń w swoją i poczuła, jak silne są jego ręce.

– Ale teraz najważniejsze jest twoje zdrowie – rzekł z prawdziwą troską. – I wiedz, że nic złego już się nie może stać.

Królowna oddała mu uścisk i uśmiechnęła się ze zmęczeniem. Rozmowa wyczerpała ją, król to zauważył. Podniósł się z zydła.

– Pozwól, iż odwiedzę cię jutro – powiedział. – A teraz śpij. Jesteś już bezpieczna.

Calinne skinęła głową, ale wiedziała, że będzie bezpieczna dopiero wtedy, kiedy ciało adepta mrocznych sztuk spłonie w oczyszczających płomieniach. Ale nie mogła bronić się przed zmęczeniem i snem. Zresztą, musiała nabierać sił, jeśli chciała jak najszybciej odkryć, gdzie ukrywa się odwieczny wróg, który przecież nie powinien w ogóle istnieć.

Obudziła się w środku nocy. Za oknami panowała przejmująca cisza. Od kiedy tylko trafiła do zamku, śnieżyca i wiatr minęły. Rozwarła okiennice i zobaczyła rozgwieżdżone niebo. Odetchnęła lodowatym powietrzem, a potem zaczęła się ubierać. Gdy była już gotowa, delikatnie otworzyła drzwi. W przedpokoju siedziało dwóch żołnierzy w kolczugach, z halabardami w dłoniach. Obaj drzemali,

wspierając się nawzajem. Calinne pokręciła tylko głową. Jeśli to byli najlepsi żołnierze króla, to jak zachowaliby się ci najgorsi? Cichutko wyszła na korytarz i wyszeptwała zaklęcie. Zdawała sobie sprawę, że od tej pory ciężko ją będzie już zobaczyć i usłyszeć, a jeśli nawet spotka kogoś na zamkowych korytarzach, to ten ktoś zlekceważy jej obecność i może nawet nie będzie pamiętać o incydencie.

Bardzo wyraźnie czuła mroczną aurę pulsującą w zamku. Słabą, przytłumioną, ale jednak obecną. Nie знаła rozkładu korytarzy i kruzganków, lecz przyzwyczajona do istnych labiryntów na własnym dworze, poruszała się instynktownie, szybko i sprawnie. Szła śladem tej aury, która gęstniała, w miarę jak zbliżała się do jej źródła. I wreszcie trafiła dokładnie tam, gdzie chciała. Stała przed zwykłymi, drewnianymi drzwiami z żelazną klamką. Dotknęła jej palcami. Drzwi były zawarte od środka, więc przymknęła oczy, szeptem wypowiedziała zaklęcie i usłyszała zgrzyt odsuwanej od wewnątrz sztaby. Weszła do komnaty, zamykając za sobą drzwi. Doskonale wiedziała, że powinna powiadomić króla. A on żołnierzy, którzy pochwycają nekromantę, zakują go w srebrne kajdany i przygotowują stos. Ale nie mogła się oprzeć temu, by samotnie zakończyć sprawę, którą rozpoczęła. W końcu była adeptką białej sztuki i nie wolno jej cofnąć się przed niebezpieczeństwem!

W komnacie było ciemno, lecz królowna potrafiła niezłe radzić sobie w mroku. Nie na tyle jednak, by dostrzec niewielką postać, skuloną w stojącym przy samych okiennicach fotelu.

– Czekałam na ciebie – dobiegł ją cichy głos starej kobiety.

Calinne drgnęła, ale momentalnie się opanowała.

– Kim jesteś, wiedźmo? – spytała lodowatym tonem. – Jak śmiałaś skalać ten zamek swoją obecnością?

– Kim jestem? – Czarownica ledwo dostrzegalnie wzruszyła ramionami. Wzrok Calinne przyzwyczał się już do ciemności i dostrzegała nawet najdrobniejsze szczegóły. – Któż to może pamiętać? Moje życie przed Oczyszczeniem wydaje mi się jak odległy sen. – Mówiła z jakąś przerażającą monotonią, która spowodowała, że królowna poczuła dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa. – Byłam piękna i młoda, i uwielbiana. A potem... Lata i wieki w mroku... Zimno, wilgoć, koszmary... I obudzenie. I znowu miesiące... miesiące, kiedy żywiłam się dżdżownicami, pajakami i nietoperzami, wysysałam krew ze szczurów, pożerałam je razem z futrem i kośćmi. I odżyłam... ale młodość już nie powróciła, moja piękna królowno-czarodziejko... Nie powróciła...

Calinne zorientowała się, że wiedźma rzuca na nią czar, i szybko wyszeptwała kontrzaklęcie. Stara kobieta uśmiechnęła się.

– A więc nauczyli cię czegoś w Jasnym Klasztorze – powiedziała. – Dobrze wiedzieć, że magia nie umiera. – Królowna zrozumiała, iż wiedźma kpi, i to ją rozgniewało.

– Wystarczy, że krzyknę – wycedziła. – I na nic przydadzą się twoje czary.

– Dlaczego więc nie krzyczysz?

Calinne chciała odpowiedzieć, ale nie mogła znaleźć sensownej odpowiedzi. Właśnie...

Dlaczego nie wezwała pomocy? Ale czy był jakikolwiek sens kogoś wołać? Krzyczeć po nocy w tym spokojnym, uspiętym zamku, gdzie życie toczyło się ospałym, monotonnym rytmem? Czy nie lepiej po prostu usiąść w fotelu i przyjąć kielich wina z rąk miłej staruszki?

A kim właściwie była ta osoba? Królowna wpatrzyła się w łagodną, pobrużdżoną zmarszczkami twarz i nie mogła sobie przypomnieć, skąd zna starą kobietę i dlaczego trafiła do jej pokoju. I nagle trzasnęły otwierane drzwi.

– Nianiu, nianiu! – Usłyszała dziewczęcy głos. – Miałam straszny sen!

Zły czar prysnął jak bańka mydlana. Calinne uniosła się z fotela i krzyknęła. Wysokim, przerażającym krzykiem, wibrującym gdzieś na granicy słyszalności. Głosem, który nie mógł

zrobić krzywdy nikomu, kto nie parał się mroczną sztuką. Ale wiedźma poleciała na ścianę i skuliła się przy niej, ogłuszona i chwilowo bezbronna. Kątem oka królowna dostrzegła dziewczynkę w długiej, białej koszuli nocnej. Dziecko, słysząc jęk starej kobiety, podbiegło do niej i wpadło w jej rozwarte ramiona.

– Nianiu, nianiu! – krzyknęła. – Nianiu, co się dzieje?

Pani Gothre widziała królownę. Wysmukłą, dumną, jaśniejącą. Jakby unoszącą się tuż nad ziemią. Jej potęga zniewalała i wiedźma poczuła, że nastał kres.

– Kim jesteś? – Ainee nie mogła widzieć Calinne, ale doskonale zdawała sobie sprawę z jej obecności. Czowała strach i rezygnację opiekunki, a jednocześnie chłodną pogardę, bijącą od tej kobiety o przerażającym głosie, która stała tuż obok.

– Jestem Calinne, przysłała żona twojego ojca – powiedziała królowna, bo od razu poznała małą księżniczkę. – Odejdź, moje dziecko.

Ainee jeszcze mocniej przytuliła się do staruszki.

– Zostaw nas – szepnęła.

Królowna bała się o życie dziewczynki, ale nie mogła dopuścić, by wiedźma odzyskała siły po ciosie. Teraz wiedziała, że nie musi wzywać pomocy. Była panią sytuacji. Sama zniszczy czarownicę, tak jak tego uczono w Jasnym Klasztorze.

Ainee z przerażeniem słuchała monotonnych, dźwięcznych słów. I doskonale sobie zdawała sprawę, że one zabijają nianię. Poczowała ból, kiedy pomyślała, że ją utraci. Jej ciepły ton i łagodne dłonie, jej zapach i uścisk ręki. Zrozumiała, że nikt nie nazwie jej już skarbem, gwiazdką, kochaniem i perełką, że kiedy będzie jej źle, to nie schowa się w niczyich ramionach, że od tej pory będzie we władzy przerażającej damy o sprawiającym ból głosie. I wtedy skierowała właśnie przeciw niej całą siłę swego strachu, żalu i rozpacz. Dźwięczny głos załamał się w pół słowa, a Calinne jęknęła z bólu, który zdawał się przeszywać na wylot jej trzewia i serce. Straciła dech w płucach i osunęła się na

kolana. Zobaczyła, jak pani Gothre wstaje, i nie widziała już niskiej staruszki o łagodnej twarzy. Przed nią stała czarna dama o policzkach wyschniętych jak stary pergamin. Oczy wiedźmy jaśniały czerwienią niczym żarzące się węgle.

– Czas na ostatnie zaklęcie, królewno – powiedziała pani Gothre, a ból był tak dojmujący, że Calinne nie mogła odpowiedzieć nawet słowem. Była w stanie tylko patrzeć, słuchać i starać się opanować ogień, który płonął w jej żyłach.

– Na potężne zaklęcie, którego niewielu dotychczas użyło. I czas na poświęcenie naprawdę silnej żywej istoty. – Calinne zobaczyła, jak dłonie starej kobiety dotykają ramion małej księżniczki.

Usłyszała głos czarownicy i poznała treść zaklęcia, choć nie знаła nikogo, kto kiedykolwiek odważyłby się je wymówić. Mogła mu się przeciwstawić. Być może. Lecz resztkę sił, które jej pozostały, poświęciła, aby otoczyć ochronnym kloszem małą księżniczkę.

Wiedziała, że jeśli ochrona poskutkuje, to straszny czar nie zadziała. A przynajmniej miała taką nadzieję.

Kiedy pani Gothre wypowiadała ostatnie słowo, w powietrzu świsnął bełt, a pierzasta strzała utkwiała w jej piersi. Plama szkarłatu wykwitła na czarnej sukni. Król minął swego żołnierza i podbiegł do osuwającej się po ścianie staruszki. Pchnął mieczem prosto w serce i patrzył w jej oczy, kiedy umierała. A w tych oczach była tylko rozpacz i niezrozumienie.

– Zdążyliśmy na czas, pani. – Władca, ciężko oddychając, podniósł Calinne z ziemi, jak piórko, i przycisnął ją do piersi. – Już po wszystkim!

* * *

Ainee budziła się z głębokiego snu. Ze snu, z którego nie chciała się obudzić. Pamięć o minionych zdarzeniach wróciła jako fala bólu i rozpacz. Wyczuła zapach ojca, wyciągnęła dłoń i napotkała jego rękę.

– Wszystko już dobrze. – Usłyszała jego głos. – Najważniejsze, że żyjesz. Ona cię uratowała.

Księżniczka poczuła, że ojciec wkłada jej rączkę w zimną, upierścienioną dłoń o wysmukłych palcach, i cofnęła się z przerażeniem. Poczowała zapach perfum i wiedziała, że obok siedzi przyszła macocha. Ta, która zamordowała nianię. Rozplakała się, kryjąc twarz w poduszkę.

– Czy zostawisz nas same, mój słodki królu? – zapytała Calinne, uśmiechając się do przyszłego męża.
– Chciałabym zamienić kilka słów z księżniczką.

– Ojczu, nie zostawiaj mnie! – krzyknęła Ainee, ale król wstał i tylko uspokajająco poklepał ją po ramieniu.

– Oczywiście – rzekł. – Może ty zdołasz ją uspokoić, pani.

Księżniczka leżała z twarzą wtuloną w poduszkę i szlochała bezradnie. Nie słyszała nawet trzasku

zamykanych drzwi, ale wiedziała, że ojciec wyszedł i zostawił ją sam na sam z tą przerażającą kobietą. Poczowała dotyk jej dłoni na ramionach i wzdrygnęła się.

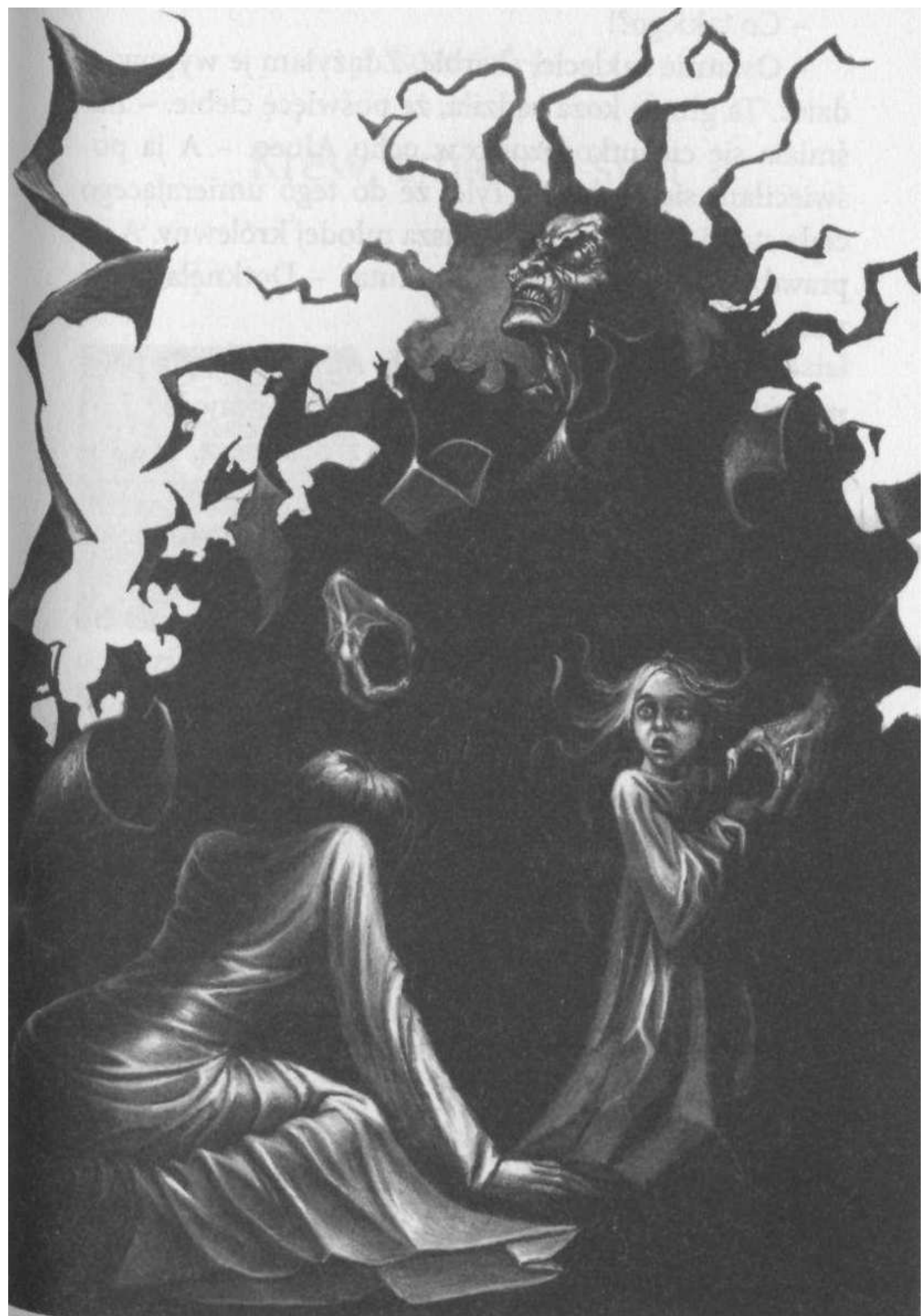
– Nie bój się, kochanie. – Cichy głos był jak tchnienie letniego wiatru. – Przecież mądry człowiek poznaje, czy w skrzynce jest perła, czy szkiełko, prawda?

Ainee przestała szlochać i uniosła się na łokciu.

– Coś ty powiedziała? – zapytała.

– Ludzkie ciało jest tylko skrzynką, perełko. – Chłodny policzek dotknął policzka Ainee.

Czuła usta tuż przy swoim uchu i świeży oddech królowny. – I twoja stara niania postanowiła przenieść się do innej skrzynki. – Usłyszała rozbawienie w słowach młodej kobiety.



– Co takiego?!

– Ostatnie zaklęcie, skarbie. Zdążyłam je wypowiedzieć. Ta głupia koza sądziła, że poświęcę ciebie.

– Zaśmiała się cichutko prosto w ucho Ainee. – A ja poświęciłam siebie samą. Tyle, że do tego umierającego ciała starej kobiety weszła dusza młodej królowny. A ja, prawdziwa ja!, znalazłam się... tutaj. – Dotknęła piersi wskazującym palcem.

– Nie rozumiem – wyszeptała Ainee, ale była pewna, że kobieta, kimkolwiek by była, mówi prawdę.

– Wiem, perełko. Ale wszystko zrozumiesz. W swoim czasie.

Wstała i roześmiała się znowu radośnie, patrząc na własne odbicie w lustrze.

– A teraz nawet nie próbuj chorować, skarbie. Bo nadszedł czas zabaw i wesela! Uczt i bali!

– A Jasny Klasztor? – zapytała Ainee.

– O, tak – powiedziała pani Gothre z jakimś przerażającym rozmarzeniem. – Kiedyś tam się zjawimy, gwiazdko. Ale jeszcze nieprędko. Teraz nadszedł dla nas czas wspaniałego i długiego życia. – Spojrzała jeszcze raz w swoje odbicie, które uśmiechało się do niej radośnie z lustra. – Bardzo, bardzo długiego życia – dodała.



Rozdział 4

Krew, śmierć i świt

einherd Vardesaavre siedział na kozle wozu i czyścił usmarowane R krwią rękawice. Wydawał się zupełnie pochłonięty tym zajęciem, bo też, Bogiem a prawdą, nie miał nic więcej do roboty. Jego żołnierze spędzali na dziedzińcu resztki wrogów, kryjącą się po zakamarkach służbę oraz tych z rodziny Achenbachów, którzy mieli nieszczęście pozostać przy życiu. Panujący w tej chwili zgiełk i rwetes wydawał się niczym w porównaniu z tym, co działo się jeszcze przed momentem. Jeszcze godzinę temu, kiedy na dziedzińcu trwała zajadła walka, ukryci na blankach łucznicy strzelali do napastników, a margrabia Achenbach w złocistej zbroi szalał jak rozjuszone zwierzę. Ale teraz margrabia leżał w kałuży własnej krwi, metr od koła wozu, i dyszał ciężko, puszczając z ust

czerwoną pianę. Reinherd miał nadzieję, że nie umrze prędzej niż zobaczy zagładę swej rodziny i swego Domu. Wiedział, że ma święte prawo do poniżenia wroga i do tej satysfakcji.

Trwająca sto dwadzieścia trzy lata wojna właśnie się skończyła.

Vardesaavre'owie i Achenbachowie byli sąsiadami oraz lennikami cesarskimi, więc starcia pomiędzy oboma rodami raz wybuchały, a raz przygasały. Czasem się godzono, czasem nawet próbowano swatać młodszych przedstawicieli obu rodów, zaprzysięgano przyjaźń przed cesarskimi sądami. Wszystko to nie miało znaczenia. Ani przedtem, ani tym bardziej teraz. Nienawiść pomiędzy Vardesaavre'ami a Achanbachami dała się ugasić tylko krwią, a wojna miała trwać póty, póki żyć będzie ostatni z rodu. I wreszcie nadszedł dzień triumfu. Dzisiaj wszyscy Achenbachowie zdechną właśnie tu, na dziedzińcu własnego zamku, pomyślał Reinherd. A ja będę patrzył, jak umierają. Mężczyźni, kobiety i dzieci. Wszyscy.

Tak, by nikt już nigdy nie wzniósł miecza w imię rodowej zemsty. Żałował tylko, że nie znalazł lepszego miejsca niż drabiniasty wóz, wyładowany beczkami z piwem i winem. Ale cóż, stąd właśnie mógł obserwować cały dziedziniec, a jednocześnie być odpowiednio blisko miejsca akcji.

Podniósł oczy znad rękawic i poszukał wzrokiem swego doradcy i powiernika, Dietricha.

Dietricha, który zapewnił mu zwycięstwo dzięki mądrości i sztuce czytania starych map.

Uśmiechnął się do niego samymi ustami, a Dietrich odpowiedział uśmiechem i podszedł do wozu.

– Jakie to uczucie? – zapytał. – Zakończyć wojnę po wieku walk?

– Wielkie! – odparł z uczuciem Reinherd i odrzucił rękawice na tył wozu. – Wielkie, wielkie, wielkie – powtórzył i splunął w stronę konającego margrabiego. Roześmiał się. –

Mój ojciec zawsze powtarzał, że ten, kto zmiażdży Achenbachów, będzie na wieki żył w pamięci przyszlých pokoleń i uraduje dusze przodków. I to właśnie ja... – urwał i potarł

knykciami jasny zarost, który rzadką, miękką szczecinę porastał mu brodę.

Do wozu zbliżył się kapitan Madlok. Ogromny, ponury, w pogiętym i zakrwawionym półpancerzu. Z rany na lewym policzku krew spływała mu strużką na rudą, postrzępioną brodę.

– Co mamy robić dalej, wasza miłość? – spytał.

Reinherd objął spojrzeniem dziedziniec. W najdalszym kącie stłoczono służbę i prostych żołnierzy. Oni przeżyją, bo młody Vardesaavre nie uważał się za okrutnika i zabójcę, mordującego bezmyślnie niewinnych. Wiedział, że ci ludzie nie mieli nic wspólnego z rodowym sporem. Chcieli po prostu zarobić na miskę stawy i mieć dach nad głową. Zły los powiódł ich do zamku Achenbach, ale nawet zły los może się odmienić. Dalej trzymano oficerów i znaczniejszych dworzan. Nad ich losem Reinherd ciągle się zastanawiał. Ale pod krużgankiem byli ci, których nienawidził najbardziej. Achenbachowie. Żona margrabiego, jego stryjeczny brat, kuzyn, dwie córki i dwóch małych synów. Dwóch? Reinherd obrócił się gwałtownie w stronę Madloka.

– Gdzie Freidrich? – warknął.

– Szukamy go, wasza miłość – odparł kapitan. – Pewnie się schował pod łóżkiem, czy gdzie tam. Jak to dziecko...

– Pewnie tak. – Reinherd uspokoił się.

Freidrich miał dopiero osiem lat, lecz wiek był tu bez znaczenia. Za siedem następnych lat byłby już dojrzałym chłopcem i mógłby ponieść miecz rodowej zemsty. Jednak nie dożyje tej chwili. Teraz śmierć wyda mu się niesprawiedliwa, ale Vardesaavre miał nadzieję, że dusza chłopca zrozumie, iż nie było innego wyjścia. I, że on sam uczyniłby to samo, gdyby dorósł i gdyby los ofiarował mu podobne szczęście. Reinherd stanął na kozle wozu.

– Wy wszyscy – pokazał na służbę i żołnierzy – jesteście wolni. Idźcie w pokój, gdzie zechcecie, lub zostańcie tu i przysięgnijcie mi wierność.

W ciszy rozległy się nagle okrzyki radości, a kilka kobiet zaczęło głośno płakać i tulić się jedna do drugiej.

Vardesaavre słyszał to i widział wyraźnie, a coś mile załaskotało go w głębi serca.

– Cisza! – wrzasnął kapitan Madlok. – Jego dostojność nie skończył.

– Wy natomiast... – Reinherd wskazał na oficerów i znaczniejszych dworzan. Nie zostało ich wielu po bitwie. – Musicie ponieść karę za to, iż służyliście złu z pełną tego świadomością. Kapitanie! – zwrócił się do Madloka. – Każ im wymierzyć po sto batów, a ci, co przeżyją, niech idą precz, jak ich Bóg stworzył.

Jakiś oficer Achenbachów ruszył w stronę wozu z głośnym warknięciem, ale jeden z żołnierzy pchnął go włócznią i potem przyszpilił do ziemi. Oficer wciągnął z charkotem powietrze w płuca i skonał. Żołnierz oparł mu stopę na piersi, wyszarpnął ostrze z ciała.

Reinherd pokiwał głową z uznaniem.

– Każ wypłacić premię temu zuchowi – rzekł głośno w stronę kapitana, ale tak, by wszyscy słyszeli. Nikt więcej nie próbował już beznadziejnego oporu.

Powiodł wzrokiem wokół, wciąż nie mogąc się przyzwycząić do myśli, że oto jest tutaj –

na dziedzińcu zamku odwiecznego wroga. I stoi wraz z wierną drużyną, by wziąć udział w ostatecznym przedstawieniu. A jego nazwa? – zamyślił się Reinherd. „Zagłada rodu Achenbach”, dopowiedział w myślach. Właśnie tak: „Zagłada rodu Achenbach”. Być może ktoś kiedyś w stolicy napisze sztukę o tym wydarzeniu, a Reinherd miał tylko nadzieję, że w jego rolę wcieli się aktor potrafiący porwać tłumy.

– Wnieście pień – rozkazał.

Żołnierze w kilku podtoczyli na środek dziedzińca dębowy pień. Niedawno ścięty i dobrze wyprofilowany, tak, by po położeniu nań głowy uwidaczniał się kark ofiary.

Vardesaavre sprowadził też z miasta kata, bo po pierwsze, nie chciał, by któryś z jego żołnierzy zajmował się brudną robotą, a po drugie, pragnął, by wszystko zostało wykonane z pełną fachowością.

Kat – zwalisty mężczyzna w czarnej pelerynie i czarnym kapturze – podszedł wolnym krokiem do pniaka. W dłoniach trzymał wielki, oburęczny miecz. Reinherd sam podziwiał

własną wielkoduszność. Oto nie każe powiesić ani ściąć toporem zaprzysięgłych wrogów.

Zginą jak szlachta, honorowo, od miecza. Miał nadzieję, że zdobędą się w głębi serc na choć odrobinę wdzięczności. Wyobrażał sobie ochy i achy, które rozlegną się wśród publiczności, kiedy na scenę wejdzie aktor w czarnym kapturze. Ale być może reżyser uzna za celowe założyć mu szkarłatny kaptur, aby podkreślić nieuchronność wyroku.

– Petrus, ty pierwszy – powiedział, wskazując palcem stryjecznego brata margrabiego.

Ten spojrział na Reinherda i splunął. A potem śmiałym krokiem podszedł w stronę pniaka.

– Reinherd! – wrzasnęła margrabina. – Diable nasienie! Czy myślisz, że cesarz ci to daruje? Ludzie! – wydarła się jeszcze głośniejsze. – Cesarz ukarze was wszystkich na gardle!

Odstąpcie, póki czas!

Jeden z żołnierzy pchnął ją między piersi drzewcem włóczni i kobieta zatchnęła się, jęknęła i przysiadła, łapczywie chwytając powietrze, niczym wyrzucona na brzeg ryba.

– Milcz, ropucho – rzekł spokojnie Reinherd – bo każę ci wyrwać ozór.

Patrzyła na niego wybałuszonymi, pełnymi bólu oczyma. Starsza z córek przysiadła obok niej i głaskała po siwych, skołtunionych włosach. A pomyśleć, że jeszcze niedawno margrabina brylowała wśród gości w jedwabnych sukniach i w lśniącej, diamentowej koliai otaczającej białą szyję.

Vardesaavre przeniósł wzrok na leżącego u stóp wozu margrabiego. Achenbach leżał i dyszał, a z każdym oddechem z jego ust wydobywał się krwawy bąbel.

– Oprzyjcie go o wóz – rozkazał Reinherd – bo nie zobaczy wszystkiego.

Uśmiechnął się do własnych myśli. Jak tę scenę zagra aktor? Czy nie powinien wypowiedzieć jakiegoś wzniósłego zdania? Hmmm...

– Oto nadeszła zagłada, Achenbach – rzekł w końcu podniosłym tonem. – Zaczynaj w imię Boga, mistrzu małodobry.

Kat skłonił się Reinherdowi, a potem podszedł do Petrusa i zaszeptał mu coś na ucho.

Prosił o zwyczajowe wybaczenie i otrzymał je. Stryjeczny brat margrabiego uklęknął i spokojnie położył głowę na pniu.

– Niewygodne – stwierdził głośno. – Nawet tego nie potrafisz, bękarcie!

Vardesaavre puścił uwagę mimo uszu, chociaż bał się, że rumieniec mógł jednak wypełznąć na jego policzki. Urodził się dziesięć miesięcy po wyjeździe ojca na cesarską wyprawę i ten opóźniony poród był jego zmorą. Choć przecież trudno szukać cnotliwszej kobiety niż księżna Vardesaavre. Ale złe języki, wspomagane plotką, intrygą i pieniędzmi Achenbachów, wciąż, uporczywie, od lat powtarzały: bękart, bękart, bękart.

– Czyń swoją powinność – rozkazał.

Kat wznosił miecz i opuścił go, tnąc czysto, za jednym zamachem oddzielając głowę od tułowia. Głowa potoczyła się kilka metrów od pnia, a bluzgający krwią kadłub opadł na ziemię.

– Jak kapłon – zaśmiał się Reinherd i mrugnął do Dietricha. Ten odmrugnął, krzywiąc usta.

Margrabina zaczęła wyc przejmującym, przeraźliwym i rozpaczliwym wyciem zranionego zwierzęcia. Vardesaavre pomyślał, że reżyser będzie musiał obsadzić w tej roli kogoś dysponującego naprawdę silnym głosem.

– Teraz Knud. – Wskazał kuzyna margrabiego.

Żołnierze ściągnęli z dziedzińca bezgłowe ciało Petrusa, a jeden z nich wziął za włosy głowę, podrzucił ją i kopnął z rozmachem w powietrzu. Głowa poszybowała i upadła z łomotem pod krużganek. Reinherd roześmiał się, a margrabina zawyła jeszcze głośniejsze, więc dał znak, by ją uciszono. Po chwili leżała na ziemi ze zmiażdżonymi ustami i wybitymi zębami, a żołnierz ocierał zakrwawiony but o jej suknię.

Knud nie potrafił się zachować z taką godnością jak Petrus. Drżał, słaniał się w rękach żołnierzy, a na kata, który znowu coś wyszeptał w jego stronę, patrzył błędnym, otępiętym wzrokiem. W końcu kat dał spokój i silną ręką nagiął go nad pniem. Knud szarpnął się, ale jeden z żołnierzy huknął go opancerzoną dłonią w nerki i mężczyzna opadł na kolana, wymiotując pod siebie. Kat tym razem się pospieszył. Nie ciął tak czysto jak przedtem.

Zahaczył ostrzem o ramię.

– Lizetta – rzekł Reinherd, wskazując młodszą córkę margrabiego.

Margrabina resztkami sił chwyciła córkę w objęcia.

– Nie dam! Nie dam! – wyrzeszczała zachrypniętym głosem, jakby ktoś pilnikiem przejechał po gładkim marmurze.

Ale Lizetta uwolniła się z objęć matki i wstała. Reinherd widział, że krew odpłynęła z jej twarzy, lecz była spokojna. Żołnierz pchnął butem margrabinę, która próbowała się czepiać kraju sukni córki,

i popchnął Lizettę w stronę pnia.

– Ile ona ma lat, Dietrich? – zaszeptał Reinherd.

– Piętnaście – odpowiedział doradca.

Kapitan Madlok zbliżył się do wozu.

– Wasza miłość – rzekł cicho. – Czy wasza miłość jest pewien, że kobiety też? Cesarz...

– Cesarz ma ważniejsze sprawy na głowie, mój kapitanie – odparł wyniośle Vardesaavre.

Lizetta dotknęła ramienia kata, coś szepnęła do niego, a on pochylił głowę. Potem uklękła. Wydawała się spokojna, ale Reinherd widział, iż dłonie drżały jej tak bardzo, że musiała chwycić palcami pień. Czy dla sztuki ta scena będzie wystarczająco dramatyczna?

I czy sympatia publiczności nie skieruje się w stronę skazanej dziewczyny? Cóż, Reinherd sam serdecznie i szczerze współczuł córce margrabiego. Gdyby zależało to tylko od niego, chętnie darowałby jej życie. Ale wiedział, że w ten sposób pogrzebałby cały plan. W końcu z łona Lizetty mógł się narodzić mściciel, a i ona sama na pewno próbowałaby spiskować na cesarskim dworze.

– Może klasztor? Więzienie? – Madlok próbował ocalić życie dziewczyny oraz jej siostry, a Reinherd zastanawiał się, dlaczego tak mu na tym zależy.

Nie miał jednak żalu do kapitana. Wręcz podziwiał jego odwagę i próbę obrony własnych przekonań. Sam w jego sytuacji zapewne uczyniłby to samo. Ale w tym wypadku nie mógł

być tylko człowiekiem. Był Vardesaavre'em, mieczem zemsty. A miecz nie może kierować się sumieniem. Liczy się tylko skuteczność.

Może w czasie odgrywania sztuki należałoby pokazać dramat miłosny? Ukochany Lizetty pada na kolana przed Reinherdem i błaga o życie dziewczyny? Nie, nie, pokręcił głowę w myślach, z punktu widzenia dramaturgii z pewnością byłby to zabieg udany, ale jeszcze bardziej skierowałby sympatię widzów w stronę Achenbachów. Może ja sam powinienem napisać tę sztukę? – zamyślił się.

– Wasza dostojność? – Madlok przypominał o swoim istnieniu.

– Nie, nie. – Reinherd rozłożył bezradnie dłonie. – Nie mogę, kapitanie. Proś, o co chcesz, ale nie o życie jednego z Achenbachów, bo to tak, jakbyś chciał odebrać moje.

Dobre! – przyklasnął sobie w myślach. To było dobre!

Kat znowu ciął gładko i czysto, a głowa Lizetty sfrunęła z pieńka i zastygła na ziemi tak, że martwe szklane oczy wpatrywały się prosto w Reinherda. Upięte na szczycie głowy włosy rozsypały się. Margrabina nie wyła już, tylko bełkotała z twarzą przyciśniętą do ziemi. Za to margrabia wyjęczał coś chrapliwie, a z ust wyszedł mu szczególnie duży i wyjątkowo kolorowy bąbel.

Reinherd ruchem podbródka pokazał Dietrichowi konającego Achenbacha i obaj uśmiechnęli się, kiedy bąbel pękł, pokrywając policzki margrabiego kropelkami czerwonej piany. Ciekawe, jak to można oddać na scenie? – zastanowił się Vardesaavre. Tak, żeby nawet w najdalszych rzędach wszystko było widać. Może pęcherz ze świńską krwią?

– Czas na ciebie, Margot – powiedział do starszej z córek margrabiego, szesnastoletniej piękności o czarnych, głębokich oczach i włosach błyszczących niczym krucze skrzydła.

– Zapłacisz za to, przeklęty bękarcie – rzekła Margot mocnym głosem. Szarpnięciem uwolniła rękę, za którą chwycił ją żołnierz. – Sama pójdę!

Teraz powinienem coś odpowiedzieć, pomyślał w panice Reinherd. Ale co?

– Wybaczam ci, Margot. Tak jak wybaczam wszystkim Achenbachom ich zbrodnie, krzywdy i przestępstwa. Będę się za was modlił każdego wieczora.

Dziewczyna roześmiała się.

– Błazen – skwitowała i pokręciła głową.

Wyjęła z sakiewki u pasa złotą monetę i podała katu. Ten przyjął ją z głębokim ukłonem i pokazał dziewczynie, jak najwygodniej ułożyć głowę na pniu. Ale Margot najpierw urwała kraj sukni i starła z drewna krew.

– Estetka – zaśmiał się Reinherd w stronę Dietricha, a potem zerknął na margrabiego, by zobaczyć, czy stary aby nie umarł. Na szczęście, nie. Pierś nadal podnosiła mu się w powolnym oddechu, a w kącikach ust i na brodzie gromadziła się krwawa piana.

Reinherda powoli wszystko zaczynało już nużyć. Wychodziło chyba zmęczenie bitwą, a i wcześniej koszmarnym przedzieraniem się przez na w pół zasypane, wilgotne lochy. No, ale w końcu dzięki tej sekretnej drodze mieli w ogóle szansę zaskoczyć obrońców. Ach, wierny Dietrich i jego mapy! Cóż to za nieoceniony skarb – Reinherd nagle się rozczulił. Jednak teraz najchętniej opuściłby scenę i zanurzył w balii z gorącą wodą, albo dał się wysmagać brzożowymi witkami w łaźni. A potem uczta, wino i noc z którąś z ładniejszych służebnic.

Właściwie szkoda, że nie zatrzymałem Margot, przemknęło mu przez myśl. Cóż to byłoby za przeżycie! Wspólna noc z nienawidzącą mnie dziewczyną, na której oczach wymordowałem całą jej rodzinę. Czy próbowałaby wykupić życie uległością, czy byłaby jak pies, którego trzeba najpierw poskromić i wytresować, by potem lizał dłoń pana? No, tak czy inaczej, niebezpieczny byłby to pies i gotów się w każdej chwili rzucić do gardła.

Tak pograżył się w rozmyślaniach, że dopiero stuk ostrza o pień wyrwał go z zadumy.

Był nawet zadowolony, widząc głowę Margot na dziedzińcu, bo obawiał się, że jeszcze trochę, a dałby się zwieść niebezpiecznej pokusie zatrzymania dziewczyny. A w końcu nie mógł rujnować misternego planu dla zachcianek. Jestem tylko sługą zemsty, pomyślał, i moje uczucia nie mają wpływu na to, co muszę czynić. Może to byłby dobry tytuł? „Służebnik zemsty”. Hmmm... By

podkreślić fakt nieuchronności przeznaczenia, wobec którego nieważne stają się uczucia zarówno przegranych, jak i zwycięzców.

Pokonanie Achenbachów było tylko pierwszym krokiem na drodze do triumfu. Chwila prawdziwej chwały nadejdzie, kiedy Vardesaavre'owie zostaną oczyszczeni z zarzutów przez cesarza, a ziemie Achenbachów oficjalnie przejdą pod ich władanie. Reinherd miał

nadzieję, że młody władca jest zanadto zajęty walkami na pograniczu i dławieniem mieszczańskich buntów. Nie miał chyba ochoty na konflikt z rodem może nie nazbyt potężnym, ale starożytnym i godnym. Bo jeśli zdecydowałby się najechać zbrojnie ziemie Vardesaavre'ów, to czy inni arystokraci nie zadadzą sobie pytania: kiedy najedzie nasze włości i jaki znajdzie ku temu powód? Zresztą zamek Vardesaavre był tak potężną fortecą, że nawet niewielki oddział mógł jej skutecznie bronić przed całą armią. Teraz ponadto Vardesaavre'owie będą mieć zamek Achenbach, a i jemu nie można było odmówić dobrego przygotowania. Czy cesarz zdecydowałby się nadciągnąć z silną armią i machinami oblężniczymi? Reinherd śmiał w to wątpić. Los cesarza-ojca musiał go nauczyć, iż wojen z arystokracją nie toczy się bezkarnie, a stare rody nie zapomniały, jak trzyma się miecz w garści. Nie zapomniały też sztuki intryg, pochlebstw i przekupstw.

– Panie? – zagadnął Dietrich. – Kto następny?

Fridholz i Manfred – dwaj jasnowłosi bliźniacy – mieli tylko po jedenaście lat i Reinherd głęboko bolał nad losem, który tak szybko przetnie nić ich młodego życia. Kat został

wcześniej powiadomiony, jakie czeka go zadanie, i zażądał dodatkowej opłaty za wykonanie wyroku na dzieciach, bo nawet znane z bezwzględności miejskie ławy nie zasądzały wyroków śmierci na dzieciach młodszych niż dwunastoletnie. Może trzeba ich było zgładzić po cichu i powiedzieć, że zginęli w bitewnej zawierusze? – zamyślił się Reinherd. Ale teraz było za późno na tego typu rozważania. To Dietrich nalegał na jawne rozwiązanie problemu.

– Nie pomyślałeś o samozwańcach, wasza dostojność? – zapytał. – że jeśli śmierć potomków margrabiego będzie znana jedynie garstce ludzi, to pojawią się chłopcy, podający się za cudownie ocalałych z pogromu? Musisz rozwiązać wszelkie wątpliwości.

Wtedy przyznał rację wywodom Dietricha, a dodatkową satysfakcję sprawiał mu fakt, iż margrabia na własne oczy ujrzy zagładę spadkobierców i umrze bez nadziei na zemstę, z przekonaniem, że jego ród zakończy się na nim samym. Ale teraz nie był już taki pewien słuszności dokonanego wyboru. Zwłaszcza, że kiedy żołnierze prowadzili pierwszego z chłopców, usłyszał nawet wśród swoich ludzi niechętnie szept.

– Łaski, książę – krzyknął jeden z oficerów Achenbachów. – Nie plam honoru krwią niewinnych dzieci!

Reinherd zmarszczył brwi i potarł z zakłopotaniem brodę. Należało ich zabić po cichu, a potem zwłoki wystawić na dziedzińcu, rozzłościł się. I na siebie, że nie wpadł wcześniej na ten pomysł, i na Dietricha, który nalegał na publiczną egzekucję. Obiecał sobie, że ośmioletni Freidrich nie umrze tak jak jego bracia. Małe dziecko można udusić bez trudu nawet poduszką, a potem po prostu pokaże się

jego ciało dworzanom, służącym i żołnierzom, tak by nie powstały żadne plotki.

– Szczerze boleję nad każdym utraconym życiem. – Stał na kozle wozu i rzekł na cały głos. – Lecz okrutne przeznaczenie nie pozostawia mi wyboru.

* * *

Reinherd wiedział, że w jego pamięci ten dzień zachowa się jako chwila triumfu, ale też żalu i wstydu. Kiedy splamione krwią jasne główki bliźniaków potoczyły się po ziemi, młody Vardesaavre dojrzał łyż nawet w oczach jednego ze swoich oficerów, a kilku żołnierzy obróciło głowy na bok. Gdy ścinano margrabinę, na dziedzińcu panowała cisza. Ból zastygły w jej twarzy, ból kobiety, która utraciła dzieci, posiadłość i zaraz utraci życie, był tak wielki, że nawet Reinherd poczuł drgnięcie gdzieś głęboko pod sercem. Oblicze margrabiny było jak wykuta w kamieniu rzeźba przedstawiająca rozpacz i spokojne szaleństwo. Jej oczy były puste niczym zgaszone zwierciadła. Umarła jak gdyby nie obchodziło jej, czy będzie jeszcze żyć. I chyba naprawdę tak było. Wyrok na Achenbachu, który miał być chwilą radosnego triumfu, zmienił się w żalną parodię. Nieprzytomnego, okrwawionego margrabiego zaciągnięto na pień i pospiesznie ścięto. Kilku żołnierzy wzniosło radosne okrzyki, ale jakoś dziwnie zabrzmiały one na martwym dziedzińcu.

Potem już wypędzono dworzan i oficerów (Reinherd wydał rozkaz, by ich jednak nie batożyć, bo sam uznał, że przedstawienie posunęło się zbyt daleko), a służbę zagoniono do sprząwania, naprawiania i czyszczenia zamku. Żołnierze cały czas szukali małego Freidricha, a Vardesaavre wyznaczył wysoką nagrodę dla tego, kto znajdzie ostatniego z Achenbachów. Żołnierzom niebiorącym udziału w poszukiwaniach ani niepełniącym straży kazał odszypuntować kilka beczek znamienitego wina z loszku margrabiego. Wiedział, że szybko zapomną o rzezi na dziedzińcu, zwłaszcza, że następnego dnia miało dojść do podziału łupów. Oficjalnego i uczciwego. Tak doradził Dietrich. Złoto i kosztowności zostaną zsypane na stos, a potem podzielone. Jedna czwarta dla Reinherda, reszta dla żołnierzy oraz oficerów w zależności od rangi. To pozwoli im zapomnieć o wstydzie i zagłuszy wyrzuty sumienia. Pełna kieska przekona ich szybciej niż rozgrzeszenie kapłanów, o które Reinherd również zadbał.

Teraz młody Vardesaavre pławił się w kadzi pełnej gorącej wody, a obok na zydelku siedział Dietrich i popijał wino ze srebrnego kielicha z herbem Achenbachów.

– Trzeba będzie je stopić – powiedział, patrząc uważnie. – Wszystko, co ma wygrawerowany herb Achenbachów.

– Jak trzeba, to trzeba. – Reinherd mimo woli się skrzywił, bo Achenbachowie znani byli z zamiłowania do pięknych przedmiotów, i szkoda będzie wydać je na pastwę żaru w hutniczym piecu. Nie tak miało być – dodał, myśląc o rzezi na dziedzińcu. – Nie tak...

Dietrich bez przekonania skinął głową.

– Stało się – odparł. – Zapomną.

– Pewnie zapomną – rzekł Reinherd wbrew sobie, bo rozumiał, że sprawy się mogą różnie potoczyć.

Czy stugębna plotka nie uczyni z niego niesprawiedliwego okrutnika? Czy gawędziarze i bardowie nie rozniosą po karczmach całego cesarstwa historii o godnych współczucia Achenbachach i bezlitosnym Vardesaavre? Reinherd doskonale wiedział, iż autorzy sztuk wystawianych w stolicy często korzystali z legend, przypowieści i podań, przeprawiając je na swoją modłę. Czy nie tak będzie i tym razem? A, palicho teatry! Gorzej, że otoczenie cesarza może dać posłuch złym językom.

– Napiżemy list do cesarza – powiedział Reinherd. – I do naszych wszystkich kuzynów.

Wśród starej szlachty przyjęło się nazywać kuzynami nawet nie spokrewnionych i nie skoligaconych członków rodu. Całe szczęście, że Achenbachowie nie cieszyli się wśród nich specjalną estymą. Nieustająco starali się podkreślać starożytność swego rodowodu, a to nie sprzyjało rozwijaniu przyjacielskich uczuć. Inaczej postępował Vardesaavre – zawsze uprzejmy, skłonny do pomocy, dbający o utrzymywanie stałej korespondencji, uważnie śledzący, komu właśnie rodzi się potomek, kto wydał za mąż córkę, a kto wsławił się znamienitym czynem. I nigdy nie zapominający o grzecznych oraz serdecznych gratulacjach.

Miał nadzieję, że ta misterna, koronkowa robota teraz przyniesie efekty. Zresztą, pomyślał

Reinherd, ja przecież naprawdę taki właśnie jestem: żyj i daj żyć innym, oto moje przykazanie. Które dotyczyło wszystkich, oprócz Achenbachów.

– Oczywiście, że napiszemy – przytaknął Dietrich. – Wszystko się ułoży, mój panie.

– Pewnie tak – powtórzył Reinherd, ale jak na złość nie mógł zapomnieć o dwóch jasnowłosych, zakrwawionych główkach na szarym piachu dziedzińca i martwej twarzy margrabiny, która tak naprawdę umarła, zanim ostrze katowskiego miecza spadło na jej kark.

Teraz już nawet wspomnienie kolorowych, krwawych bąbli, unoszących się znad ust starego Achenbacha, nie było w stanie go rozbawić.

Palnął otwartą dłonią w lustro wody, by rozpędzić złe myśli. Gorące krople bryznęły mu w oczy.

– Znajdź mi ładną dziewczkę – rozkazał. – Widziałeś tam jakąś nową?

– Widziałem. – Pokiwał głową Dietrich i uśmiechnął się. – Nawet niejedną.

– To znajdź ze dwie – zaśmiał się Vardesaavre i pomyślał, że już niedługo zapomni o wszystkim, co złe. Bo przy ciepłych, chętnych i młodych ciałach smutne myśli wyparują niczym plwocina na gorącym piasku.

– Kiedy rozpoczniemy poszukiwania, mój panie? – zagadnął Dietrich.

Z rozmowy wynikać mogło, że doradca proponuje poszukiwania ładnych dziewczek, ale Reinherd po powadze jego tonu poznał natychmiast, o co chodzi, że usłyszy te właśnie słowa, spodziewał się prędzej czy później. Każdy bowiem ma swoją cenę. I wszystko ma swoją cenę.

Człowiek oraz przysługa, którą oddaje.

Dietrich oddał Vardesaavre'om przysługę godną królewskiej nagrody. A nie żądał za nią zbyt wiele. Zwłaszcza, że pragnął rzeczy, o których istnieniu nie wiedzieli nawet sami Achenbachowie. Zresztą Reinherd przypuszczał, że to tylko mrzonki. Chociaż mapa mówiła prawdę przynajmniej w jednym. Starożytne lochy, wiodące znad rzeki do samego zamku, istniały. Zapewne kiedyś, przed setkami lat, miały pełnić rolę ewakuacyjnego wyjścia dla obrońców. Pozwalały również na sprawne przeprowadzenie rajdu na tyły wroga. A Achenbachowie o lochach nie wiedzieli, gdyż należały one jeszcze do starej twierdzy, stojącej w ruinie w czasach, kiedy zasiedlali te ziemie. Dziwne jednak, że przez tyle lat nie udało im się odkryć tajnych przejść. Łut szczęścia, pomyślał Reinherd. Zwykły łut szczęścia, decydujący czasem o losach ludzi, rodów, a nawet całych królestw.

– Jutro, gdy tylko zechcesz – odparł. – Ale na twoim miejscu nie spodziewałbym się zbyt wiele. Nawet jeśli mapy mówią prawdę, wszystkie te księgi zamieniły się dawno w strzępy.

Jeśli szczęście będzie nam sprzyjać, może znajdziemy jakieś resztki. Tak czy inaczej, wdzięczność i nagroda cię nie ominą.

– Sądzę, że je zabezpieczono – powiedział Dietrich. – Za pomocą magii.

– Magii? – prychnął Vardesaavre. – Wierzysz w te bzdury? No, ja wiem, że istnieją czarownice, wiemy, czy jak je tam nazwać. Ale prawdziwa magia? Taka jak z dawnych legend?

– Ależ mój panie. – Roześmiał się Dietrich. – Magia istnieje naprawdę. Czarodziejki z Jasnego Klasztoru znają wiele magicznych obrzędów, a sam widziałem czarodziejów w Alehandrii, kiedy tam studiowałem.

– Mieli niebieskie kapelusze w srebrne gwiazdy? – zadrwił Reinherd.

Dietrich upił solidny łyk wina z kielicha, a Vardesaavre zauważył, że jego doradca z trudem hamuje złość. Rozbawiło go to.

– Woda stygnie – rzucił rozkapryszonym tonem. – Podaj mi ręcznik, wyjdę już.

Dietrich posłusznie wstał i dał baronetowi śnieżnobiałą, wykrochmaloną płachtę. Ten otulił się szczelnie.

– Co teraz będziesz robił, mój panie? – zapytał doradca i Reinherd wyczuł w jego głosie jakąś głęboko tajoną złośliwość. – Teraz, kiedy nie ma już Achenbachów?

Vardesaavre chciał się roześmiać, ale nagle waga tego pytania uderzyła go jak obuchem.

Właśnie, co będzie robił bez swych wrogów? Spiski, intrygi na cesarskim dworze, szpiegostwo, podkupywanie ludzi, zapewnianie sobie poparcia starych rodów – wszystko to było już niepotrzebne. Achenbachowie przestali istnieć i nie było z kim walczyć.

– Ja... ja... – zająknął się Reinherd, ale nie mógł dokończyć, bo Dietrich odwrócił się z lekkim uśmiechem na bladych ustach.

– Pójdę poszukać tych dziewczek – rzekł. – Niech je tam domyją i wyszykują przed nocą.

* * *

Reinherd obudził się w środku nocy z głową ciężką od wina. Po jego lewej stronie leżała jasnowłosa dziewczyna z wielkimi piersiami i oddychała ciężko przez zapchany nos. Róg kołdry osłaniał tylko jej brzuch. Drugą z dziewczyn baronet kazał odesłać jeszcze wieczorem, bo była zanadto skromna, przerażona jak zbity pies i potrafiła tylko leżeć nieruchomo z rozłożonymi nogami i zamkniętymi powiekami. A nie to Reinherd cenił w kobietach. Uniósł

się i syknął głośno, bo zabołało go pod czaszką.

– Dddiabli – mruknął. – Po co tyle piłem?

Wysunął stopy nad zimną posadzkę i namacał palcami futrzane pantofle. Wciągnął je i podszedł do stolika. Łyknął wina prosto z dzbana i na początku myślał, że zaraz zwymiotuje, ale potem rozjaśniło mu się w głowie. Niemal po omacku (bo dalszej części komnaty nie oświetlał już księżyc pobłyśkujący zza okiennic) podszedł do drzwi i nacisnął klamkę. W

komnacie siedziało dwóch żołnierzy i grali w karty. Na stole płonęły świece zamocowane w pięcioramiennym, srebrnym kandelabrze. Widząc baroneta, mężczyźni zerwali się na równe nogi.

– Siedźcie, siedźcie – nakazał łaskawie Reinherd. – Dobry wieczór, Alofs – dodał, bo poznał starszego ze strażników. – Znaleźli już Freidricha?

– Nie, mój panie – odparł żołnierz – ale szukają cały czas.

– Niedołęgi – warknął baronet.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewał. W głębi serca liczył na to, że dowie się już o pochwyceniu najmłodszego z Achenbachów i łaskawie będzie mógł wypłacić nagrodę swym pilnym żołnierzom. A tu nici zarówno z Freidricha, jak i szczodrości oraz nagrody.

– Ilu was szuka?

– Nie wiem, jaśnie wielmożny. – Żołnierz wyraźnie był zakłopotany, ale też i nie jego zadaniem było zajmować się poszukiwaniami. – Pan kapitan sam się tym zajął.

– Przynajmniej tyle – westchnął Vardesaavre. – No, siadajcie wreszcie. – Sam przysunął sobie krzesło. – Napijcie się ze mną wina?

Alofs spłonął rumieńcem.

– Pokornie dziękujemy waszej dostojności, ale kapitan...

– Kapitan, kapitan – rzekł z rozdrażnieniem Reinherd. – Powiecie mu, że ja kazałem. No, Alofs, rusz

tyłek i przynieś dzbanek z sypialni. Jest na stole.

Oczywiście wartownicy mieli surowo zabronione picie na służbie, ale w końcu baronet mógł łamać zakazy, które sam niegdyś wydał. Żołnierz wrócił szybko z sypialni, niosąc dzbanek, a jego towarzysz wyciągnął ze skrzyni trzy kielichy z herbem Achenbachów.

Reinherd sam rozlał trunek.

– Wasze zdrowie! – Wzniósł toast. – Żebyście nigdy nie żalowali służby u Vardesaavre’ów.

– Niech tak będzie – odparł poważnie Alofs. – Mój ojciec służył ojcu waszej dostojności, a da Bóg, mój syn będzie służył waszemu synowi.

– Tylko trzeba go najpierw zmaistrować – zaśmiał się baronet i stuknął kielichem w kielich Alofsa.

Młodszy z żołnierzy był wyraźnie przerażony towarzystwem Vardesaavre’a i stuknął się z nim tak delikatnie, jakby srebro mogło się rozsypać od mocniejszego uderzenia.

– Najwyższy czas, wasza dostojność. – Przytaknął Alofs, a jego towarzyszowi wyraźnie zaparło dech w płucach, kiedy usłyszał słowa, które uznał za straszliwy nietakt.

Ale starsi żołnierze doskonale wiedzieli, że z baronetem można rozmawiać jak z równym.

To też był element gry Reinherda, lecz tę grę akurat lubił. Pojawić się nieoczekiwanie na ślubie pomniejszego dworzanina, niskiego szarżę oficera albo nawet zwykłego żołnierza, wręczyć kosztowny prezent, wypić parę kielichów wina i odejść, pozostawiając obecnych w pełnym zachwycie osłupieniu. O tak, takie gesty nadzwyczaj odpowiadały Vardesaavre’owi.

– Miałem się żenić z córką księcia Bergenfold – powiedział. – Żebyście widzieli, jaka to była kłępa. Przekupiłem malarza Bergenfoldów i namalował jej prawdziwy, nie upiększany portret. Piłem potem całą noc.

Alofs roześmiał się.

– Aby miała szerokie biodra.

– Też prawda. – Skinął głową Reinherd, wypił wino do końca i wstał. Obaj żołnierze zerwali się na równe nogi.

– Jak tylko złapią Freidricha, natychmiast mnie budźcie – rozkazał. – Aha, Alofs, co ty mówiłeś o synu? Masz syna?

– Tak, wasza miłość. Idzie mu dwunasty rok.

– Daj mu coś ode mnie. – Zdjął z palca pierścień ze szmaragdem. – Niewiele to warte, ale niech ma pamiątkę.

– Pokornie dziękuję, wasza miłość. – Wartownik przyklęknął na jedno kolano, ale Reinherd pokiwał mu dłonią, żeby wstał, i skierował się do sypialni. Zatrzymał się w progu.–

A jutro bądź u mnie w komnacie w południe – powiedział po namyśle. – Pomożesz mi w czymś.

* * *

Freidrich jakby zapadł się pod ziemię. Reinherd, zaraz po obudzeniu i odesłaniu cycatej dziewczki (ze stosownym, choć nie nazbyt kosztownym prezentem, gdyż służby nie należy przecież nadmiernie rozpuszczać), wysłuchał raportu kapitana w milczeniu pełnym tajonej złości. Jednak nie mógł nic zarzucić przeprowadzonym poszukiwaniom. Nic, z wyjątkiem efektów. A raczej ich braku.

– Nie rozumiem – rzekł w końcu lodowatym tonem. – Jak to się stało, że kilkunastu żołnierzy nie mogło odnaleźć jednego smarkacza. Madlok, czy ty wiesz, co to dla mnie znaczy? Co to znaczy dla Vardesaavre’ów?

– Doskonale, wasza dostojność – odparł kapitan. – Przysięgam, że szukają pilnie. Nawet teraz, kiedy rozmawiamy. Pozwoliłem sobie ogłosić, że kto odnajdzie Freidricha, nieważne żołnierz, sługa czy niewolny, otrzyma od waszej dostojności sto srebrnych koron i ziemię w dzierżawę. Teraz trzeba ludzi gonić do ich roboty, bo wszyscy chcą tylko szukać.

– Hojnie rozporządzasz moim majątkiem – burknął Reinherd, zły, bo sto srebrnych koron było królewską nagrodą. – Ale dobrze zrobiłeś.

– Myślę, że ktoś go ukrywa, wasza dostojność – powiedział kapitan. – Przesłuchaliśmy ochmistrzynię i piastunki, panny do towarzystwa Lizetty i Margot, kuchenne, bieliźniane, no, wszystkich. Zagroziłem, że wasza dostojność każe żywcem drzeć pasy z każdego, kto ukryje dzieciaka.

– Co najmniej pasy – mruknął Reinherd. – I nie zauważyłeś nic podejrzanego?

– Nic, mój panie.

– Każ je wziąć na męki – rozkazał po dłuższej chwili i z pewnym wahaniem.

Reinherd uważał się za człowieka nowoczesnego i oświeconego. Był wrogiem stosowania zbędnej przemocy i zawsze uważał, że człowieka łatwiej jest kupić łaskawym obejściem niż strachem. Lepiej nagradzać niż grozić. Lepiej kupować niż zabierać. Do tej pory takie postępowanie przynosiło dobry plon.

– Kogo, mój panie?

– Ochmistrzynię – odparł Vardesaavre. – I piastunkę.

– Wybacz, wasza dostojność, ale nie robiłbym tego na twoim miejscu.

– To ciekawe, Madlok. – Baronet napełnił sobie kielich, nie proponując wina kapitanowi.

– Serce ci mięknie? Wczoraj też nie byłeś zachwycony egzekucjami...

– Staram się służyć waszemu rodowi, panie. Najlepiej jak umiem. A jak wolicie, bym milczał i wykonywał rozkazy, niech i tak będzie... – W głosie oficera można było wyczuć urazę.

– Pokój. – Reinherd wznosił dłoń. – Pokój, Madlok. Nie sprzeczejmy się, przyjacielu.

Mów, proszę. Usiądź.

Kapitan przysiadł na krześle, a Reinherd napełnił winem drugi kielich.

– Więc? – poddał.

– Piastunka Freidricha to leciwa kobieta, mój panie – rzekł Madlok. – Wychowała wszystkich Achenbachów. Starego też. Zna wszystkich i wszyscy ją znają. Nie przyjmą dobrze, jeśli weźmiemy ją na tortury. Zresztą jest słaba. Zdechnie, nim cokolwiek z niej wyciśniemy.

– A ochmistrzyni?

– Czemu nie? – Kapitan pokiwał głową. – Z tego, co wiem, ta stara jędza załazła wszystkim za skórę. Ale nie sądzę, by cokolwiek wiedziała.

– Dobrze. – Reinherd wstał. – Zabierzcie się za nią. Niech kat postępuje jednak ostrożnie.

Niech ją rozciągnie ze dwa razy, każe wysmagać, zresztą, sam wie najlepiej. Publicznie. Na dziedzińcu. Niech wiedzą, że nie będzie litości dla zdrajców. – Zamyślił się na chwilę. –

Dobrze, idź już. I, na Boga, znajdźcie tego gnojka.

Madlok wstał, skłonił się lekko i opuścił komnatę. Reinherd niedługo jednak był sam. Nie minęła chwila, a do drzwi rozległo się pukanie i w komnacie zjawił się Dietrich.

– Jestem gotów, mój panie. Alofs już czeka w korytarzu.

– Robotnicy? – spytał Reinherd.

– Trzech, wasza dostojność.

– Idźmy więc. – Baronet podniósł się z krzesła. – Jednak sądzę, że marnujemy czas.

– Według mapy przejście jest pod zachodnim skrzydłem, w piwnicach za magazynem wina. Jeśli przebijemy się w tym miejscu... – Dietrich próbował rozłożyć na stole mapę, ale Reinherd strzepnął niedbale palcami.

– Rób, co uważasz za stosowne – rzekł. – To twoje poszukiwania.

Magazyn z winami był ciemnym i zimnym pomieszczeniem o kamiennych, lekko pochylonych

ścianach. Wszędzie stały dębowe beczki, podzielone z uwagi na czas leżakowania trunków. Pod ścianami stały drewniane półki, na których ułożono zielone i brązowe butle, w których dojrzewały najstarsze roczniki. Magazyn był wielki, podzielony na kilkanaście mniejszych komnat, połączonych wąskimi korytarzykami. Strop zawieszono nisko, więc Reinherd, który był roslym mężczyzną, musiał pochylać głowę, by nie szorować ciemieniem po kamieniach. Alofs i jeden z robotników nieśli pochodnie, a Dietrich od czasu do czasu kazał im dokładnie oświetlać ściany, które uważał za podejrzane. Przy niektórych też zatrzymywał się i ostukiwał je małym młoteczkim, uważnie przy tym nasłuchując. Przy kolejnej takiej próbie Reinherd pozwolił sobie na szerokie i głośne ziewnięcie.

– Jeśli wasza dostojność jest znużona, poradzę sobie sam. – Dietrich odwrócił się w stronę Vardesaavre’a, a jego blada twarz w migotliwym blasku pochodni przybrała niepokojący, zacięty wyraz.

– Nie wyspałem się – wyjaśnił Reinherd. – Ale z przyjemnością będę ci towarzyszył. Pod warunkiem, że wrócimy na obiad – dodał.

– Oczywiście, mój panie – mruknął doradca i z powrotem odwrócił się do ściany.

Tymczasem baronet wziął z półki jedną z butelek, obejrzał ją pod światło i zgrabnym ruchem utracił szyjkę. Powąchał, a potem spróbował.

– Niezłe – rzekł. – Naprawdę niezłe. Spróbuj, Alofs.

Żołnierz ostrożnie przechylił butelkę do ust i łyknął potężnie.

– Mmmm – powiedział. – Wyśmienite, wasza miłość.

– Pij, wezmę sobie następną.

– Tu, tu. – Dobięł ich rozedrgany głos Dietricha. – Kujcie tutaj!

Majster spojrzał w stronę Reinherda, a ten przyzwolił mu gestem dłoni.

– Róbcie, co mówi – rzekł.

Robotnicy ustawili się przy ścianie i zaczęli skuwać kamienie oskardami. Baronet skinął

na Alofsa i obaj usiedli z dala od hałasu oraz fruujących w powietrzu złomków. Dietrich nerwowo rozkładał mapę na posadzce i przyświecał sobie pochodnią.

– Tu, tu, tu – powtarzał. – Kujcie, na Boga!

– Sie robi, panie – burknął majster. – Ale po mojemu tutaj nic nie ma.

– Musi być! – zachrypiał Dietrich. – Musi!

Vardesaavre mrugnął porozumiewawczo do Alofsa, chociaż nie sądził, aby żołnierz dostrzegł to w

piwnicznym mroku. Kiedy opróżnili butelki, wstał i podszedł do spoconych i zziębniętych robotników z coraz mniejszym zapalem rozbijających kamienne ściany.

– Zamek mi się przez ciebie zawali – rzekł z rozbawieniem, tym większym, że na twarzy Dietricha widział złość oraz zawód.

Majster przerwał pracę i otarł pot z czoła rękawem bluzy.

– Dokopaliśmy się już do ziemi, wasza miłość – zwrócił się do Reinherda. – Nic tutaj nie ma.

– Kop! – warknął Dietrich, ale Vardesaavre uniósł dłoń ostrzegawczo.

– Niech odpoczną – rozkazał. – A ty pokaż te mapy.

Ostrożnie rozłożyli na posadzce żółty, pomarszczony pergamin i ukucnęli przy nim. Alofs przyświecał z góry pochodnią. Baronet oczywiście już wcześniej oglądał mapę, ale wtedy interesowało go głównie oznaczenie tajnego przejścia, prowadzącego znad rzeki aż do samych zamkowych piwnic. Na resztę planu zwracał dużo mniejszą uwagę i teraz dopiero Dietrich wskazał mu palcem krąg wyrysowany w zachodnim skrzydle zamku. Jednak dla Vardesaavre'a wszystko to wyglądało jak galimatias wzajemnie przecinających się i przebiegających pod różnymi kątami linii. Nie znał się na odczytywaniu map, więc już wcześniej Dietrich musiał mu tłumaczyć, że na jednej mapie wyrysowano zarówno plany parteru zamku, jak i jego podziemi. W dodatku mapa parteru miała się nijak do rzeczywistości, gdyż Achenbachowie zbudowali swą twierdzę na ruinach i tylko zagospodarowali oraz nieco przebudowali podziemia. Dlatego po dłuższej chwili wpatrywania się w pergamin przy migoczącym świetle pochodni, Reinherd wzruszył

ramionami.

– I tak nic z tego nie zrozumieję – powiedział raczej obojętnie niż z rozczarowaniem czy złością. – Ale czy ta, jak mówisz, biblioteka nie może być jeszcze niżej? Pod nami?

Dietrich spojrzał na niego i nagle jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

– Pod nami! – powtórzył i, nie zważając na etykietę, chwycił ramię Reinherda w kurczowym uścisku.

– Na Boga, pod nami! Macie rację, pod nami! Kopcie, kopcie! – Zerwał

się na równe nogi i pchnął majstra. – Rozkopcie posadzkę!

Vardesaavre roześmiał się i podniósł mapę. Złożył ją ostrożnie na czworo.

– Czekala tyle lat, poczeka jeszcze kilka chwil. – Był bardzo zadowolony z siebie i zastanawiał się, czy myśl, którą rzucił mimochodem, może się okazać rozwiązaniem problemu.

Jeśli tak, do jego legendy dojdzie następna historia. Oto okazał się biegłyjszy od Dietricha, chlubiącego się wszak umiejętnością czytania i sporządzania map. Bo i cóż człowiekowi po samej nauce, jeśli nie posiada bystrego oraz chłonnego umysłu? – zapytał

siebie.

* * *

Baronet miał rację. Zrozumieli to z całą wyrazistością, kiedy oskard wreszcie nie uderzył

w kamienie, lecz przeszedł na wylot. Teraz ze zdwojonym wysiłkiem (bo Dietrich niemiłosiernie popędzał robotników) rozkuwali poszerzający się wyłom. Kiedy poświecili tam pochodniami, okazało się, że dziura prowadzi do zapadliny, mogącej być podziemnym korytarzem. Właśnie tym, który zaznaczono na mapie. Jednak rozbicie warstwy kamieni, tworzącej zarówno podłogę, jak i strop, nie było proste, a Reinherd zaczął mieć obawy, czy wszystko za chwilę nie runie im pod stopami. Chociaż konstrukcja wydawała się być solidna, a spoiwo łączące poszczególne elementy czasem stawiało nawet większy opór niż kamienie.

– Dobra robota, dostojny panie – mruknął majster. – Dobra, stara robota. Nikt tak już dzisiaj nie położy zaprawy...

Wreszcie wykuli otwór o średnicy mniej więcej trzech stóp i Dietrich zrzucił pochodnię, by zobaczyć dno zapadliska.

– Schodzę – oznajmił.

– A to bardzo proszę – odparł Vardesaavre, który zdecydowanie wolał, by kto inny jako pierwszy postawił stopy w tym niezbadanym od wieków korytarzu.

Nie mieli liny, ale opuścili Dietricha, a ten potem zręcznie zeskoczył i usłyszeli kłaśnięcie stóp na posadzce. Doradca zebrał pochodnię z kamieni i omiółł nią wewnątrz.

– Korytarz – wykrzyknął. – Schodźcie śmiało!

– Dalejże – rozkazał baronet majstrowi. – Schodźcie. A ty – zwrócił się do Alofsa – pędź po żołnierzy. Weź ze trzech i niech przyniosą liny.

– Drzwi. – Dobiegł ich stłumiony głos Dietricha. – Kute w żelazie.

– No to niech przyniosą i młoty – dodał Reinherd. – Bo widzę, że czeka nas jeszcze praca.

Vardesaavre rozsądnie poczekał na żołnierzy, a potem kazał się opuścić, bezpiecznie przewiązany liną. Nie zamierzał ryzykować, jeśli nie było ku temu zbędnej potrzeby, a skręcenie ręki lub nogi zaledwie w dzień po wygranej bitwie wydawało mu się śmieszne i pechowe.

Z pochodnią w dłoni podszedł do Dietricha, który był tak zajęty oglądaniem znaków i płaskorzeźb wrytych na żelaznych drzwiach, że nawet nie dostrzegł jego obecności. Baronet musiał go dopiero klepnąć w ramię, a wtedy Dietrich podskoczył, jakby go ukąsił wąż, i wypuścił z ręki pochodnię. Zaklął.

– To tu – oznajmił, kiedy już się uspokoił. – Jesteśmy w przedsionku ich biblioteki.

Vardesaavre cofnął się o krok, przepuszczając żołnierzy z młotami w dłoniach.

– Do dzieła – rzekł i odsunął się, by mogli bezpiecznie nabrać rozmachu.

– A jeśli magia strzeże wejścia? – szepnął wprost w ucho doradcy.

– Podobno nie wierzysz w magię, panie? – odszepnął złośliwie Dietrich, ale widząc grymas na twarzy baroneta, zaraz spuścił wzrok.

Drzwi były potężne, solidnie wmurowane w kamienną ścianę i z trudem ustępowały pod ciosami młotów. Wreszcie żołnierze wzięli się na sposób i zamiast bić w litą, żelazną płytę, zaczęli kruszyć kamienie wokół drzwi. Ale wtedy odkryli, iż drzwi są dodatkowo zabezpieczone wpuszczonymi w mur potężnymi sztabami. Reinherdowi huczało już w głowie od grzmotu uderzeń i coraz bardziej żałował, że dał się skusić na tę eskapadę. Mogłem przyjść, kiedy wszystko będzie gotowe, pomyślał niechętnie, ale zaraz pocieszyła go myśl, iż to przecież tylko dzięki jego bystrości odkryto właściwe przejście na niższe poziomy piwnic.

Wreszcie drzwi runęły z łomotem, który odbił się echem w wąskim korytarzu.

– Panie – rzekł uroczyście Dietrich. – Raczysz wejść pierwszy?

Baronet nieufnie zerknął w ciemność za rozkutym murem.

– Pozostawię tobie ten zaszczyt – odparł.

Doradca poważnie skinął głową i z pochodnią w ręku minął wyłom w murze.

Vardesaavre dał znak, by Alofs i jeden z żołnierzy poszli w ślad za nim. Potem usłyszał

przeraźliwe skrzypnięcie i wściekły głos Dietricha: „Pomóżcie, do cholery!”, więc zrozumiał, że musieli otworzyć następne drzwi. Widać już nie tak solidnie zabezpieczone jak pierwsze.

Odczekał jeszcze chwilę, zabrał żołnierzowi pochodnię i ruszył w stronę, skąd dochodziło światło płomieni. Minął zakręt korytarza, a potem rozwarte na oścież, dębowe drzwi. I kiedy przekraczał próg komnaty, nagle wszędzie rozbłysnęło jasne światło. Cofnął się i jego uszu dobiegł zduszony krzyk Dietricha, kurczowo zaciskającego dłonie i wgapiającego się w sufit, z którego płynęło jasne, mocne światło. Nie drżące, żółto-pomarańczowe światełka pochodni lub oliwnych lamp, ale prawdziwy blask dnia. Tyle, że tu nie było słońca, a jedynie rozjarzony bielą sufit.

– Magia – szepnął Dietrich. – Magia – powtórzył, nie odrywając oczu od światła, chociaż musiał mocno mrużyć oczy.

Alofs i towarzyszący mu żołnierz, zaskoczeni nagłym blaskiem, wyciągnęli miecze do połowy z pochew, ale teraz schowali je z powrotem. Oglupiałym wzrokiem rozglądali się po pomieszczeniu. A było się po czym rozglądać. Sala była wielka, ściany i podłogę wyłożono równej wielkości płytami

barwy kości słoniowej, na których połyskiwały tylko czerwonawe żyłki, przypominające zatopione w kamieniu łodygi roślin. Na wszystkich czterech ścianach wisiały obrazy w drewnianych, prostych ramach. Portrety. Vardesaavre podszedł do najbliższego z nich i przyjrzał się twarzy starego mężczyzny, ubranego w czarny kubrak z obszerną, śnieżnobiałą kryzą. Mężczyzna wpatrywał się gdzieś w dal przenikliwym wzrokiem, a jego jasnoniebieskie oczy zdawały się wyprane z myśli i uczuć. Baronet postąpił

krok i stanął przed następnym portretem. Ten przedstawiał kobietę o końskiej twarzy i włosach równo ściętych w połowie czoła. Jej oczy były jak granitowe okruchy. Dalej wisiał

obraz ukazujący następną kobietę, będącą jakby nieco młodszą i ładniejszą kopią poprzedniej.

I tak dalej, i tak dalej. Reinherd oglądał obrazy, których styl wskazywał na to, iż zostały spreparowane przez tego samego malarza. Starcy, kobiety, młodzieńcy. Wszyscy z tym nieruchomym, przenikliwym wyrazem oczu. Oczu, które zdawały się bez lęku, ale i bez zaciekawienia spoglądać gdzieś w mroczną pustkę, widoczną tylko dla nich.

– Coś takiego. – Vardesaavre pokręcił głową. – Nie jest to biblioteka, mój drogi, niemniej uważam, że opłacało się czekać. – Spojrzał na Dietricha. – Wiesz, kim oni są? Poprzedni ród?

Ci, co byli przed Achenbachami?

– Ród? – parsknął Dietrich. – Ród? – powtórzył. – O, tak. Można nazwać ich rodem.

Obrócił się w stronę baroneta.

– To czarnoksiężnicy, mój panie. Różnie ich nazywano. Czarownikami, wiedźmiarzami, nekromantami. Mówiono o nich też jako o Mrocznym Bractwie... Wieleset lat temu wybito wszystkich. Spalono, powieszono, utopiono, zamurowano żywcem w katakumbach. Cięto ich piłami i ćwiartowano... Nikt nie został. Tylko – powiódł wokół dłonią – obrazy.

– Słyszałem te legendy – rzekł Reinherd. – Ale to było dawno temu. My, Vardesaavre'owie, żyliśmy wtedy jeszcze na południu...

– Ale gdzie jest biblioteka? – Dietrich rozejrzał się wokół i nagle z radosnym okrzykiem podbiegł do jednej ze ścian. Naparł na mur całym ciałem, a ten nadspodziewanie łatwo ustąpił.

Wbiegł do środka i baronet usłyszał, jak klnie. Wzruszył ramionami i zajrzał w ciemny korytarz, w którym jego doradca stał przed litą ścianą. Przyświecił sobie pochodnią. W

krótkim, niewysokim korytarzu, zbudowanym ze zwykłej, czerwonej cegły nie było nic poza jednym, jedynym portretem. Vardesaavre zbliżył do niego pochodnię i przyjrzał się uważnie namalowanej postaci. Obraz przedstawiał piękną kobietę o rudych, gęstych włosach i mlecznobiałej cerze. Wściekle zielona i bardzo wydekoltowana suknia opinała ogromny biust i zdumiewająco szczupłą kibić. Kobieta trzymała prawą dłoń na głowie psa, którego pysk zwrócony był w głąb obrazu (dlatego Reinherd nie mógł poznać, co to za rasa), a lewą dotykała fałdów sukni. Na jej środkowym palcu widać było pierścień z oczkiem rubinu, białą szyję również zdobiła rubinowa kolia.

– Ależ piękna – szepnął Reinherd. – Patrz, czy nie piękna?

Dietrich nie zareagował na jego słowa, nerwowo ostukiwał ściany, jakby spodziewał się, że odnajdzie kolejne tajne przejście.

Kobieta z obrazu wydawała się wpatrywać nie w pustkę za plecami Vardesaavre’a, ale prosto w jego twarz. W przeciwieństwie do innych postaci z portretów miała łagodny wzrok, a na ustach błąkał się leciuteńki uśmiezek pełen słodkiej zadumy. Tak jakby w momencie, kiedy malarz uwieczniał jej twarz, ona myślała o nocy spędzonej z ukochanym.

– Boże mój... – Reinherd nie mógł oderwać wzroku od obrazu. – Wierzyć się nie chce, że istnieją takie kobiety.

Dietrich wreszcie raczył rzucić okiem na portret.

– Rzeczywiście piękna – rzekł, ale daleko mu było do fascynacji baroneta. – Co robimy dalej?

– Szukaj – odparł Vardesaavre, nie odwracając wzroku. – Zostawię ci robotników i Alofsa. Żeby pilnował. – Teraz spojrzal już w stronę Dietricha. – Bo chciałbym, abyś nie zamienił mi tych piwnic w kupę gruzów. A sam pozwól, że zajmę się własnymi sprawami.

Skinieniem przywołał żołnierzy.

– Zdejmijcie ostrożnie portret i zanieście do mojej sypialni – rozkazał. – Co za kobieta...

– szepnął jeszcze do siebie i pokręcił głową.

* * *

Reinherd długo wybierał miejsce, w którym miał zawisnąć portret. Chciał go potem zabrać do zamku Vardesaavre, kiedy tylko upora się ze wszelkimi problemami. No, ale jeśli o to chodzi, mogło minąć nawet kilka tygodni. Zeszłego dnia baronet posłał po kuzyna, którego mianuje zarządcą zamku Achenbachów, ale wiedział, że pańskie oko konia tuczy, więc będzie musiał poświęcić trochę czasu, by przyzwyczaić służbę i zarządców do tego, że teraz twierdzą i całą prowincją władają już Vardesaavre’owie. Zresztą nie zamierzał nigdzie się ruszać, póki nie odnajdzie małego Freidricha i nie zobaczy jego ciała oraz jasnowłosej główki. Każdego z tych elementów osobno.

W każdym razie nie potrafił się zdecydować, gdzie ma wisieć obraz, aż w końcu kazał go umieścić na ścianie naprzeciw łoża tak, by wspierając się na poduchach, zaraz po obudzeniu i chwilę przed snem, mógł podziwiać piękną postać. Kim ona była? – zastanawiał się. Czy naprawdę mogła być czarownicą? Dlaczego tylko jej portret umieszczono w tajnej komnatce, a nie wraz ze wszystkimi innymi? Czy dlatego, że była najważniejsza, czy też przeciwnie: najmniej ważna? A może pozowała w zbyt odważnym stroju i dlatego portret schowano w cieniu? Reinherd rozumiał, że nie znajdzie odpowiedzi na te pytania, ale bawiło go ich zadawanie samemu sobie. Kiedy obraz już wisiał na ścianie, a służący wyszedł (ssąc kciuk, który przed chwilą rozbił sobie młotkiem), Reinherd powiódł delikatnie opuszką palca po obrazie. Zdumiewające, ale nie wyczuł faktury farby. Nie znał się na

malarstwie, ale wydawało mu się co najmniej dziwne, że nie poczuł charakterystycznej chropowatości.

Obraz był gładziuteńki, niczym powierzchnia lustra albo wypolerowana taca.

– Coś takiego – powiedział do siebie.

Cóż, być może starożytni malarze znali jakieś techniki, o których w dzisiejszych czasach już zapomniano? A może do stworzenia portretu wykorzystano magię? Reinherda fascynowała myśl, że w jego komnacie może wisieć obraz wykonany przy pomocy czarów.

Zwłaszcza, że kobieta na nim była najbardziej fascynującą i pociągającą istotą, jaką zdarzyło mu się widzieć w całym życiu.

– Z taką ożeniłbym się bez wahania – rzekł na głos i westchnął. – Choćby była mieszczką czy chłopką.

W wyobrażonej na obrazie kobiecie fascynowało go wszystko: mlecznobiała skóra, rude, lśniące sploty włosów, zielone, jakby zamglone oczy, no i te ogromne piersi, niby osłonięte zieloną suknią. Ale w rzeczywistości dekolt był tak głęboki, iż wystarczyłoby tylko obniżyć go dosłownie o grubość palca, by dojrzeć krawędź sutków. Vardesaavre wiedział, że na cesarskim dworze obfite biusty nie były w modzie, a arystokratki i dwórki celowo nosiły opinające piersi gorsety tak, by wywołać efekt jak największego spłaszczenia. Nie podobało mu się to, a kobieta z obrazu również musiała uznawać swe walory za pociągające, skoro dała się sportretować w ten, a nie inny sposób.

Reinherd wezwał sekretarza i resztę dnia poświęcił na pisanie listów. Wszędzie, gdzie tylko mógł je napisać. Na dwór cesarski. Do kuzynów i powinowatych. Do starej arystokracji.

Wszędzie też z żalem tłumaczył motywy swej decyzji i szczerze bolał nad rozlaną krwią oraz utraconym życiem. Tak wzruszył się własnymi słowami, że musiał otrzeć wilgotne oczy różkiem jedwabnej chustki.

– Każ wysłać umyślnych – rozkazał sekretarzowi, kiedy już skończyli i kiedy zapieczętował wszystkie dokumenty. – Niech nie żałują koni.

Potem kazał przynieść dodatkowe świece i samotnie zjadł kolację, zerkając od czasu do czasu na kobietę z portretu. W trakcie posiłku dostał wiadomość od Alofsa, który zmuszony był powstrzymać niszczycielskie zapędy Dietricha, oraz od kapitana Madloka, który meldował, iż Freidricha nadal nie odnaleziono, a wybatizona i przypieczona ogniem ochmistryni zmarła, zarzekając się, że nic nie wie. Wreszcie przyszedł sam Dietrich, wściekły, zmęczony, śmierdzący potem i z twarzą poznaczoną brudnymi smugami. Reinherd przysunął mu uprzejmie krzesło i nalał puchar wina. Dietrich opróżnił go jednym haustem i odetchnął głęboko.

– Nic – powiedział i zabrzmiało to prawie jak łkanie, a Vardesaavre z trudem pohamował śmiech. – Nic tam nie ma.

– Przykro mi – odparł baronet, starając się nadać głosowi smutny ton. – Będziemy szukać. – Poklepał

Dietricha po ramieniu i zaraz strzepnął dłonią, gdyż kubrak doradcy ubrudzony był kamiennym pyłem.

– A to co? – Dietrich podniósł wzrok na portret.

– Nie pamiętasz? Obraz z małego korytarza.

– Ach, tak. – Przyjrzał się malowidłu tym razem uważniej. – Radziłbym je wszystkie spalić.

– A to czemu? – Vardesaavre roześmiał się i napełnił znowu oba puchary.

– Magia – warknął Dietrich. – I magicy. Bardzo niebezpieczne.

– Cóż może być niebezpiecznego w obrazie? – Reinherd wzruszył ramionami. – A jest piękny, nie sądzisz?



Dietrich podszedł do samego portretu i dotknął płótna końcami palców. Reinherd odczuł

jakaś dziwną i mimowolną przykrość, bo palec doradcy wylądował na dekolcie rudowłosej piękności.

Jej pies, pomyślał baronet. Głowę bym dał, że stał z odwróconym pyskiem!

A teraz przecież wyraźnie widział, że łeb psa tak naprawdę był tylko lekko przekreślony i malarz uchwycił zarówno ostry, lśniący kiel, jak i połyskujące czerwienią oko.

Dietrich potarł malunek i pokręcił głową.

– Bóg raczy wiedzieć, co to jest, mój panie – rzekł. – Bo na pewno nie obraz. A przynajmniej nie to, co ja i ty rozumiemy pod pojęciem obrazu.

– Co takiego?

– A widzisz albo czujesz farbę? No właśnie. Bardziej to przypomina zwierciadło niż cokolwiek innego.

– Może potrafili uchwycić w zwierciadle ulotny moment i zachować go na wieczność? –

zapytał Reinherd, podziwiając własną pomysłowość. – Sądysz, że to możliwe?

– Żeby to ktokolwiek wiedział. – Dietrich znowu opadł na krzesło. – Myślałem, że znajdę ich księgi, poznam dawną wiedzę, więcej zrozumiem. – Rozłożył bezradnie dłonie. – A tu nic! Przecież – spojrzał rozognionym wzrokiem na baroneta – wiedza sama w sobie nie jest złem, prawda? Tylko wykorzystać ją można w niecny lub godny sposób.

– Pewnie tak. – Vardesaavre wzruszył ramionami. – Więc co może być złego w obrazie?

Chyba, że nasączono go jakąś trucizną, którą obaj mamy już pod paznokciami. – Zaśmiał się głośno, kiedy Dietrich w panice zerknął na swoje dłonie.

– Idź już – rozkazał po chwili. – Mieliśmy ciężki dzień.

Wypił jeszcze pucharek wina i ustawił świecznik bliżej obrazu, by z łoża lepiej widzieć wizerunek zielonookiej kobiety. Wydało mu się zabawne, ale tym razem wcale nie widział ani ostrego, białego kła, ani błyszczącego czerwienią oka psa. Czyżby obraz naprawdę był

magiczny? Ale w takim razie, jakaż to magia mogła powodować, aby zachodziły na nim te zmiany? A może malarz umiał tak spreparować portret, by w zależności od oświetlenia i kąta widzenia różnił się on mało istotnymi detalami? Reinherd uważał się za człowieka o bystrym umyśle oraz pozbawionego przesądów, dlatego też nie odrzucał żadnej koncepcji, póki jej nie sprawdził. Tak czy inaczej, portret mógł być magiczny albo nie, z punktu widzenia konesera był dziełem sztuki albo nie. Najważniejsze, że przedstawiał kobietę o nieziemskiej urodzie i liczyło się tylko to, że teraz będzie codziennie podziwiał te fantastyczne kształty i nieprawdopodobnie piękną twarz.

– Dlaczego marzenia nie mogą się stawać rzeczywistością? – spytał sam siebie.

Kiedy zasypiał, był już nieco zamroczony winem. Służący wszedł cicho do komnaty i wygasił świece oraz przymknął okiennice. Vardesaavre słyszał go, będąc już na pograniczu jawy i snu. Potem znowu usłyszał szelest w ciemności, więc uniósł głowę na poduszkach.

– Czego chcesz, ty tam? – zapytał z przymkniętymi oczami, nie mogąc sobie przypomnieć, jak brzmi imię dworzanina, który dzisiejszej nocy miał służbę.

Dobiegło go tylko westchnienie i poczuł coś na kształt lodowatego powiewu, który nie tylko odpędził sen, ale natychmiast go otrzeźwił. Otworzył oczy.

– Kto tu jest? – rzekł zaniepokojony i sięgnął pod poduszkę po sztylet.

W mroku ujrzał postać, stojącą cztery, może pięć kroków od łoża. A nawet nie postać, lecz sam rozmazany i tonący w ciemnościach kształt. I poczuł zapach perfum. Ścisnął

mocniej nóż w dłoni. Chciał wezwać służbę, ale, nie wiedząc czemu, słowa uwięzły mu w gardle i wydał z siebie tylko dziwne, zgłuszone chrypienie.

– Nie bój się. – Postać miała cichy, matowy głos. – Nie przyszłam, by ci wyrządzić krzywdę.

Reinherd uniósł się wyżej na łokciach. Wytężył wzrok i teraz dostrzegł już wyraźnie zieloną suknię i rude, bujne włosy.

– Śnię – powiedział sam do siebie. – Boże mój, śnię.

– Tak – przyznała kobieta. – Trochę śnisz, a trochę nie. – Roześmiała się cichutko i podeszła tak blisko, iż wystarczyło wyciągnąć dłoń, by dotknąć jej biodra.

Reinherdowi wydawało się, że kobieta nie idzie, lecz płynie w powietrzu. Nie słyszał też jej kroków, a tylko cichy szelest jedwabiu. Patrzył na nią i widział to samo, co na portrecie.

Alabastrową skórę, jarzące się czerwienią klejnoty i oczy koloru morskiej wody. Dostrzegł

też leciuteńkie piegi na jej policzkach, które tylko dodawały uroku twarzy. Lecz czy mógł

wszystkie te szczegóły dostrzec w mroku swej sypialni? Wydawało mu się, że kobietę otacza ledwo widoczna, jasna poświata, powodująca, że ona sama i wszystko, co znajdowało się w jej pobliżu, stawało się wyraźniejsze.

– Nie poprosisz, żebym usiadła? – zapytała z rozbawieniem.

– Racz... racz usiąść, pani – odparł, a ona przysiadła na skraju łoża.

Jednak Reinherd wyraźnie dostrzegł, że materac nawet nie drgnął pod jej ciężarem.

– Twoje myśli, twoje uczucia, twoja żądza – powiedziała – przywróciły mnie do życia, Reinherdzie Vardesaavre. A przynajmniej... – zawahała się, jakby szukając słów – pozwoliły znowu ujrzeć świat żywych.

Wyciągnął rękę, aby dotknąć jej palców, ale dłoń przeszła przez jej ciało jak przez mgłę.

Poczuł tylko wilgotne tchnienie na skórze. Zaskoczony i przestraszony, wciągnął głęboko powietrze do płuc. Dostrzegła jego gest, a potem reakcję i smutno pokiwała głową. Pochyliła się nad nim i dostrzegł, że w jej zielonych oczach błyszczą złote plamki. Obniżył wzrok i nie potrafił go już oderwać od śnieżnobiałych piersi, które zdawały się rozsadzać jedwab sukni.

– Tak, Reinherdzie – szepnęła. – Jestem nieco bardziej rzeczywista niż sen. Ale nie poczujesz mych dłoni, ani – uśmiechnęła się lekko – ust. Słyszysz szelest sukni, może czujesz zapach perfum, słyszysz mój głos. I to wszystko.

– Magia – powiedział Vardesaavre.

– O, tak – odparła z jakimś dziwnym rozmarzeniem. – Pradawna magia. Stara jak świat i słodka jak noc.

– Chcesz, bym ożyła, Reinherdzie? – spytała po chwili milczenia. – Bym stała się istotą z krwi i kości? Byś czuł ciepło mego ciała i rozkoszował się mym dotykiem?

– Chcę! – prawie krzyknął, odurzony jej bliskością i ciężką, kadzidlaną wonią perfum.

– To niełatwe zadanie – rzekła. – Ale czy nie warto zapłacić każdej ceny, by oblec marzenie w realny kształt? By sen uczynić rzeczywistością?

– A jaka jest cena?

Milczała przez długi czas, patrząc mu prosto w oczy. Nie wytrzymał i cofnął wzrok.

– Znajdź mnie – odparła. – Znajdź to, co zostało z mojego ciała. W katakumbach, pod galerią portretów. Poznasz mnie po naszyjniku i pierścieniu. Mnie – powtórzyła z goryczą i wzdrygnęła się. – Te nędzne szczątki, zetlała suknię i rozpadające się kości. – Zobaczył

grymas na jej twarzy. – Ale nie daj się zwieść pozorom. Kości znów obleką się ciałem, a krew zacznie krążyć w moich żyłach. Powiem ci, co robić, tylko mnie znajdź.

Musnęła dłonią jego czoło, a on znowu poczuł ten dziwny mglisty, widmowy dotyk.

Wstała i cofnęła się w stronę portretu.

– Nie zawieź mnie, Vardesaavre – rzekła. – Jestem warta twego czasu.

Kiedy zniknęła w mroku, poczuł, że ogarnia go jakaś mdląca słabość, przed oczami wybuchły snopy kolorowych iskier, a potem zapadła ciemność i baronet stracił przytomność.

* * *

Obudził się rano z ciężką głową i niejasnym wspomnieniem zdumiewającego snu. Dobrze jednak zapamiętał jedno: by rozkopać podłogę pod galerią obrazów i przedostać się w ten sposób do katakumb. Jeśli w ogóle były jakieś katakumby. Ale Vardesaavre wierzył w wieszcze sny i chciał też

ufać, że starożytna magia pozwalała kobiecie z obrazu nawiedzić go w tych właśnie snach. Rankiem stał dłuższą chwilę przed jej portretem i przyglądał się łagodnie uśmiechniętej twarzy. Malowało się na niej rozmarzenie i nadzieja. Zastanawiał się jak on – człowiek romantyczny, lecz i zarazem sceptyczny – mógł uwierzyć, że czegoś żąda od niego czarodziejka umarła przed setkami lat. Jeszcze kilka dni temu, gdyby usłyszał

podobną historię, śmiałyby się do rozpuku. Teraz jednak do śmiechu wcale mu nie było.

Robotnicy musieli wkuć się na pięć stóp w głąb kamieni, by przebić się na następny poziom piwnic. Vardesaavre stał nad nimi i uśmiechnął się z satysfakcją, słysząc pełen zaskoczenia krzyk majstra, a potem podniecony głos Dietricha pochylającego się nad dziurą.

– Genialne, wasza dostojność – wykrzyknął doradca. – Genialne!

I tym razem Vardesaavre nie zamierzał schodzić pierwszy. Zwłaszcza, że z ciemności poczuli niepokojący zaduch, tak jakby po raz pierwszy od wieków do podziemi wpuszczono świeże powietrze. Ale kiedy robotnicy i żołnierze zeskoczyli w mrok, a potem oświetlili katakumby pochodniami, zdecydował się również zejść. Katakumby – to właśnie było odpowiednie słowo. Podziemie pod galerią obrazów nie było niczym innym, jak wąskim i niskim korytarzem, po obu stronach którego znajdowały się wyżłobione w kamieniu, niezbyt głębokie wnęki. Każda zakratowana. A w tych wnękach, przykute do ścian łańcuchami, siedziały szkielety. Jeden przy drugim.

Ciekawe, jak daleko ciągnie się ten korytarz? – pomyślał Reinherd.

– To srebro, mój panie – rzekł zdumiony Alofs, dotykając jednej z krat. – Skuto ich też srebrem.

Baronet usłyszał, jak Dietrich głośno przełyka ślinę. Poczul palce doradcy, wbijające się mocno w jego ramię.

– Zasypmy wszystko. – Dobięł go gorączkowy szept. – Każ to zasypać, panie.

Odwrócił się w stronę doradcy.

– Oszalałeś? – zapytał. – Czemu miałbym tak zrobić?

Dietrich machnął ręką, by zostawiono ich samych i odciągnął Reinherda na bok.

– Ktokolwiek ich zabił, mój panie, zabił ich zgodnie z dawnym rytuałem. Na kratkach są runy. Patrz. – Nachylił pochodnię i Vardesaavre faktycznie dostrzegł, iż srebro jest poznaczone równo wyżłobionymi, miniaturowymi symbolami.

– I cóż z tego? – Baronet wzruszył ramionami. – Świat jest pełen szaleńców, drogi Dietrichu. Na wojnie nie takie rzeczy się robi...

– Panie mój, wieki temu tutaj znajdowała się jedna z twierdz nekromantów. – Dietrich mówił wyraźnie, choć cicho, aby żołnierze i robotnicy ich nie usłyszeli. – Kiedy Inkwizytorzy

zatriumfowali, zabito ich, a grobowce zabezpieczono runami oraz świętym srebrem. Nie uczyniono tego bez powodu, wierz mi! Nie mam tylko pojęcia, dlaczego nie spopielono nawet ich kości i nie rozrzucano na cztery strony świata!

Vardesaavre poklepał go po plecach.

– Nie myślę bezcześcić grobowców – rzekł uspokajającym tonem. – Choć gdyby kraty były ze złota, musiałbyś zapewne przekonywać mnie dłużej. Niech leżą, jak leżeli od setek lat. Zobaczmy jednak, co jest dalej.

Bez słowa poszedł przed siebie, oświetlając pochodnią skryte w mroku nisze. Dietrich niechętnie podążył za nim. I nagle Vardesaavre dostrzegł czerwony błysk na jednym ze szkieletów. Pochylił się. Wzrok go nie mylił. To był rubinowy naszyjnik. A na kościśrodkowego palca tkwił pierścień z rubinem. Na kościotrupie widać było resztki zetłałych szat, a czaszka wpatrywała się w przestrzeń pustymi oczodołami.

– Kobieta z portretu – szepnął do siebie.

– Mój panie?

– Nic, nic. Patrz, czyż nie piękne klejnoty?

Dietrich nachylił się w stronę niszy.

– Rzeczywiście piękne – odparł.

Vardesaavre zadumał się nad ludzkim losem. Oto, co pozostaje w efekcie każdemu człowiekowi. Śmierć i rozkład. Nawet ta olśniewająca kobieta o ujmującym uśmiechu i cudownym ciele zamieniła się w kościany szkielecik, który rozsypałby się, gdyby próbowali go wyjąć z niszy. A jednak w jakiś sposób zyskała wieczność. Jej piękno przemawiało z portretu, a ona sama tak silnie wryła się w umysł baroneta, że wtargnęła nawet w jego sny.

– I co zamierzasz z tym wszystkim uczynić, mój panie? – zapytał Dietrich, a Reinherd wyczuł napięcie w jego głosie.

– Cóż – odparł Vardesaavre. – Możemy ich zamurować z powrotem. Komu potrzebny taki cmentarz?

Dietrich odetchnął z nieskrywaną ulgą.

– Tak będzie lepiej dla wszystkich – rzekł. – Po co wskrzeszać upiory przeszłości?

– Właśnie – zgodził się Vardesaavre. – Chodźmy. Te kości działają na mnie przygnębiająco – próbował się zaśmiać, ale śmiech zabrzmiał w lochach nienaturalnie.

Baronet kazał wszystkim opuścić podziemia i postawił straż już przy pierwszym zejściu do nich, tym prowadzącym z magazynów wina. Powiadomił majstra, że jutro zajmą się zamurowywaniem przejść, i kazał przygotować robotnikom odpowiednie materiały. Ale na tym nie zamierzał poprzestać.

Doskonale pamiętał prośbę sennej mary i zamierzał ją spełnić.

Sam nie wiedział, czemu miałby gdziekolwiek przynosić szkielet zamordowanej dawno temu kobiety, ale wiedział również, że tylko wtedy pozbędzie się natrętnych myśli, kiedy prośbę tę spełni. Zresztą, cóż, można to było nazwać nawet rycerskim obowiązkiem – pogrzebać doczesne szczątki dawnej mieszkanki zamku to przecież żaden grzech. Reinherd nie zamierzał okradać jej z klejnotów, nie myślał o przetopieniu srebrnych krat i łańcuchów. A cóż złego w tym, jeśli skrzynia z kośćmi pięknej damy znajdzie się w ogrodowej ziemi, a nie mrocznych, ponurych katakumbach? Baronet też wyobrażał sobie, iż wolałby po śmierci leżeć w rozświetlonym parku, pod rozłożystym drzewem, w którego cieniu ludzie szukaliby schronienia. I czytając na grobowcu imię Vardesaavre, wspominali z szacunkiem i podziwem dokonania zmarłego baroneta. Mężczyźni odchodziliby od jego grobowca z myślą, że pragnęliby postępować tak samo jak on, a kobiety, rozmarzone nadzieją, iż kiedyś spotkają podobnego mu kochankę. Reinherd otarł opuszką palca łzę, która zakreśliła mu się w kącie oka. Zdawał sobie sprawę, że już przeszedł do historii, niszcząc ród Achenbachów, ale miał nadzieję, że po latach wszyscy wspominać go będą z czcią, a nie nienawiścią.

– Nie sądzi się zwycięzców – powiedział do siebie. – Bo to oni spisują dzieje.

Postanowił, że napisze list do krewniaków w stolicy, aby polecili mu jakiegoś znanego dramaturga. Może spędzi on z baronetem kilka tygodni, by potem w pełnej zaangażowania sztuce oddać koleje losów rodu Vardesaavre i jego najwybitniejszego przedstawiciela.

Reinherd kazał Alofsowi przyjść do swej sypialni przed północą i polecił mu zabrać żelazny łom, ale schować go pod kubrakiem tak, by nie budzić zbędnego zainteresowania.

Zresztą zwykle o takiej godzinie zamek już zamierał, bo służba musiała wstawać o świtaniu, więc w korytarzach kręcili się tylko ci, których zobowiązywały do tego powinności. No i ciągle szukano małego Freidricha, a baronet zastanawiał się, jak małe dziecko jest zdolne ukrywać się przez tak długi czas. Zwłaszcza, że podejrzaną piastunkę poddano dyskretnej inwigilacji i nic nie świadczyło o tym, by kogokolwiek skrywała albo odkładała dla kogoś posiłki (a czymś, na Boga, smarkacz musiał się przecież żywić!).

Potrzebna była jeszcze skrzynia i tę Vardesaavre kazał zbić stolarzowi. Solidną, ze świeżo heblowanego, lipowego drewna. Nic specjalnego, ale też nie chodziło tu przecież o ozdobne trumny, a jedynie o pojemnik dla przeniesienia kości.

Strażnicy w magazynie zdziwili się i zaniepokoiili niespodziewanymi nocnymi odwiedzinami baroneta. Zaniepokoiili, bo Reinherd poznał po ich oddechach, że nie żalowali sobie wina z jego piwnic. Ale tylko pogroził im żartobliwie palcem.

– Opijacie swego pana, co? – zapytał. – Jaką karę im damy, Alofs?

– Wypić jeszcze jedną butelkę za zdrowie waszej dostojności? – poddał żołnierz.

– Wyśmienita myśl – ucieszył się baronet. – Zanim wrócimy, gąsiorek ma być pusty!

Strażnicy skłonili się z wdzięcznością, a on zapamiętał ich twarze i zanotował sobie w myślach, by powiadomić o wszystkim kapitana Madloka. Ten już znajdzie sposób, by dodatkową służbą lub wysłaniem na uciążliwy patrol wybić żołnierzom z głowy picie na służbie. Generalnie Vardesaavre był przeciwnikiem chłost, gdyż uważał, że żołnierz, którego się upokarza, traci dumę niezbędną w czasie walki, a znacznie lepiej jest wyznaczyć winnemu dodatkowe obowiązki. Zresztą karanie było już rolą Madloka.

Nie minęło wiele czasu, a stali przed srebrną kratą, za którą leżał szkielet z rubinową kolia i rubinowym pierścieniem.

– Zajmij się tym – rozkazał Vardesaavre, a Alofs posłusznie włożył łom między kraty.

Srebrne pręty, pomimo swej grubości, szybko ustąpiły przed żelazem i wygięły się, pozostawiając sporej wielkości dziurę, przez którą mogli bez trudu wyciągnąć szkielet.

Jednak Alofs musiał to uczynić niezwykle ostrożnie, aby wszystko nie rozsypało mu się w rękach, gdyż zwłoki były spętane również srebrnymi okowami. Na szczęście na tyle szerokimi, iż dało się łatwo przez nie wysunąć poszczególne kości. Alofs ostrożnie, z szacunkiem i chyba również pewną bojaźnią, składał w drewnianej skrzyni szczątki czarodziejki. Wreszcie w niszy nie pozostało już nic poza wpuszczonymi w mur srebrnymi łańcuchami oraz wygiętymi łukowato prętami krat. Żołnierz zamknął wieko i zabił je czterema długimi gwoździami. Nie zadawał żadnych pytań i to spodobało się baronetowi, który postanowił mieć oko na tego człowieka i awansować go przy stosownej okazji. Nie zdziwił się też, że Vardesaavre każe mu zanieść skrzynię ze szkieletem do swej sypialni.

Zresztą, być może się zdziwił, ale z całą pewnością nie dał tego poznać po sobie. Reinherd miał tylko nadzieję, że niedługo nie zaczną krążyć plotki o tym, jak to młody Vardesaavre pakuje szkielety do drewnianych skrzyń i umieszcza w swej komnacie. Na pewno nie podniosłoby to jego prestiżu.

Alofs pożegnał się z baronetem i życzył mu dobrej nocy. A Reinherd został sam. Sam, nie licząc portretu kobiety, której doczesne szczątki spoczywały na środku wyściełającego podłogę kobierca. Baronet miał dość mętne pojęcie o tym, co wypada robić dalej. Zakładał, że kiedy zaśnie, to sen przyniesie odpowiedź na jego pytania i teraz takie właśnie założenie wydało mu się zarówno śmieszne, jak i co najmniej dziwaczne. Wsunął więc skrzynię za ciężkie kotary, tak, że spod grubego aksamitu wystawał tylko jeden jej bok. Westchnął i rozebrał się, przygotowując tylko flaszkę wina oraz świeżo wydrukowaną książkę z jednym z modnych w stolicy dramatów. Lubił czytać przed snem, zwłaszcza kiedy akcja sztuki dotyczyła heroicznych walk lub namiętnych miłości. A w stolicy na taką właśnie literaturę panowała ostatnio moda.

Kiedy powieki zaczęły mu już ciążyć, zdmuchnął świece i odłożył książkę na bok.

Owinął się w pierzynę, bo przez szpary w okiennicach gwizdał chłodny, wczesnojesienny wiatr, i zmrużył oczy. Sam nie wiedział, kiedy zasnął.

* * *

Czy to była jawa, czy tylko sen tak wyrazisty, że wydający się rzeczywistością? Reinherd nie potrafił

odpowiedzieć na to pytanie, w tej chwili zresztą odpowiedź nie wydawała mu się ważna. Istotne było tylko, że słyszał delikatny szelest sukni i znowu czuł upajający zapach ciężkich, kadzidlanych perfum.

– Dziękuję, Reinherdzie – zabrzmiał ciepły, matowy głos, a przy łożu zamajaczyła postać w zielonej sukni.

Błada twarz czarodziejki jaśniała łagodnym uśmiechem. Jej oczy zdawały się już mniej zamyślane, a bardziej wesołe. Przysiadła obok niego i znowu poczuł dziwny, wilgotny dotyk, kiedy widmowymi palcami przesunęła po jego ramieniu. Z trudem pohamował dreszcz.

– Pierwszy krok został uczyniony – oznajmiła uroczystym tonem. – Czas kontynuować nasze dzieło. – Uśmiechnęła się słodko. – Bo chcesz przecież zobaczyć mnie w cielesnej postaci, mój piękny baroncie, prawda? Chciałbyś poczuć moją dłoń w swojej, hmm?

– Oczywiście, pani – rzekł, cały czas zdumiony, że rozmowa z sennym zwidem wydaje się tak rzeczywista.

– Tak właśnie myślałam. Nie wiesz nawet, jak wielka będzie moja wdzięczność i jak bardzo ci się spodobały sposoby jej okazania. – Na jej ustach pojawił się figlarny uśmiech.

– Bardzo jestem spragniona, Reinherdzie – kontynuowała, a w jej słowach był zarówno smutek, jak i ogromna tęsknota. – Ach, znowu pić wino z kryształowych kielichów, czuć silne męskie dłonie na ciele. – Jakby bezwiednie powiodła palcami po piersiach, a Vardesaavre nie mógł się powstrzymać, by nie przełknąć głośno śliny. – Gnać w wietrze i burzy na rączym rumaku, smakować wyborne potrawy...

Umilkła, w końcu spojrzała na baroneta i pokiwała głową.

– Nie zapomnę, że to właśnie ty przyczyniłeś się do mego odrodzenia, Vardesaavre –

powiedziała szeptem. – Choć droga do celu jeszcze daleka. Ale chciałabym, abyś zakosztował

pierwszych owoców mej wdzięczności. Szukasz kogoś, prawda, Reinherdzie? Znajdziesz go w sekretnej komnacie za sypialnią margrabiny. Odsuń sekreterę i otwórz drzwiczki. Tam siedzi mały chłopczyk, czujny jak zwierzątko. I jak zwierzątko wychodzi nocą, by podbierać jedzenie, choć żyje nienawiścią i pragnieniem zemsty. Widział z okien, jak zabijałeś jego rodzinę. – Reinherd wzdrygnął się. – I ma cały czas przed oczyma ciebie, spokojnie czyszczącego rękawice. I widzi też swego ojca, leżącego w kałuży krwi, oraz bezgłowe ciała braci. W uszach ma krzyk matki. To silne dziecko, Vardesaavre. Miałbyś kłopoty, gdyby przeżyło. – Roześmiała się, jakby coś ją ubawiło, a Reinherd wolał nie pytać, co.

– To mój pierwszy dar – mówiła dalej. – Oznaka dobrej woli. Powiedz mi tylko, co zrobisz z tym dzieckiem?

– Wybacz, pani, ale muszę go zabić – rzekł cicho Reinherd. – To ostatnie szczenię z rodu Achenbachów. Kiedy on umrze, umrą Achenbachowie.

– Nie musisz prosić o wybaczenie. – Roześmiała się znów perliście. – Cóż złego może być w zadawaniu śmierci w imię wielkich idei? – zapytała.

– T-tak – zająknął się Reinherd. – Oczywiście, lecz niewielu na świecie uważa tak jak ty.

– To się zmieni – powiedziała łagodnie, ale z niezwykłą pewnością w głosie. – To się niedługo zmieni, Reinherdzie Vardesaavre. Czuję wiatr zmian, który nadciąga ze wszystkich stron. Z wioski zapadłej wśród lasów, z gór zamieszkałych przez barbarzyńców i z podziemi pod Kloudobergen. Czuję też coś, co rodzi się w antycznych labiryntach pod alehandryjskimi świątyniami. – Rozłożyła szeroko ręce. – Oni nadchodzą, Reinherdzie! – wykrzyknęła. – A wraz z nimi nadchodzi nowy świt! Baronet nie rozumiał, o czym ona mówi, a poza tym bardziej niż na słowa zwracał uwagę na rzeźbę jej piersi, które wydawały się jeszcze piękniejsze (a dekolt jeszcze głębszy!) niż poprzedniej nocy.

– Gdybyś mógł widzieć to, co ja – szepnęła, pochylając się nad nim. – Gdybyś mógł widzieć przyszłość, młody Reinherdzie.

Reinherd widział przyszłość. A raczej jeden z jej aspektów. Opowiadający o tym, jak on sam – Reinherd Vardesaavre – tuli i pieści to ponętne ciało i jak słyszy jęk rozkoszy dobiegający z otwartych do krzyku ust. Uśmiechnęła się, jakby znała jego myśli.

– Wiem, że każesz zamurować podziemia – powiedziała już spokojnym tonem. – Zrób to, lecz niezwykle uważnie. Nie waż się niczego niszczyć ani niczego zasypywać.

– Tak – odparł. – Nie zamierzałem niczego niszczyć. Należy mieć szacunek dla zmarłych.

– Zmarłych – powtórzyła, a Reinherdowi wydało się, że w jej głosie zabrzmiała nutka rozbawienia. – Kiedy przyjdę następnej nocy, powiem ci, w jaki sposób wypełnić rytuał... –

dodała.

– Rytuał?

– Czy myślisz, że tak łatwo się zmartwychwstaje? – zapytała z niespodziewaną goryczą. –

że tak łatwo przejść z otchłani nie-świata do uniwersum żywych istot?, że dusze i umysły błakające się w lodowatej pustce tak łatwo mogą oblec się w cielesną postać?

– Będziesz taka jak na obrazie, prawda?

– O, dużo piękniejsza! – Wstała z łoża i zakręciła się na pięcie, a jej suknia uniosła się, odsłaniając zgrabne łydki. Baronet słyszał tylko szelest jedwabiu. – I cała twoja!

– Mogę ci dać nie tylko moje ciało, młody Reinherdzie. – Znów przysiadła na krawędzi łoża. – Nie tylko miłosny kunszt, o którego doskonałości nie masz nawet pojęcia. Mogę ci dać władzę i wiedzę. Oraz sławę, o której tak bardzo marzysz.

Baronet zauważył, że kobieta staje się coraz bardziej przezroczysta. Jej ciało migotało niczym powietrze w pełnym słońcu. Wstała i odeszła w stronę obrazu.

– Jutro opowiem ci o rytuale. – Dobięgił go jej szept. – Pamiętaj tylko, by znaleźć ukrytego chłopca. I zachowaj go przy życiu.

* * *

– Rytuał... – powiedziała. – Tak dawno nikt już nie spełniał świętych obrządków...

Dobrze, Reinherdzie, wszystko dokładnie ci wytłumaczę. Przede wszystkim musisz znaleźć osobę związaną z tym zamkiem więzami życia i śmierci. Po drugie, osoba ta ma być niewinna, bo tylko krew i dusza niewinnych istot mają w sobie pełną, magiczną moc ożywiania. Po trzecie, należy z wybrańca wytoczyć całą krew. Najlepiej podciąć tętnice i podwiesić za nogi tak, by krew spływała do postawionej na posadzce misy – dodała rzeczowym tonem, a patrzący w osłupieniu Reinherd głośno nabrał powietrza w płuca.

– Ja wiem, że to może być nieprzyjemne. – Rozłożyła dłonie. – Ale w końcu czyż nie zabijałeś ludzi na wojnie? Czy nie zabijałeś ich również w pojedynkach i to z błahych powodów? W końcu, drogi Reinherdzie, nasz cel jest ważny i święty. Warto dla niego wiele oddać.

– Masz rację, pani – odrzekł cicho, chociaż myśli, że będzie musiał zabawić się w rzeźnika, wydała mu się odstręczająca.

Czegoś takiego z pewnością nie można by pokazać na deskach teatru, chyba, że autor sztuki chciałby wywołać wymioty u widzów. A jeśli nie wymioty, to przynajmniej uczucie nienawiści oraz obrzydzenia do Vardesaavre'ów.

– Później, kiedy krew już spłynie, ustawisz misę pod obrazem i zanurzysz w niej moje szczątki. Zapalisz w kręgu siedem czarnych świec, a każda z nich ma być ulepiona z wosku zmieszanego z włosami wybrańca...

Reinherd skrzywił się.

– ...a potem pozostaje ci już tylko bardzo mnie pragnąć. – Uśmiechnęła się promiennie. –

Modlić się przed obrazem o mój powrót do świata żywych. Może nawet bardziej ważne niż same obrządki, są wiara i pragnienie. Czy masz ich wystarczająco wiele, Reinherdzie?

Baronet spojrzał na kobietę i nerwowo pogłaskał się po brodzie.

– Zapewne tak, moja pani – odparł po chwili. – Lecz sądzę, że warunki są trudne. Trzeba będzie czasu, by znaleźć kogoś, o kim mówisz. Niewinnego, a związanego z zamkiem Achenbach więzami życia i śmierci. To może potrwać.

Roześmiała się beztrąsko.

– Mój młody przyjacielu, czy nie rozumiesz? Freidrich jest tą osobą! Chłopiec urodzony w zamku. Chłopiec, który widział śmierć całej swej rodziny. Chłopiec, który nigdy nikogo nie zabił oraz z nikim nie obcował cieleśnie. Więzy życia, więzy śmierci i niewinność.

Reinherd uniósł się w pościeli i usiadł prosto. Myśli kłębiły się w jego głowie. Czym innym jest skazanie na śmierć całej rodziny, oficjalnie, w przytomności tłumu ludzi i z ręki wykwalifikowanego kata. Czym innym jest nawet wydanie rozkazu, by udusić malca poduszką lub wrzucić do studni. A zupełnie czym innym jest traktowanie go, jakby był

przeznaczonym na ubój bydłociem.

Baronet opuścił stopy na drugą stronę łóżka i wstał. Podeszedł do stolika, sięgnął po dzbanek i nalał kielich wina. Upił kilka łyków, wiedząc, że nie może tej chwili przeciągać w nieskończoność i, że będzie musiał w końcu udzielić odpowiedzi.

– Kochany Reinherdzie. – Usłyszał ciepły głos. – Wiem, że niełatwo podjąć taką decyzję człowiekowi o prawym sercu. Ale czy nie jest to tylko jeden krok naprzód? Następny, logiczny krok po skazaniu wszystkich Achenbachów? Wierz mi, że będzie ci potrzebna moja moc i przyjaźń. Czy Achenbachowie nie mieli przyjaciół oraz stronników na cesarskim dworze? Czy nie będą knuć i spiskować przeciw tobie? A moja magia pozwoli ci, by bronić się i by atakować...

Jeśli to nawet prawda, pomyślał baronet z niezwykłą jasnością umysłu, to oznacza ni mniej ni więcej, że do końca życia będę od ciebie zależny. A im większa okaże się twoja moc, tym silniej zostanę skrepowany.

– Przemyślę twe słowa, pani – rzekł oficjalnym tonem i starał się nie patrzeć w jej stronę.

– Trudno od arystokraty i rycerza wymagać, by podejmował podobną decyzję bez zastanowienia, gdyż...

– Nie ma czasu – przerwała mu. – Złamałeś runy i oswobodziłeś moje szczątki.

Dokonałeś już wyboru – dodała twardym tonem.

Reinherd nie był przyzwyczajony, by w taki sposób do niego przemawiano. Odwrócił się w jej stronę.

– Powiedziałem, że przemyślę to, moja pani, i oto cała odpowiedź – rzekł. – Nie dokonałem jeszcze wyboru. Być może lepiej będzie, jak każę utopić szczeniaka w studni i zapomnimy o całej sprawie.

Przez jej twarz przebiegł grymas i przez chwilę Reinherd zobaczył nie śliczną, delikatną kobietę o łagodnym uśmiechu, a wiedźmę o zaciśniętych ustach i oczach bazyliuszka.

Zmroziło go i odstawił kielich z trzaskiem na blat stołu. Poczuł dreszcz przebiegający od nasady karku aż po pośladki, a serce załomotało w piersiach jak oszalałe. Ale to dziwne wrażenie ustąpiło tak szybko, jak się pojawiło, a rudowłosa piękność znów była tylko łagodnie uśmiechniętą kobietą. I tym razem był to też smutny uśmiech.

– Ja się nie cofnę, Reinherdzie – powiedziała cicho. – Nie zamierzam wracać w pustkę.

Potrafię być oddaną przyjaciółką, ale potrafię też być wrogiem dla tych, którzy za mą przyjaźń chcą płacić obojętnością.

– Nie groź mi – odparł Vardesaavre. – Bo to ja...– Chciał coś dodać, ale rozmyślił się i znowu potarł brodę wierzchem dłoni. – Przecież wiesz, że pragnę twej obecności – złagodził

ton. – I wiele jestem w stanie uczynić, by cię wyzwolić. Ale spróbujmy znaleźć inny sposób.

– Przemógł się i postąpił kilka kroków w jej stronę.

Znowu poczuł, że jej piękność poraża, a kadzidlany, ciężki zapach perfum otula go delikatnym kokonem. Zaprażył wziąć ją w ramiona i przytulić. Poczuci smak jej pocałunków i dotyk ciężkich piersi, wodzić ustami i opuszkami palców po alabastrowej skórze... Otrząsnął

się, by odzyskać jasność umysłu, a ona przyglądała mu się ze smutkiem i troską.

– Nie rań mnie, Reinherdzie – poprosiła. – Pozwól się kochać. To tylko jeden przykry wieczór, a potem już wszystko będzie dobrze. – Jej głos kołował i przekonywał, ale Vardesaavre zebrał wszystkie siły i cofnął się o dwa kroki.

– Nie – rzekł twardo. – Musi być inny sposób.

Przyglądała mu się i w jej wzroku widział zarówno złość, jak i niechętnie uznanie. A może tylko chciał je widzieć? Może była w nim tylko złość?

– Była marchewka – obwieściła zimno. – A teraz będzie bat.

Klasnęła, lecz on nie usłyszał tego kłaśnięcia, tylko widział zderzające się z impetem dłonie. Lecz zaraz potem od strony obrazu dobiegł go hałas. Jakby coś ciężkiego i wielkiego zeskoczyło na posadzkę. Obrócił się gwałtownie w tamtą stronę, ale było zbyt ciemno, by cokolwiek dostrzec. Dobiegło go miarowe, powolne drapanie pazurów na kamieniach. I po chwili zobaczył. Z mroku wyłonił się pies o krwawych oczach i lśniących kłach. Pies z portretu. Z brązowych, grubych warg ściekały krople śliny, a w gardle zwierzęcia narastał

głuchy warkot.

– Oto pani, a oto jej maskotka – powiedziała rozbawiona, widząc jego strach i to, że cofnął się w stronę łoża, sięgając po schowany pod poduszką sztylet.

Vardesaavre rzeczywiście zląkł się w pierwszej chwili, ale potem, już z nożem w garści, ochłonął. Faktycznie zwierzę było wielkie, ale czyż nie było tylko duchem, widmem z obrazu, na pół senną, na pół rzeczywistą złudą? Roześmiał się.

– Trzeba więcej, by...

Nie zdołał skończyć, kiedy bestia skoczyła. Szybka jak uderzenie bata. Vardesaavre poczuł tylko, jak rozpedzone cielsko wali się na niego, i zobaczył tuż przed swoją twarzą potężną paszczę pełną wyszczerzonych kłów.

– Kochany Reinherdzie... – Usłyszał i nie potrafił skupić myśli, bo gorący oddech zwierzęcia porażał jego zmysł powonienia. Z paszczy zionęło niczym z otwartego grobowca, a Vardesaavre nie mógł nawet się odwrócić, gdyż ciężkie łapska przygważdżały go do ziemi.

– ...pies potrzebuje znacznie mniej, by przejść do rzeczywistego świata – wyjaśniła, rozbawiona. – A ja nabrałam mocy, by to sprawić, kiedy zniszczyłeś srebrne pęta.

Kropla gorącej śliny kapnęła na policzek baroneta. Nie powstrzymał się od krzyku pełnego obrzydzenia. Kobieta zaśmiała się perliście i cmoknęła, a pies powoli odstąpił, uwalniając Reinherda. Ten cofnął się pod samą ścianę, a niepotrzebny sztylet wypadł mu z osłabłych palców.

– Niech ta drobna sprzeczka nie odmieni naszych uczuć – powiedziała łagodnym tonem i skinęła na zwierzę, które posłusznie oddaliło się w mrok. – Nie chcę cię więcej straszyć ani krzywdzić, młody Reinherdzie. Pozwól, proszę, bym została twoją przyjaciółką.

Uklękła przy nim i patrzyła mądrym, czułym wzrokiem zatroskanej kobiety. Pogłaskała go po twarzy, ale nie poczuł dotyku palców, a tylko wilgotną mgiełkę na skórze.

– Zostaniemy przyjaciółmi, Reinherdzie? Kochankami? Wspólnikami tajemnicy?

Przecież tak naprawdę właśnie tego chcesz, czyż nie tak?

– Oczywiście – odparł i znowu bardzo pragnął przyciągnąć ją do siebie.

Nie wiedział, jak mógł być na tyle głupi, by ranić tę prześliczną, ujmującą kobietę, pragnącą jego dobra i szczęścia. Rozumiał jej złość i nie miał żalu, iż wysłała przeciw niemu psa. A cóż jest w końcu warte życie jednego smarkacza? I to szczeniaka Achenbachów!

– Oczywiście – powtórzył już zupełnie przekonany. – Postaram się być ciebie godny, pani.

Uśmiechnęła się i pochyliła nad nim. Po raz pierwszy poczuł smak jej ust i ciężar piersi.

Ujęła w dłonie jego twarz.

– Już niedługo – powiedziała, okrywając go pocałunkami. – Już niedługo nadejdzie świt.

* * *

Vardesaavre wstał pełen niedobrych przeczuć. Wiedział już, że wplątał się w kłopoty. W

nieliczne kłopoty. Dietrich mógł sobie wierzyć w magię i magików, ale baronet chlubił się tym, iż w epoce zabobonów i guseł on może wykazać się trzeźwością umysłu oraz racjonalnością poglądów. Jednak ciężko było odrzucać magię, kiedy rozmawiało się z duchem kobiety nieżyjącej od setek lat.

Jeszcze ciężiej – zachować trzeźwość osądu, gdy wdychało się przegniły oddech strzegącej jej bestii, widziało wyszczerzone kły i słyszało chrobot ostrych pazurów na podłodze. Baronet nie miał wątpliwości, że bestia, wysłana przez nieznajomą, może go rozszarpać na kawałki. W końcu czuł na ramionach jej ciężkie łapska, a krople cuchnącej śliny spryskały mu twarz. To nie był łagodny duszek, snujący się po zamkowych komnatach, rozpaczający nad utraconym życiem i szczękający kajdanami lub wyjący z cicha do gwiazd i własnej przeszłości. To była prawdziwa, krwiożercza bestia. A jej pani również nie sprawiała wrażenie szczególnie łagodnej.

Vardesaavre wzdragał się przed wypełnieniem odrażającego rytuału, ale powoli rozumiał, że może nie mieć innego wyjścia. Jego arystokratyczna dusza, wrodzone poczucie estetyki i zamiłowanie do teatralnych scen nie godziły się na takie rozwiązanie. Bo jakże ta scena wyglądałaby na teatralnych deskach? Główny bohater, chlastający dziecko rzeźnickim nożem? Toż publiczność wyklełaby, wygwizdała i wytupała taką postać! Jak wtedy stałby się rycerzem, do którego wzdychają piękne damy, czule myśląc o tym, że ich urok uleczy jego poranioną duszę?

– Musiałem zabić wrogów, gdyż tak nakazywała święta konieczność i prawo rodowej zemsty, której nie wolno mi było odrzucić – mówiłby z twarzą ściągniętą cierpieniem, a damy omdlewałyby w jego ramionach.

Tyle, że żadna dama nie omdlewałaby w ramionach rzeźnika, spryskanego krwią ośmioletniego chłopca, którego przeznaczył na rytualny ubój! Po takim występie jedyną rolą dla niego byłaby rola demonicznego złoczyńcy, czekającego na śmierć z ręki paladyna na białym rumaku.

Reinherd zwlókł się z łoża, zaklął soczyście i poszukał stopami ciepłych pantofli, gdyż posadzka była wyjątkowo zimna. Popatrzył niemal z odrazą na wiszący przed nim portret pięknej damy. Zdawała się przyglądać mu z lekkim, wzruszającym uśmiechem, a towarzyszący jej pies stał tak, że oczy i paszcza były ukryte przed wzrokiem oglądającego.

Teraz, w mocnym świetle dnia wpadającym przez otwarte okiennice, portret nie wydawał się już przerażający, a kobieta, owszem piękna, była tylko malowidłem, a nie szepczącym w ciemnościach duchem. Jednak Vardesaavre nie potrafił też zapomnieć dotyku jej ciężkich piersi – obietnicy przyszłych rozkoszy. A może mu się tylko zdawało? Może gorączkowa, rozedrgana wyobraźnia budowała te obrazy?

Sięgnął po wino i, nie przejmując się wlewaniem trunku do kielicha, przechylił flaszkę do ust. Wypił kilka długich łyków i rozjaśniło mu się w głowie.

– Dietrich – szepnął do siebie. – Dietrich.

Czuł, że musi się z kimś podzielić ciężarem, który dźwiga. Być może doradca – miłośnik wiedzy, marzący o odkryciu antycznej biblioteki i magicznych ksiąg – będzie umiał znaleźć rozwiązanie.

Baronet wyszedł do drugiej komnaty, przylegającej do sypialni, i trzepnięciem w ucho obudził drzemiącego na ławie pachołka. Ten poderwał się, przerażony.

– Dietricha – warknął Vardesaavre. – Ale już!

Kiedy doradca pojawił się w sypialni, dwóch pokojowców kończyło właśnie ubierać baroneta. Vardesaavre przegnał ich niecierpliwym ruchem dłoni.

– Nie spieszyłeś się – rzekł zgryźliwie.

Dietrich rozłożył tylko ręce.

– Pogałem jak wiatr, kiedy tylko usłyszałem, że mnie wzywasz.

– Jak wiatr – parsknął Reinherd i pokręcił głową. – Słuchaj mnie uważnie, Dietrich. –

Wskazał doradcy, aby usiadł. – Wierzysz w magię, co?

– To nie kwestia wiary, wasza miłość – odparł Dietrich. – To kwestia wiedzy. Magia po prostu istnieje i tyle, a wielu ludzi zajmuje się nią z mniejszym lub większym powodzeniem.

Oczywiście, nikt z nich nawet do pięt nie dorasta dawnym czarnoksiężnikom. No –

zastanowił się przez moment – może poza czarodziejkami z Jasnego Klasztoru, ale – machnął dłonią – kto je tam wie...

– Dietrich, jak myślisz? – Baronet odwrócił wzrok. – Można ożywiać trupy?

– Wasza dostojność myśli o Achenbachach? – Roześmiał się doradca. – Ręczę, że żaden z nich nie ożyje...

– Idiota! – warknął Reinherd. – O jakich Achenbachach? Myślę o niej! – Wskazał palcem portret uśmiechającej się kobiety.

Dziwne, ale Vardesaavre miał wrażenie, że teraz czarodziejka wcale się nie uśmiecha, lecz patrzy w głąb pokoju z poważną miną. Wydawało mu się, że widzi nawet jej ściągnięte brwi i lekką zmarszczkę przy lewym kąciku ust. A tego wcześniej nie było.

– Chodźmy stąd – mruknął i pociągnął Dietricha za rękaw. – Przejdziemy się po parku.

Kiedy przekraczał próg komnaty, obejrzał się przez ramię. Miał wrażenie, że wzrok sportretowanej piękności śledzi go, a jej pies obrócił się teraz w taki sposób, że widać było pałające ogniem oko i błysk kła, wyłaniającego się spod grubych warg.

* * *

Na zamku trwały nadal wielkie porządki oraz gorączkowe poszukiwania. Naprawiano szkody, które spowodowane zostały walką, ale szkód tych nie było wiele, gdyż zaskoczeni żołnierze i oficerowie Achenbachów bronili się jedynie na dziedzińcu, gdzie udało im się skupić główne siły. Szukano klejnotów, kosztowności, pieniędzy, ukrytych schowków i wszystko magazynowano w jednym miejscu. Vardesaavre wydał również rozkaz, aby z całego zamku pozbyć się wszystkich rzeczy,

mających wyrysowany, wymalowany bądź

wygrawerowany herb Achenbachów, i dziwił się, że przedmiotów tych jest tak dużo. Zastawa stołowa, gobeliny, broń, meble, a nawet kotary – okazywało się, że Achenbachowie wszędzie lubili widzieć swe godło, nawet w postaci niewielkiego symbolu.

Ale porządkowanie i niszczenie śladów dawnych właścicieli nie było głównym zadaniem służby oraz straży. Wszyscy wytrwale szukali małego Freidricha, za którego znalezienie wyznaczono wszak królewską nagrodę. Tyle, że Vardesaavre dowiedział się już, gdzie ukrywa się ostatni pomiot przeklętych Achenbachów. Wyjawiała mu to kobieta z portretu, a baronet nie miał powodów, by jej nie ufać. Przynajmniej w tym względzie. Jednak rozumiał, że jeśli zdecyduje się wypełnić rytuał, będzie musiał sam, w tajemnicy przed oficerami, żołnierzami oraz służbą złapać Freidricha i sekretnie przenieść do wybranej oraz odpowiednio przygotowanej komnaty. Żołnierze Vardesaavre'ów nie najlepiej znieśli masakrę kobiet i dzieci na zamkowym dziedzińcu, więc baronet był pewien, że zamordowanie dziecka w okrutny, wyrachowany i godny rzeźnika sposób nie przypadłoby im do gustu. Poza tym, gdyby wieść o odprawianiu mrocznych rytuałów dotarła na cesarski dwór, to Vardesaavre mógłby się mieć z pyszna.

Herbowa arystokracja i rodzina cesarza mieli niejedno na sumieniu, ale zapewne znalazłoby się wielu takich, którzy zlekceważyliby belkę we własnym oku, zajmując się źdźbłem w źrenicy bliźniego.

Baronet i Dietrich zeszedli krużgankiem na dziedziniec, a potem boczną bramą do pięknego ogrodu, który był oczkiem w głowie margrabiny.

– Patrz, co za cholerstwo – mruknął Vardesaavre, wskazując wyryty w kamieniu fontanny herb Achenbachów. – Nawet to trzeba będzie skuć.

Przeszli mostkiem nad wpływającym do fontanny strumykiem i zagłębili się w labirynt wysokich tuj, wyprofilowanych niczym ostrza włóczni.

– Dietrich, ta kobieta ożyła – rzekł baronet prosto z mostu. – Jest jak duch, ale mówi do mnie. Ja nawet czułem zapach jej pachnideł. – Uderzył pięścią w rozwartą dłoń.

Doradca parsknął śmiechem, ale zaraz zakrył usta i spoważniał.

– Wybacz, panie – powiedział, a widząc wściekły wzrok Reinherda, dodał. – Naprawdę, wybacz mi.

– Śmiej się, śmiej – odparł Vardesaavre. – Też pewnie bym się śmiał na twoim miejscu.

Ale to prawda...

Skręcili w stronę altany zatopionej w różanych krzewach i przysiedli na ławeczce w środku. Baronet kichnął, bo silny zapach kwiecica zaświdrował mu w nosie.

– Widzisz, Dietrich, ja wzięłem jej szkielet z krypty.

– Złamałeś magiczne runy? – niemal krzyknął doradca. – Przecież radziłem ci, panie, żeby wszystko zakopać, żeby raz na zawsze zapomnieć o tym cmentarzysku!

– Dobrze! Nie posłuchałem rady! Trudno, stało się. Ale teraz chcę, żebyś coś zrobił.

Pomógł mi...

Opowiedział Dietrichowi o wszystkim. O odwiedzinach pięknej czarodziejki, o jej obietnicach, o plugawym rytuale, którego spełnienia żądała, o groźnej bestii, która mogła w przeciwieństwie do swej pani przybrać już realne kształty i która została wysłana, aby zastraszyć baroneta. Doradca słuchał wszystkiego z nieporuszoną miną i tylko od czasu do czasu kiwał głową, jakby słowa barona potwierdzały jakieś jego domysły lub obawy.

– Trzeba to wszystko spalić – rzekł w końcu. – Obraz i jej kości. Zwęglone resztki rozbić na drobny pył i rozrzucić, może utopić. To jedyna rada.

– Tyle to i ja wiem – burknął Reinherd. – Zastanawiam się tylko, czy istnieje jakiś sposób, by ją ożywić i żeby musiała... No, musiała służyć Vardesaavre'om. Z jej magiczną wiedzą... mocą... Kto wie?

Dietrich uśmiechnął się do własnych myśli, bo podejrzewał, że baronetowi w równej mierze chodzi o czarodziejskie zdolności zielonookiej kobiety, jak i o jej niezwykłą wręcz urodę. Ale uczynienie sobie nałożnicy z liczącej kilkaset lat wiedźmy nie było bezpiecznym pomysłem. Dietrich wypowiedział swe myśli głośno, a Vardesaavre skrzywił się tylko.

– Pomyśl, panie. – Doradca mówił łagodnie, jakby tłumaczył coś krnąbrnemu dziecku. –

Ona jest martwa, jest tylko bezcielesnym duchem. A spójrz, że już teraz jest zdolna przysporzyć ci kłopotów. Co będzie, kiedy odzyska dawną moc? Co będzie, jeśli ożyje? Do jakich sztuczek, intryg i knowań będzie wtedy zdolna?

– Wiem, wiem, wiem – powiedział Vardesaavre, ale przed oczami stała mu ta wysmukła postać o jasnej skórze i błyszczących splotach rudych włosów. Kobieta o ciężkich piersiach, smukłej kibici i zielonych oczach. Piękność o zniewalającym uśmiechu oraz słodkim głosem.

– Gdyby nie ten przeklęty rytuał! – warknął.

– Może to i lepiej – odparł poważnie Dietrich. – Czytałem wiele ksiąg, mój panie. Wiele historii z dawnych lat, z czasów Oczyszczenia. To byli potężni czarnoksiężnicy. Uprawiali sztukę tak mroczną i tak straszną, że przetrwała tylko wyblakła pamięć ich czynów. Tak jakby ludzie nawet bali się o nich pamiętać. – Zamyślił się i westchnął. – Choć niewątpliwie byli również mądrzy oraz potężni. Mieli władzę nad życiem i śmiercią. Bóg jeden raczy wiedzieć, jak zesłano na nich zagładę, lecz wybito wszystkich. Co do jednego. Ale, jak widać, nie do końca skutecznie. Nie sądzę, by bezpiecznie było igrzać z taką mocą...

– Dietrich, ona by nam pomogła. Jej magia. Pomyśl tylko...

I nagle przemknęła mu przez głowę zuchwała myśl. Bo w czymże Vardesaavre'owie gorsi są od panującego rodu? Czy fakt, że niemal trzysta lat temu majordomus o nazwisku Vogelburg zamordował swego władcę i jego dzieci, a sam koronował się na cesarza i ożenił z wdową, daje aż takie prawa do dzierżenia władzy oraz korony? Dlaczego nie miałyby powstać nowa dynastia? Cesarz Reinherd I z rodu Vardesaavre? Cesarska korona splamiona była już krwią oraz zdradą. Czy dodatkowa kropla ujmie więc tak wiele z jej chwały?

– Niebezpiecznie prosić powódź, by ugasiła pożar – westchnął tylko Dietrich.

Baronet wyrwał się z rozmyślań.

– Masz rację – podjął decyzję. – Gra stała się zbyt niebezpieczna. Każę zakopać katakumby, spalić szkielet oraz portret i udusić Freidricha. Potem pokazemy wszystkim ciało, wrzucimy trupa do fosy i po krzyku.

– Żeby udusić, trzeba znaleźć – powiedział Dietrich, a Vardesaavre tylko się uśmiechnął.

– Pozostaw to mnie – rzekł, klepiąc doradcę po ramieniu.

* * *

Komnata margrabiny była niemal pusta. Zdarto gobeliny oraz ciężkie kotary, wyniesiono meble. Jaśniejsze plamy na murze wskazywały miejsca, gdzie jeszcze niedawno wisiały rodowe portrety. Vardesaavre wiedział, że wszystkie obrazy wyobrażające Achenbachów i ich przodków już spalono na podwórku. Zostawiono tylko co cenniejsze rami, które włączono do łupów. W komnacie pozostał jedynie wzorzysty dywan o długim włosiu i ogromne łoże z atlasowym baldachimem.

Baronet zamknął za sobą starannie drzwi, uprzednio sprawdzając jeszcze, czy nikt nie sterczy na korytarzu.

– Fre-eidrich – zawołał pieszczotliwie. – Mały Freeidrich, wujek Reinherd cię szuka.

Wolno szedł wzdłuż ściany i ostukiwał mur knykциями. Nagle usłyszał nieco inny dźwięk.

Zatrzymał się i stuknął jeszcze raz. A potem jeszcze raz.

– Ohoho! – zawołał. – Tu jesteś, mały huncwocie.

Próbował pchnąć ścianę, ale nie mógł sobie poradzić, gdyż mur stawiał opór i wydawało się, że nie można go ruszyć nawet na cal.

– A więc tak – rzekł na głos. – Skrytka zapewne otwiera się od środka, a tutaj musi być jakaś dźwignia. Czy nie tak? – powiedział głośniejsz. – Mam rację, Freidrich?

Zabrał się znowu za ostukiwanie ścian i dostrzegł, że jedna z cegieł ruszyła się. Ostrożnie ją wyciągnął i w dziurze dostrzegł małą, żelazną dźwignię. Szarpnął. Dobiegł go chrzęst, jakby poruszony został mechanizm gdzieś w głębi muru. Teraz pchnął wejście do skrytki, a ono ustąpiło

pod jego dłonią. W środku panowała ciemność, a otwór był naprawdę niewielki.

Dorosły człowiek musiałby kucnąć, a i tak ledwo by się zmieścił.

– Chodź do mnie Fre-eidrich – niemal zaśpiewał, uradowany, że kobieta z portretu powiedziała mu prawdę.

Nie zamierzał na razie wsuwać się do dziury. Niewykluczone, że dzieciak miał w ręku nóż, a cóż łatwiejszego niż wbić ostrze w nieporadnego dorosłego, który próbuje się przecisnąć przez wąską szparę i w dodatku nic nie widzi w ciemnościach. Najpewniej słaba dziecięca ręka nie zabiłaby mężczyzny, ale baronet nie miał zamiaru ryzykować niepotrzebnej rany lub blizny.

– Chodźże do mnie, szczeniaku – rzekł twardszym tonem. – Bo jak będę musiał po ciebie wleźć, to dostaniesz baty.

Nie liczył na zbyt wiele, ale przez chwilę jeszcze pieszczotliwie namawiał, potem groził, aż wreszcie umilkł i wsłuchał się w ciszę. Wydawało mu się, że zza ściany dobiegło jego uszu coś na kształt stłumionego westchnienia, połączonego ze zduszonym szlochem. Uśmiechnął się sam do siebie.

Wyszedł z komnaty margrabiny i starannie zamknął drzwi. Wiedział, że z tego pokoju nie ma ucieczki, bo gdyby istniał tajny korytarz, łączący sekretną salkę z jeszcze innym miejscem, to szczeniak dawno by uciekł. Mógł, co prawda, rzucić się z okna, ale to akurat baronetowi odpowiadało. Do ziemi było co najmniej trzydzieści stóp, a zawsze byłoby lepiej, gdyby smarkacz sam się zabił niż plamić sobie rękę jego krwią.

– Słuuuuużba! – rozdarł się na całe gardło.

Po chwili usłyszał tupot stóp na korytarzu, a przed nim pojawił się mocno zdyszany i nieco przestraszony służący.

– Jaśnie panie?

– Wołaj do mnie Alofsa! Tylko żywo, chłopcze!

Wszedł z powrotem do komnaty i pozapalał wszystkie świece, bo za oknem zaczęło się już zmierzchać. Usiadł wygodnie na łożu i z uśmiechem wpatrywał się w ciemny otwór w ścianie. Od czasu do czasu wołał: „Fre-eidrich, wujek już idzie po ciebie” i bardzo go to bawiło. Wreszcie zastukano do drzwi.

– Wejść – rozkazał.

Alofs uklonił się z szacunkiem i przekroczył próg komnaty.

– Pan baronet mnie wzywał?

– Spójrz no tam. – Vardesaavre wyciągnął dłoń i pokazał dziurę w ścianie. – Widzisz?

– Tak, wielmożny panie.

– Otóż, drogi mój Alofsie, w tej dziurze załagał się wyjątkowo paskudny szczur. –

Reinherd uśmiechnął się radośnie. – I trzeba go wyciągnąć za łeb z kryjówki.

– Pan baronet mnie... – zaczął Alofs i nagle zrozumiał. – Szczur? – spytał. – Ten, którego wszyscy szukają?

Vardesaavre pokiwał głową i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Ta szpara jest mała, więc z łaski swojej wejdź do niej, mój drogi, bo ja się nie mieszczę.

Tylko uważaj na siebie, bo smarkacz może mieć nóż, a nie chciałbyś chyba nosić blizny po ośmiolatku? – parsknął, zadowolony z własnego dowcipu.

Alofs wziął do ręki grubą świecę i pochylił się nad otworem.

– Jak oko wykol – mruknął.

Przykucnął i zaczął przeciskać się przez otwór. Baronet wstał z łoża i zbliżył się do muru, zaciekawiony, co się wydarzy. Miał tylko nadzieję, że nie był to fałszywy alarm, gdyż jeśli chłopca nie będzie, przeżyje wielkie rozczarowanie. Na szczęście można było przynajmniej liczyć na dyskrecję Alofsa.

Żołnierz całkowicie zniknął już w sekretnym schowku i nagle z wnętrza rozległ się pisk, łomot, a potem zduszone przekleństwo.

– To zaraza! – wrzasnął Alofs, a potem Vardesaavre usłyszał dwa solidne łupnięcia, jęk dziecka i niemal bezgłośny płacz.

Po chwili Alofs wypchnął przez otwór ubrudzonego jak nieszczęście ośmiolatka.

Chłopiec przeraźliwie śmierdział, ubranie miał wysmarowane własnymi odchodami, a twarz całą we krwi, zapewne po ciosach żołnierza.

– Miał nóż, skurwyżeszsyn – warknął żołnierz, wychodząc z kryjówki. Krwawiła mu prawa ręka.

Mały Freidrich odpełznął do kąta i skulił się tam jak dzikie zwierzę. Był wyraźnie oszołomiony uderzeniami i przerażony, ale jednak obserwował spode łba każdy ruch Vardesaavre'a.

– Patrz, czujne szczenię – mruknął Reinherd.

Zbliżył się do chłopca, zamarkował kopnięcie z prawej strony, a kiedy Freidrich osłonił

się, kopnął mocno od lewej, trafiając w bark i zebra. Mały Achenbach stracił dech i padł na posadzkę z wytrzeszczonymi oczami, rozpaczliwie starając się złapać powietrze w płuca. Po twarzy ciurkiem leciały mu łzy. Zasmarkał się też okrutnie. Vardesaavre kopnął go jeszcze dwa razy, raz w brzuch i raz w dłoń, którymi starał się osłonić twarz. Roześmiał się serdecznie, widząc nieporadne ruchy dzieciaka, który teraz przypominał odwróconego grzbietem do ziemi żuka, nerwowo gmerającego odnóżami w pełnym słońcu.

– Mała gadzina – powiedział. – No dobrze, kończmy to, Alofs. Załatw szczeniaka.

– Panie?

– Załatw go – powtórzył Reinherd. – Uduś rękoma, sznurem czy poduszką. Czymkolwiek chcesz. Potem pokażemy wszystkim ciało, trupa do fosy i będzie po Achenbachach.

– Wasza miłość, ale... – Żołnierz stał niezdecydowany.

– Posłuchaj, Alofs. Gówniarz tak czy inaczej zginie. Nic go już nie może uratować. Jeśli wyświadczysz Vardesaavre'om tę przysługę, nie zapomnę ci tego do końca życia. Jeśli będę to musiał zrobić sam, również ci tego nie zapomnę do końca życia. Rozumiemy się?

Żołnierz skinął powoli głową.

– Tak jest, dostojny panie – rzekł i wyjął z pochwy miecz.

– No nie, na Boga. – Strzepnął dłońmi baronet. – Po co nam ślady? Uduś go do, cholery!

Chcesz, żeby wszyscy zobaczyli, że trzeba było sięgać po miecz na ośmiolatka?

Alofs schował broń, kucnął nad chłopakiem i chwycił go za szyję.

– Neeee, prooooooszę! – Freidrich odzyskał dech, ale wszelka odwaga już go opuściła.

Był tylko przerażonym do szpiku kości dzieckiem, które musiało słuchać, jak dwóch dorosłych mężczyzn zastanawia się, w jaki sposób go zgładzić.

Żołnierz zacisnął silniej palce i krzyk chłopca przeszedł w rżenie. I nagle z przeraźliwym hukiem runęły drzwi. Baronet zdążył się obrócić i ujrzał wielkiego psa, który z rozdziawioną paszczką i głuchym, wydobywającym się z głębi gardła warkotem runął na Alofsa. Żołnierz nawet nie zdążył się zasłonić. Rozpędzona bestia obaliła go na wznak, a kły w mgnieniu oka rozdarły gardło na strzępy. Wokoło bluznęła szkarłatna fontanna. Freidrich, półprzytomny i zachlapany krwią swego niedoszłego zabójcy, odczołgał się na bok i skulił

pod ścianą.

Vardesaavre cofnął się kilka kroków, ale szybko powstrzymał strach. Stał, przyglądając się bestii, która łapczywie chleptała krew z pokrywającej posadzkę kałuży. Baronet był

spokojny o swe życie. Pies został najwyraźniej wysłany, by ocalić chłopca, by nie pozwolić na jego zabicie, zanim dokona się rytuał. Ale Vardesaavre wiedział, że jemu samemu nic nie grozi. Był potrzebny czarodziejce z portretu, gdyż tylko dzięki jego pomocy mogła wrócić do realnego świata i znowu cieszyć się wszelkimi urokami życia. Lecz to, co się stało po chwili, zaskoczyło go. Oto pies, nasyciwszy już pragnienie, zbliżył się do Freidricha i mocno, choć w miarę delikatnie, chwycił go w potężne szczęki niczym szczeniaka. Chłopiec był drobny i szczupły, więc unieruchomienie go oraz uniesienie przyszło bestii bez najmniejszego trudu.

Zresztą Vardesaavre był pewien, że ten potwór wielkości wyrosniętego cielaka poradziłby sobie z dużo większym ciężarem. Baronet mógł się tylko przyglądać, jak pies wychodzi przez drzwi, a potem dobiegł go oddalający się dźwięk drapania pazurów na posadzce. Wtedy dopiero ocknął się, wypadł na korytarz i wrzasnął na służących.

Niemal natychmiast zorganizowano poszukiwania, a żołnierze oraz uzbrojona służba rozbiegli się po zamku. Vardesaavre był pewien, że pies nie odda łatwo życia i łupu, dlatego kazał swym ludziom trzymać się po dwóch albo nawet po trzech. Ale bestia jakby zapadła się pod ziemię. Jedyne, co po niej zostało, to zmasakrowane ciało Alofsa oraz krwawe ślady na podłodze, które prowadziły na schody, a potem ginęły na krużganku. Nikt też nie widział

potwora ani nie słyszał dziwnego tupotu czy warkotu.

Vardesaavre był wściekły. Nie tylko, że w idiotyczny sposób zginął jego zaufany żołnierz (bo to przeboleałby, choć jego dumę ranił fakt, że ośmielono się zabić Alofsa przy nim), ale szczeniak Achenbachów zaginął na dobre. W dodatku na zamku, wśród dworzan, służby, a nawet żołnierzy szybko zaczęły się szerzyć głupie plotki. Mówiono, że pojawił się potwór-opiekun rodu Achenbachów, który uratował spadkobiercę rodu, by ten mógł się w stosownej chwili zemścić za krzywdy rodziny. Opowiadano, że bestia jest wielkości konia, potrafi stawać się niewidzialna, a spojrzenie jej żółtych oczu paraliżuje. Bajano również o tym, że pies wyszedł z podziemi, które nieopatrznie kazano odkopać. No, przynajmniej ta część opowieści zawierała ziarno prawdy... Ale trudno się tym było pocieszać.

Ze wszystkimi wieściami przyszedł do baroneta niezawodny Dietrich. Vardesaavre siedział w sali na parterze i wychylał jeden puchar wina za drugim, w związku z czym był już mocno pijany, kiedy zobaczył doradcę. Wysłuchał go jednak spokojnie.

– Co ona może jeszcze zrobić? – Huknął pięścią w blat, aż kielich wywrócił się z trzaskiem, a czerwona struga rozlała się po drewnie. Baronetowi przypomniało się rozdarte na strzępy gardło Alofsa i kałuża krwi w komnacie margrabiny. Splunął wściekle i zaklął.

– Takie bydlę nie może po prostu zniknąć – dodał spokojniejszym tonem. – Nie może się rozpuścić w powietrzu. Dietrich, to coś było wielkości żrebaka, tylko dużo, dużo – zakreślił

kraż rękoma – potężniejsze.

– Wasza wielmożność sprawdzał obraz? – zapytał Dietrich.

Reinherd zapatrzył się na niego z głupim wyrazem twarzy, a potem roześmiał

pogardliwie.

– Obraz? – powtórzył. – Myślisz, że ta bestia po prostu weszła sobie w obraz i zabrała tam chłopaka. Zdurniałeś?

– Czyli wasza wielmożność nie sprawdzał? – Dietrich nie zareagował na zaczepkę.

– Zdurniałeś. – Vardesaavre tym razem nie zapytał, tylko stwierdził.

– Pan baronet pozwoli, że ja tam pójde i zobaczę?

– Rób sobie, co chcesz! – warknął Reinherd. – Jak dla mnie, możesz iść i się utopić! Ty i te twoje rady!

– Wasza wielmożność raczy zauważyć, że ja radziłem nie ruszać trupów ani obrazu, a wszystko zasypać i zostawić jak było.

Vardesaavre oparł się pięściami o stół i podniósł z krzesła.

– Czyli to moja wina? – zapytał wściekle spokojnym tonem. – Ośmielasz się twierdzić, że to ja ściągnąłem te wszystkie nieszczęścia?

Dietrich postąpił krok naprzód i pchnął baroneta prosto w pierś, tak, że ten wylądował z powrotem na krześle. Ze zdumienia nawet nie zareagował, tylko zapatrzył się w Dietricha zbaraniałym wzrokiem.

– A czyja, idioto? – syknął doradca. –Kto wskrzesił pradawną magię? Dzięki komu po zamku biega piekielna bestia i morduje żołnierzy? Dzięki komu, zamiast pokazywać żołnierzom trupa tego szczeniaka, musimy go znowu szukać po całym zamku? Jakbyś nie myślał tylko o tym, żeby wyobrazić tę cycatą dziwę w swoim wyrze, nie mielibyśmy teraz kłopotów...

– Co takiego? – wydusił z siebie Vardesaavre.

– To, co słyszałeś! Weź się w garść i zacznij myśleć, bo niedługo to monstrum przyjdzie po ciebie albo po mnie! – Dietrich stał i wpatrywał się w baroneta płonącym wzrokiem.

Twarz miał ściągniętą grymasem wściekłości.

– Już? – zapytał po chwili milczenia Vardesaavre. – Skończyłeś?

Dietrich parsknął, przysunął sobie krzesło i usiadł. Nieproszony oraz nie zapytawszy wcześniej o pozwolenie, nalał wino do pucharu i wychylił trunek duszkiem. Sapnął, przetarł

usta wierzchem dłoni.

– Upraszam o wybaczenie – mruknął nie za bardzo pokornym tonem.

– Wiesz, czym się różni dobry władca od złego?– zagadnął Reinherd.

Dietrich spojrział na niego pytającym wzrokiem.

– Tym, iż dobry spodziewa się, że od swych doradców usłyszy prawdę, a nie piękne kłamstwa. I stara się zrozumieć, że prawda może mu pomóc, a nie zaszkodzić. Ale: stara się, rozumiesz, Dietrich? Bardzo się stara. Lecz jeśli jeszcze raz podniesiesz na mnie rękę, każę ci ją obciąć. Mam nadzieję, że to również rozumiesz?

– Rozumiem, jaśnie panie. – Dietrich tym razem miał naprawdę skruszony głos. – I błagam o wybaczenie.

– Udzielone – mruknął Vardesaavre. – Chodźmy do mojej sypialni. Jeśli pies jest na portrecie, dostaniesz dwadzieścia srebrnych koron. Jak go nie ma, dwadzieścia batów. Żeby cię nie upokarzać przed ludźmi, karę wymierzę ci sam. A ja mam silną rękę, Dietrich.

– Co wasza dostojność powie o stu?

– Powiem, że ja przeżyję stratę stu koron, lecz ty nie przeżyjesz stu batów. A nie zamierzam pozbywać się w tak głupi sposób mądrego doradcy.

Dietrich zaczerwienił się z dumy, a baronet po raz kolejny pogratulował sobie umiejętności obchodzenia się z ludźmi. Byłby ze mnie naprawdę dobry cesarz, pomyślał, chociaż wiedział, że bez pomocy najpotężniejszej magii jego marzenia o koronie zawsze pozostaną tylko marzeniami. Swoją drogą, że trzysta lat temu skromny majordomus Vogelburg mógł myśleć w bardzo podobny sposób. A jego marzenia jednak przybrały realny kształt.

* * *

Kiedy się okazało, że pies znajduje się na portrecie, Vardesaavre tylko sapnął, a Dietrich rozłożył dłonie w udanym geście współczucia. Baronet przemógł się, poskromił dumę i poklepał doradcę po ramieniu.

– Jeszcze dziś każę skarbnikowi wypłacić ci pieniądze. W końcu zakład to zakład.

Bestia z obrazu stała znowu odwrócona tyłem, nie było widać ani jej paszczy, ani kłów.

Ale baronetowi wydawało się, że na dywanie wykwitła, nieco zakryta potężnymi łapskami, ale jednak widoczna, szkarłatna plama. Zbliżył się, by obejrzeć lepiej. Była. Tak jakby krew ściekała z mordy psa i plamiła podłogę. A czy w pobliżu obrazu naprawdę było czuć zgniły odór zmieszany z ostrym zapachem potu dzikiego zwierzęcia?

– Pytanie brzmi tylko: gdzie jest Freidrich? – odezwał się za plecami baroneta Dietrich.

Vardesaavre wzniosł oczy i dojrzał ujmujący uśmiech na twarzy zielonookiej piękności.

Uśmiechała się trochę z rozbawieniem, a trochę może z wyrozumiałością. I znowu wydawało się, że niezależnie od miejsca obserwacji, jej spojrzenie zawsze śledzi baroneta.

– Chyba wiem – odparł Reinherd i wskazał wystający zza zielonych falban sukni czubek chłopięcej ciżemki. Albo coś, co czubek ciżemki przypominało.

– Zaniósł go do obrazu? – zapytał Dietrich takim tonem, jakby się zastanawiał, czy baronet jest przy zdrowych zmysłach.

– Magia, co? – Zauważył szyderczo Vardesaavre. – Powinno ci się podobać. Zawsze marzyłeś o magii.

Doradca zbliżył się do portretu, ale Reinherd zauważył, że zachowywał sporą ostrożność i przypominał mysz, bardzo nieufnie obwąchującą napełnioną serem pułapkę.

– Niby coś tam widzę – mruknął. – Jakby ciżma, czy co...

Reinherd tylko pokiwał głową, a Dietrich znowu odsunął się na bezpieczną odległość.

– I co teraz zrobimy, panie? Spalimy obraz?

Baronet odszedł od ściany i usiadł na krześle. Oparł podbródek na pięści, cały czas przypatrując się portretowi. Wydawało mu się, nie, nie wydawało mu się, był tego pewien, że kiedy Dietrich powiedział „spalimy obraz”, pies przesunął się tak, że znowu było widać sterczący kiel i płonące purpurą oko.

– Nie wiem – rzekł. – Zastanawiam się, czy nie lepiej jednak się z nią dogadać. Jeśli spalę obraz, nigdy już nie znajdę ani Freidricha, ani jego szczątków...

– Trudno, wasza miłość – przerwał mu Dietrich. – To ważne, ale niewarte takiego ryzyka.

– A pies? Jeśli zaatakuje nas, kiedy tylko dotkniemy portretu?

– Każ zawołać zbrojnych, panie. W końcu to tylko zwierzę...

– A zastanowiłeś się, co ludzie powiedzą na bestię wyłaniającą się z obrazu? Opiekun rodu Achenbach. – Baronet prychnął z rozdrażnieniem. – A może nazwą go kłątwą Vardesaavre'ów, co? Tak czy inaczej, będzie wesoło. – Zabębnił palcami po blacie stołu.

– Nie wydostaniesz się z bagna, brnąc w nie coraz dalej...

– Dietrich, daruj sobie kretyńskie powiedzonka! – rozeźlił się Reinherd. – Tylko tego mi jeszcze trzeba. Ludowej mądrości!

– Więc co zamierzasz? – spytał doradca po chwili.

– Ona do mnie przyjdzie – odparł Vardesaavre z niezachwianą pewnością. – Przyjdiesz, prawda? –

zwrócił się wprost do portretu. – A wtedy porozmawiamy o tym, kto będzie czym handlował i na jakich zasadach.

– Szczerze doradzam ostrożność, mój panie. Widzisz, do czego ona jest zdolna już w tej chwili. Kto wie, jak straszne moce zyska za dzień czy dwa? A jeśli rzeczywiście przybierze realne kształty... – Dietrich pokręcił głową.

– Realne kształty... – Vardesaavre znów nie mógł oderwać wzroku od tego niemal nagiego, jasnego ciała, od ledwo zasłoniętych, głęboko wydekoltowanych piersi. I ten uśmiech. Obiecujący. Kuszący. Zniewalający.

Z trudem uciekł spojrzeniem w bok. Zauważył, że Dietrich przygląda mu się z niepokojem.

– Jest piękna – rzekł baronet. – I wiem, że mnie zauroczyła, ale nie martw się. – Wstał i klepnął Dietricha w ramię. – Vardesaavre’owie myślą głową, nie przyrodzeniem.

– Chciałbym w to wierzyć – odparł doradca, ale tak cicho, że niemal sam nie dosłyszał własnego głosu.

Baronet również chciał wierzyć w słowa, które właśnie wypowiedział, ale zdawał sobie sprawę, że nigdy w życiu nie spotkał piękniejszej i bardziej kuszącej kobiety. I rzecz przecież nie leżała tylko w jej iście nieziemskiej urodzie, ale może też w niezwykłości? W magii, którą była otoczona? W fakcie, że była niegdyś kimś niezwykle potężnym, a teraz po wiekach miała powrócić wśród żywych? Reinherd zdawał sobie sprawę, że jego myśli biegną jakby w rycerskim romansie. Oto precudna czarodziejka pokocha całym sercem śmiertelnika i mądra, uległa oraz oddana powiedzie go do chwały i szczęścia. Rozumiał, że rzeczywistość niewiele ma wspólnego z poezją, lecz jednak w jego sercu tlił się sentymentalny płomyczek, który w żaden sposób nie chciał zgasnąć.

* * *

Baronet kazał dobrze napalić w kominku i leżał w łóżku, otulony pierzyną. Przy wezglowiu palił się pięcioramienny świecznik z grubymi, woskowymi świecami, a Vardesaavre, aby nie zasnąć, postanowił przeczytać sprowadzony niedawno ze stolicy rycerski epos. Epos był modną przeróbką dawnej, wielce sentymentalnej ballady, traktującej o rycerzu ratującym piękną księżniczkę z rąk niezwykle złośliwego czarnoksiężnika. Autor z lubością opisywał wszystkie nieszczęścia, jakich czarnoksiężnik był sprawcą, a Reinherd był

przekonany, że na końcu z równą lubością opisze jego upadek oraz karę, jaka zostanie wypłacona za niegodziwość.

Baronet postanowił nie spać tej nocy, gdyż nie chciał zostać zaskoczony nadejściem kobiety z portretu. Nie wierzył, oczywiście, by cokolwiek mu groziło. Przecież gdyby czarodziejka pragnęła go skrzywdzić, to bestia nie tylko uratowałaby małego Freidricha i zabiła Alofsa, ale również rozprawiała się z samym Vardesaavre’em. Jednak chciał zachować trzeźwy osąd i trzeźwy umysł, by pertraktować w pełni sił, a nie w sennym otępieniu, na pograniczu snu i jawy.

A jednak nie udało się dochować tak mocno powziętych postanowień. Reinherd nawet nie wiedział, kiedy litery zaczęły mu się rozmywać przed oczami, a lektura związała sen i świat rzeczywisty w jeden zadziwiający, magiczny supeł. I kiedy otworzył oczy, zobaczył, że nad jego łóżem stoi dama z portretu. Pochyliła się i dotknęła jego czoła dłonią. Wzdrygnął się, bo ten dotyk przypominał muśnięcie porannej mgły. W komnacie było ciemno, mimo, że świece wypaliły się zaledwie do dwóch trzecich wysokości. Tylko ciało czarodziejki jaśniało ledwo uchwytnym, a jednak rozwiewającym mrok blaskiem.

– I co ja z tobą mam, mój młody przyjacielu? – szepnęła niczym piastunka do krnąbrnego wychowanka. – Dlaczego mnie zasmucasz?

Baronet podsunął się wyżej i zamrugał oczami, chcąc odpędzić resztki senności.

– Zabiłaś mojego żołnierza – rzekł.

– Ja? – zdumiała się. – Jak mogłabym zabić żołnierza, Vardesaavre, skoro jestem niewiele silniejsza od tumanu mgły nad jeziorem? – Uśmiechnęła się wyrozumiale, tak jakby wybaczała błąd niezbyt pojętnemu uczniowi.

– Ty, twój pies, wszystko jedno – powiedział.

– Kazałam mu porwać chłopaka i nie skrzywdzić ciebie, mój miły. Czyż mogłam przypuszczać, że w komnacie będzie się znajdować ktoś jeszcze? Wybacz mi, jeśli cię zasmuciłam, ale sam przyznasz, że wszystkie nieporozumienia między nami wynikają z twojej lekkomyślności oraz braku zdecydowania...

Vardesaavre słuchał jej uważnie i kiwał potakująco głową, a słowa czarodziejki wydawały mu się nad wyraz rozumne. Ale w pewnym momencie otrząsnął się. Był świadom tego, że zawsze, kiedy znajduje się obok tej niesamowitej kobiety, jest rzucany na niego rodzaj uroku. Jednak nie zamierzał mu się poddawać.

– Lekkomyslności? – mruknął. – Lekkomyslnie to ja cię ożywiłem...

– Mój drogi baronecie... – Uśmiechnęła się. – Po pierwsze, jeszcze mnie nie ożywiłeś, a po drugie, jak inaczej niż brakiem zdecydowania i lekkomyślnością można nazwać to, co wyprawiasz z dzieciakiem? Jak mogłeś kazać go udusić, wiedząc, że sprawisz mi tym przykrość oraz ból?

Reinhardzie... – Usiadła obok niego i tym razem poczuł, że łóżko leciutko się poruszyło pod jej ciężarem. – Czyż twoim obowiązkiem, rycerza i człowieka honoru, nie jest pomoc biednej kobiecie, uwięzionej i prześladowanej przez zły los? W dodatku kobiecie już teraz żywiącej do ciebie ciepłe uczucia i całkowicie pewnej, że szybko przerodzą się one w gorącą namiętność oraz żarliwą przyjaźń. Dlaczego mnie ranisz? Pragniesz, bym rozpacziała i żałowała chwili, w której cię poznałam?

Pochyliła się nad nim tak głęboko, że niemal go dotykała. Czuł ciężki, upajający zapach perfum, widział słodki, smutny uśmiech na jej twarzy i złote iskierki migoczące w zielonych oczach. Zastanawiał się, jak kiedykolwiek mógł próbować skrzywdzić tę kobietę, zamiast z rycerską pokorą

wypełnić jej prośby i zasłużyć na szczęśliwy uśmiech oraz pełną żaru namiętność, którą obdarzyłyby go...

Zagryzł usta do krwi i zerwał się, wiedząc, że jeśli minie jeszcze chwila, to urok zyska nad nim władzę. Nie wiedział, czy tajemnica tkwiła w jej potędze, czy w jego słabości, ale nie chciał pozwolić, by uczucia zaćmiły jego umysł. Gdyby była żywą istotą, wpadłby prosto w jej ramiona, zderzył się z nią lub nawet zepchnął z łoża. Ale ponieważ była tylko duchem lub czymś w rodzaju ducha, więc poczuł jedynie, jakby cały zanurzył się w chłodnej wilgoci.

Czarodziejka nie odezwała się ani słowem i usiadła wygodnie w pościeli, przyglądając się, jak Vardesaavre krąży po komnacie. Tymczasem baronet poczuł się zdecydowanie lepiej, wiedząc, że ona siedzi kilka kroków dalej, nie czując jej perfum ani nie widząc uśmiechu i zielonych oczu. Nie mówiąc już o tych posągowych kształtach i ciele, do którego dłonie same się wyciągały, jakby bez udziału woli i rozumu.

– Pertraktujmy – wydusił z siebie wreszcie. – Zawrzyjmy uczciwy układ.

– Od początku ci to proponuję, mój miły.

– Nie proponowałaś uczciwego układu...

– Nie? – przerwała mu, a ton jej głosu się zaostrzył. – Ofiarowałam ci siebie. Moją przyjaźń, pomoc i ciało. Magię, dzięki której poradzisz sobie z wrogami. Czy to mało, Vardesaavre? A czego w zamian żądałam? Jednego, drobnego dowodu poświęcenia. Nawet nie jednej nocy, ale dwóch, może trzech godzin z twojego życia. Zważ więc uczciwie, kto daje więcej!

– Żądasz mego honoru – rzekł wyniośle.

– Ty mówisz o honorze? Morderca kobiet i dzieci? Czy naprawdę myślisz, że wszystko ci ujdzie na sucho?, że cesarz machnie ręką i powie: „trudno, stało się”. Będą ci potrzebni potężni przyjaciele, Vardesaavre. Wierz mi.

– Nie znasz się na polityce. – Machnął ręką.

Był urażony, iż nazwała go mordercą kobiet i dzieci, gdyż realizował przecież nic innego, jak tylko święte prawo Vardesaavre'ów do zemsty. A jego działania nie wynikały z okrucieństwa lub żądzy krwi, lecz tylko z czystej konieczności. Wiedział, że cokolwiek by mówiono, nie jest złym człowiekiem. Jest jedynie człowiekiem, którego wrzucono w bezlitosne żarna historii. Człowiekiem, który do końca musiał wypełnić swą powinność.

Achenbachowie nie mogli żyć na tym samym świecie co Vardesaavre'owie. I koniec. Miał

wrażenie, że jedyną osobą, która mogłaby zrozumieć tę prostą prawdę, był margrabia Achenbach. Ale jego ciało, obciążone kamieniami, dawno już tkwiło w mule fosy.

– Zdziwiłbyś się – roześmiała się dźwięcznie – cóż możemy wiedzieć my, głupie kobiety... Tak, Vardesaavre, tak właśnie myślisz? Twoja sprawa. – Machnęła dłonią. – Ale wiem jedno. Ja mam

chłopaka, a ty masz klucz do mojego wyzwolenia. Proponuję więc wymianę.

– A jeśli spalę obraz? – Reinherd zatrzymał się i patrzył, jak kobieta zareaguje na te słowa, ale jej twarz nawet nie drgnęła. – I spalę twoje szczątki? Co wtedy? Pal licho chłopaka.

Ważne, że zginie, a nie, czy będę mógł pokazać jego ciało, czy też nie.

– Zginie? – Rozciągnęła wargi w uśmiechu. – Skąd ta pewność, że nie mogę go wysłać w bezpieczne miejsce? Jeśli mogłam go ukryć w świetle za ramami obrazu, może mogę również przenieść prosto na dwór cesarza? Nie pomyślałeś o tym, co, Vardesaavre?

– Nie masz takiej mocy – parsknął.

– Nie mam? Od kiedy jesteś znawcą magii, mój młody przyjacielu?

Baronet usiadł na krześle i nerwowo zastukał palcami w blat. Nie wiedział, co sądzić o słowach czarodziejki. Czy naprawdę jej moc była już aż tak wielka, czy tylko blefowała, licząc, że on sam ugnie się przed szantażem? Ale jeśli rzeczywiście posiadała podobną siłę, to Vardesaavre'owie byliby zgubieni.

– A jak ja pokażę wszystkim ciało smarkacza? – zapytał kapryśnym tonem. – Kiedy będzie już po rytuale? Co powiedzą, widząc tak obrządzone zwłoki?

– O to się nie martw – odparła. – Wierz mi, że będzie wyglądać, jak gdyby smacznie zasnął.

– Dobrze. – Podjął decyzję. – Każę przyszykować wszystko w jednej z sal pod wieżą.

Dietrich tym się zajmie.

– Mój kochany przyjacielu. – Jej twarz rozjaśniła się. – Zobaczysz, jak bardzo, bardzo będziemy szczęśliwi. Pamiętaj tylko o kilku sprawach. Po pierwsze, moje kości. Po drugie, szczelna skrzynia. Po trzecie, portret. Po czwarte wreszcie, lina, na której zawiesznie ciało.

Będziesz pamiętał o wszystkim, prawda?

– Oczywiście, moja pani – odpowiedział z uśmiechem i skłonił się dwornie.

* * *

Niezawodny Dietrich przygotował wszystko, co trzeba. Baronet zauważył, że doradca jest blady jak śmierć i drżą mu dłonie. Nic dziwnego. Sam czuł się nieswojo, myśląc o tym, że już niedługo będzie musiał dokonać czynu, który może się okazać zgubny dla rodziny Vardesaavre'ów. Wiedział jednak, że nie ma innego wyjścia.

– Czas na portret – zwrócił się do Dietricha.

Ostrożnie zdjęli obraz ze ściany, a baronetowi wydawało się, że zielonooka piękność przygląda się

szczególnie uważnie ich poczynaniom. Ogromny pies był już bardzo wyraźnie obrócony przodem do pokoju i dokładnie widać było jego monstrualnej wielkości paszczę, zagięte kły oraz gorejące czerwienią oczy.

– Poniosę – mruknął Reinherd i chwycił silniej ramy.

Spojrzał w szczapy drewna płonące jasnym ogniem na kominku i w wysokie płomienie liżące mur. Dał dwa długie kroki i zamierzał już cisnąć obraz w żar, kiedy ktoś z tyłu szarpnął

go za rękaw. Portret, zamiast wylądować w palenisku, huknął o ścianę. Vardesaavre chciał

doskoczyć i wepchnąć go do ognia, ale nagle poczuł, że ktoś uderza go w głowę, a potem odpycha na bok. Jeszcze poderwał się, sięgając po sztylet ukryty w cholewie buta, ale był już zbyt zamroczony, by cokolwiek zdziałać. Poczuł znowu ból w tyle głowy i myśli odpłynęły.

Ocknął się i próbował poruszyć dłońmi. Nie mógł i przeraził się, że został sparaliżowany.

Dopiero po długiej chwili zorientował się, że to nie paraliż, lecz ściśle splecione sznury, które opasywały jego nadgarstki, ramiona oraz stopy. Zobaczył, że ruda czarodziejka pochyła się nad nim, i poczuł zapach jej perfum. Wielkie piersi niemal uwolniły się z gorsetu, ale tym razem Vardesaavre nie był w stanie podziwiać posągowych kształtów. Przeczuwał, a raczej nie, nie przeczuwał, lecz wiedział, że stało się coś bardzo złego. A w każdym razie nie udało się spalić magicznego obrazu.

– Doszłam ostatecznie do wniosku, że nie będziesz dla mnie użyteczny, baronecie. Nie potrafiłeś docenić prawdziwej przyjaźni... – Jej zielone oczy były teraz chłodne, taksujące i obojętne.

– Posłuchaj... – Usiłował się podnieść, lecz nie mógł ruszyć ręką ani nogą. Związano go nad wyraz mocno i nad wyraz porządnie. – Przecież nie możesz mnie tak po prostu zabić!

– Nie zostaniesz zabity ot tak, po prostu. – Roześmiała się, a Vardesaavre'owi nie spodobał się ten śmiech. – Weźmiesz udział w czymś o wiele większym niż tylko sztuka o upadku i śmierci. To będzie prawdziwe święto, Reinherdzie! Wzniosła i cudowna ceremonia!

Wyteżał wszystkie siły, ale wiedział, że o potężnych rycerzach, potrafiących jednym ruchem zerwać krępujące ich pęta, czyta się tylko w romansach rycerskich.

Gdzieś z ciemności usłyszał kroki i z mroku wyłonił się Dietrich. Jego blada twarz wyglądała przerażająco w żółtym, migoczącym płomieniu świec. Miał rozpalone oczy i usta ściągnięte w wąską kreskę.

– Dietrich – szepnął baronet.

Doradca poruszył głową ni to w zdawkowym pozdrowieniu, ni to przytakując, że tak, że to rzeczywiście właśnie on.

– Dlaczego? – Vardesaavre szarpnął się, by unieść ciało nad podłogę, ale, oczywiście, nic mu to szarpnięcie nie dało.

Dietrich przełknął głośno ślinę i tylko wzruszył lekko ramionami. Wzrokiem uciekał

przed spojrzeniem baroneta.

– Żądza, Vardesaavre – rzekła spokojnie czarodziejka. – Żądza ma ogromną, ogromną moc. Niewyobrażalną. Potrafi niszczyć nie tylko przyjaźnie, ale nawet całe królestwa.

Widzieliśmy to i zaświadczamy...

– Więc ty i ta dziwka... – Reinherd znowu się szarpnął, ale nie uzyskał nic poza bólem w poranionych przegubach dłoni.

– Czy potrafisz myśleć tylko o jednej żądzy, Vardesaavre? – zapytała z politowaniem, nie reagując na obelgę. – Nie sądzisz, że na świecie istnieje coś więcej niż tylko rodowa zemsta oraz chęć obłąpywania każdej napotkanej dziewczki?

Wpatrywał się w nią wściekłym, ale i nie rozumiejącym wzrokiem. O jakiej w takim razie żądzy, na Boga, mówiła?

– Dietrich marzy o wiedzy. O starej, słodkiej wiedzy, która zaginęła wraz z nami. I która teraz – uniosła dłonie – odrodzi się! – niemal krzyknęła. – I która da moc swym uczniom –

dokończyła spokojniej – niepojętą dla śmiertelników, niewyobrażalną moc.

– Pokazała mi nowy świat. – Dietrich zbliżył się do Vardesaavre'a. Mówił cicho, z jakimś napięciem w głosie, jakby zależało mu, by przekonać go, że postąpił w sposób nie tylko słuszny, ale i jedyny możliwy. – Początek czegoś wielkiego. Niezmierzona wiedza, o jakiej nie miałem nawet pojęcia...

– Dietrich – przerwał Reinherd stanowczo. – Jeszcze czas, żebyś się cofnął. Skończ to przedstawienie. Rozwiąż mnie i spalmy wszystko w cholerę. Sam mnie przed nią ostrzegłeś...

– Za późno. – Doradca pokręcił głową. – Nigdy byś mi tego nie darował.

To prawda, przyznał Vardesaavre przed sobą i w tym przyznaniu była nuta rozpacz.

Nigdy bym mu nie darował zdrady, a on o tym doskonale wie. W najlepszym razie kazałbym go od razu zabić. W najgorszym – czułby, że umiera.

Teraz dopiero pomyślał, żeby dokładnie się rozejrzeć. W sali widział głównie żółte płomienie świec. Migoczące, poruszane leciutkim podmuchem wiatru sącącego się przez szpary w futrynach drzwi i okien. Ale już na granicy mroku ujrzał coś, co zmroziło mu krew w żyłach. Zobaczył podwieszoną u sufitu linę, zakończoną ogromnym rzeźnickim hakiem o tępych, zakrzywionym ostrzu. Wyteżył wzrok, bo nie był pewien, czy to nie złuda, czy to nie cienie układają się na ścianach w tak zdumiewający sposób. Ale nie. Hak nawet leciutko się kołysał.

Czarodziejka podążyła za jego spojrzeniem i uśmiechnęła się.

– To nie będzie trwało długo, Vardesaavre – powiedziała niemal pieszczotliwym tonem.–

Choć, oczywiście, tobie wszystko będzie się wydawać wiecznością.

– Co chcesz zrobić? – niemal wrzasnął i poczuł, jak lodowata dłoń ściska jego trzepoczące się w udęce serce.

– Tylko to, co muszę – wyjaśniła. – I nie myśl, że jesteś wymarzoną kandydatką.

– Ja... ja nie rozumiem.

– Jesteś związany z tym zamkiem, Vardesaavre – rzekła w zamyśleniu. – Więziami niezwykle mocnymi, choć nawet nie zdajesz sobie sprawy z ich siły. Życie, śmierć, nadzieja, żądza... Nic pomiędzy tobą a tym miejscem powstała, kiedy wymordowałeś Achenbachów.

Nie sądziłam, że właśnie ty możesz wziąć udział w rytuale, ale teraz wiem, iż podjęłam dobrą decyzję. Niepokoi mnie tylko, iż trudno nazwać cię niewinnym. – Mrugnęła figlarnie w jego stronę i zatrzepotała długimi rękami. – Ale mam nadzieję, że drobne odstępstwo od kanonu nie zakłóci całej ceremonii. A moja moc zniweluje straty...

– Chcesz mnie zabić? Oprawić? Zarżnąć?

– Ja? – zdumiała się. – W jaki sposób mogłabym to uczynić, przyjacielu, będąc tylko widmem? Czy kiedy dotykam cię, czujesz coś poza chłodnym, wilgotnym powiewem? Jak więc wyobrażasz sobie, że mogłabym cię zmusić do czegokolwiek, zranić lub zabić? –

Wyraźnie kpiła i Vardesaavre zacisnął usta.

Wiedział, że magik wyciągnie teraz królika z kapelusza. Czekala na wielki finał, przygotowała go starannie, widać tak samo jak baronet lubiła pieczołowicie opracowane teatralne inscenizacje.

– Dietrich? Ty? Odważysz się?

– Nie, nie, nie. – Doradca cofnął się o krok i znowu uciekł ze wzrokiem.

– Dietrich? – Roześmiała się i, pomimo grozy sytuacji, Vardesaavre nie mógł oprzeć się myśli, że był to piękny śmiech, młodej, rozbawionej kobiety. – Nie, młody przyjacielu. To on dokona wszystkiego. – Skinęła dłonią, jakby zapraszając kogoś z ciemności.

Baronet zmartwiał. Spodziewał się, że usłyszy teraz z mroku ciężkie kroki i jego oczom, w migoczącym żółtym blasku świec, ukaże się jakaś demoniczna postać. Pazurzasta bestia o straszliwym pysku i kłach ociekających śliną i posoką. Jednak nic takiego się nie wydarzyło.

W krąg światła wszedł ośmioletni chłopiec, teraz już z umytą twarzą i w czystym ubranku.

Stał tuż koło czarodziejki, a jego oczy wpatrywały się nieustępliwie w Reinherda z zimną, gadzią nienawiścią.

– Mały Freidrich nie miał wyrzutów sumienia podobnych do twoich – wyjaśniła pogodnie. – Był zachwycony możliwością splątania ci tego małego figla.

Freidrich zachnął się i spojrzał na nią z pretensją. Spoważniała i pokiwała głową, jakby zgadzała się z jakimś niewypowiedzianym zdaniem.

– Wiem, wiem – rzekła. – To nie figiel. To zemsta. Za matkę, ojca, braci oraz siostry...

W spojrzeniu Freidricha, kiedy słuchał tych słów, nie było żalu ani łez. Wszystkie łzy musiał już wypłakać najpierw przy zamkowym oknie, kiedy niczym na teatralnej galerii mógł

obserwować zagładę swej rodziny, a potem w ciemnej komórce, gdzie zrozpaczony, przerażony i samotny, chował się przed szukającymi go żołnierzami. Teraz w jego oczach nie było nic prócz niczym nieskalanej nienawiści.

– Ten chłopiec ma siłę, Vardesaavre – oznajmiła. – Siłę, jakiej ty nigdy nie miałeś i nie będziesz miał. Jesteś tylko żalonym komediantem, ale udało ci się stworzyć potwora. Moje gratulacje.– Dygnęła, patrząc na niego z ironicznym uśmiechem. – Nawet ja nie zrobiłabym tego lepiej.

– Dietrich! – Baronet chciał krzyknąć, ale z jego ust wyszedł tylko zduszony, żalony pisk, krzyk załamał się w kogucim pienu. – Dietrich, przecież on cię zabije. Też jesteś temu winien, dałeś mi mapy, radziłeś, żeby zabić Achenbachów...

Czarodziejka uniosła dłoń i Vardesaavre zamilkł, choć zamilknąć wcale nie chciał.

– Ofiarowałem mu wybaczenie – rzekł Freidrich nie pasującym do wagi słów dziecięcym głosem.

– To prawda – przyznała czarodziejka. – Ma też moje słowo, że nie stanie mu się krzywda i będzie mógł poświęcić się studiom, których zawsze pragnął. Zostałeś sam jak palec, Vardesaavre. Na zamku pełnym żołnierzy i dworzan. A jednak tak samotny, że ta komnata równie dobrze mogłaby być oddaloną o tysiące mil pustynią.

– Jak to sobie wyobrażasz, dziwko? – Czuł, że zalewa go wściekłość, która nie daje się już kontrolować. – Jak stąd uciekniecie? Jak wytłumaczycie moją śmierć? Dietrich! –

Spojrzał na doradcę. – Zaklinam cię, Dietrich, i daję ci wybaczenie. Zabij tego bękarta i skończ to!

– Sam jesteś bękartem! – krzyknął piskliwie chłopiec i postąpił krok do przodu. – Mama mówiła, że...

– Dość już tego dobrego – zdecydowała kobieta z portretu. – Dietrich, na hak go!

Mógł szarpać się i rzucać do woli. Więzy zostały tak silnie zaciśnięte, że nie było co marzyć nie tylko o ich zerwaniu, ale nawet obluzowaniu.

– Nie ujdziecie z życiem! – wrzasnął. – Nie uda wam się to... – Nagle zatchnął się własnym językiem, który wszedł mu tak głęboko w gardło, że aż zdawał się wrywać przytrzymujące go delikatne

wiązadła. Zabolało. Piekielnie zabolało.

Kobieta spojrzała na niego i pokręciła głową.

– Nie utrudniaj, Reinherdzie. – Znowu w jej tonie pojawiła się ta niemalże matczyzna troska. – Wolałabym, żeby wszystko skończyło się bez zbędnego cierpienia. Chociaż nie myśl sobie – uśmiechnęła się filuternie – że kiedy zostanę już zmuszona, by je zadać, to nie znajdę w tym rozkosznej radości.

Vardesaavre pokiwał gorliwie głową, bo obawiał się, że język zaraz wpadnie mu do żołądka. Nasada języka, tuż przy dolnej części podniebienia piekła już go tak strasznie, jak gdyby ktoś przyżegał rany rozpalonym do czerwoności żelazem.

Mały Freidrich przyglądał się z niezdrową fascynacją jego skurczonej bólem twarzy, ale nagle język wrócił na swoje miejsce, a ból wyraźnie zmalał. Teraz Vardesaavre mógł

spokojnie przyglądać się temu, jak Dietrich z wyraźnym wysiłkiem wlecze go za nogi, po podłodze, w stronę zwisającego z sufitu haka. Nie potrafił oderwać wzroku od zagiętego, jakby zakończonego ostrym szponem ostrza.

– Reinherdzie... – Czarodziejka musiała dostrzec jego wzrok. – Nie obawiaj się. Tego haka nie wbijemy w twoje ciało, tylko zaczepimy go o więzy na nogach.

Baronet nie wiedział, czy to wyjaśnienie powinno go pocieszyć, ale jednak wyraźnie pocieszyło. Cóż, była jednak różnica pomiędzy tym, czy będzie się umierać z wielkim, żelaznym hakiem wbitym w plecy lub zadek, a tym, czy ten hak będzie jedynie służył do bezbolesnego podwieszenia.

Zasapany Dietrich dociągnął już Vardesaavre'a do miejsca, gdzie stała na podłodze podłużna, drewniana skrzynia. Uniósł ramiona i ściągnął hak na dół. Zaczepił ostrze o więzy oplątujące nogi Reinherda. Potem podszedł do drugiego końca sznura i pociągnął z całej siły.

Stęknął, a nogi Vardesaavre'a poderwały się w górę. Leżał teraz w piekielnie niewygodnej pozycji z wygiętymi w pałąk plecami.

– Mocniej! – rozkazała kobieta. –Cięgnij!

Dietrich odetchnął głęboko i natężył wszystkie siły. Zaparł się stopami o podłogę i ciągnął linę. Na tyle skutecznie, że ciało baroneta powędrowało do góry. Teraz już widział, że skrzynia została od wewnątrz starannie wysmołowana, by przez szpary nie przeciekła żadna ciecz. Na dnie skrzyni leżała kupka kości.

Vardesaavre zdawał sobie sprawę, że tylko cud mógłby go w tej chwili uratować.

Zabłąkany żołnierz, pokojowiec przypadkowo odwiedzający tę salę, dziewczka służebna szukająca miejsca na pospieszne oddanie się ukochanemu. Ale miał też niezachwianą wręcz pewnością, że ten cud się nie zdarzy. Oczywiście mógłby zacząć krzyczeć, ale wołał umierać z językiem w ustach, a nie w gardle. Gdyż czarodziejka udowodniła już, że potrafi sprawić mu ból.

Cały czas czuł na sobie nienawistny, zimny wzrok chłopca. Dostrzegł, że Freidrich wysunął lekko język z ust i przygryzał jego koniuszek, obserwując w napięciu cały spektakl.

– Wystarczy – stwierdziła czarodziejka, kiedy głowa Vardesaavre’a unosiła się mniej więcej trzy stopy nad krawędzią skrzyni.

Dietrich, cały czas głośno sapiąc, zapętlił sznur na wbitym w ścianie haku. Potem odetchnął z ulgą i zaczął masować obolałe dłonie.

– Podetnij mu żyły na przegubach i za uszami – rozkazała kobieta obojętnym tonem. –

Ale ostrożnie, żeby nie wykrwawił się za szybko.

– Ja?! – Dietrich cofnął się o dwa kroki, poza zasięg blasku świec, ale Reinherd dostrzegł na jego twarzy przerażenie. – O nie! Ja tego nie zrobię!

– Głupcze! – Jej głos chlasnął jak bicz. – Czy myślisz, że mówię do ciebie?

– Ja to zrobię, tchórze. – W dziecięcym, ale stanowczym głosiku było tyle pogardy, że Dietrich aż ugiął się pod jej ciężarem.

Vardesaavre okręcił się lekko i lina zaskrzypiała. Zauważył, że na ustach Freidricha błąka się teraz pełen satysfakcji uśmiezek.

– Mój mały zuch – powiedziała czarodziejka niemal z dumą. – Daj mu nóż, Dietrich.

Doradca zbliżył się ostrożnie, zupełnie jakby podchodził do szczególnie jadowitego węża, który w każdej chwili może wyprysnąć w jego stronę. Na wyciągniętej dłoni podał chłopcu nóż. Bardzo zwyczajny nóż o rękojeści kutej z ciemnego metalu i połyskującym w blasku świec srebrnym ostrzem. Czubeczek noża zamigotał, kiedy Freidrich brał go w ręce.

– Ostrożnie, mój chłopcze – przykazała czarodziejka. – Nie tnij zbyt głęboko.

To o mnie mówią, pomyślał Vardesaavre z jakimś wręcz niewiarygodnym zdumieniem.

Właśnie wyjaśniają sobie, w jaki sposób należy mnie ciąć!

Freidrich chwycił go za włosy i szarpnął tak, by ustawić głowę pod odpowiednim kątem.

Sznur znowu zaskrzypiał. Reinherd poczuł chłodny dotyk ostrza, a potem krótki, piekący ból po szybkim, zgrabnym cięciu.

– Oprawiałem już króliki... – powiedział ośmiolatek z jakąś głęboką satysfakcją.

Ciepła krew spłynęła po policzku baroneta. Kilka kropli zawisło na rzęsach. Drugie cięcie było tak samo szybkie i fachowe jak pierwsze, a krew znowu popłynęła strużką. Vardesaavre zamrugał.

Patrzył w dół, na dno drewnianej skrzyni i widział, jak jego krew skapuje na rozłożone szczątki czarodziejki. Duże krople rozpryskiwały się na kościach i pokrywały je najpierw zaledwie różową mgiełką, a potem coraz grubszym, szkarłatnym płaszczem.

I wtedy też usłyszał głos kobiety z portretu. Głęboki, gardłowy, nasycony niepojętą, dziką magią. Wypowiadała słowa, których nie rozumiał, a które powodowały, że lodowate ciarki przebiegły mu od nasady karku aż po krzyż. Inkantacje ciągnęły się jak całun, a mrok w pomieszczeniu wydawał się coraz bardziej gęstnieć. Świece płonęły już nie żółtym, lecz buroczerwonym blaskiem, chociaż Vardesaavre nie wiedział, czy wrażenie nie jest tak naprawdę spowodowane tym, iż krew z ran wsączała się pod powieki i zalewała mu oczy.

Głos potężniał i zdawał się wibrować pośród starych murów. Kałuża czerwieni na dnie skrzyni wrzała teraz i bulgotała jakby w rytm tego strasznego, nieludzkiego dźwięku, w którym nie było już nawet odrobiny kobiecego ciepła. Vardesaavre obserwował świat jak przez zasłonę burej mgły, w której unosiły się czarne i czerwone, leniwie wirujące kręgi.

Wszystko wokół wydawało się nierealne, ciało lekkie, ból całkowicie ustąpił. Reinherd zauważył, że dłoń czarodziejki zaciska się na palcach chłopca, a ten krzyknął z zaskoczenia i odwrócił się w jej stronę.

Kości zniknęły z dna skrzyni i teraz wrzała w niej tylko krew, wciąż spływająca z ran baroneta. Wokół unosił się dziwny zapach. Słodki, mdlący i upajający. Zapach, w którym mieszała się nuta topionego wosku, kopcących świec i palonych knotów. Coraz silniej było też czuć zapach ciężkich perfum. Vardesaavre przyglądał się czarodziejce, która teraz kołysała się, tak jakby stała na rozchybotanej łodzi. Ale mimo tego kołysania wyraźnie widział, co dzieje się z jej ciałem. Zachciało mu się śmiać, ale nie miał na to już sił.

– Przejrzyj się w lustrze, poczwaro – rzekł, a raczej zdawało mu się, że wyartykułował te właśnie słowa, gdyż tak naprawdę nie był już w stanie nic powiedzieć.

Czarodziejka musiała jednak dostrzec w jego wzroku coś niepokojącego, gdyż gwałtownie obróciła się w stronę chłopca. Ten spojrział na nią i wyszarpnął dłoń z jej dłoni.

Cofnął się z grymasem obrzydzenia na twarzy.

– Lustro! – krzyknęła. – Dietrich, masz lustro, jak kazałam?

Vardesaavre obrócił wzrok w stronę dawnego doradcy, Dietrich tańczył właśnie na płomyczkach świec. Kiedy usłyszał pytanie, opadł delikatnie na posadzkę i zbliżył się do kobiety w powolnym piruecie. Baronetowi chciało się śmiać, gdyż Dietrich, nie wiadomo czemu, miał trzy twarze, a na każdej z nich zastygł wyraz komicznego przerażenia.

Czarodziejka chwyciła w dłonie zwierciadło i długo wpatrywała się w srebrną, wypolerowaną powierzchnię. Vardesaavre nie musiał w nie spoglądać, gdyż widział twarz i postać kobiety w całej okazałości, a nawet czasami te twarze oraz postaci układały się w mozaikę. Rude, błyszczące i puszyste sploty zamieniły się w wiecheć postrzępionych siwych kłaków. Rączkę lustra trzymały już

nie białe, wąskie palce, lecz pogięte artretyzmem, haczykowate szpony. Błyszczące, zielone oczy przygasły niczym jeziora pełne mułu, a jędrna, jaśniejąca do niedawna twarz była tylko maską z ohydnie pogniecionego pergaminu.

Czarodziejka wpatrywała się w powierzchnię zwierciadła, ale na jej twarzy nie można było nawet dostrzec przerażenia, gdyż twarz ta była tak zdeformowana, że nie mogło się na niej odbić żadne ludzkie uczucie.

Vardesaavre roześmiał się głośno, a jego śmiech odbił się echem pośród murów.

Oczywiście, tak mu się tylko wydawało, gdyż naprawdę nie wydał z siebie żadnego dźwięku poza cichuteńkim, niemal niedosłyszalnym westchnieniem.

– Miałam być piękna! – Jej głos był jak jazgot żelaznego dłuta po powierzchni kamienia.

Reinherd unosił się już pod sufitem, sterując ciałem jedynie za pomocą myśli. Bawił się świetnie, choć humor psuł mu nieco widok umęczonego ciała, wiszącego nad pełną krwi skrzynią. Pokiwał więc filuternie dłonią na pożegnanie zarówno swemu ciału, jak i wszystkim obecnym w komnacie. Odpływał w mrok, tam, gdzie w pustce, pełnej gorzkości, nienawiści i gniewu, czekali na niego Vardesaavre'owie. Widmowe postaci okute w widmowe pancerze i z widmowymi mieczami w dłoniach. I tylko pełne czarnego ognia oczy przodków śledziły każdy ruch wiedźmy. Baronet wiedział już, że będzie miał komu opowiedzieć o swym bólu oraz upokorzeniu, więc podpłynął bliżej, uśmiechając się spod żelaznej przyłbicy i czując w dłoni twardą rękojęść miecza.



Rozdział 5

Czerwona mgła

ozłóżysz dla mnie nogi? – Usłyszała gorączkowy szept. – Tutaj?

R Zaraz?

Czuła zapach. Ostry, drapieżny zapach mężczyzny. Mężczyzny, któremu się podobała i który przyglądał się jej z zainteresowaniem, a może nawet pożądaniem. Jego oczy błyszczały jak

wypolerowany obsydian. Nachylił

się bardzo blisko i poczuła ciepły oddech na uchu oraz policzku.

– Taaak... – szepnęła, przygryzając wargi tak mocno, aż poczuła słodki smak krwi.

– Margot! – niemal krzyknął do jej ucha. – Pytałem, kto jeszcze może pójść z nami?!

Czerwona mgła przesłaniająca źrenice opadła. Przełknęła głośno ślinę i starała się skupić myśli. A więc znowu usłyszała nie to, co naprawdę do niej mówiono. Mój Boże, w jaki sposób miała w takim razie odróżniać złudę od rzeczywistości? W jaki sposób miała poprowadzić swoich ludzi? I w jaki sposób, na wszystkich widzialnych i niewidzialnych bogów, miała zarabiać pieniądze, jeśli nie panowała nawet nad myślami?!

– Co takiego? – zapytała nieprzytomnie. – Czego chciałeś?

– Do licha, dziewczyno! Co się z tobą dzieje? Pytam, kto jeszcze może pójść z nami?

Był wyraźnie wściekły. Jego kwadratowa szczęka zacisnęła się i wyglądał jak gladiator szykujący się do ataku. Ach, pomyślała, gdybyś tak mnie zaatakował! Wyobraziła sobie, jak leży pod nim, zarzucając mu nogi na ramiona, i jęczy, dyszy oraz łka pod potężnymi ciosami bioder, a palce wplata w futro bujnie porastające jego plecy. Niemał poczuła na szyi ból ugryzień, a na piersiach dłonie ściskające ją do szaleństwa, do samego końca...

Odsunęła z hurgotem krzesło i wstała. Zatoczyła się na ścianę, czerwona mgła nadal przesłaniała jej wzrok. Widziała Ottona, jakby znajdował się za zalanym krwią witrażem o mętnych szybkach. Przyglądał się jej, lecz poznawała to tylko po ruchu głowy, gdyż nie mogła dostrzec jego oczu.

– Jesteś chora, czy co? – zapytał na poły gniewnie, na poły podejrzliwie.

– Nie – odparła po chwili, ale musiała obrócić się bokiem, by go nie widzieć.

– No, więc dasz mi wreszcie?

Odwróciła się gwałtownie.

– Dam! – prawie krzyknęła i czuła, jak w piersiach i łonie kotłuje się szukająca ujścia burza.

Uczucie to było obezwładniająco bolesne, ale niosło również ze sobą zadziwiającą, choć niepojętą słodycz. Najchętniej rozdarłaby kaftan na piersiach i przyciągnęła do siebie jego głowę. Niech się wgryzie w jej sutki, niech gwałtownie zedrze z niej ubranie, niech... Trzask otwieranych drzwi wyrwał ją z gorączki myśli.

– Otton, już czas... – Na progu stał młody Korzum o czarnych włosach i smagłej cerze.

A gdyby tak zajęli się nią we dwóch? Dwóch silnych mężczyzn, którzy z rozkoszą słuchaliby jej jęków, zniewolili ją i, nie bacząc na rozpaczliwe protesty, brali na wszelkie możliwe sposoby...

– ...nią dzieje? – Dosłyszała tylko i poczuła, że ktoś mocno szarpie ją za ramię. Uderzyła głową w ścianę i zobaczyła przed sobą czerwoną z gniewu twarz Ottona.

– Dasz mi wreszcie te imiona? – warknął.

Oprzytomniała i zebrała myśli, chociaż nie przyszło jej to łatwo.

– Josip Nochal, Małykuśka i Severin – powiedziała pospiesznie, a potem spojrzała na niego. – Czemu mnie uderzyłeś? – zapytała, masując skroń, choć tak naprawdę była mu wdzięczna za ten niezamierzony cios.

– Severin jest szlachcicem... – rzekł z namysłem Otton, nie odpowiadając na pytanie.

– Nie kczemy tu jaśnie paniczów – burknął Korzum. – Chłopaki sami se dadzą radę.

Podszedł do stołu, nalał kielich wina i wychylił jednym tchem. Mlasnął z uznaniem.

Margot dojrzała jego język i pomyślała, że znalazłaby dla niego lepszy pożytek niż smakowanie trunków. Gdyby tak, naprężony i sztywny, wwiercił się w nią, masując najczulsze punkty... Znowu poczuła pożar między nogami i, z trudem pokonując bezwład ciała, odeszła w stronę okna. Spojrzała na pogrążoną w mroku wąską ulicę. Księżyc oświetlał

domy, które zdawały się pochylać ku sobie niczym spragnieni kochankowie.

– Severin jest dobry – rzuciła, nie pozwalając, by jej myśli pogalopowały w niebezpiecznym kierunku. – Severin jest najlepszy. Nie damy rady bez niego...

Starła się skoncentrować wzrok na srebrnym blasku i nie zastanawiać nad niczym innym. Ale wtedy wiatr zagnał w stronę księżycą kłębowisko chmur przypominające kształtem wyprężonego członka o nadnaturalnie nabrzmiałej, gigantycznej głowicy. Margot jęknęła i wgrzyła się we własną dłoń. Przeróżliwy ból i smak krwi otrzeźwiły ją na moment.

– Muszę iść – wymamrotała. – Jestem chora, rzeczywiście jestem chora. Zawiadomcie ich, tych trzech...

Ominęła Korzuma i Ottona, starając się nie tylko nie patrzeć w ich stronę, ale nawet nie oddychać, by nie poczuć zapachu męskiego potu. Nieomal szlochając, wypadła za drzwi, słysząc niecierpliwy i zdumiony głos Ottona. Lecz głos ten dobiegał do niej niczym przez grubą ścianę. Pobiegnęła. Wypadła na wąską ulicę, oświetloną jedynie raz pojawiającym się, a raz zanikającym blaskiem księżycy. Wbiegnęła w zaułki prowadzące w stronę rzeki, nie zastanawiając się nawet nad tym, że podobna wędrówka z całą pewnością nie jest bezpieczna dla samotnych przechodniów. I nie była.

Dobiegł ją stuk butów cechowego patrolu, a zaraz potem trzech mężczyzn pojawiło się w srebrnej smudze księżycowego światła. Jeden niósł przed sobą latarnię, drugi niedbale wymachiwał okutą żelazem pałką i podśpiewywał coś pod nosem, trzeci opierał na ramieniu drzewce kiścienia. Wszyscy byli barczyści, brodaci, ubrani w kubraki z utwardzanej skóry, na których Margot dostrzegła charakterystyczne godło cechu Rzeźników – dwa skrzyżowane toporki.

– Dokąd to, dziewczyno? – zawołał ten z latarnią w dłoni. – O tej porze? Sama?

– Może szuka przygody – zarechotał trzeci z rzeźników i postąpił kilka kroków w stronę Margot.

– Może szukam... – odparła, ledwo dobywając tchu, gdyż słodka czerwona mgła zalewała już nie tylko jej oczy, ale również szyję i piersi. Między nogami znów poczuła bolesny żar, który można ugasić tylko w jeden sposób.

– A, to taka bajka – burknął mężczyzna i rzucił kiścień na bruk. Żelazne kule stuknęły o siebie z metalicznym chrzęstem.

Szedł w jej stronę, rozpinając skórzane portki, a Margot obróciła się twarzą w stronę ściany domu. Przywarła policzkiem do wilgotnego, chłodnego muru, który jednak nie mógł

ostudzić płomieni buchających w niej samej. Po chwili poczuła na ciele silne, męskie dłonie.

Jedna chwyciła ją za pierś, druga zadzierała już spódnicę. Dziewczyna rozwiódła szerzej nogi i za moment poczuła pierwsze uderzenie. Wdarł się w nią tak gwałtownie, że aż boleśnie, ale rychło ból zamienił się w coraz bardziej potężniejszą rozkosz. Drapała paznokciami cegły i jęczała, czując silne pchnięcia jego bioder. Kiedy przyszło spełnienie, ze zdumieniem słuchała własnego skowytu.

Wydawało się, że jest jednocześnie sobą – dziewczyną brutalnie braną przy murze domu, i kimś innym, obserwującym całe zajście z góry i słyszającym dokładnie każdy jęk, każdy szloch, każdy krzyk. Czowała pot ściekający po policzkach i czole, czowała też nasienie zraszające wnętrza ud.

– Ufff – powiedział strażnik. – Teraz ty, Rudi. Gorąca suka, sam zobaczysz... Jak to tyłkiem trzepie...

Odwróciła się gwałtownie.

– Wystarczy – stwierdziła zimnym tonem, gdyż czerwona mgła cofnęła się tak daleko, jakby nigdy jej nie było. – Koniec zabawy na dzisiejszą noc, chłopaki.

Ten, który szedł w jej kierunku (latarnię wcześniej odstawił na bok), nie potraktował tych słów poważnie. Uśmiechał się szczerbatym uśmiechem spod rudej brody i wyciągnął

ramiona, by zagarnąć Margot w objęcia. Kopnęła go celnie, szybko i mocno. Prosto w punkt, w który należy kopnąć każdego mężczyznę, aby odebrać mu wolę walki. Strażnik wybałuszył

oczy i spazmatycznie zaczerpnął tchu. Opadł na kolana, przyciskając dłonie do krocza. Trzeci z rzeźników ruszył w jej stronę z uniesionym kijem, bełkocząc pod nosem wyzwiska oraz przekleństwa.

Nie powinieneś tego robić, pomyślała Margot. Szkoda, że nie posłuchaliście, kiedy powiedziałam „dość”. Należy rozumieć, kiedy kobieta naprawdę mówi „dość”. Machnęła rękoma, a ukryte w jej rękawach żelazne gwiazdki o ostrych niczym brzytwa ramionach wyprysnęły z porażającą szybkością. Pierwsza wbiła się w gardło mężczyzny, druga rozcięła mu policzek i brzęknęła, spadając na kamienie. Rzeźnik zważył się do tyłu i z paskudnym łomotem huknął głową w bruk. Ten ze strażników, któremu pozwoliła, by rozproszył

czerwoną mgłę, stał jak skamieniały, z palcami przy pasie, i próbował go dopiąć niezdarnymi ruchami. Margot nie sądziła, by chciał walczyć, ale wiedziała, że nie może zostawić przy życiu żadnego ze świadków wydarzenia. Pchnęła go pod serce długim nożem o wąskim ostrzu. Wyszarpnęła żelazo zanim mężczyzna upadł na ziemię.

Wcześniej kopnięty i obezwładniony rzeźnik widział wszystko, co stało się z jego towarzyszami. Teraz, boleśnie jęcząc, próbował odczołgać się jak najdalej od kobiety, która ze spragnionej kochanki zamieniła się w bezwzględną zabójczynię. Margot skoczyła mu na plecy, lewą dłonią chwyciła za włosy i poderwała mu głowę. W prawym ręku trzymała nóż.

Cięła szybko i sprawnie, jak nie przymierzając rzeźnik, oprawiający zwierzynę. Wstała. W świetle księżyca krew buchająca z rozszarpanych tętnic zbierała się w wielką kałużę.

– Szkoda, że nie wiedzieliście, kiedy przestać – szepnęła i to musiało wystarczyć im za epitafium.

Wytarła lepkie dłonie i przyjrzała się, czy na kaftanie nie zostały ślady krwi. Na szczęście, nie. Obrządziła wrogów czysto, sprawnie oraz fachowo. Nie lubiła zabijać ludzi, ale kiedy była już do tego zmuszona, nie widziała sensu, by żałować popełnionych uczynków.

Cóż, tak widać chcieli bogowie, a jakież był cel w przeciwstawianiu się ich woli oraz ich wyrokom?

Zabrała swoje gwiazdki o ostrych ramionach, jedną wyszarpnęła z gardła martwego mężczyzny, drugą podniosła z kałuży krwi, ujmując ją ostrożnie w dwa palce, aby nie pobrudzić całej dłoni. Zniknęła w cieniu przy murze i, lekko stawiając stopy, szybkim krokiem skierowała się w stronę domu, w którym zostawiła towarzyszy. Czerwona mgła ustąpiła i wreszcie czuła, że może trzeźwo i rozsądnie myśleć. Miała również nadzieję, iż przestanie słyszeć głosy i przestaną ją nękać wizje rozpustnych orgii. Przynajmniej na jakiś czas...

* * *

Wszyscy siedzieli przy porysowanym, poplamionym stole, na którym tłoczyły się butle, kubki oraz resztki jedzenia. Korzum ogryzał kurczaka, wypływając chrząstki pod stół, a z kącików ust spływała mu zmieszana z tłuszczem ślina. Jak mogłam chcieć oddać się komuś takiemu? – pomyślała z obrzydzeniem Margot, patrząc na jego toporną twarz i widząc otepiałe od trunku źrenice. Zresztą, Korzum jeszcze pół biedy... Ale nie chciała nawet myśleć o tym, co zrobiła na ulicy pod ścianą budynku, gdyż na samą myśl o tej chwili przechodził ją dreszcz. I nie był to bynajmniej dreszcz podniecenia...

– W życiu nie słyszałem – rzekł basem Małykuśka, sięgając po kubek z winem. Musiał mocno się wychylić, gdyż potężne brzuszysko odgradzało go od stołu. – Nie wierzę...

Severin wpatrywał się w rozłożoną na środku stołu mapę i stukał miarowo knykciami w blat. Margot przyjrzała się jego zmęczonej twarzy, w której lśniły bystre, szarozielone oczy.

Severin był wyrzutkiem. Szlachcicem dobrego rodu, który został wydziedziczony przez rodzinę i

związał się ze złodziejami oraz mordercami, takimi jak Margot i jej przyjaciele. Ale na ulicach Alehandrii ciężko było znaleźć kogoś, kto dorównałby mu w odcyfrowywaniu starych map oraz w znajomości antycznych alfabetów. A i jedna, i druga umiejętność były wręcz nieodzowne, jeśli chciało się korzystać z dobrodziejstw rabowania największej nekropolii znanego świata – dzielnicy cmentarnej w Alehandrii. Margot wiedziała, a może raczej tylko przeczuwała, że Severin skrywa coś przed nimi, że jego życie jest naznaczone piętnem tajemnicy. Być może strasznej, a być może odrażającej... Nigdy się nie uśmiechał.

Nigdy się nie upijał, choć pił więcej niż inni, nigdy się nikogo nie bał i nigdy nie zabijał. „Ty jesteś od brudnej roboty” – powiedział kiedyś z tym swoim przeciągłym, arystokratycznym akcentem, zostawiając na ziemi ciało ogłuszonego wroga. A Margot posłusznie poderżnęła gardło człowiekowi, który miał nieszczęście zobaczyć ich twarze w chwili, w której powinien raczej odwrócić wzrok w drugą stronę.

– Ja też nie wierzę – odpowiedział Severin, jak zwykle oziębłe uprzejmy. – Ale sądzę, że warto sprawdzić te jakże ciekawe informacje...

Trzecim z mężczyzn, wyznaczonych przez Margot, był Josip Nochal, starzec o pociętych artretyzmem palcach. Przewisko zawdzięczał bynajmniej nie ogromnemu nosowi, lecz jego brakowi. Kiedy był jeszcze młody, skazano go na obcięcie nosa za cudzołożenie z mniszką, i teraz jego twarz sprawiała zdumiewające wrażenie. Płaska niczym deska, okolona strąkami brudnosiwych włosów. Wystawały z niej tylko postrzępione brwi oraz pogrubiała blizna –

śląd po dawnej katuszy. Josip, mimo pokrzywionych palców, był człowiekiem zdolnym nie tylko włamać się do każdego zamka, ale też posiadającym zestaw unikalnych złodziejskich narzędzi, które sam niegdyś opracował i przygotował.

– Idę w to – zachrypiał.

Margot wiedziała, że Josip ma na utrzymaniu dwie wnuczki, które chce dobrze wydać za mąż. W związku z tym nie mógł pogardzić tak hojną zapłatą, jaką oferował człowiek, pragnący wynająć Margot i jej towarzyszy.

– Nikt nigdy nie znalazł wejścia do tej części antycznych grobowców – rzekł Otton, stawiając nacisk na słowach „nikt” oraz „nigdy”. – Chociaż wielu szukało. Mówią, że tam... –

urwał na chwilę i sięgnął po dzbanek dla zyskania czasu – nie jest bezpiecznie.

– Życie w ogóle nie jest bezpieczne – powiedział Severin. – Ale lepiej zginąć jak jastrząb niż żyć jak kurczak.

Otton odwrócił się w jego stronę z oczami pociemniałymi z gniewu.

– Nazywasz mnie kurczakiem? – warknął.

– Nazwij się jak chcesz, a ja przyznam ci rację – odparł zimno Severin. – Gdyż jestem człowiekiem zgodliwym i łagodnym.

Zmierzyli się wzrokiem. Czarne oczy Ottona pały wściekłością, szarzielone Severina zdawały się przyglądać rywalowi z obojętnym rozbawieniem. Margot nie wiedziała, w jaki sposób rozbawienie mogło być obojętne, i nie sądziła, by wiedział to ktokolwiek, kto nie spojrział w źrenice Severina. Niemniej czuła, że za chwilę może dojść do czegoś, co uniemożliwi im wykonanie zadania.

Otton był potężnie zbudowanym mężczyzną o byczym, owłosionym karku i pięściach jak młoty. Ale Margot zdawała sobie sprawę, że nie postawiłaby na niego nawet miedziaka, gdyby miał walczyć z Severinem. W szlachcicu poznawała nie tylko siłę i sprawność ręki.

Wydawało się, że był to człowiek, który, napotkawszy śmierć, wzięły ją pod ramię i zapytał chłodno oraz uprzejmie: „dokąd teraz idziemy, moja pani?”. Zaczęła się zastanawiać, czy słusznie zrobiła, angażując Severina...

– Chłopcy, chłopcy... – Podniosła się z krzesła i przerwała im ciepłym tonem. – Po co te kłótnie? Jesteśmy drużyną, prawda, Severinie? Prawda, Ottonie? Jest was tu pięciu i każdy jest mi potrzebny. Czy mało krwi leje się na świecie, abyście wy musieli przelewać swoją?

Milczeli przez chwilę, po czym Otton parsknął urywanym, basowym śmiechem i sięgnął

po dzbanek. Wzrok Severina złagodniał, a Korzum wyciągnął dłoń spod stołu. Margot wiedziała, że musiał przed chwilą ścisnąć w niej rękojeść sztyletu. Była pewna też, iż stanąłby bez wahania po stronie Ottona. Zastanawiała się tylko, co sama uczyniłaby w razie zwady.

Spojrzała na Severina i zobaczyła, że ten patrzy na nią. Domyślała się, iż szlachcic w myślach zadaje sobie podobne pytanie. „Co zrobiłabyś, piękna Margot, wiedząc, że sztylet Korzuma zmierza w stronę mego serca?” – zdawały się pytać jego oczy. Uśmiechnęła się, a on ledwo dostrzegalnym gestem wyciągnął kubek w jej stronę, jakby przepijał do niej lub wypełniał

toast za zdrowie pięknej towarzyszki.

– Wicie, co z nami zrobim, jak nas złapiom? – zapytał Korzum bełkotliwym głosem. –

Przeca żeśmy nigda nie kradli tamój... Abo to nam źle, jak jest?

Miał rację. Mapy wyraźnie wskazywały, iż wejście do starożytnych podziemi kryje się w najświętszej części alehandryjskiej nekropolii. I najlepiej strzeżonej. Nieliczne hieny cmentarne, które miały odwagę zapuścić się w tamte okolice, nie kończyły na szubienicy.

Kapłani znajdowali stosowniejsze sposoby, by wybić z głowy podobne eskapady innym poszukiwaczom przygód oraz bogactw. Ostatniego z rabusiów dręczono na miejskim placu blisko tydzień, zanim pozwolono mu umrzeć, a okrucieństwo kaźni poruszyło nawet serca obserwującej torturę gawiedzi. Zwykle tłum przeklinał skazanego, wyśmiewał go lub domagał się sroższych mąk. W tym wypadku, już drugiego dnia, większość ludzi stała w milczeniu, a trzeciego coraz mocniej odzywały się głosy: „Łaski! Dajcie mu umrzeć! Łaski!”

Od tej pory, a minęły prawie dwa lata, nie znalazł się nikt, kto zechciałby rabować w świątynnej części nekropolii, gdyż złodzieje woleli szukać bezpieczniejszego zajęcia.

– Jeśli nam się uda, nie będziemy musieli kraść do końca życia – stwierdziła Margot.

I kiedy wypowiadała te słowa, zastanowiła się nad własną przyszłością. Jaka byłaby ta przyszłość, gdyby mogła się stać uczciwą kobietą? Mąż? Dzieci? Piękny dom w ogrodzie, przez który to ogród przepływałby płytki strumień, omywający rozgrzane słońcem białe kamienie? Dziecięcy śmiech i głos mówiący co rano: „Kocham cię, Margot. Jesteś moim życiem”.

To nie dla mnie, pomyślała gorzko. Bo we mnie rośnie czerwona mgła, która kiedyś każe, bym się oddała byle lokajowi, pastuchowi albo stajennemu, aby tylko ugasić pożar trawiący moje wnętrze. Dla mnie nie ma przyszłości. Niemal czuła, jak wilgotnieją jej oczy. Ja nie zamieszkałam w pięknym domu i nie znajdę rankiem bukietu kwiatów na poduszce. A ktoś, kto powie, że mnie kocha, będzie żałował, iż nie wyrwano mu wcześniej języka... Jestem grzesznikiem – dodała w myślach. – Ale, na bogów, jestem grzesznikiem, który pielęgnuje myśl o zbawieniu w nadziei na zbawienie widzi jedyną deskę ratunku dla swego, jakże marnego, życia.

– I tak nam dopomóż Bóg – rzekł poważnie Małykuśka.

Margot wiedziała, że grubas wierzył w Jedyne Boga, istotę mściwą, okrutną i zazdrosną nie tylko o wszystkich innych bogów, ale również o ludzi. Bóg ten żądał od wyznawców całkowitego posłuszeństwa i graniczącej z umartwieniem pokory. Niezgarsze wymagania jak na kogoś, kto został zabity, bodaj ukrzyżowany, jeśli Margot dobrze pamiętała. Sama wolała modlić się do różnych bogów. Gdyż przecież trudno wymagać, by jeden z nich miał opiekować się całym światem! Dostojna Yonatte czuwała nad rodziną oraz spokojem snów, potężny Galgamor sprzyjał swym wyznawcom w czasie bitew, zwiewna Kiriath rządziła tym, co zwykliśmy nazywać łutem szczęścia, a co tak naprawdę było jej decyzją oraz kaprysem, leciwy, tłusty Basileus decydował o biedzie lub bogactwie. Annaniel o stromych piersiach i lubieżnym uśmiechu zapewniała rozkosz w łóżnicy, a wiecznie zgarbiony, odziany w białe szaty Hypaios obdarzał wiernych zdrowiem. Nawet jeśli jeden bóg się na mnie pogniewa, pomyślała Margot, mam szansę, by przebłagać pozostałych.

A Małykuśka? Jeśli wola jego Jedyne Boga obróci się przeciw niemu, cóż mu pozostanie? Położyć się na kupie gnoju i pozwolić, by psy lizały jego wrzody? Jakież to żałośnie poniżające!

A co zrobią pozostali? – zastanowiła się. Korzum wszystko przepije, przeputa na dziwki, a prędzej czy później trafi do lochów, gdzie zadadzą mu pytanie: „Skąd, miły chłopcze, miałeś tyle pieniędzy?”. I wtedy wszystko wyśpiewa, gdyż ludzie, widzący rozgrzewające się do czerwoności kleszcze, zyskują nieoczekiwaną potrzebę zwierzeń i folgują jej bez umiaru.

Otton? Ucieknie jak najdalej od Alehandrii. Będzie wiódł żywot poczciwego człeka, dla którego największym problemem jest połóg jałówki czy odpowiednie nasłonecznienie winorośli. Dorobi się żony i co najmniej szóstki dzieci. Josip Nochal? Pozyska wnuczkom herbowych szlachciców za mężów. Dziewczęta zapomną o jego istnieniu, kiedy tylko skończy się ceremonia, i odwrócą się na ulicy, jeśli przypadkiem spotkają go w drodze.

Małykuśka? Mówił nie raz i nie dwa, że pragnie wykupić opactwo w jednym z klasztorów.

Wyćwiczy młodych mniszków za pomocą swego krótkiego, acz zdumiewająco grubego narządu (tak przynajmniej o tym instrumencie opowiadano, gdyż Margot, ze rozumiałyich względów, nie mogła tego potwierdzić). Severin? O, Severin był zagadką. Czego pragnął

Severin? O czym marzył? Dokąd dążył? Margot do tej pory nie rozgryzła szlachcica, ale wiedziała też, że ufa mu w dziwny, niepokojący sposób.

I wiedziała również, że niezależnie, jak skończy się ich wspólna wyprawa, będzie musiała zrobić jedno: zabić Korzuma. Gdyż była niemal pewna, że jego lekkomyślność wystawi wszystkich na niebezpieczeństwo. A Margot nie dożyłaby dwudziestu trzech lat, gdyby nie potrafiła przewidywać kłopotów i nie potrafiła zapobiegać im zanim się narodziły.

– Twoje zdrowie, chłopcze – rzekł z nieoczekiwaną serdecznością w głosie Severin, przepijając do Korzuma, lecz jego oczy, co dziwne, wpatrywały się w Margot.

– Zdrowie Korzuma! – zawołała z nieszczerą, rozumiała tylko dla niej samej, wesołością.

Jednak kiedy jej wzrok splótł się ze wzrokiem szlachcica, była już pewna, że łączy ich tajemnica, którą nie podziela się z nikim innym. Biedny, mały Korzum, kaleczący wymowę wiejskim akcentem, musiał umrzeć. Lecz nagle zdała sobie sprawę, że to nie wystarczy. Aby poczuła się tak naprawdę bezpiecznie, oni wszyscy będą musieli umrzeć. Kiedy już wykonają zadanie, ale zanim będą mieli okazję rozpuścić języki i otworzyć kieski. Wszyscy.

Muskularny, drażliwy Otton, pękaty, spokojny Małykuśka, cichy Josip... I Severin?

– Zdrowie drużyny! – zawołał szlachcic, cały czas przyglądając się dziewczynie.– Za solidarność!

Wszyscy stuknęli się z nim kubkami. Tak mocno, że strugi czerwonego wina chlusnęły na stół. Margot wpatrywała się w szkarłatne kałuże, rozlewające się na blacie, i była pewna, że widzi przyszłość. Tyle, że wino zamieni się w krew...

Sięgnęła po mapę, gdyż bała się, że trunek zachłapie pergamin, w tym samym momencie Severin powziął podobną decyzję. Ich palce zetknęły się na moment, a Margot poczuła ten dotyk wręcz boleśnie. I nie miało to nic wspólnego z czerwoną mgłą.

Nie do końca była w stanie pojąć Severina, co może wynikało z faktu, iż nie знаła jego przeszłości, choć kiedyś nawet starała się ją poznać. Był szlachcicem, a jednak zrezygnował z przywilejów swego stanu. Był znakomitym szermierzem, a jednocześnie awanturnikiem i pijakiem. Z drugiej strony, Margot w żadnym z domów nie widziała tylu książek, co w domu Severina, i nigdy nie widziała tak pewnej dłoni, jak dłoń Severina trzymająca pióro lub rysik.

Tylko w niewielkim stopniu zdawała sobie sprawę, jak wielkie umiejętności trzeba mieć, by odcyfrowywać stare mapy, ale to, co wiedziała, wystarczało, aby odczuwała coś w rodzaju podziwu. Margot nie lubiła zagadek, których nie mogła rozwikłać, a w tym wypadku natknęła się na przeszkodę ciężką do pokonania. Łapała się również na niechętną myśl, że jedyną osobą z całej szajki, którą

chętnie by oszczędziła po wykonaniu misji, był właśnie Severin.

Zresztą na razie takie myśli były tylko dzieleniem skóry na niedźwiedziu, który przecież nie tylko żył, ale również dobrze się miewał.

* * *

W dzielnicy świątynnej na terenie alehandryjskiej nekropolii znajdowało się kilkaset kościołów, świątyń i chramów, gdzie oddawano pokłon większości bóstw czczonych w cywilizowanym świecie. Począwszy od Boga Jedynego (był tak tajemniczy, iż nawet własnym wyznawcom zakazywał używać swego imienia), poprzez Bliźniaków Wojny aż po Świętą Sekstynę, czyli sześć bogiń odpowiedzialnych za miłość, zmysłowe pożądanie, wierność małżeńską, zazdrość, przyjaźń oraz urodę. Wszystkie przybytki obsługiwane były przez kilka tysięcy kapłanów, kapłanek, księży, mnichów, żerców czy wieszczych, nie licząc świątynnej służby i strażników. Składających ofiary, śpiewających psalmy, odmawiających modlitwy, przygotowujących zmarłych do ostatniej drogi i odprawiających codzienne religijne obrzędy.

Co rozumiały, wielu z nich nie pałało szczególną sympatią do przedstawicieli innych wyznań, a konflikty, przeradzające się nawet w bitki lub skrytobójstwa, były do niedawna na porządku dziennym. Bo i jak ponurzy wyznawcy Boga Jedynego mogli zaakceptować toczące się pod ich bokiem rozpustne orgie, odprawiane przez kapłanki-prostytutki od Świętej Sekstyny? Jak składający krwawe ofiary ze zwierząt, zwolennicy Galgamora mogli pogodzić się z łagodnymi druidami Dębowego Kręgu, uważającymi wszelką przemoc za grzech? Lecz rzeczy się zmieniły, kiedy alehandryjska rada miejska zadecydowała, iż w dzielnicy świątyń musi być wybierany najwyższy kapłan, który pełnić będzie rolę rozjemcy oraz administracyjnego zarządcy. Co roku dokonywano takiego wyboru, a teraz najwyższym kapłanem był Jakob Osgoth – złotodzierzca Basileusa – jowialny starzec o podwójnym podbródku i wianuszku siwych włosów, okalających lśniąca łysinę.

– Dostojny panie? – Świątynny szpieg stał w stosownej i wyznaczonej przez etykietę odległości od kapłana. – Podjęli już decyzję.

– Dobrze. – Jakob zatarł dłonie, bo w komnacie pod wieczór robiło się nieprzyzwoicie zimno, a jego jedwabne, wyszywane złotem szaty nie chroniły przed chłodem. – Mają zostać złapani żywcem. Wszyscy.

– Stanie się, jak sobie życzysz. – Szpieg pochylił głowę, ale w tym ukłonie więcej było grzeczności niż respektu wynikającego z prawdziwego szacunku.

– Obmyślimy dla nich szczególne atrakcje – westchnął złotodzierzca. – I mam nadzieję, że będziemy mieli znowu na dłuższy czas spokój ze złodziejami.

Jakob Osgoth brzydził się okrucieństwem, ale, wbrew własnym uczuciom, uważał je czasem za nieodzowne dla budowania publicznego porządku. Nie można było pozwolić, aby cmentarne hieny bezkarnie panoszyły się w nekropolii, a ich śmierć musiała stać się odstrasającym przykładem dla wszystkich spragnionych szybkiego zarobku.

– A nasz... informator? – spytał szpieg.

– Ach, prawda. – Przypomniawszy sobie złotodzierzca i spojrzawszy w ustawione na złotym ołtarzu lampy, które migotały fioletem i żółcią. – Pochwyćcie go również – zdecydował. – A potem uduście w więzieniu. Powiemy, że zmarł w wyniku otrzymanych ran...

– Oczywiście, panie – rzekł szpieg, a Osgoth zastanawiał się, czy ten człowiek uznał jego decyzję za właściwą. Jednak nie miało to żadnego znaczenia.

– I jeszcze jedno... – Kapłan uniósł dłonie, a rękawy jego szaty zatrzepotały niczym skrzydła bajecznie kolorowego ptaka.

– Tak?

– Kobieta jest podobno niezwykle piękna. Czy to prawda?

– Piękna... – powtórzył szpieg z wahaniem w głosie. – Mogę potwierdzić lub zaprzeczyć, ale nie wiem, jak dalece moje subiektywne poczucie piękna pokrywa się z twoim, panie.

– Nie filozofuj – rzekł złotodzierzca ostrzejszym tonem niż zamierzał.

– Pokornie upraszam o wybaczenie...

– Nie, to ty mi wybacz. – Jakob znowu zatarł dłonie. Nie było rozsądne robić sobie wroga z jednego ze świątynnych szpiegów, a kapłan Basileusa rozsądek cenił niemal tak samo wysoko, jak pieniądze. – Więc? Piękna?

– Moi ludzie mówią, że budzi pożądanie – odparł mężczyzna. – Jest wysoka, gibka, foremnie zbudowana, ma delikatną twarz i długie, rude włosy. Zwykle je spina, by nie przeszkadzały w pracy. Podobno ma niezwykle wyraziste oczy i cerę tak jasną, jakby była szlachetnie urodzona. A przy tym jest niebezpieczna, panie. Umie zabijać i chyba... chyba to lubi.

– Dobrze. – Złotodzierzca skinął głową. – Dziękuję. Możesz odejść.

– To ja dziękuję, że zechciałeś mnie wysłuchać, panie – odparł uprzejmie szpieg i wycofał się tyłem. Zniknął w ciemnym korytarzu.

Starzec przysiadł na obitym adamaszkiem zydlu i wpatrzył się w wyszywany złotem gobelin. Przedstawiał on Basileusa, ważącego klejnoty na ogromnej wadze. Brylanty, rubiny, szmaragdy oraz szafiry lśniły blaskiem odbitym od stojących na ołtarzu lamp. Kadencja Jakoba jako najwyższego kapłana dzielnicy świątynnej właśnie się kończyła, a schwytanie złoczyńców byłoby tej kadencji ukoronowaniem. Jednocześnie argumentem za ponownym wyborem. Nie, nie, nie samego Jakoba. Prawo wyraźnie stanowiło, iż ta sama osoba może tylko jeden, jedyny raz w życiu pełnić tak ważną funkcję. Jednak dlaczego zgromadzenie nie miałoby wybrać kolejnego kapłana ze świątyni Basileusa? Administrowanie najświętszą i najbardziej strzeżoną dzielnicą nekropolii przynosiło zarządzającym tak ogromne profity, że opłacało się spróbować. Tyle, że wielu chętnie zastąpiłoby Jakoba Osgotha na ważnym stanowisku... Może więc trzeba było postraszyć Zgromadzenie czymś

więcej niż tylko nieudaną próbą okradzenia grobowców? Może złodzieje powinni zostać przyłapani na próbie dokonania czynu tak strasznego i tak bluźnierczego, że tego, kto mu zapobiegnie i pochwyty zbrodniarzy, wszyscy uznają za zbawcę oraz bohatera? Tylko cóż to mógłby być za czyn, na wszystkie skarby Basileusa?! Złotodzierzca zamyślił się głęboko, zapominając nawet o panującym w komnacie chłodzie.

* * *

Margot wiedziała, że czerwona mgła się zbliża. Jeszcze nie na granicy czucia lub wzroku.

Ale czaiła się, gotowa w każdej chwili, by wypłynąć i opętać zarem ciało oraz zmysły. Gdyż już samo przypomnienie czerwonej mgły zapowiadało jej rychłe nadejście...

Tymczasem Margot miała teraz kolejne spotkanie ze zleceniodawcą – człowiekiem, który dostarczył mapy i wypłacił hojną zaliczkę. Szczerze mówiąc: więcej niż hojną, choć według obietnic miała być jedynie ułamkiem właściwego honorarium. Tyle że, zważywszy na trudność przedsięwzięcia, Margot miała spore wątpliwości, czy ktokolwiek odbierze premię.

Ale cóż, skoro taka suma mogła zmienić jej życie, warto było zaryzykować... Severin miał rację. Lepiej zginąć jak jastrząb niż żyć jak kurczak.

Zleceniodawca nie chciał, by go widziano, a Margot potrafiła uszanować ten kaprys czy też tę dbałość o własne bezpieczeństwo. Rozmawiali zawsze w tym samym miejscu, na wschód od doków, na mulistym brzegu rzeki, która spokojnie toczyła wody, przecinając Alehandrię na dwie prawie równe części. Stała tu rozpadająca się szopa, zbudowana z desek śmierdzących zbutwiałym drewnem. Margot przysiadła w środku, na grubym, przegniłym pniu. Poczula, że coś weszło na jej dłoń, i straciła to szybkim ruchem. Zawsze brzydziła się robactwa, a szczególną niechęć wywoływały wielonogie wiję, które właśnie bardzo lubiły znajdować schronienie w miejscach podobnych do tego.

– Obrzydliwe, czyż nie? – Jej uszu dobiegł znany już głos i była wściekła na samą siebie, iż nie usłyszała wcześniej szmeru kroków. Poza tym zleceniodawca musiał znakomicie widzieć w ciemnościach, gdyż Margot nie była w stanie dostrzec nawet własnych palców, a gdy zamachała dłońmi przed twarzą, widziała jedynie jaśniejsze plamy, kontrastujące ze wszechobecnym mrokiem. Może gdyby światło księżyca przeblyskiwało przez dziurawe i pełne szpar deski szopy? Ale tej nocy księżyc skrył się za chmurami.

– Obrzydliwe – przyznała, a prawa dłoń wylądowała na rękocyści sztyletu.

– Gdybym chciał cię zabić, Margot, zrobiłbym to dawno temu. – Mężczyzna niemal westchnął. – Więc nie musisz sięgać po broń.

– Nie muszę – odparła zgodnym tonem, ale nie cofnęła palców.

– Mógłbym zrobić z tobą wszystko, co bym tylko chciał, Margot. – Czula rozbawienie w jego głosie i wcale jej się to nie podobało. – Bo ty, moja mała, nie widzisz w ciemnościach...

– Ale słyszę twój głos – powiedziała zimno. – I gdybyś był tak mądry, za jakiego się uważasz, wiedziałbyś, iż to wystarczy, by celnie rzucić nożem. – Wstała. – A teraz przejdź do rzeczy, sukinsynu, bo nie mam czasu na twoje gierki.

Roześmiał się, a śmiech dobiegł z miejsca, z którego się go nie spodziewała. Jak ten człowiek zdołał bezszelestnie przesunąć się pod przeciwległą ścianę? Z całą pewnością mógł

ją zabić, korzystając ze zdolności widzenia w mroku i bezszelestnego chodzenia. Ale przecież nie zabija się kogoś, kogo właśnie się wynajęło za sporą sumkę, prawda? I kto w dodatku zamierzał okazać się lojalny.

– Margot, moja piękna Margot – niemal zanucił. – Plany się zmieniły i z tego powodu cię wezwałem.

Z powrotem usiadła na pniu, czując, że rozgniotła coś pośladkami. Co prawda wolałaby, aby to ktoś zgniótł dłońmi jej pośladki... Ciekawe, jak wyglądał zleceniodawca? Czy...?

Szybko odpędziła natrętne myśli.

– Mów – powiedziała z trudem i prawie nie poznała własnego głosu.

– Zadanie stanie się trudniejsze – rzekł. – Bardziej niebezpieczne. W związku z tym dostaniecie dwa razy więcej niż obiecałem na początku...

Dziewczyna przełknęła ślinę i miała nadzieję, że nie usłyszał tego. Dwa razy więcej. To oznaczało ogromne pieniądze. Tylko dla niej, gdyż nie zamierzała podzielić się z innymi informacją o zmianie zasad płatności. Zresztą, cóż to ma za znaczenie? – pomyślała. I tak zabiję wszystkich, a potem przejmę całość wypłaty. Oczywiście nie była na tyle głupia, by nie zdawać sobie sprawy, iż jej towarzysze mogą mieć podobne plany. Ale miała jeden, ogromny atut. Tylko ona utrzymywała kontakt ze zleceniodawcą, a raczej on znajdował ją, kiedy chciał, zostawiając stosowną wiadomość dotyczącą terminu spotkania. Tyle, że kiedy przyjdzie co do czego, może się okazać, że zleceniodawca, i owszem, chce przejąć towar, ale zamiast wypłacić nagrodę, będzie wolał pozbyć się kłopotliwego wierzyciela. A Margot nie miała ochoty skończyć na mulistym dnie rzeki, z kamieniami uwiązany do szyi albo w przybrzeżnych zaroślach z poderżniętym gardłem.

– Mów – powtórzyła tym razem pewniej.

Dłonią namacała wystającą z pnia pozostałość po konarze. Jak gruby, sterczący i napuchnięty członek. Zachłusnęła się i cofnęła gwałtownie rękę.

– Kiedy wyjdę, znajdziesz nowe mapy, tu, w szparze pomiędzy deskami. Tych planów nie widział nikt od setek lat. Bogowie raczą wiedzieć, czy wszystko się na nich zgadza. –

Mężczyzna umilkł na moment. – Wydają się zagmatwane, ale twój Severin prędzej lub później poradzi sobie z ich odczytaniem.

– I? – zapytała, wiedząc, że jej oddech przyspieszył, i zastanawiając się, czy mężczyzna to słyszy. –

Co mamy zrobić?

– Nie wiem, Margot – odparł z nutą bezradności w głosie. – Nie wiem, co tam znajdziecie. Ale podejrzewam, iż mogłabyś przeszukać cały świat i nie znaleźć większych bogactw.

– Skąd ta pewność? – Czują, że tym razem zasycha jej w ustach.

Czerwona mgła na moment się wycofała, przegnana mirażem skrzyń pełnych złota, kosztowności i szlachetnych kamieni. Jak wydać taki majątek? I w jaki sposób ocalić życie, kiedy skarb będzie się miało już w rękach?

– To nie pewność, Margot. To tylko przypuszczenia – odrzekł i znowu westchnął. –

Dotrzecie do grobowca, a waszym zadaniem będzie otworzyć go oraz zabrać wszystko, co w nim znajdziecie. I wrócić z tym do mnie. Wrócić ze wszystkim, co ukradniecie. – Położył

nacisk na słowo „wszystkim”. – Jeśli spróbujesz mnie oszukać, słodka Margot, twoje cierpienie stanie się legendarne... Możesz mi wierzyć.

– Nie próbuj mnie zastraszyć – powiedziała. – Obejrzę mapy, pogadam z Severinem i powiem ci, czy przyjmujemy zlecenie. Może tak, może nie...

– Margot... – Jego głos znowu zabrzmiał nie spod tej ściany, pod którą był przed chwilą.

– Nie ma „może tak, może nie”. Jeśli nie przekonasz swych towarzyszy, zabiję was wszystkich. Ciebie na końcu, gdyż będę chciał poświęcić ci wiele czasu oraz wiele uwagi.

Wiele czasu i wiele uwagi? Ach, jeśli jego męskość była tak samo silna jak jego głos, to zgodziłaby się, by zabawił się jej ciałem zgodnie ze swymi upodobaniami...

– Myślisz, że się boję? – zachrypiała.

– Myślę, że tak – odparł spokojnie. – I bardzo słusznie. Gdyż odważni głupcy nie żyją na tyle długo, by życiem się nacieszyć. Bądź mądra, Margot. Bądź mądra...

– Masz jeszcze jakieś złote myśli na podorędziu? – spytała szyderczo i czekała na odpowiedź. A potem zdała sobie sprawę, że w szopie nie ma nikogo oprócz niej samej.

Zakłęła.

Wstała z pnia, zatoczyła się i wyjrzała na zewnątrz. Księżyc na moment wyłonił się zza chmur i rzeka błyszczała odbitym od niego światłem. Ale, oczywiście, Margot wiedziała, że nieznajomy zniknął gdzieś w ciemnościach i poszukiwanie go byłoby bardziej bezcelowe niż szukanie igły w stogu siana. Zresztą nie w tym celu się rozglądała. Wróciła na zbutwiały pień, rozwarła szeroko uda i niemal drapieżnym ruchem włożyła dłoń między nogi. Poczwała, jak jest tam gorąco i mokro. Westchnęła ciężko, a jej palce zatańczyły. To mogło pomóc tylko na krótko, ale jednak pomagało. Przymknęła oczy i oparła się plecami o ścianę szopy. Jęknęła, a potem, nie przejmując się tym, czy ktokolwiek może ją słyszeć, jęczała coraz głośniejsze.

Severin wynajmował piękny dom za miastem. Piętrowy budynek otoczony był

rozłożystymi kasztanowcami i szum ich liści na wietrze zawsze uspokajał Severina. Teraz też patrzył na gałęzie, poruszające się w blasku zachodzącego słońca, które zniknęło za horyzontem, pozostawiając na niebie jedynie smugę ciemnej czerwieni. Westchnął i nalał

ostrożnie wina do kielicha na wysokiej nóżce. Ostrożnie, gdyż miał przed sobą otrzymane od Margot mapy, płachtę czystego papieru, pióro oraz inkaust. Każdy niezręczny ruch mógł

okazać się zgubny dla planów antycznych podziemi i Severin uśmiechnął się w myślach, zastanawiając się, jak Margot tłumaczyłaby się przed zleceniodawcą ze zniszczenia tak cennych dokumentów. Jednak szlachcic był pewien swej dłoni bardziej niż czegokolwiek innego. W końcu zaangażowano go nie tylko ze względu na niezwykle talent czytania map, ale również umiejętność ich biegłego przerysowywania. Wiedział jednak, że z tym zadaniem będzie miał więcej kłopotów niż mógł wcześniej podejrzewać. Przede wszystkim mapy były faktycznie bardzo, bardzo stare, ale nie zostały nakreślone dłońmi architektów podziemi.

Wyraźnie przerysowano oryginały, sporządzając zręczne kopie. Zręczne, ale jednak kopie.

Severin poznał to po kilku szczegółach, które z całą pewnością umknęłyby uwadze kogoś gorzej przeszkolonego. Ha, były to drobiazgi, lecz tam, w podziemiach, mogły decydować o życiu lub śmierci ich wszystkich. A Severin nie zamierzał jeszcze umierać.

Zastanawiał się, po co w ogóle bierze udział w tym śmiertelnie niebezpiecznym przedsięwzięciu. Był wystarczająco bogaty, aby przeżyć życie może nie dostatnio i hulaszco, ale z całą pewnością wygodnie. A tymczasem narażał się, wchodząc w komitwę z pozbawioną skrupułów hołotą – najgorszymi wyrzutkami Alehandrii. No, może jeszcze nie byli tacy źli, gdyż przynajmniej charakteryzowali się czymś w rodzaju złodziejskiej solidności i bandyckiego honoru. Jednak Severin miał wrażenie, iż zarówno jednego, jak i drugiego nie wystarczy im na długo. Gorzej jednak, że prowadząc tę niebezpieczną grę, mógł

wpaść w łapy świątynnej straży, a to oznaczało nie tylko śmierć. To oznaczało wyjątkowo paskudną oraz wyjątkowo widowiskową śmierć, poprzedzoną również wyjątkowo paskudnymi oraz wyjątkowo widowiskowymi torturami...

Ale cóż, Severin po prostu nie potrafił żyć bez dreszczyku niebezpieczeństwa. Poza tym marzył również o wielkim majątku, który pozwoli mu raz na zawsze opuścić Alehandrię, kupić zamek i włości gdzieś daleko na zachodzie, pośród pięknych łąk, lasów i dolin otaczających Kloudobergen. Wreszcie, żyć jak szlachcic, a nie jak przestępca. I tak mógł

tylko dziękować bogom, że przyszło mu wieść przestępczy żywot w swawolnej i ogromnej metropolii, nad którą nie mogli w pełni zapanować ani kapłani, ani miejskie władze. Zupełnie inaczej rzecz wyglądała choćby w Kloudobergen, gdzie żelazną dłońią rządziła mistrzyni zbrodni, nazywana przez wszystkich po prostu Panią. Podziemny światek Alehandrii był w porównaniu z Kloudobergen

istnym siedliskiem anarchii. Tu nikt nigdy nie osiągnął pozycji tak silnej, by pozwoliła mu innym dyktować prawa i żądać ich życia, kiedy się do tych praw nie stosowali. Tu rzadko kto posiadał władzę na większym obszarze niż krąg nakreślony ręką, uzbrojoną w sztylet.

Westchnął i pociągnął rysikiem linię tak delikatną, że niemal niewidoczną dla oka.

Doskonale wiedział, że w antycznych mapach czyha wiele zasadzek. Dawni architekci oraz kartografowie potrafili dobrze strzec swoich sekretów. Często stosowali sobie tylko znane symbole na oznaczenie pułapek czy sekretnych przejść. Czasami kreślili na jednej płaszczyźnie dwa poziomy i tylko człowiek, znający tajne oznaczenia, potrafił odróżnić jeden od drugiego. Zdarzało się również, że rysowali korytarze i ściany, których nie było w rzeczywistości (ale zaszyfrowana legenda do mapy objaśniała, czego nie należy brać pod uwagę), a inne zaznaczali niewidzialnym atramentem, dającym się wytrawić jedynie za pomocą specjalnych substancji. Kiedy indziej znowu, logiczne z pozoru mapy były w rzeczywistości układanką. Co znaczyło, że w pierw pergamin należało podzielić na sektory, a potem sektory te połączyć raz jeszcze i w odpowiedniej kolejności. Oczywiście wszelkie tego rodzaju zabiegi antycznych kartografów były opisane. Opisane szyfrem charakterystycznym dla tej lub innej gildii budowniczych. A szyfry i związana z nimi symbolika różniły się w zależności od prowincji, w której mapy powstały, od czasu ich narysowania, od przynależności architekta do jednego z wielu cechów, a nawet od tego, kim był

zleceniodawca.

Severin westchnął, myśląc o tym, jak bardzo ludzie lubili komplikować życie sobie oraz innym i jak wiele radości znajdowali w wymyślaniu coraz nowych utrudnień. Cóż, budownictwo oraz związana z nim kartografia były rodzajem wyrafinowanej sztuki i zrozumieć wszelkie jej niuanse mogli tylko wtajemniczeni.

Nie wszystkie plany komplikowano na tak wiele sposobów, chociaż starożytni architekci lubowali się w wymyślaniu zagadek, których nie mógł rozwiązać nikt poza członkami ich gildii. Jednak Severin przypuszczał, iż mapy dawnych alehandryjskich grobowców mogły wręcz stać się szyfrowym popisem budowniczych. W końcu na niezbadanych poziomach nekropolii kryły się bogactwa oraz tajemnice, o których nawet nie śniło się nikomu spośród współczesnych. No, a taką przynajmniej Severin miał nadzieję, gdyż nie wyobrażał sobie nawet, że po wszystkich trudach oraz niebezpieczeństwach, jakie ich czekały, wejdą w labirynt splądrowanych już przez kogoś innego korytarzy. A przecież podobne wypadki zdarzały się nader często. Kiedy na rabusiów czekały tylko gruz, pajęczyny i ślady po poprzednich złodziejach. Lub... straż świątynna.

* * *

Jakob Osgoth coraz częściej czuł się chory i znużony. Starość nadchodziła wielkimi krokami, a kto wie, może nawet już nadeszła? Wślizgnęła się niczym nieproszony gość i stała, obserwując wszystko ze złośliwym uśmiechem na pergaminowych ustach. Coraz mniej rzeczy sprawiało radość złotodzierzcy Basileusa. Bogactwo? Miał więcej pieniędzy niż mógłby ich wydać. Kobiety? Kapłani Basileusa od najmłodszych lat cenili sobie towarzystwo pięknych oraz wyrafinowanych dam i Osgoth nie był w tym wypadku wyjątkiem. Władza?

Jako zarządca alehandryjskiej nekropolii miał jej aż nadto.

Był na tyle rozsądnym człowiekiem, iż nie snuł marzeń niemożliwych do zrealizowania.

Wiedział na przykład, że kapłani Boga Jedynego marzyli o niepodzielnej władzy ich kultu nad duszami ludzi. Pragnęli zniszczyć raz na zawsze chramy, ołtarze, świątynie, kościoły i katedry innych bóstw. I aby cały świat, od mórz południa po północne wyżyny, od bezdroży zachodu po niezmierzone puszcze wschodu, chwalił od świtu po świt ich pełnego nienawiści, egotycznego boga, którego, nie wiedząc czemu, nazywali wśród wielu innych mian, Siewcą Miłości...

Basileus był bogiem odmiennego rodzaju. Nie rościł sobie wyłącznych praw do serc i umysłów ludzi, ale pragnął, by swe żałośne krótkie życie przeżyli we względnym dobrobycie. Piękne szaty, smaczne jedzenie, interesujące towarzystwo, wygodny dom, nasycenie cielesnych żądz – jeśli marzyłeś o tym wszystkim, byłeś wyznawcą Basileusa, nawet jeśli wcześniej nigdy nie znałeś jego imienia.

Jednak w zmęczonym sercu Jakoba Osgotha czasem zaczynała cichutko pobrzmiwać nuta radości. I teraz właśnie słyszał wyraźnie tę nutę, patrząc w twarz księżniczki Anneke –

kapłanki z Jasnego Klasztoru, która była przełożoną alehandryjskiej świątyni tego kultu. W

twarzy Anneke zastygło nie tylko niezwykle piękno, ale również niepojęta wręcz słodycz. Jej oczy i usta zdawały się mówić: twoje marzenia mogą być piękne, ty możesz być piękny, twoje myśli i uczynki mogą być piękne...

Złotodzierzca przymknął oczy. Wręcz przestraszył się, że kapłanka mogła rzucić na niego urok. W końcu nie bez powodu czarodziejki z Jasnego Klasztoru nazywano czasem pogardliwie wiedźmami. Wiadomo było, iż dysponują magicznymi mocami niepojętymi dla zwykłego człowieka. Chociaż trzeba było też przyznać, że nikt nie ośmielił się twierdzić, by wykorzystywały je w niskich celach. Niemniej jednak nic dziwnego, że obawiano się kobiet obdarzonych tak niezwykłymi umiejętnościami.

– Zgadzam się, pani – rzekł Osgoth, unosząc powieki, i skinął na służącego, by dolał mu wina. – I uwierz, że będę czujny.

– Te mapy nigdy nie powinny opuścić skarbcza, Jakobie – powiedziała Anneke, a jej głos, niezależnie od sensu wymawianych słów, brzmiał niczym słodka obietnica. – Nie wiem, jak to się mogło stać. Nie wiem też, dlaczego nie zniszczono ich, kiedy tylko był czas po temu.

– Z całym szacunkiem, księżniczko – odparł Osgoth. – Ale nikt na świecie nie odcyfruje map starych mistrzów. A nawet jeśli, to któż odważy się zakłócić spokój najświętszej części nekropolii? Jak zapewne wiesz, już niemal od dwóch lat...

– Wiem. – Po twarzy Anneke przebiegł grymas, który aż zabolał złotodzierzcę. – I nie pochwalam waszych metod!

– Pani... – Najwyższy kapłan pochylił głowę. – Wiesz przecież, iż sprawianie cierpienia nie leży w

naturze sług Basileusa. Jesteśmy ludźmi łagodnymi, ale wiemy, że jeśli ktokolwiek decyduje się na przyjęcie władzy, musi też zgodzić się na stosowanie przemocy...

Czarodziejka westchnęła i odgarnęła z czoła niesforny złoty lok.

– Wiem, Jakobie – odparła. – Wierz mi również, że nie winię cię za to, co się stało. W

końcu i my same kiedyś... – urwała, a przez jej twarz znowu przebiegł grymas. – Wzięliśmy udział w...

– W Pogromie – dokończył za nią złotodzierzca.

– Jakkolwiek by nazwać te wydarzenia. – Wzruszyła szybko ramionami. – Bogom dziękować, prawie nikt o nich już nie pamięta. A nawet gdyby pamiętano, musimy ciągle przypominać sobie jedno: w czasie Oczyszczenia ocalono świat przed niepojętym złem. Być może czyniono rzeczy straszne, ale czyniono je w imię uniwersalnego dobra...

– Nie musisz mnie przekonywać, księżniczko – powiedział delikatnym tonem Osgoth.

Nie sądził, iż pamięć wydarzeń, które miały wszak miejsce wiele setek lat temu, tak głęboko tkwiła w świadomości czarodziejek z Jasnego Klasztoru. Nie sądził też, że nadal wspominają tę epokę z żalem oraz boleścią. I dlaczego? W końcu były jednymi z tych, którzy uratowali świat przed mrokiem. Oczywiście, że zabito wówczas wielu niewinnych.

Oczywiście, że winnych unicestwiano w sposób budzący dreszcz grozy. Ale czy nie było warto? Czasami dobro i sprawiedliwość można szerzyć, kochając. Czasami trzeba zdobyć się na ofiarę z nienawiści i pozwolić na gwałt na własnym sumieniu, aby oszczędzić iskielki miłości.

– Tak, wiem – szepnęła i bezwiednie powiodła opuszkami palców po krawędzi złotego kielicha. – Nie muszę również pytać, czy wysłałeś szpiegów, Jakobie, prawda?

– Nie musisz, pani – odparł złotodzierzca. – Gdyż powodzenie tej sprawy leży mi na sercutak samo jak tobie. Chociaż – zawahał się na moment – nie jesteśmy pewni, czy tam w ogóle cokolwiek jest...

– Niczego nie jesteśmy pewni, Jakobie – powiedziała i Osgoth usłyszał w jej głosie nutę znużenia, a może nawet bezradności. – Nigdy przecież nie odkryliśmy, w którym z zamków rozprawiono się z Konwentem. A wiemy przecież, że niedobitki ukryły się również gdzieś w grotach, jaskiniach, podziemiach...

– Nawet ich kości dawno rozsypały się w proch – przerwał złotodzierzca. – Bać się tych ludzi, to jak bać się snów... – dodał, gdyż jako wyznawca Basileusa miał bardzo przyziemne podejście do sennych koszmarów. – A Konwent, księżniczko? Czyż nie udowodniono, że był

to jedynie wymysł Inkwizytorów, pragnących zyskać poklask i dodać wartości własnej pracy?

– Jeśli chcieli zyskać tylko próżną sławę, to czemuż zniknęli? – Anneke wstała i podeszła w stronę fotela, w którym siedział Osgoth. – Dziękuję, że zechciałeś mnie przyjąć, złotodzierzco, i dziękuję, że

byłeś na tyle uprzejmy, by wysłuchać moich obaw.

Najwyższy kapłan z ledwo maskowanym trudem podniósł się z głębokiego siedziszca.

– To był dla mnie zaszczyt, księżniczko. Prawdziwy zaszczyt... – wymamrotał i ucałował szczupłą dłoń, którą raczyła ku niemu wysunąć.

Czemu zniknęli Inkwizytorzy? – powtórzył w myślach pytanie czarodziejki. A któż ich tam może wiedzieć?! Od tego czasu nie tylko minęły pokolenia, ale upadały i rodziły się nowe państwa. A przecież sam rewolucyjny zamęt, który nastąpił po Pogromie, nazywanym przez niektórych Oczyszczeniem, trwał wiele dziesiątek lat. Zabijano ludzi, niszczone księgi oraz dokumenty, palono miasta... Inkwizytorzy przetrwali w legendach, ale jaka była rola, którą odegrali w Pogromie, tak naprawdę nie wiedział nikt i nikt nie starał się tego dociec.

Byli zaledwie wyblakłymi wzorami na sparszywiałym gobelinie historii. Dla wielu tak samo realnymi jak smoki, jednorożce czy tytani. Niemniej, jeżeli naprawdę niegdyś istnieli, to niech dzięki będą wszystkim widzialnym i niewidzialnym bogom, iż zaginęła pamięć o nich samych oraz ich strasznych uczynkach. Chociaż nie można im było odmówić... skuteczności.

Osgoth wzdrygnął się, a potem odprowadził wzrokiem odchodzącą księżniczkę. Z

każdym jej krokiem w stronę drzwi zdawało się, że lampy płoną coraz bardziej przytłumionym światłem, szlachetne kamienie tracą blask, w komnacie gęstnieje mrok... A w sercu złotodzierzcy znowu pojawiła się gorycz. „Anneke!” – chciał zawołać, ale zamiast tego tylko opadł na fotel i ponaglącym gestem rozkazał służącemu, by przyniósł następny puchar. Przymknął oczy, kiedy szczęknęły zamykane drzwi.

– Ośmielę się przypomnieć, że wszystkie panie czekają w sypialni – cichutko powiedział służący, ale Osgoth tylko machnął ręką.

Nie miał ochoty na uprawianie miłości. Czyż nawet najpiękniejsze z wyznawczyń Basileusa sprawią, by serce złotodzierzcy zabiło żywszym rytmem? Westchnął i uniósł

kielich do ust, ponieważ znał odpowiedź na to pytanie. Wolał zostać sam, gdyż stokroć lżej jest znieść pustkę serca niż przymus dzielenia się tą pustką z obcym człowiekiem.

Poza tym musiał bardzo poważnie zastanowić się nad dalszym postępowaniem. Wiedział, że jest jeszcze czas, aby się wycofać z niebezpiecznej gry. Osgoth nie podzielał obaw czarodziejek przed tajemnicami, ukrytymi w zapomnianych katakumbach. Wręcz przeciwnie, obawy te były mu na rękę i zamierzał nawet je podsycić, wysyłając szpiegów, którzy tu i tam mieli zasiać ziarno lęku w sercach co bardziej zabobonnych kapłanów. Bo im większy będzie strach przed powrotem mrocznych sił, tym większa stanie się wdzięczność dla tego, kto zapobiegnie, nawet nie katastrofie, lecz choćby najślabszemu przecuciu tej katastrofy.

Dylemat złotodzierzcy polegał na czymś zupełnie innym. Najwyższy kapłan obawiał się tylko

jednego:, że jego plan i tajemnice wyjdą na światło dzienne. Jeśli tak się stanie, kult Basileusa poniesie niepowetowane straty. I nawet jeżeli złotodzierzca weźmie całą winę na siebie, miną lata zanim zostanie ona wybaczona, a dziesiątki lat zanim zostanie zapomniana.

Nie mówiąc już o tym, że Osgoth będzie musiał dokonać rytualnego, oczyszczającego samobójstwa, a była to ceremonia zarówno dramatycznie widowiskowa (dla oglądających), jak i drastycznie bolesna (dla ofiary).

* * *

Wielu przyjeżdżającym po raz pierwszy do Alehandrii wydawało się, że nekropolia jest pęknym miejscem pełnym grobowców, zrozpaczonych żałobników i kapłanów w czerni, mrużących pod nosem ponure hymny. Nic bardziej błędnego! Nekropolia, połączona z dzielnicą świątynną, stanowiła nie tylko ogromny ośrodek wszelakich kultów, ale jedno z najbogatszych centrów handlowych. Na ulicach aż roiło się od kupców, a w co bardziej uczęszczanych miejscach kramy (często sprzedawano w nich przedmioty mające mało lub zgoła nic wspólnego z religijnymi obrządkami) przylegały jeden do drugiego tak ściśle, iż za miejsce do handlu oraz stosowne pozwolenia płacono sumy wręcz niewiarygodnie wysokie.

Sprzedawcy pachnidel sąsiadowali z piekarzami i cukiernikami, aromat kandyzowanych owoców mieszał się z zapachem pieczonych, gotowanych, duszonych i wędzonych mięs, jedwabnicy handlowali ramię w ramię ze złotnikami, szewcami oraz sprzedawcami relikwii.

Balwierze, krawcy, chiromanci, przepowiadacze przyszłości, astrologowie, browarnicy, winiarze – wszyscy oni toczyli na ulicach nekropolii codzienną walkę o zysk. Zazwyczaj bezkrwawą, gdyż liczne straże świątynne dbały o porządek z bezwzględnością równą sprawiedliwości wyroków.

Jedno tylko było zabronione na ulicach nekropolii: prostytutka. I to bynajmniej nie z powodów obyczajowych. Wprowadzenie tego zakazu udało się wyjednać kapłankom od Świętej Sekstyny, dla których wyłączność na tego typu usługi była istnym darem losu oraz źródłem trudnych do przeliczenia dochodów. Oczywiście, alehandryjskie dziewczęta również próbowały zarobić w nekropolii na życie, ale, przyłapanie na gorącym uczynku, były karane upokarzającą chłostą oraz ogromnymi grzywnami na rzecz Świętej Sekstyny, które to grzywny musiały odpracowywać własnym ciałem.

Margot nie lubiła wiecznego pośpiechu nekropolii, tych rozwrzeszczanych tłumów ciągnących ze wszystkich stron niczym oszalałe rzeki wpadające do jednego jeziora. Jednak nawet w nekropolii były miejsca spokojniejsze, gdyż na samych cmentarzach nie pozwalano już handlować i kupcy musieli trzymać się granicy wyznaczonej przez mury. Ale nie zawsze też zakazu tego przestrzegano. Margot musiała jednak sprawdzić miejsce, o którym opowiedział jej Severin. Sam szlachcic nie zamierzał opuszczać domu przed odszyfrowaniem i przerysowaniem planów, więc dziewczynie nie pozostało nic innego, jak zbadać zleconą sprawę.

Na mapach zaznaczono wejście prowadzące do krypt, z których to krypt wiodły tajne przejścia w stronę nieznaną nikomu podziemnych korytarzy, a te z kolei miały poprowadzić ich prosto do antycznych grobowców. Gdzie czekał skarb... Krypty znajdowały się pod świątynią, należąca do

Świętej Sekstyny, i przechowywano w nich zmumifikowane ciała najślawniejszych spośród kapłanek-prostytutek. Miejsce to trudno było nazwać ogólnie dostępnym, ale straż świątynna co jakiś czas wpuszczała jednak zwiedzających, pobierając oczywiście stosowną opłatę.

Ta akurat świątynia Świętej Sekstyny, którą zamierzała odwiedzić Margot, została poświęcona Lilith – bogini zmysłowego pożądania. Budowlę wzniesiono z białego marmuru, a do ogromnych, dwuskrzydłowych drzwi prowadziły niskie, szerokie schody o kilkudziesięciu stopniach. Na stopniach siedziały kapłanki. Wszystkie były młode, piękne i odziane w białe szaty, mające zarówno podkreślać ich kobiece walory, jak i odsłaniające co bardziej apetyczne części ciała. Każdy z odwiedzających, niezależnie od płci, mógł

skorzystać z ich wdzięków pod warunkiem uiszczenia stosownej opłaty. Wtedy, wraz z wybraną kapłanką, przenosił się do komnat, znajdujących się na wyższych piętrach świątyni.

Usługi dziewcząt od Świętej Sekstyny nie były tanie, ale Margot nie słyszała, by ktokolwiek, kto z nich skorzystał, żałował wydanych sum.

Jedna z kapłanek zwróciła wzrok na Margot, przyglądała jej się chwilę, a potem uśmiechnęła na poły przyjacielsko, a na poły kusząco.

– Witaj, kochanie – powiedziała głębokim, zmysłowym głosem. – Może miałabyś ochotę wstąpić na służbę bogini?

Złodziejka odpowiedziała jej uśmiechem i przykucnęła obok. Młoda kapłanka roztaczała wokół siebie odurzający, kadzidlano-piżmowy zapach olejków.

– Cóż – rzekła Margot z wahaniem. – Może zechciałabyś mnie oprowadzić po świątyni i wyjaśnić, jakie czekałyby mnie obowiązki?

– Z przyjemnością, siostrze.

Zgodnie z przewidywaniami, kapłanka ochoczo podniosła się z miejsca. Margot wiedziała, że Święta Sekstyna zawsze szuka nowych twarzy i nowych ciał, a kapłanki, werbujące kolejne ochotniczki, otrzymują interesującej wysokości wynagrodzenie. Przeszły pod zsyłającym cień portalem i przekroczyły próg budynku. Margot nigdy nie była we wnętrzu świątyni należącej do kapłanek-prostytutek i zdumiała ją panująca wewnątrz atmosfera. Okna zastąpione zostały strzelistymi witrażami, a kolorowe szkiełka przedstawiały sceny tak odważne, iż nawet Margot poczuła, że kiedy przygląda im się dokładniej, to na jej policzki wypełza gorący rumieniec. Pośrodku ogromnej sali stały posągi wszystkich sześciu bogiń, w tym wypadku pięć z nich otaczało bezwstydnie obnażoną Lilith, która w obu dłoniach dzierżyła ogromnego fallusa, wyrzeźbionego z czystego złota. Pod ścianami stały wielkie, bogato zdobione łoża, na których leżały półnagie kapłanki. Kilka z nich rozmawiało, kilka jadło posiłek, kilka innych oddawało się bez skrępowania cielesnym uciechom na oczach mężczyzn, obserwujących to wszystko wybałuszonymi oczami. Margot ujrzała figlarny uśmieszek na ustach swej przewodniczki.

– Kiedy widzą nas w działaniu, są gotowi więcej zapłacić – wyjaśniła kapłanka. – Połowę

zarobionej sumy otrzymujemy na własność, druga połowa przechodzi na rzecz świątyni –

dodała. – I to świątynia zapewnia nam mieszkanie, stroje, posiłki oraz pomoc lekarzy, która w naszym zawodzie – przy tych słowach westchnęła lekko – bywa niezbędna...

Margot odpędziła już tego dnia czerwoną mgłę, oddając się w dokach pewnemu bardzo sprawnemu i nad wyraz hojnie obdarzonemu przez naturę marynarzowi, więc wszystkie te widoki nie wzbudziły w niej nic więcej poza rozkosznym dreszczykiem. Zarobiłabym tu krocie, pomyślała, a i chyba to nieco bezpieczniejsze zajęcie niż okradanie grobowców i świątyń.

– Czy musicie oddawać się każdemu, kto płaci?

– Oczywiście – odparła kapłanka. – Na tym polega nasza służba. Na bezwarunkowym posłuszeństwie bogini.

Margot przyjrzała się ogromnemu freskowi, zdobiącemu jedną ze ścian, na którym kształtnie zbudowana kobieta zaspokajała żądze pięciu mężczyzn naraz. Złodziejka przygryzła lekko usta i odwróciła wzrok, gdyż poczuła, że serce zaczyna jej mocniej bić, a w podbrzuszu rodzi się znany już żar.

– Na piętrze znajdują się pokoje gościnne i komnaty sypialne – objaśniała dalej kapłanka.

– Bywa, że co bogatsi wyznawcy spędzają u nas całe tygodnie. – Roześmiała się perlistym, dziewczęcym śmiechem. – Był taki jeden, który brał sześć nas każdej nocy i każdą potrafił nie raz zaspokoić... – westchnęła z rozmarzeniem. – Najczęściej jednak mężczyźni nie są tak zręczni jak my same. – Palce kapłanki delikatnie przejechały po policzku Margot, a ta poczuła, jak przez jej ciało przebiega dreszcz. – Bo kto może lepiej wiedzieć, czego pragnie kobieta, niż druga kobieta? Prawda, kochanie?

Margot cofnęła się o krok, gdyż bała się, aby czerwona mgła nie powróciła. Musiała przecież bacznie wszystko obserwować i myśleć, a nie oddawać się uciechom. Jednak uśmiechnęła się miło do kapłanki, gdyż nie chciała, by ta straciła dla niej zainteresowanie.

Zresztą, przecież później, kiedy już obejrzy świątynię, może będzie mogła... Zawiesiła spojrzenie na kształtnych piersiach swej przewodniczki i z trudem oderwała wzrok.

– A katakumby? – zapytała. – Dlaczego niektóre z was trafiają tam po śmierci?

– Gdyż w ciągu swego życia przyniosły największy dochód świątyni, a miłosny kunszt, dzięki któremu wychwalały boginię, nie miał sobie równych – powiedziała kapłanka. –

Chcesz je zobaczyć?

– Z radością – odparła Margot, gdyż to przecież było celem jej odwiedzin.

Przeszły do bocznej nawy, a stamtąd schodami w dół, do skromniej urządzonej kaplicy, w której na marmurowym tronie siedziała naga Lilith. Przed jej stopami piętrzyły się bukiety różnokolorowych

kwiatów i płonęły oliwne lampki. Dwuskrzydłowych drzwi w bocznej ścianie pilnował znudzony strażnik. A raczej nie pilnował, lecz przysypiał, siedząc na zydlu i opierając głowę o mur. Jednak poderwał się z miejsca na dźwięk kroków i głosów obu kobiet.

– Trishia – rzekł serdecznym tonem i poprawił przekrzywiający się na głowie hełm. –

Witaj, ślicznotko. Kogóż to prowadzisz ze sobą?

– Jak masz na imię, kochanie? – Kapłanka obróciła twarz w stronę złodziejki.

– Margot.

– A więc, oto jest Margot – wyjaśniła Trishia z uśmiechem. – Może zostanie naszą siostrą, lecz na razie chciałaby zaspokoić ciekawość i obejrzeć katakumby.

Strażnik brzęknął kluczami zawieszonymi u pasa.

– Czemu nie – odparł. – Ale będę oczekiwał podziękowania, ślicznotko.

Trishia poklepała go po ramieniu przyjacielskim gestem.

– Jak będziesz grzeczny, poświęcę ci chwilkę wieczorem – obiecała. – Jeśli tylko będę wolna.

Mężczyzna odpiął od pasa klucze i jednym z nich zagmurał w zamku. Potem pchnął drzwi. Cofnął się po lampę i gestem zaprosił kobiety do środka. Wąskimi, stromymi schodami zeszedł pod kolejne drzwi, tym razem nie zamknięte na klucz, aż do prostokątnej komnaty.

Przy obu jej ścianach stały kamienne grobowce. Nad każdym z nich wznosił się naturalnej wielkości posąg pochowanej kapłanki. Wszystkie rzeźby wyobrażały nagie postaci.

Margot przyglądała się uważnie i równie uważnie słuchała słów Trishii opowiadającej o dokonaniach niektórych z pochowanych w katakumbach kobiet. Ale tak naprawdę wiedziała już wszystko, czego chciała się dowiedzieć. Dostęp do katakumb okazał się nadspodziewanie prosty. Być może dlatego, że nie było w nich nic poza posągami oraz zmumifikowanymi ciałami, a więc nie spodziewano się w tym miejscu złodziei. Margot domyślała się, że do tajnego pasażu, wiodącego w stronę antycznych grobowców, będzie można dostać się dopiero po przebicciu się przez mur oraz kilkustopową warstwę ziemi.

– A to? – Pokazała zagradzającą dalsze przejście żelazną kratę. Za kratą wyraźnie znajdował się następny odcinek korytarza, ale ginął w zupełnej ciemności.

– Ach... tam? – Trishia skrzywiła się i machnęła dłonią. – Siostry uznały, że rzeźby w tej części są zbyt nieprzyzwoite dla zwiedzających. Zresztą to tylko cztery grobowce najstarszych z naszych arcykapłanek...

– Nieprzyzwoite? – Margot była prawdziwie zdumiona, gdyż nie spodziewała się, że to właśnie

słowo można usłyszeć w przybytku Świętej Sekstyny. – Powiesz mi?

– Nie. – Zachichotała kapłanka. – Ale jak zostaniesz z nami, to wydebię klucz od siostry przełożonej i sama zobaczysz.

Sądząc po rozbawieniu Trishii, w katakumbach nie kryła się żadna straszliwa tajemnica.

– Nikt nie będzie się niepokoił, że nie ma cię na posterunku? – Margot uprzejmie zagadnęła strażnika.
– Nie chciałabym, abyś miał przeze mnie kłopoty.

Mężczyzna roześmiał się serdecznie.

– Aby tylko drzwi były zamknięte – rzekł. – Chłopaki tu często znikają ze straży. –

Poklepał Trishię po pośladkach. – Wszystko przez was, figlarki...

To była dobra wiadomość. Oznaczała, iż jeśli zabiją wartownika i zamkną drzwi od środka, to każdy uzna, że wszystko jest w porządku, a strażnik zabawia się właśnie z którąś z dziewcząt. Jeśli więc zaatakują wczesnym wieczorem, będą mieli czas co najmniej do rana następnego dnia.

– A może i ty miałabyś ochotę dołączyć do Trishii? – zagadnął strażnik i podkreślił wąsa palcami lewej dłoni.

– Potraktujemy to jako sprawdzian twoich umiejętności.– Uśmiechnęła się kapłanka. – A ty zobaczysz, czy naprawdę masz wolę wstąpienia w służbę świątyni.

Margot przyjrzała się strażnikowi. Był młody, z otwartą, miłą twarzą wiecznego chłopca.

Nie w typie Margot, która wołała mężczyzn o rysach znamionujących zwierzęcą brutalność.

Ale może i z niego coś da się wykrzesać? Poza tym, czyż, z uwagi na pomyślne zakończenie sprawy, nie dobrze będzie mieć na terenie świątyni kogoś znajomego i przyjaźnie nastawionego? A zresztą, lepiej odegnać czerwoną mgłę w wygodnych łóżach Świętej Sekstyny niż w zaułkach ulic, czy jak dzisiaj, na rozprutych worach przegniłego ziarna...

– Czemu nie? – Odpowiedziała uśmiechem.– Prowadź na górę – dodała i ujęła szczupłą dłoń kapłanki.

* * *

– Czekaj nas ostre kopanie – westchnął Severin.– Co najmniej siedem stóp przez kamienie i glinę. A wtedy powinniśmy znaleźć się w podpartym stemplami, zapomnianym korytarzu. I tam zacnie się prawdziwa zabawa...

– A świątynia? Jak szybko nabiorą podejrzeń? – zapytał Otton.

– Mamy czas co najmniej do południa następnego dnia.– Tym razem odezwała się Margot.

Była rozluźniona, spokojna i zadowolona. Strażnik okazał się zręcznym kochankiem (widać nauki kapłanek nie poszły w las), a Trishia była słodka niczym miód i udowodniła, jakich cudów mogą dokonać palce oraz język drugiej kobiety. Margot do tej pory pamiętała swój krzyk i obezwładniające poczucie szczęścia, jakie przyszło po zaspokojeniu. Ha, czy raczej jakie przychodziło po zaspokojeniach! Czerwona mgła cofnęła się tak daleko, iż zdawała się jedynie wspomnieniem odległej przeszłości.

– A może i dłużej, gdyż wartownicy bardziej zajmują się kapłankami niż pilnowaniem posterunków i nikogo nie dziwi ich nieobecność. Poza tym część, w której będziemy kopać, jest odgradzona kratą i nie wolno jej zwiedzać. Tak więc, gdy dobrze pójdzie, mogą zorientować się dopiero po wielu dniach, a jeśli chodzi o strażnika, to po prostu uznają, że uciekł – dodała.

– Ciekawe, jak my tam wejdziemy – burknął Małykuśka. – Z łopatom, oskardami czy kilofami... że niby co im powiemy?

– Nie takie rzeczy się przemyślało. – Machnął ręką Josip Nochal. – Ale prawda, że wybrać trzeba będzie narzędzia poręczne, a nie ciężkie. Co wydłuży nam zapewne pracę. A i cicho trzeba będzie...

– Krypta znajduje się za grubymi, drewnianymi drzwiami, potem należy zejść schodami, później są następne drzwi, a miejsce, w którym będziemy kopać, jest na samym końcu katakumb – wyjaśniła Margot. – Nikt nas nie usłyszy. Zwłaszcza że, wierście mi, tam nocami wszyscy zajmują się czym innymi niż nasłuchiwanie.– Roześmiała się z własnego żartu.

* * *

Wnętrze świątyni Świętej Sekstyny przypominało każdego wieczoru salę, w której odbywa się wielkie przyjęcie. Kapłanki, półnagie lub odziane tylko w zwiewne i prześwitujące szaty, krążyły wokół gości, zabawiając ich rozmową, podając jedzenie i napoje, bądź kusząc swymi wdziękami. Na ogromnych łóżkach, ustawionych w nawach sali, zabawiały się zarówno same dziewczęta, jak i dziewczęta wybrane już oraz opłacone przez klientów.

Margot nakazała swym towarzyszom ubrać się czysto i przyzwoicie (ale też nie za bogato, by nie wzbudzić nadmiernego zainteresowania), podzielili również pieniądze, aby mężczyźni mogli skorzystać z usług kapłanek, gdyż straż świątyni i same dziewczęta niechętnie przyglądali się tym, którzy tylko patrzyli, a nie zamierzali opłacić zabawy. Wszystkie potrzebne narzędzia przemycili pod płaszczami i złożyli w bocznej nawie, nieopodal schodów prowadzących do wejścia do krypty. Margot sądziła, że nawet jeśli ktoś je znajdzie, to pomyśli, iż zostały pozostawione przez robotników, pracujących w ciągu dnia na świątynnym dziedzińcu. Przedarła się przez tłum i dotknęła ramienia Ottona.

– Już czas – szepnęła.

Starając się nie zwracać niczyjej uwagi, zniknęli w nawie, a potem przeszli schodami w stronę dolnej kaplicy. Otton pozostał w cieniu, a Margot zbliżyła się w stronę dwuskrzydłowych drzwi. Zobaczyła, że na zydlu siedzi młody strażnik, którego wcześniej nie widziała. Usłyszał jej kroki i poderwał głowę. Ale widząc, kto nadchodzi, uśmiechnął się tylko.

– Czego szukasz, maleńka? – spytał. – Zabłądziłaś?

– Myślałam, że zabłądziłam, ale teraz już sędzę, że trafiłam lepiej niż dobrze – odparła Margot ponętnie i odrzuciła włosy z czoła. – Ufam, że taki dzielny chłopak jak ty zechce poświęcić mi chwilkę czasu, prawda?

– Coś takiego... – wyjąkał wartownik i zaczerwienił się. Margot nie sądziła, że ktokolwiek pracujący w tym miejscu może się jeszcze czerwienić. Zrobiło jej się szkoda chłopaka, ale cóż, zadanie, które mieli do wykonania, było ważniejsze od czyjegokolwiek życia.

Zbliżyła się do niego i zarzuciła mu ramiona na szyję. Wpiła się ustami w jego usta i, wbrew sobie, poczuła żar krążący coraz szybciej w żyłach. Kiedy ten słodki żar przeniósł się do podbrzusza, aż westchnęła. Och, po co brałam Ottona? – pomyślała ze złością.

Pozwoliłabym teraz zabawić się temu chłopcu, a potem załatwiłabym sprawę sama!

Pociągnęła strażnika za sobą na ziemię i czuła, jak przygniata ją do posadzki, a jego dłonie zaciskają się na jej piersi. Jęknęła. I wtedy zobaczyła cień, a zaraz potem usłyszała ohydny zgrzyt żelaza trącego o kości. Chwilę wcześniej uciekła z ustami, bo bała się, że chłopak, konając, może mimowolnie wgryźć się w jej twarz. Odepchnęła martwe już ciało i podniosła się. Przez moment drżały jej dłonie, ale zacisnęła mocno palce i drzenie przeszło.

– Wszystko dobrze, Margot? – zapytał Otton.

– Tak – odparła, przełykając ślinę. Starła się nie patrzeć na wartownika, leżącego w kałuży krwi. – Tak, wszystko dobrze. Pójdę po resztę...

Towarzysze wiedzieli, że mają być czujni, więc czekali już tylko na to, aż zobaczą złodziejkę pojawiającą się na sali. Wszyscy, oprócz Korzuma, który siedział na łożu z rozanieloną miną, a między jego nogami klęczała jakaś jasnowłosa dziewczyna. Jej głowa unosiła się i opadała w równomiernym rytmie. Margot zaklęła i poczekała, aż kapłanka skończy pracę. Potem podeszła bliżej i wściekłym gestem kiwnęła na Korzuma. Kątem oka zobaczyła jeszcze, jak kapłanka uśmiecha się do niej i ociera wierzchem dłoni lśniące usta, a potem wstaje, rozglądając się za kolejnym klientem. Korzum poderwał się szybko, z miną cokolwiek zmieszaną.

– Prędej. Wszyscy czekają – rozkazała Margot.

Skierowali się w stronę nawy, a potem do schodów prowadzących do dolnej kaplicy. I już mieli na nie wejść, gdy od drzwi rozległ się wesóły, choć lekko zdziwiony głos.

– Margot!

Złodziejka odwróciła się i zobaczyła uśmiechniętą Trishię. Dziewczyna zbliżyła się do niej z otwartymi ramionami.

– Co tu robisz, kochanie? – zapytała ciepło i bez śladu podejrzliwości. – Zamierzasz zabawić się z tym młodzieńcem? Nie wygodniej będzie na łóżku? – Roześmiała się. – A może weźmiesz mnie ze

sobą?

– Zabij sukę i idziemy – warknął Korzum.

Trishia otworzyła szeroko oczy, ale nie zdążyła krzyknąć. Margot szybkim, sprawnym chwytem unieruchomiła kapłankę. Prawą dłonią zatkała jej usta. Zobaczyła, że Korzum wyciąga sztylet i okręciła się tak, by zasłonić Trishię własnym ciałem.

– Zostaw ją! – niemal krzyknęła. – A ty bądź cicho – tchnęła w ucho dziewczyny. – Bądź cicho, na wszystkich bogów, a nic ci się nie stanie.

Trishia pokiwała głową, a Margot czuła przez cienką szatę, że jej serce bije w szaleńczym rytmie. Była wściekła na Korzuma. Całą sprawę można było obrócić w żart i pozbyć się kapłanki, która odeszłaby do swoich zajęć. A w ten sposób mieli ją teraz na głowie. Dlaczego jej nie zabiłam albo nie pozwoliłam zabić? – pomyślała Margot i sama nie potrafiła sobie odpowiedzieć na to pytanie. Potem pocałowała Trishię w policzek.

– Teraz cię puszczę, skarbie – powiedziała miękko. – I nie zrób nic, żebyś musiała tego żałować...

* * *

– To ma być zamek? – burknął Josip. – To jest gówno, a nie zamek! To jest partactwo najgorsze...

– No i tylko się cieszyć – zauważył Otton. – Otwieraj.

Josip celowo niedbałym ruchem wsunął wytrych i zagmierał nim w zamku. Usłyszeli chrzęst, a potem włamywacz kopnął w pręty. Krata się otworzyła.

– No i w domku – rzekł.

Weszli do najstarszej części krypty, a Nochal zamknął kratę i znowu podziałął

wytrychem, tak by zamek zaskoczył i by nikt nie mógł się zorientować, iż ktokolwiek przy nim grzebał. Otton zbliżył się do pierwszego z posągów i omiótł go światłem pochodni.

– A żesz ty – mruknął.

Margot roześmiała się. Wiedziała już, czemu rzeźby uznano za nieobyčajne nawet w świątyni Świętej Sekstyny. Otóż posąg wyobrażał głęboko pochyloną, nagą kobietę, na której plecy wskakiwał potężny pies. Paszcza zwierzęcia była wyszczerzona w nienaturalnym niby-uśmiechu, a twarz kapłanki wykrzywiona grymasem ni to bólu, ni to rozkoszy. Obejrzelni następane rzeźby. Kobietę, schowaną pod podbrzuszem byka, drugą, której spomiędzy nóg sterczała głowa węża, i trzecią, ujeżdżaną przez kozła.

– To świnię! – rzekł Korzum. – Nie dziwota, że ustawiły kratę. Zrzygam się...

– Lepiej się bierz za kopanie. – Machnął dłonią Otton. – Gdzie zaczynamy? – Spojrzał w stronę Severina.

Szlachcic postąpił pod samą ścianę korytarza i wskazał palcem posadzkę.

– Tutaj – powiedział.

– Niech to lepiej rzeczywiście będzie tutaj – odparł Otton, a w jego głosie zabrzmiała niezawołowana pogróżka.

– Po co wy to robicie? – krzyknęła Trishia. – Tam nic nie ma. Żadnych skarbów, klejnotów... Nic.

Korzum szybkim ruchem wysunął nóż z pochwy.

– Zarżnę sukę, co tu będzie nam jęczeć...

Margot postąpiła dwa kroki i stanęła na jego drodze do kapłanki.

– Tylko spróbuj – rzekła głosem, o którym wiedziała, że jest miękki oraz słodki. A ta miękkość i słodycz miały przerazić Korzuma. Może nie przerażyły, ale odniosły skutek.

Cofnął się.

– A jak tam se chceta – burknął. – Żeby nie było, zem nie mówił – dodał.

Trishia wtuliła się w kąt pomiędzy ścianami. Przykucnęła i zaczęła płakać niemal bezgłośnie, ale pełnym szlochów płaczem.

Severin wyznaczył każdemu miejsce pracy i wzięli się najpierw za rozbijanie kamiennej posadzki, złożonej z warstwy grubych, rzeźbionych płyt. Każde uderzenie oskarda zdawało się grzmieć w korytarzu i odbijać potężniejącym echem od ścian. Ale Margot sprawdziła, że przy pełnej kwiatów kapliczce hałas był ledwo słyszalny, więc za wejściowe, grube przecięż drzwi, zapewne w ogóle się nie przedostawał. Inna sprawa, że sama konstrukcja starych budowli potrafiła płatać czasem zdumiewające figle. I wcale nie było pewne, czy huku dochodzącego z katakumb nie słyszano na przykład na pierwszym lub drugim piętrze świątyni. Ale to było ryzyko, które musieli podjąć. W razie czego mogli mieć tylko nadzieję, iż z bronią w garści uda im się przebić na ulice i rozpląnąć pomiędzy pogrążonymi w mroku ulicami nekropolii.

Margot zabrała Trishię i obie usiadły na podeście posągu bogini, odgarniając wcześniej zwały upajająco pachnących, świeżych kwiatów.

– Lubię cię – stwierdziła, patrząc na smutną i przestraszoną twarz swej towarzyszki. – Nie próbuj robić żadnych głupstw, bo będę musiała cię zabić...

– I tak mnie zabiją – odparła Trishia głosem bez wyrazu. – Jak nie twoi przyjaciele, to strażnicy. Nikt nie uwierzy, że nie byłam z wami w znowie.

Margot położyła dłoń na jej ramieniu, po raz kolejny dziwiąc się, jak delikatne i kruche jest ciało kapłanki.

– Nikt ci nie zrobi krzywdy – obiecała. – A w łapy straży nie wpadniemy z całą pewnością. Niedługo będziemy już daleko stąd. Bogaci, wolni i szczęśliwi – wypowiadała te słowa i całą duszą chciała wierzyć, że tak właśnie się stanie.

– Bogaci? – jęknęła Trishia. – Mówiłam ci, Mag, że tam nic nie ma. Żadnych ukrytych skarbów!

Margot podobało się, jak kapłanka zdrabnia jej imię, więc uśmiechnęła się.

– Zobaczysz – powiedziała. – Już niedługo będziesz mogła oddawać się mężczyznom dla własnej przyjemności, a nie dla pieniędzy.

Margot była pewna, że ten wieczór i ta noc są najważniejsze w jej życiu. Wiedziała, że musi być przytomna, sprawna i w pełni sił, że nie może jej dopaść czerwona mgła, zaburzająca myśli, sądy oraz uczynki. Dlatego też popołudnie spędziła z dwoma wesołymi chłopakami z arenburskiego statku, zachwyconymi, iż mogą nasycić się ciałem pięknej, młodej kobiety, która w dodatku nie żąda od nich pieniędzy. Ale teraz, kiedy patrzyła na bezradną, śliczną Trishię, oprócz litości i współczucia, zaczęło się w niej budzić pożądanie.

Przypomniała sobie nagie ciało kapłanki, dłonie i usta, które wędrowały po całym jej ciele, pełną zachwyty twarz, kiedy Trishia przeżywała uniesienie, i pozbawioną zahamowań namiętność, z jaką sama potrafiła dawać rozkosz.

– Zrób mi to – szepnęła w samo ucho kapłanki. – Póki oni są zajęci pracą... Zrób...

Przez twarz dziewczyny przeszła leciutka mgiełka zdumienia, ale zaraz potem Trishia uśmiechnęła się i bez słowa przylgnęła ustami do ust Margot. Jej dłonie powędrowały tam, gdzie Margot ich najbardziej pragnęła, i złodziejka musiała zagryźć usta, by nie zacząć jęczeć. A potem położyła się na kwiatowym kobiercu i pozwoliła robić kapłance ze sobą wszystko, na co ta tylko miała ochotę...

* * *

Pracowali na zmianę. Wszyscy, z wyjątkiem Severina, który wyniosłym tonem stwierdził, że jego dłonie są zbyt wielkim skarbem, by miał je psuć szpadlem lub kilofem. O mało nie doszło wtedy do bójki z Korzumem, ale Otton zdobył się na sprawiedliwy osąd.

– Severin czytał i rysował mapy – rzekł, powstrzymując szarpiącego się Korzuma.–

Będzie też nas prowadził przez labirynt. Nie chciałbyś go chyba teraz zabić, co?

Chłopak uspokoił się, ale na jego twarzy wykwitł chytry uśmieszek.

– Tera nie – rzekł.

Przyglądał się przez chwilę Severinowi wzrokiem, który w jego zamierzeniu miał być zapewne

złowieszczy, po czym ujął w dłonie rękojeść oskarda i, posapując, zabrał się do roboty.

Kiedy poradzili już sobie z kamiennymi płytami, musieli przebić się przez warstwę twardej, pełnej kamieni gliny. Na początku pracowało się tylko trudno, potem, kiedy wykop stawał się głębszy, praca zaczęła przypominać męczarnię. Wszyscy byli już rozebrani do półnaga, spoceni, brudni i wściekli jak diabli. Jedyne, co hamowało ich przed skoczeniem sobie do oczu, to fakt, że niedługo mogą stać się nieprzyzwoicie bogaci, a reszta ich życia będzie usłana różami. Oczywiście, jeśli wszystko pójdzie według ustalonego planu...

Wreszcie, kiedy w dole pracował Małykuśka, stało się to, na co cały czas czekali.

– Płyty! – wrzasnął Małykuśka. – Jak Boga Jedynego kocham! Płyty!

– Nie kamienie? – zasapał sponad niego Otton.

– Nie, kamienne płyty! To chyba sufit, jak Boga...

– Żesz ty, a my bijaka nie mamy – warknął Korzum.

Strop w każdej chwili mógł się zapaść, a mapy pokazywały, że tajemny korytarz miał co najmniej dziesięć stóp wysokości. Małykuśka zabić by się nie zabił, ale nikt nie miał ochoty ciągnąć go za grupą, jeśli połamie sobie nogi. Severin rzucił w dół linę.

– Owiąż się w pasie – rozkazał Małemuśce. – I kuj dalej. A ty – obrócił twarz w stronę Ottona – idź po Margot i tę świątynną dziwkę.

Otton splunął. Plwocina upadła na tyle daleko od nóg Severina, by ten nie mógł uznać tego za obrazę, i na tyle blisko, aby dać szlachcicowi do zrozumienia, że porządny złodziej nie będzie wykonywał rozkazów szlachetnie urodzonego.

– Chyba już czas, żeby Margot wróciła do nas – powiedział, kierując te słowa do siedzącego na brzegu wykopu Josipa. – Przejdę się po nią.

Kiedy Otton wszedł do kwietnej kaplicy, Margot i Trishia siedziały, przytulone do siebie, ale nie zauważył w ich zachowaniu niczego zaskakującego. I nic dziwnego, gdyż zdołały nasycić się sobą dużo, dużo wcześniej, a teraz pozostało już tylko słodkie otępienie.

– Idziemy! – wrzasnął Otton. – Dokuł się skurwyżeszsyn. – Rozpromieniony, chwycił

Margot w objęcia.

Złodziejka nagle ze zdumieniem zdała sobie sprawę z faktu, że bliskość Ottona napelnia ją odrazą. Jego owłosione ramiona, zatykający dech w piersi odór potu, ostrość wyrastającej na brodzie szczeciny, która pokłuła jej twarz. Jakżeż to wszystko było różne od delikatnego dotyku Trishii, od jej atlasowej skóry, miękkich włosów...

– Dobrze. – Zręcznie wysunęła się z uścisku. – Idziemy!

Radość z osiągniętego celu walczyła u niej o lepsze ze zdumieniem. Zdumieniem z własnych uczuć, których jednak w żaden sposób nie zamierzała ujawniać.

– Trishia – szepnęła miękko. – Idziemy.

– Jahaaaa! – wykrzyknął Małykuśka po kilkunastu minutach zawziętego kucia oskardem.

– Dziura! Jest dziura, Severin!

Margot nie patrzyła w głąb dołu, w którym pracował Małykuśka. Przyglądała się twarzom towarzyszy. Josip Nochal szczyrzył resztki zębów w szerokim uśmiechu, Korzum wpatrywał

się w otwór ogłupiałym wzrokiem, Severin obserwował wszystko tak obojętnie, jakby chciał

wzruszyć ramionami i powiedzieć: „Czemu się tak podniecacie? Przecież mówiłem”. Jedyne na twarzy Ottona gniew zwyciężył radość. A stało się to w chwili, w której Małykuśka krzyknął: „Jest dziura, Severin!”. Gdyby krzyknął: „Jest dziura, Otton”, byłoby wszystko w porządku. Ale on jednak zwrócił się do szlachcica, a nie do swego dawnego towarzysza. I było tak, jakby wszystkim mówił: „sukces zawdzięczamy Severinowi”. A to nie mogło podobać się Ottonowi.

W tym samym momencie dziewczyna zdała sobie sprawę, że być może jej ostateczne zadanie stanie się łatwiejsze niż przypuszczała. Kiedy już osiągną cel, wystarczy poszczuć na siebie Ottona i Severina. Szlachcic prawdopodobnie zabije wszystkich, ale z całą pewnością nie wyjdzie z tej awantury bez szwanku. A Margot pozostanie tylko jedno: dobić Severina, przejąć nagrodę i razem z Trishią spędzić spokojnie resztę życia. Spokojnie? – zgrzytnęło coś w jej umyśle. Nie zapominaj o czerwonej mgłę, kochana! Obróciła się w stronę kapłanki i spojrzała na jej bladą, delikatną twarz. Nie będzie więcej czerwonej mgły, pomyślała, ja już wiem, czego tak naprawdę pragnę.

Zamknęli za sobą wszystkie drzwi oraz kraty, a Margot dokładnie sprawdziła, czy w kaplicy oraz krypcie nie pozostawili żadnych śladów. Nawet kwiaty, które wygniotły z Trishią własnymi ciałami, ułożyła porządnie na podeście posągu. Mieli ogromną szansę, że kapłanki zorientują się dopiero po wielu dniach, iż ktoś włamał się do krypty. W końcu Trishia twierdziła, że część katakumb znajdująca się za kratą jest rzadko odwiedzana, a klucze ma tylko siostra przełożona.

Stary korytarz, w którym się znaleźli po zejściu z krypty, był wysoki na dziesięć stóp i na tyle szeroki, iż kiedy rozłożyło się ręce, dłonie nie dotykały ścian.

– Tu jest jeszcze bezpiecznie – rzekł Severin. – Nie sądzę, żebyśmy się natknęli na pułapki. Niemniej... uważajcie – dodał z lekkim wahaniem w głosie.

Rozłożył ostrożnie mapę i przyjrzał się jej przy świetle pochodni. Niby znał te plany już niemal na pamięć, ale wolał się upewnić.

– Tunel będzie szedł prosto. Zatrzymamy się dopiero przy rozwidleniu korytarzy.

Zatrzymamy się – powtórzył dobitnie. – I niech nikomu z was nie strzeli do łba iść dalej.

Rozumiemy się?

Pokiwali głowami i tylko Korzum burknął coś niezrozumiałego, ale wyraźnie lekceważącym tonem. Szlachcic nie zwrócił jednak na niego uwagi. Zwinął pieczołowicie plany i schował je do skórzanej tuby.

– Gdzie my jesteśmy? – zaszepiała Trishia i ścisnęła dłoń Margot. – Co to za miejsce?

– Zapomniany tunel – odszepnęła złodziejka. – To właśnie tędy dojdziemy do skarbu.

Oczywiście, zapomniany tunel pod świątynią Świętej Sekstyny był zaledwie początkiem drogi i to początkiem, jak twierdził Severin, najłatwiejszym. Antyczne labirynty oraz grobowce zaczną się dużo później. Jeśli, rzecz jasna, informacje zleceńodawcy oraz plany okażą się prawdziwe. Bo przecież mogło zdarzyć się i tak, że znajdą się przed litą skałą lub natrafią na podziemne rozlewisko. Kto wie, co zmieniło się od tych kilkuset, a może więcej, lat, od czasu, kiedy starożytni architekci pieczołowicie kreślili swe mapy? Może nie było już korytarzy czy sal, a tylko tony gliny, ziemi oraz kamieni? Może nie istniało też tajne wyjście i trzeba będzie wracać tą samą drogą, modląc się, by kapłanki Świętej Sekstyny nadal żyły w słodkiej nieświadomości, iż złodzieje zbezczeszcili ich przybytek?

* * *

Dotarli do rozwidlenia korytarzy, o którym mówił i przed którym przestrzegał Severin.

Tunel rozchodził się gwiazdźście i mieli przed sobą pięć dróg do wyboru. Cztery z nich gwarantowały szybką śmierć (a w najlepszym wypadku zakończyłyby się ślepą ścianą), piąta prowadziła dalej. Mapa wyraźnie pokazywała, iż bezpieczna jest droga na północny wschód.

Tyle, że legenda do mapy informowała, iż należy wszystkie dane przesunąć o jeden w kierunku przeciwnym do ruchu słońca na nieboskłonie. Tak więc bezpieczny był w rzeczywistości szlak prowadzący prosto na wschód. Zresztą, było to bezpieczeństwo względne, gdyż naciśnięcie niektórych z kamiennych płyt podłogowych powinno spowodować uruchomienie pułapek. Szlachcic wziął pochodnię z rąk Ottona i teraz już z dwiema w dłoniach wolno zbliżył się do wschodniego rozwidlenia.

– Idźcie za mną – nakazał. – I pamiętajcie, by stawiać stopy na tych samych płytach, na których ja je postawię. Niech każdy uważnie śledzi, co zrobił poprzednik. Jeden mylny krok i nie żyjecie...

– Jak króliczki. – Zaśmiał się chrapliwie Josip Nochal. – Pamiętacie wierszyki o króliczkach?

Severin celowo przesadzał, ale wolał zachować maksymalną ostrożność. Bowiem niektóre z chytrych urządzeń, montowanych przez starożytnych budowniczych, mogły już nie działać, ale niektóre mogły funkcjonować tak samosprawnie, jak za starych, dobrych czasów.

Mapa nie mówiła, jakie pułapki aktywuje poruszenie płyt. Mogły to być zapadnie, wyrzutnie strzałek lub włóczni, osuwający się sufit, trujące wyziewy – nic specjalnie skomplikowanego czy wyszukanego, ale Severin dawno już się przekonał, iż prawdziwa skuteczność tkwi w prostocie.

Wschodni korytarz był wyraźnie niższy i węższy niż dotychczasowy tunel. Tu już nie tylko Severin i Otton musieli uważać na głowy, ale nawet Margot przygarbiła mocno ramiona. Szlachcic nadal szedł pierwszy.

– O bogowie! – powiedział nagle, a w jego głosie zabrzmiały zarówno strach, jak i podziw.

Margot wyjrzała zza jego ramienia i zobaczyła, że kilka kroków przed Severinem rozpościera się blisko dziesięciostopowej długości uskoki. Na dole dostrzegła żelazną brzoź, a na niej dwa kościotrupy. Ostrza przeszły przez żebra i czaszki. Jeden z wyostrzonych prętów tkwił w pustym oczodole. Na szczęście, z prawej i lewej strony uskoku znajdowały się wąskie na szerokość dłoni chodniki – najwyraźniej bezpieczna ścieżka.

– Idziemy bokiem? – Bardziej stwierdziła niż zapytała.

Severin zamachał pochodnią i wkroczył prosto w przepaść. Margot krzyknęła. Ale nic się nie stało. Szlachcic pewnie sunął w powietrzu, tak jakby szedł nadal po kamiennych płytach, a nie nad pustką. Doszedł do przeciwległego brzegu i wyraźnie widzieli go w pomarańczowej łunie pochodni.

– Magia – powiedział z prawdziwym szacunkiem w głosie. – Zaklęcie, które przetrwało tysiące lat. Żłudny obraz, wykreowany, by zwieść nieproszonych gości. Spróbujcie przejść po bocznych chodnikach, a zobaczycie, że właśnie tam kryje się prawdziwa pułapka.

Margot wystawiła ostrożnie stopę. Pod podeszwą poczuła twarde kamień. Ale widziała swój but, wiszący nad nadzianym na żelazo szkieletem. Kiedy postawiła drugą nogę, serce biło jej jak oszalałe. Zamknęła jednak oczy i przebiegła na drugą stronę. Severin przytrzymał

ją za ramię, by nie szła dalej. Margot odetchnęła głęboko i roześmiała się niemal radośnie, a na pewno z ulgą.

– Śmiało! – krzyknęła. – On ma rację!

Po pokonaniu zaklętej czarem pułapki (Małykuśka, przechodząc nad szkieletami, mamrotał coś pod nosem i składał dłonie na piersi, zapewne wzywał na pomoc swego Jedynego Boga) przez chwilę szli prostym odcinkiem tunelu. Severin zatrzymał się nagle w miejscu, które nie charakteryzowało się niczym szczególnym.

– Sto kroków od krawędzi – rzekł jakby do siebie. – Ale kto mierzył te kroki i jak duże je stawiał? Dddiabli! Szukajcie ruchomej płyty po prawej stronie – rozkazał.

Zaczęli obmacywać kamienie, przyświecając sobie pochodniami. I wreszcie pod dłuższej chwili Josip Nochal wciągnął powietrze w płuca z głośnym sykiem.

– Jessst – powiedział. – Chodź, Severin...

Szlachcic zbliżył się do niego. Przez chwilę obaj męczyli się, podważając kamienną płytę, i starali się ją wyciągnąć. Udało im się to dopiero, kiedy użyli ostrzy oskardów. Kamień wtedy upadł i huknął

o posadzkę. Josip odskoczył. Severin przyświecił sobie pochodnią.

Reszta złodziei, stłoczona za jego plecami, dostrzegła, że w wyrwie tkwi żelazna dźwignia.

– No! – rzekł Korzum i wyciągnął rękę.

Severin odtrącił mu ją tak gwałtownym ruchem, że iskry z pochodni posypały się wokół.

– Nie – powiedział. – Chcesz nas zabić, idioto?

– Cożesz... – zaczął Korzum, ale Otton ścisnął go za ramię.

– Czy nie tego szukaliśmy? – spytał Severina, a jednocześnie odepchnął Korzuma.

– Nie – odparł po chwili zastanowienia szlachcic i postąpił krok. Sięgnął do ściany po lewej stronie i namacał chwiejący się kamień. – Skujmy w tym miejscu – rozkazał.

W dziurze zobaczyli następną żelazną dźwignię.

– Mówiłeś, że po prawej stronie – burknął Otton. – A ta jest po lewej.

– Mapa mówi: „droga księżycy” – rzekł Severin. – A co jest przeciwieństwem księżycy?

– Słońce – odparła Margot.

– Księżyc błyszczy nocą, a noc to ciemność, a ciemność to śmierć – powiedział Severin. –

Słońce zaś oznacza życie. Musimy więc... – zdecydowanym ruchem szarpnął dźwignię, znajdującą się na lewej ścianie tunelu.

W murach coś potwornie zazgrzytało, zajęczało i zahuczało.

– Tu! – wrzasnął Małykuśka, który stał kilka kroków dalej.

Część muru na wysokości jego kolan przesunęła się, odsłaniając wąskie i niskie przejście.

Severin nachylił się i przyświecił pochodnią, patrząc, jak daleko ciągnie się ten niebezpiecznie niski korytarz.

– Tam jest chyba jakaś sala – powiedział z wahaniem w głosie.

Przeczołgał się na drugą stronę.

– Chodźcie, chodźcie – zawołał.

Posłuchali go i po chwili stali już w niewielkiej komnacie o niskim, łukowatym sklepieniu. W mur naprzeciwko nich wbudowano cztery kwadratowe płyty. Na każdej z nich wyrysowano inny wzór.

– I? – zapytał Otton.

– Zagadka – mruknął Severin. – Należy wcisnąć płyty w odpowiedniej kolejności, by otworzyć przejście w którejś ze ścian. Cóż, w razie czego zawsze możemy próbować skuć mur, ale bogowie wiedzą, ile czasu nam to zajmie, skoro nie wiemy, w którą stronę się przebijać.

– A co gadajom twoje mundre mapy? – spytał Korzum szyderczym tonem.

– Może to, że należy tu złożyć ofiarę z najgłupszego z nas? – Severin gwałtownie odwrócił się w jego stronę.

– Szszsz – powiedział uspokajająco Otton i wyciągniętą ręką zastawił Korzumowi drogę.

– Jesteśmy ci wdzięczni, Severinie, że doprowadziłeś nas tak daleko. Ale bądź łaskaw powiedzieć, co mamy teraz zrobić?

– Legenda do mapy mówi: „zabij tych, którzy przeciwstawiają się żądzy” – wyjaśnił szlachcic.

Margot uważnie przyjrzała się płytom. Na jednej z nich wyryto postać nagiej kobiety z rozłożonymi szeroko nogami, na drugiej miecz, na trzeciej mężczyznę z ogromnym, wyprężonym fallusem, na czwartej postać w kapturze.

– To łatwe! – zakrzyknął Małykuśka. – Miecz musi oznaczać „zabij”! Musimy więc zacząć od niego.

– Składnia zdania nie ma nic do rzeczy – odparł Severin, a Margot, słysząc te słowa, nie była pewna, czy wie, o co chodzi. – Musimy wyobrazić sobie pewną scenę. – Zawiesił na chwilę głos. – A więc, naga kobieta kusi mężczyznę, który do niej przychodzi. Mamy więc pożądanie. Tę scenę obserwuje... – szlachcic chwilę wpatrywał się w płytę z wyobrażeniem zakapturzonego człowieka – Inkwizytor. Ponieważ przeciwstawia się ich żądzy, zabijają go.

Tak więc mamy i miecz...

– Bajdy tam – burknął Korzum. – Popchamy jak leci i kiedyś trafim, co trza...

– Albo wyzwolimy pułapki. – Severin tym razem spojrzał na niego bez gniewu, ale z zastanowieniem. Tak jakby przez moment namyślał się, czy dla wszystkich nie byłoby lepiej, gdyby Korzum popróbował wykonać własny plan.

– Mówisz więc, że kobieta, mężczyzna, Inkwizytor i miecz – rzekł Otton. – A jeśli się mylisz?

– Przekonamy się – odparł Severin. – Jeden z was wcisnie płyty w wyznaczonej przeze mnie kolejności. Reszta schowa się z powrotem w korytarzu. Jeśli okaże się, iż się mylę, spróbujemy następnej kombinacji...

– A ten ktoś... zginie, czyż tak?

– Może po prostu nie się nie stanie. – Wzruszył ramionami Severin.

– Ty to zrobisz. – Otton dźgnął wskazującym palcem, celując w pierś szlachcica, ale powstrzymał ruch na tyle, by nie dotknąć jego płaszcza. Palec zatrzymał się cał od Severina.

– Bardzo proszę – odparł spokojnie Severin. – Ale jeśli zginę, nie poradzicie sobie dalej beze mnie. Nie możemy również ryzykować życia Margot i Josipa – dodał. – Reszta z was niech sama zdecyduje...

– Ona! – Korzum wycelował palcem w Trishię. – Ona nie jest nasza, niech to zrobi!

– Bardzo proszę. – Severin znowu wzruszył ramionami. – Mnie jest wszystko jedno.

– Nie! – Margot stanęła tak, by własnym ciałem zasłonić Trishię przed resztą grupy.

– Podjęliśmy już decyzję – rzekł twardo Otton, a Korzum zaśmiał się szczekliwie.

Margot wiedziała, że nie da rady im wszystkim. A nawet gdyby jakimś cudem jej się to udało, to przecież nie wyjdą z lochów bez pomocy Severina. Tymczasem miała wrażenie, że w tej sytuacji szlachcic stanąłby przeciwko niej. Wybór Trishii uznał za sprawiedliwy.

– Niech idzie... małe kurwiszcze – warknął Małykuśka. – I tak będzie się piekła w wiecznym ogniu potępienia, a piekielne płomienie wytopią cały tłuszcz z jej ciała! Pragnienie napoi jedynie własnymi łzami, a...

Josip Nochal strzelił go wierzchem dłoni w zęby. Małykuśka zajęczał, cofnął się, uderzył plecami o ścianę i wymamrotał coś niezrozumiale.

– Ty pojebie, ty... – burknął Josip i otarł dłoń o spodnie.

– Dobrze, ona pójdzie – zdecydowała Margot. – Ale skoro tak, pamiętajcie, że stanie się jedną z nas.

Odwróciła się w stronę Trishii i pogłaskała ją po włosach.

– Nie bój się – szepnęła. – Severin jest mądry.

– Baaa! – rzekł Severin, który usłyszał te słowa. – Na tyle mądry, że wychodził cało ze wszystkich awantur, jakich nie szczędziło mu życie...

– I niektórzy mieli go nawet kiedyś za umarłego – dodał Otton.

– Pogłoski o mojej śmierci były przesadzone – skwitował szlachcic.

Korzum wysmarkał się pod własne stopy i strzepnął na mur resztki smarków z palców.

– Zrób to, kochanie – powiedziała Margot i pocałowała Trishię w usta. –Zaufaj mi.

Kapłanka skinęła głową i na moment przywarła całym ciałem do Margot. Potem stanęła przed płytami.

– Kobieta, mężczyzna, Inkwizytor, miecz – rzekła mocnym głosem. – Czy tak?

– Tak – odparł Severin i dał znak wszystkim, by wczołgali się z powrotem w niskie przejście i cofnęli do tunelu.

Nie widzieli i nie mogli zobaczyć, co działo się w pomieszczeniu, w którym pozostała kapłanka. Mogli dostrzec tylko czerwony poblask, pojawiający się w prześwicie. I nic nawet nie słyszeli. Poza głosem Trishii, która w pewnym momencie bardzo głośno i bardzo spokojnie powiedziała:

– Ściana... Odsunęła się...

– Mam nadzieję, że wierzycie teraz, iż zarobiłem na swój udział – rzekł Severin. – A wiedzcie, że z całą pewnością to jeszcze nie wszystkie niespodzianki, jakie nas czekają.

* * *

Stali przed ogromnymi, kutymi w żelazie wrotami, których skrzydła pokryto precyzyjnymi rytami. Artysta przedstawił na nich sceny tak wyrafinowanych seksualnych orgii, że to, co widzieli wcześniej w świątyni Świętej Sekstyny, mogło się wydawać jedynie niewinnymi igraszkami. Ale na drzwiach było coś jeszcze. Coś, co najwyraźniej dodano znacznie później. Otóż po przekątnych, od górnych rogów do dolnych przechodziły srebrne sztaby grubości palca. Krzyżowały się pośrodku drzwi, gdzie łączyło je coś w rodzaju plomby. Severin pochylił się nad tą plombą.

– To runy – rzekł. – Nie znam ich. – Ostatnie słowa wypowiedział ze zdziwieniem.

Faktycznie, nie tylko nie poznawał znaczenia wyrytych w srebrze run, ale nie mógł

skojarzyć, kto mógł używać podobnego pisma. Bowiem nie wyglądało ono ani na żaden starożytny alfabet, ani na znaki żadnej ze znanych mu gildii.

– Srebro chroni przed siłą nieczystą – mruknął Małykuśka.

Severin pokiwał głową. To by się zgadzało. Ktoś zabezpieczył wrota srebrem i wyrył

runy, mające zapewne magiczną moc. Ale czy blokadę ustawiono, by nie wpuścić do środka niechcianych przybyszów, czy też by kogoś... nie wypuścić na zewnątrz?

– Dobra, rozwalajmy ten tam... – rzekł Korzum.

– Zaraz. – Powstrzymał go Severin. – Dajcie mi pomyśleć.

– A nad czym tu myśleć? – zapytał Otton. – Przez drzwi się nie przebijemy, ale skujemy kamień wokół nich i padną.

– Na pewno wzmocniono je sztabami – odparł machinalnie Severin, ale zastanawiał się nad czymś zupełnie innym.

Severin nie był głupcem i nie wyśmiewał się z magicznych mocy, jak zwykle to czynić wielu ludzi nazywających siebie oświeconymi oraz nowoczesnymi. Wystarczyło przecież przyjrzeć się umiejętnościom czarodziejek z Jasnego Klasztoru, by dojść do wniosku, że magia nie tylko nie umarła, ale miewa się całkiem nieźle. Inna sprawa, że czarodziejki niechętnie przed kimkolwiek prezentowały swe zdolności, a ich świątynia w Alehandrii była niewielka, skromna i niemal zawsze pusta. Ale szlachcic wystarczająco długo żył na świecie, by wiedzieć, że blichtr, przepych oraz dumne pokrzykiwania nie świadczą o prawdziwej potędze, gdyż ta nader często rodzi się w pełnej skupienia ciszy. Severin czytał, oczywiście, księgi dotyczące Pogromu czy też Czasu Oczyszczenia, jak nazywano wojnę z potężnymi czarnoksiężnikami, która to wojna zakończyła się przed wieloma, wieloma setkami lat. Znał

też legendy, mówiące o tym, że część nekromantów schroniła się w niedostępnych miejscach i pogrążyła w zaklętym letargu, czekając lepszych czasów. Słyszał również opowieści o miejscach wypełnionych złowrogą mocą, które zapieczętowano magicznymi runami i pogrzebano. Czyżby znajdowali się właśnie w przedsionku jednego z tych miejsc?

– Zaczekajcie – powiedział, wiedząc jednocześnie, że nie będzie w stanie wytłumaczyć swym towarzyszom, dlaczego mają rezygnować z ukrytego za wrotami skarbu. Dla obłąkanych bają? Dobrze będzie, jeśli tylko go wyśmieją.

– Zaczekajcie? – Otton spojrzał mu prosto w twarz. – Zaczekajcie na co?

– Tu może być pułapka. – Przełknął ślinę Severin. – Te runy... Nie znam ich, ale kto wie, czy nie ostrzegają przed czymś, co kryje się w drzwiach lub za drzwiami.

– A może tylko mówią „witajcie” albo „powiedz przyjacielu i wejdz”? – Zarechotał

Korzum, a Josip i Małykuśka głośno mu zawtórowali. Josip nawet klepnął dłońmi po udach.

Jednak Otton się nie roześmiał i nadal uważnie przypatrywał się szlachcicowi.

– Czego się boisz, Severinie? – spytał w końcu otwarcie.

Severin ostrożnie podszedł do wrót, a potem równie ostrożnie położył dłonie na żelaznej płycie oznaczonej rytami. Poczul w palcach mrowienie. Metal był ciepły. Nie parzył, ale miło grzał skórę. To nie było naturalne. Szlachcic cofnął ręce i odwrócił się. Jego towarzysze stali w bezpiecznej odległości i uważnie przypatrywali się, co robi. Margot trzymała się, jak zwykle, tuż obok Trishii i Severin nagle z całą wyrazistością dostrzegł, jak piękne są obie kobiety. Wysmukła Margot o hardej buzi oraz zdających się płonąć włosach i jasnowłosa, blada Trishia o oczach wyciętych na kształt migdałów i piersiach śmiało rysujących się pod białą szatą. Pomyślał, że mógłby zderzyć z niej te kapłańskie suknie i zniewolić delikatne, jasne ciało, zmusić ją do krzyku rozpaczliwej rozkoszy i błagalnego skomlenia, by robił jej to jeszcze i jeszcze... By robił jej to przez cały czas...

Severin zamknął oczy i wbił paznokcie tak mocno we wnętrza dłoni, aż poczuł, że ból go orzeźwia.

– Nie wejdę tam – powiedział cicho i czuł tylko, jak serce łomocze mu w piersiach, tak jakby chciało wyłamać klatkę żeber.

– Nie wejdiesz tam – powtórzył spokojnie Otton. – Po prostu nie wejdiesz, tak? W

takim razie my cię po prostu zabijemy, drogi Severinie. Bo skoro nie chcesz wypełniać swoich obowiązków, nie jesteś nam już dłużej potrzebny.

– Nie wyjdziecie beze mnie – wymamrotał szlachcic i oparł się plecami o ścianę. – Sami nie dacie rady. Ostatnie drzwi są pułapką, która was zabije...

– Zaryzykujemy. – Nóż pojawił się w ręku Korzuma tak szybko, że nikt nie zdołał

zobaczyć tego ruchu. Nikt oprócz Margot. Naostrzona gwiazdka wyprysnęła z jej palców i wbiła się w nadgarstek Korzuma. Ten wrzasnął. I cały czas wrzeszczał, klęcząc na ziemi i trzymając się za zranioną rękę.

– Dzwka! Suka! Zabiję cię, ty kurwo...

Słuchali potoku przekleństw i wyzwisk, wylewających się z jego ust niczym z kloaki, po czym Otton pochylił się nad nim i podał mu kawałek lnianej materii.

– Zatamaj krew i zamknij się – warknął.

Podniósł z ziemi gwiazdkę, którą Korzum wcześniej wyszarpnął sobie z rany, i odrzucił

ją łagodnym ruchem w stronę Margot. Gwiazdka zatoczyła wysoki łuk i wpadła prosto w palce dziewczyny.

– Nie rób tego więcej – przykazał Otton beznamiętnym tonem. – Pozabijać się nawzajem możemy, jak już stąd wyjdziemy. Ale nie wcześniej.

– Pan poeta – zakpił Małykuśka, ale Otton spojrzał na niego, nie rozumiejąc. Małykuśka tylko wzruszył ramionami.

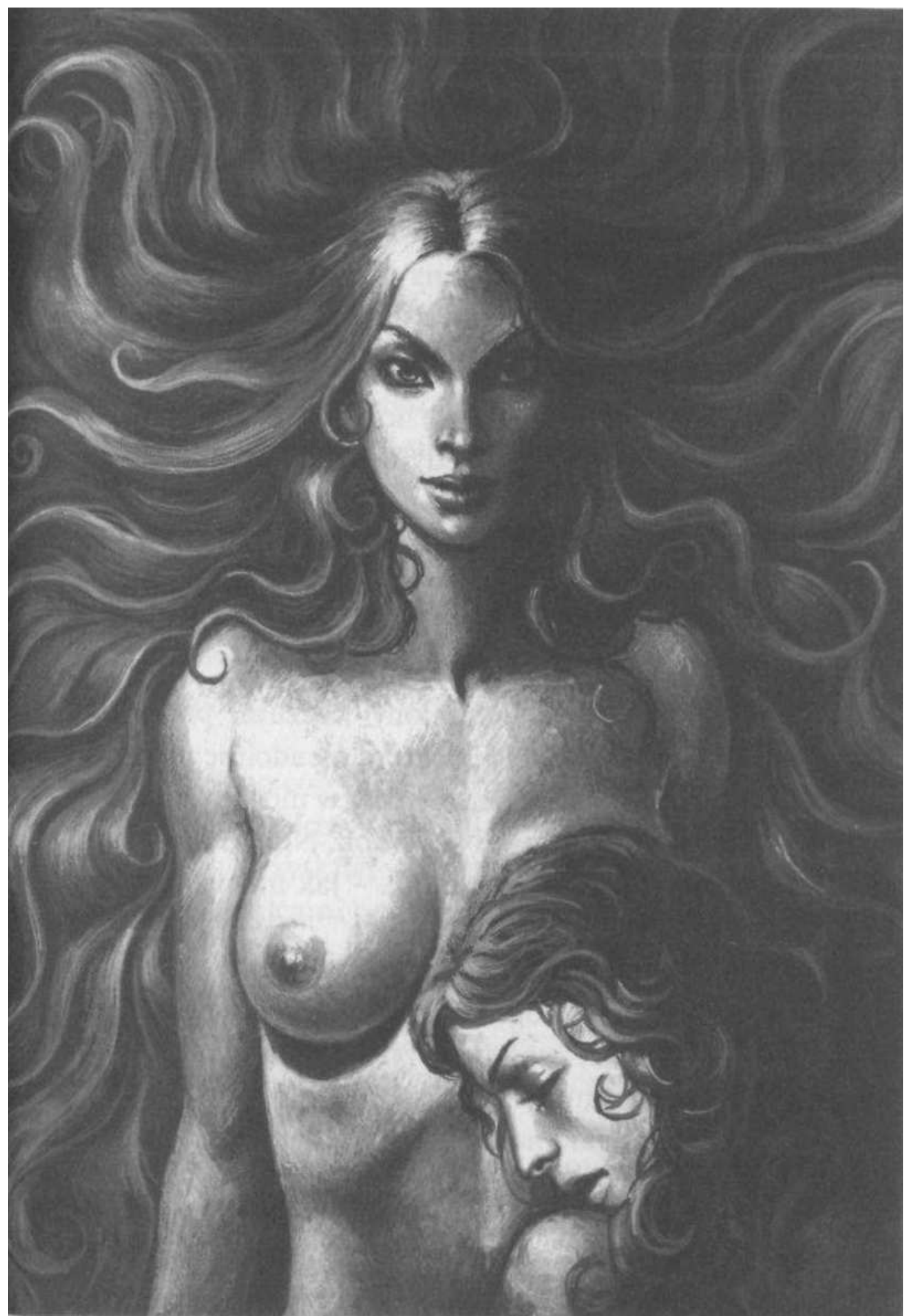
– Jak oni otwierali te drzwi? – spytał Josip. – Ani rygla, ani zamka... Musi być coś gdzieś... – Zaczął się pilnie przypatrywać ścianom.

– No właśnie, Severinie – podjął uprzejmym tonem Otton. – Jak oni otwierali te drzwi?

Wytłumacz nam, z łaski swojej.

– Nie otwierali – rzekł szlachcic. – Zostały zamknięte od środka, a potem nałożono na nie srebrne pieczęcie, aby ten, kto pozostał w komnacie, nie mógł się już z niej wydostać.

- Zaraz, zaraz, zaraz – powiedział szybko Josip. – że niby tam jest jakiś potwór, kurważesz?
- Nawet jak był, dawno zdechł. – Zaśmiał się Otton. – Przecież tu nie było nikogo od dobrych kilkuset lat.
- Są takie stwory ciemności, których nie pokona czas, a jedynie gorejący miecz Aniołów Pańskich – wyrzekł z namaszczeniem Małykuśka.
- Jasssne. – Skrzywił się Otton. – To zawołaj jednego z nich, niech zrobi szacher-macher tym mieczem, a potem wchodzimy.



– Kpij sobie, kpij – burknął Małykuśka. – Ale kiedy gniewu dzień zadnieje, runą w popiół czas i dzieje...

Otton westchnął, a Margot roześmiała się w głos. Małykuśka najwyraźniej wpadł w nastrój religijnej euforii, co zdarzało mu się rzadko, ale za to było całkiem zabawne.

– Śmiej się, wszeteczniczo – zawrzęsnał Małykuśka. Początkowy bas załamał mu się i przeszedł w pisk. – Myślisz, że Pan Na Wysokości nie widzi, jak łajdaczysz się z tą małą kurewką?, że nie liczy twych grzechów, by plunąć ci nimi w twarz, kiedy będziesz już stała przed Niebieskim Tronem?

– Skoro nie ma nic lepszego do roboty, niż mi się przyglądać, musi być wielce znudzonym bogiem – zakpiła Margot i uspokajająco ścisnęła palce Trishii. Kapłanka przyłgnęła do jej ramienia.

– One? – zapytał zdumiony Korzum, podnosząc wzrok znad poranionej ręki, którą nieudolnie próbował zabandażować. – One razem? Żesz w mordę, ty...

– Severinie – odezwał się Otton. Niby cicho, ale takim tonem, że wszyscy umilkli. – Jak mamy otworzyć te drzwi?

– Powinniśmy odejść – rzekł szlachcic i spojrzał w idącą do góry odnogę korytarza. –

Przeprowadzę was do samych wrót, prowadzących w dolinę rzeki. Wyjdziemy bezpiecznie, tak jak...

– Severinie, jak mamy otworzyć te drzwi? – zapytał Otton jeszcze łagodniej niż poprzednio.

Severin westchnął i przymknął oczy.

– Nie wiem – powiedział cichym, zmęczonym głosem. – Ale nie dotykajcie ich...

– Ty ich jednak dotknąłeś, prawda?

Szlachcic uderzył potylicą w kamienny mur. Raz, drugi i trzeci. Cały czas z zamkniętymi oczami. Reszta grupy przyglądała mu się w zdumieniu, a Korzum rozdziawił usta, jakby nie wiedział, czy powinien zacząć się śmiać.

– Dotknąłem – przyznał Severin, a jego głos zdawał się dochodzić z jakiejś dali. Albo z pustej komnaty, w której przebywał, nie widząc już nikogo. – I dlatego mówię: nie ruszajcie żelaza.

Osunął się powoli i usiadł przy ścianie. Tak jakby był bardzo znużony.

– Nie dotykajcie drzwi – powtórzył.

– Nie dotykajcie drzwi, nie dotykajcie drzwi – zanucił prześmiewczo Korzum. – Chuja tam wiesz, jebany ty... A se dotknę, bo co...

– Nawet ty nie będziesz takim idiotą – rzekł Severin.

– Nie? A bo co?

– Korzum! – krzyknął Otton, ale było za późno.

Korzum przytknął obie dłonie do żelaznych wrót i przejechał palcami po rytach.

– No i co, no i co? – spytał. – Ciepło tylko i nic poza...

Zaczął się kołysać z palcami przyciśniętymi do metalu. Wpatrzył się w Margot, a jego oczy stawały się coraz bardziej nieprzytomne.

– Jebać cię będę, ty kurwo – powiedział chrapliwie. – Na kolanka i chodź do tatusia...

Margot spłoszonym wzrokiem zerknęła w stronę Ottona. Ale Otton sam nie wiedział, co się dzieje.

– Chodź, maleńka, zassiesz jaszczura – rzekł Korzum z przebiegłym uśmiechem i rozpiął pas. Wyciągnął na wierzch sterczącego, nabrzmiałego, czerwonogłowego kutasa. –

Jak ja cię wyrucham... – obiecał.

Gwiazdki z rękawów Margot wyfrunęły niczym jaskółki z gniazda. Pierwsza wbiła się w czoło chłopaka, druga trafiła prosto w nabrzmiałą żołądź. Korzum zacharczał i zwałił się na posadzkę. Gasnącym wzrokiem spojrzał na Ottona.

– Nie tak miało być... – wyszeptał oskarżycielskim tonem.

Wyrwał gwiazdkę, która utkwiała mu w czaszce, a potem sięgnął po tę, która niemal rozdwoiła jego penisa.

– Zaraz cię będę dymał, sssuko... – wyjęczał, czołgając się w stronę Margot i znacząc posadzkę śladami krwi.

Dwie kolejne gwiazdki błysnęły w palcach złodziejki. Obie wdarły się w szyję Korzuma i wypuściły z niej fontanny posoki. Chłopak zacharczał.

– Miało być tak pięknie – szepnął, wpatrzony gdzieś nad głową Margot.

A potem zatrzepotał dłońmi i skonał.

– Co to, kurwa, ma być? – zapytał po długiej, długiej chwili Josip Nochal.

– Mówiłem, żeby nie dotykać żelaza – rzekł Severin, wstając.

– Fakt, mówiłeś – przyznał Otton, a Margot w jego spojrzeniu dostrzegła czystą nienawiść.

– *Siedem króliczków na łące mieszkało,*

Lecz braku marchewek nie mogły znieść.

Chwilkę nad życiem swym podumały,

A potem było ich tylko sześć – powiedział Josip.

– Boże, ulituj się nad jego nieczystą duszą i poprowadź przez czyścicową mękę płomieni ku swej wiekuiestej chwale – wyrecytował Małykuśka, padając na kolana.

– A żesz, wypierdalaj, ty pojebie! – Otton wyładował gniew na Małymkuśce i kopnął go tak mocno, że stary złodziej odtoczył się pod ścianę.

Małykuśka zwinął się pod murem, ale zręcznie sięgnął do cholewy buta po nóż.

Gwiazdka znowu błysnęła w dłoni Margot i Małykuśka oberwał prosto między oczy. Upadł, rąbiąc czołem w kamienie tak, że ostrza wbiły się do samego końca.

– Sześć króliczków żarło marchewki,

Lecz każdy chciał więcej ich mieć.

Chwilkę nad życiem swym podumały,

A potem było ich tylko pięć – zanucił Josip i zbliżył się do jęczącego Małegokuśki.

Chwycił go za włosy i poderżnął mu gardło. Struga czerwieni z rozszarpanych żył trysnęła wokoło.

– I została czwórka do podziału – powiedział, podnosząc się i ocierając dłonie z krwi. –

Zresztą i tak by z niego nic nie było. Oszczędziłem mu tylko cierpienia.

– Piątka – odparła spokojnie Margot. – Trishia jest z nami, nie pamiętasz?

– Co żesz... – zaczął Otton, a potem spojrzał na kapłankę, tulącą się do ramienia Margot. –

Dobra – dokończył wolniej. – Jest z nami, ale z twojej puli, kotku.

– Założymy się? – Margot uśmiechnęła się najbardziej wrednym i najbardziej suchym uśmiechem, na jaki mogła się zdobyć.

– Ja nic nie chcę, proszę cię, Mag, ja nic nie chcę – wychlipała kapłanka.

– Zamknij się – powiedziała czule Margot i pocałowała ją prosto w mokre usta.

– Jeszcze nie weszliśmy go grobowców, a już dwa króliczki wpadły do lisiej nory –

mruknął Severin. – Domyślałem się, że tak będzie, ale nie wiedziałem, że zacnie się tak wcześnie. Bądźcie jednak na tyle uprzejmi i nie wpadnijcie na pomysł, aby mnie zabijać przed dojściem do

brzegu rzeki. Bo sami, moi drodzy, nigdy nie opuścili tych lochów.

– Och, zamknij się – powtórzyła Margot. – Nikt nikogo nie będzie zabijał.

– Taaak? – Severin skrzywił usta. – I kto to mówi, lisiczko? Po jaką cholere załatwiłaś tego nieszczęsnego cudaka? – Czubkiem buta wskazał nieruchome ciało Małegokuški.

Złodziejka wzruszyła tylko ramionami. Sama nie wiedziała, czemu zareagowała tak nerwowo. Przecież Otton bez trudu wytrąciłby nóż Małemuksce i, faktycznie, nie trzeba było go zabijać. Lecz z drugiej strony patrząc, i tak miała wymordować ich wszystkich, więc cóż miało za znaczenie, kiedy zaczęła?

– Lepiej powiedz nam, jak otworzyć te drzwi – sapnęła z rozdrażnieniem.

– No cóż – odparł Severin po chwili. – Otton, Josip, skujcie ściany. Spróbujemy je obruszać. Ale...

– Tak, tak, nie dotykajcie żelaza – burknął Otton. – Wiem. I nie zamierzam dotykać niczego poza oskardem.

Z zapalem zabrali się za rozwalanie muru, a co dziwne, kamienie zdawały się stawiać mniejszy opór niż łącząca je zaprawa.

– Patrzcie, patrzcie – powiedział Severin. – Nikt nie potrafi już dzisiaj zrobić takiej zaprawy, jak dawni murarze.

– Zamiast podziwiać, jaka jest twarda, zabrałbyś się do roboty. – Otton obrócił się w stronę szlachcica. Miał spoconą i czerwoną twarz, nie wiadomo, bardziej z wysiłku, czy bardziej z gniewu.

– Ani myślę – odparł spokojnie Severin.

Czas dłużył im się w nieskończoność, a mur stawiał opór ostrzom oskardów. Coraz częściej Josip i Otton musieli odpoczywać, a w dodatku skończyły im się zapasy wody i nie mieli nawet czym zwilżyć ust. Otton zdjął rękawice i przyjrzał się startym niemal do żywego mięsa wnętrzom dłoni. Potem zacisnął zęby i zabrał się z powrotem do pracy. Tak jak podejrzewał Severin, wrota zostały wzmocnione wpuszczonymi w mur, żelaznymi sztabami, więc musieli skuć kamienie wokół, aby przeszkoda w końcu padła.

– Gra-tu-la-cje! – Szlachcic zaklaskał samymi palcami, a Margot zaczęła się zastanawiać, czy aby nie zależy mu na wywołaniu kolejnej bójki. Cóż, po niej zapewne zostałyby jeszcze mniej króliczków...

Ale Otton tym razem nie dał się sprowokować. Przez chwilę przypatrywał się leżącym wśród gruzu wrotom, a potem ciężkim krokiem odszedł pod ścianę. Usiadł i oparł się plecami o kamienie. Josip po chwili do niego dołączył i odpoczywali tak przez dłuższy czas.

– No, koniec tego dobrego – zarządził w końcu Severin. – Czas zobaczyć, co stąd wyniesiemy.

– Ano czas – przytaknął Otton i podniósł się ociężale z miejsca.

– Panowie? – Szlachcic zapraszającym gestem wskazał w ciemność za rozbitym murem.

– To już należy do ciebie – rzekł Otton. – Idziesz pierwszy, my za tobą.

– Niech i tak będzie. – Severin skinął głową, jakby pogodzony z faktem, że jednak zmuszą go, by przekroczył próg.

Stawiał ostrożnie kroki, tak by podeszwy butów nie zetknęły się z powalonymi wrotami.

Przeskoczył zręcznie na drugą stronę. Widzieli, jak omiata pochodnią wewnątrz, a kiedy zawołał, poszli w jego ślady. Najwyraźniej znaleźli się w niewielkiej komnacie grobowej.

Kamienny grobowiec stał pod północną ścianą, a nad kamienną płytą wznosił się naturalnej wysokości posąg nagiej kobiety, wyrzeźbiony w lśniącym, białym kamieniu. Kobieta miała pełne piersi, włosy spływające niemal do pasa i przymknięte oczy. Zdawała się drzemać, a jej ciało zostało wyrzeźbione tak precyzyjnie, iż mogło się wydawać, że zaraz z tej drzemki się wybudzi. Mięśnie poruszają się pod jasną skórą, w żyłach zacznie pulsować krew, a powieki się uchylą. Ciekawe, jakiego koloru ma oczy? – zapytała samą siebie Margot. Miała – poprawiła się po chwili.

Ale, co wszystkich zaniepokoiło, w komnacie nie było nic poza grobowcem oraz posągiem. Żadnych złotych naczyń, kosztowności czy biżuterii. Tylko nagie, kamienne ściany.

– Trzeba otworzyć grobowiec – powiedział Josip, przyglądając się kamiennej trumnie.–

Tylko, że tu nie ma miejsca złączenia.

Margot pochyliła się z pochodnią w dłoni. Faktycznie. Grobowce były zwykle niczym innym jak skrzyniami nakrytymi wiekiem, tutaj kamień tworzył jedną całość.

– Skujemy – westchnęła. – Tylko ostrożnie, bo może w środku jest coś cennego.

– A jeśli nie ma? – Otton szarpnął ją tak silnie za ramię, że o mało nie upadła. – Gdzie te skarby, o których tyle opowiadałaś? – Margot poznała, że jej towarzysz jest wściekły jak nigdy dotąd.

– I co z tego, że nie ma skarbów? – zapytała cichym, uspokajającym głosem. – Człowiek, który nam zlecił zadanie, zapłaci czy tak, czy tak – dodała, ale wcale nie była pewna własnych słów.

– Za co zapłaci? – warknął Otton. – Za to, że wykuję na tych kamieniach napis „Tu byłem. Otton”?!

– Pewnie za to, co jest w grobowcu. Powiedział: „zabierzcie wszystko, co znajdziecie”.

– Może tak, może nie. – Oczy Ottona nadal wpatrywały się w nią, jak oczy węża zapatrzone w królika. – Módl się, suko, żeby było tam coś poza starymi kośćmi.

– A może tu jest tajne przejście? – Machnął pochodnią Josip. – Gdzieś... w ścianach...

– Nie ma – odparł Severin. – A w każdym razie nie ma na mapach.

Otton i Josip znowu podnieśli oskardy. Otton zamachnął się, ale nie uderzył w płytę grobowca. Okręcił się na pięcie i wypuścił uderzenie prosto w ramię Margot. Nie ostrzem, lecz obuchem, ale to wystarczyło, by zwalić dziewczynę z nóg. Josip Nochal z sapnięciem wylądował jej kolanami na piersiach. Wrzasnęła, gdyż zdawało się, że cios zgruchotał jej żebra. Obróciła głowę i zobaczyła, że Severin przygląda się wszystkiemu bez emocji, a przerażona Trishia cofnęła się pod ścianę.

– Spokojnie, suko – wysyczał Otton. – Jeszcze cię nie zabijemy.

Wyciągnął sznur i związał jej dłonie na plecach oraz owiązał kostki. Obszukał ją, zabrał nóż i gwiazdki i odrzucił znaną broń pod ścianę.

– W ogóle mnie nie zabijecie – powiedziała Margot najspokojniejszym tonem, na jaki mogła się zdobyć. – Bo wtedy nici z wypłaty.

Otton nic nie odpowiedział, tylko chwycił znowu oskard w dłonie i huknął ostrzem w pokrywę grobowca. Josip wypuścił następny cios. To była dużo łatwiejsza praca niż walka z potężnie umocnionym murem prowadzącym do komnaty. Kamień rychło uległ i część pokrywy zapadła się.

– Coś tu błyszczy – wrzasnął Otton i nachylił się nad grobowcem. Sięgnął do trumny dłońmi i nagle wrzasnął. Zachwiał się, odtoczył do tyłu i padł na kamienie, uderzając głową w posadzkę.

– Stara, dobra pułapka – mruknął Severin, patrząc prosto w twarz Ottona, który łapczywie próbował zaczerpnąć tchu. Zbliżył pochodnię, by w jej blasku lepiej widzieć umierającego towarzysza. – Tak myślałem. Wstrząsy rozbiły szklane ampułki z trucizną. Trzeba było odczekać, głupcze, zanim zacząłeś tam grzebać...

– *Pięć króliczków bawiło się świetnie,*

Lecz głód je wygnał z podwórka.

Chwilkę nad życiem swym podumały,

A potem została ich czwórka – wyrecytował Josip Nochal z głupawym uśmiechem na twarzy. Również z jego ostatnimi słowami Otton zarzęził, kopnął w posadzkę obcasami butów i skonał.

– Czy ktoś mógłby nas rozwiązać? – zapytała Margot chłodno, wyraźnie patrząc w stronę Severina.

Szlachcic pokręcił głową.

– Na razie darujmy sobie rozwiązywanie kogokolwiek – odparł uprzejmie, ale stanowczo.

– Jesteś zbyt niebezpieczna, moja droga, by odwracać się do ciebie plecami, kiedy masz wolne ręce...

– Będziesz więc nas związane włókł przez resztę drogi? – Margot pozwoliła sobie, by w jej głosie słyhać było wyraźne szyderstwo.

– Zobaczymy – mruknął Severin.

Zdjął z ramion płaszcz i zaczepił go o ostrze oskarda. Uchwycił trzonek i zamachał materia nad otwartym grobowcem, starając się jednocześnie odchylić jak najdalej głowę.

Margot ujrzała również, że wstrzymał oddech.

– Powinno być już bezpiecznie, ale jeszcze zaczekamy – westchnął.

Trishia podczołgała się w stronę Margot i oparła głowę na jej ramieniu. Złodziejka pocałowała ją w skroń, na której pulsowała prześwitująca przez jasną skórę niebieska żyłka.

– Jakież to wstruszające – rzekł Severin tonem bez wyrazu. – Josip, sprawdź grobowiec – rozkazał.

– A to czemu ja? – warknął Nochal. – Niegłupim...

– Bo jeśli ja umrę, umrzecie wszyscy – przypomniał Severin. – Tyle, że z pragnienia i głodu umiera się ciężiej i dłużej niż od trucizny.

– Dobra – odparł po długiej, długiej chwili Josip Nochal. – Ale jeszcze trochę zaczekajmy.

Kiedy w końcu bardzo ostrożnie zbliżył się do grobowca i zamachał nad nim pochodnią, jego zniekształcona twarz ściągnęła się w grymasie gniewu. Obrócił się gwałtownie.

– Nic – warknął. – Nic, kurwa, nic! Tylko kości.

Severin, widząc, że trucizna już się ulotniła, również podszedł do kamiennej trumny.

Długo wpatrywał się w jej wnętrze.

– Pomyśl, Josip – powiedział łagodnie. – Czy żeby chronić „nic”, budowano by pułapki?

Żelazne drzwi? Zakładano srebrne pieczęcie? Zostawiano flakony z trucizną? Tu coś jest, tylko my nie możemy tego na razie znaleźć. Ale znajdziemy...

– Trza by ściany przepatrzeć – burknął po chwili, nieco uspokojony, Nochal.

Severin nałożył na prawą dłoń rękawicę, wyjął zza pasa sztylet i, przyświecając sobie pochodnią, zaczął gmerać ostrzem w znajdujących się w grobowcu szczątkach.

– Aha – powiedział nagle. – Patrz. – Skinął na Josipa.

Stary złodziej zbliżył się nieufnie.

– Zamek – rzekł w końcu. – No to zaraz się za niego biorę. – W jego głosie pojawił się jeśli nie

entuzjazm, to przynajmniej satysfakcja, iż oto pojawia się coś konkretnego do roboty, coś, na czym on sam zna się najlepiej.

– Człowiek, który nas wynajął, kazał, byśmy zabrali wszystko, co znajdziemy – odezwała się Margot.
– Myślicie, że to dotyczy również kości?

– A po co komu resztki truposza? – roześmiał się Nochal chrapliwie.

– Lepiej zabrać więcej niż mniej – stwierdził Severin. – Zważywszy, że nigdy już tu nie wrócimy.

– Świeć mi porządnie – rozkazał Josip szlachcicowi i pochylił się głęboko z narzędziami w rękach. Niemal całkiem zniknął w grobowcu. – Oj, maluśki, maluśki – wyszeptał śpiewnie, zwracając się zapewne do zamka. – Zaraz cię tu obrzadzimy jak trza.

Margot długą chwilę obserwowała stopy złodzieja bujające się nad posadzką.

– Nie trzęś żesz tą pochodnią! – warknął Nochal, odwracając się do Severina. – Jezzzzd!

– wykrzyknął zaraz potem. – Słodki zameczek do skryteczki.

– Nie sięgaj! – ostrzegł go Severin. – Sam zobaczę.

Josip Nochal posłusznie ustąpił mu miejsca. Z pewnością wspomniał, co stało się z Ottonem, i nie chciał podzielić jego losu. Szlachcic bardzo ostrożnie włożył dłoń do skrytki i po chwili się wyprostował. W palcach trzymał wysmukłą flaszkę z przezroczystego szkła.

Naczynie wypełniono jaskrawo niebieską, opalizującą cieczą. Światło pochodni wydawało się tańczyć w tej cieczy, która zmieniała kolor od chabrowego i fiołkowego, aż po morski i granatowy.

Severin zastygł niczym posąg i wpatrywał się w swą zdobycz pełnym zachwytem i wzrokiem. Margot również nie mogła oderwać spojrzenia od mieniącej się niebieskościami flaszki.

– To wszystko? – powiedziała Trishia, na której znalezisko najwyraźniej nie wywarło wrażenia.

– Daj! – wrzasnął nagle Josip Nochal, a w jego słowach był cały ocean pożądania. – Daj mi to!

Skoczył w stronę Severina i palcami zagiętymi niczym szpony starał się pochwycić buteleczkę. Szlachcic zdołał się cofnąć, ale niewystarczająco szybko i niewystarczająco daleko. Stary złodziej nie wyrwał mu co prawda flaszki z opalizującą cieczą, ale trącił go na tyle mocno, iż naczynie wyfrunęło z dłoni Severina. Ten krzyknął głosem pełnym rozpacz, ale nie mógł już nic zrobić. Butelka zatoczyła wysoki łuk i uderzyła w posąg nagiej kobiety.

Pękła z odgłosem przypominającym dźwięk dzwoneczków, a błyszczący płyn rozlał się po kamieniu. Szlachcic wylądował u stóp posągu, jakby chciał pochwycić chociaż resztkę spływających kropli. Ale tych kropli nie było. Cała ciecz zdawała się w mgnieniu oka wyparować. Chociaż Margot nie mogła powstrzymać się od myśli, że tak naprawdę nie wyparowała, lecz została wchłonięta przez biały kamień. Nagle wydało jej się, że oczy rzeźby zabłysnęły czystym błękitem... Czy była to tylko

złuda, wywołana drżącym światłem pochodni?

– Coś ty zrobił, głupcze?! – zajęczał Severin, nadal leżąc na posadzce i wpatrując się w posąg kobiety.

Josip Nochal stał przez chwilę z otwartymi ustami, a potem bezradnie spojrzął na swe puste dłonie.

– Nmmnie wiem – wyjąkał.

Blask pochodni przybrał zaskakującą barwę. Wydawało się, że nie migocze teraz pomarańczowo i żółto, lecz różnymi odcieniami błękitu. Co dziwne, posąg w tym świetle zdawał się nabierać żywszych kolorów, tak jakby nie był uczyniony z białego kamienia, lecz z kremowo jasnego ciała. Nawet pod powierzchnią pojawiło się coś na kształt błękitnych żyłek.

– Idioto! – chciał wrzasnąć Severin, ale wrzask zamarł mu na ustach.

Bowiem w tym samym niemal momencie, kiedy otwierał usta, rzeźba eksplodowała oślepiającym, błękitnym światłem. Kiedy Margot i jej towarzysze zdołali otworzyć oczy, zobaczyli, że na postumencie nie ma już posągu. Ale za to obok grobowca stoi olśniewająco piękna, naga kobieta, otulona długimi, złotymi włosami niczym prześwitującą, migoczącą szatą.

– Och... – rzekła głosem, przypominającym poranne słońce, sączące się przez ciężkie, aksamitne kotary. – Jestem...

Przeciągnęła dłońmi po ramionach, piersiach oraz udach, a na jej twarzy pojawił się uśmiech. Margot zobaczyła ten uśmiech i zatoneła w nim. Kobieta w tej samej chwili odwróciła twarz w stronę dziewczyny. Jej oczy zdawały się tak niebieskie jak bezchmurne niebo nad spokojnym morzem. Zbliżyła się do złodziejki, a ta już wcześniej poczuła zapach bijący od nagiego ciała. Zapach kadzideł, cytrusowych olejków i... pożądania. Kobieta dotknęła palcami więzów Margot i przesunęła po nich paznokciami. Sznury opadły niczym przecięte dobrze wyostrzoną brzytwą.

– Rozbierz się – szepnęła, a w tym szepcie było tyle rozkazu i tyle obietnicy, że Margot mogła jedynie pospiesznie zacząć zdzierać z siebie ubranie.

Długą, bardzo, bardzo długą chwilę potem leżała na kamiennej posadzce, naga, zdyszana i mokra od potu. Jak przez mgłę widziała, że Josip Nochal przygląda się jej zdumionym i przerażonym wzrokiem z kąta, w którym przycupnął. Natomiast Severin stał z obnażonym sztyletem w dłoniach i czekał, co wydarzy się dalej.

– Jakąż tym masz moc, Margot. Jak wiele siły możesz mi dać... – westchnęła naga kobieta, po raz ostatni głaszcząc uda i piersi złodziejki.

Wydawała się jeszcze piękniejsza niż przedtem, a wokół niej powietrze drgało niczym ogrzewane płomieniami. Margot wpatrzyła się w jej fiołkowe oczy i mogła marzyć już tylko o tym, by niezwykła kochanka znów zaczęła jej dotykać. Nawet pamięć ostatniego dotyku jej palców na skórze budziła dreszcz pożądania.

Poczuła na ramieniu dłoń Trishii i cofnęła się, jakby jej skóry dotknął zimny nos szczura.

Albo włochate odnóża pająka. Kapłanka musiała zauważyć obrzydzenie na twarzy złodziejki, gdyż skuliła się i za chwilę słychać było tylko jej rozpaczliwy szloch. Zrozumiała, że Margot... odeszła. Odeszła od niej.

– Kim jesteś? – odezwał się Severin głucho.

Nieoczekiwane, magiczne pojawienie się kobiety, jak i to, co zrobiły wspólnie z Margot, musiały mocno nim wstrząsnąć. Palce lewej dłoni zacisnął tak mocno na ostrzu, że na opuszkach pojawiły się krople krwi.

– Kim jestem, kim byłam, kim będę – powiedziała z zamyśleniem kobieta. – Płaszcz, Severinie – dodała.

W jej głosie nie było rozkazującego tonu, lecz szlachcic mimo to zbliżył się posłusznie, zdjął płaszcz z własnych ramion i zarzucił go na ramiona kobiety. Wszystkie ruchy wykonywał tak, jakby zmuszała go do nich siła kierująca jego ciałem, lecz nie pochodząca z jego własnego umysłu.

– Dziękuję – odparła. – I schowaj broń, jeśli łaska.

Severin, nadal bez słowa, włożył sztylet do pochwy przy pasie. Dopiero wtedy odetchnął

głęboko, jakby puściło jakieś ogromne imadło trzymające w uścisku jego płuca. Na twarzy jednak zastygł mu wyraz niedowierzania zmieszanego z lękiem. Margot obserwowała tę scenę tylko w części świadomości, gdyż jej myśli ciągle krążyły wokół niezwyklej kochanki, która dała jej nie tylko niewyobrażalną wręcz rozkosz, lecz również pozostawiła z pragnieniem, by rozkosz trwała cały czas i nigdy się nie kończyła. Jednak ta część jej umysłu, która pozostawała przytomna, nie mogła nie odczuć zadowolenia z wyraźnie widocznego strachu Severina.

– Kim jesteś, pani? – zapytała.

Kobieta spojrzała na nią i Margot poczuła obezwładniającą słodycz i nie dające się ugasić pragnienie.

– Możecie mnie nazywać Lilith – powiedziała i spojrzała w stronę Trishii, gdyż musiała zobaczyć jej zdumiony wzrok. – Nie jestem, co prawda, twoją boginią, mała kapłanko, ale jej wizerunek wymyślono, pamiętając o moich uczynkach. Bo my jesteśmy starsi niż większość waszych śmiesznych bogów... Czasami nazywają mnie też Panią Błękitów. – Jej oczy przypominały teraz oświetlone słońcem ametysty. – I pewnie sami już wiecie, dlaczego.

– My? My jesteśmy starsi? – spytał cicho Severin, powtarzając jej słowa. Lilith obróciła spojrzenie w jego stronę.

– My, których zabijano, palono i krzyżowano. Których mordowano czarami, ogniem oraz żelazem. – Głos kobiety spotężniał i nabrał metalicznej, złowrogiej barwy. Wydawała się w tym momencie być otulona nie tylko ciemnym płaszczem, ale również gęstniejącym z każdą chwilą cieniem. – Których

ściągano bez krzyny litości. Niektórzy, na szczęście, znaleźli bezpieczne schronienie.

– Wiedźma z legend – wyszeptał przerażony Josip Nochal.

– Nie lubię słowa „wiedźma”. – Zaśmiała się Lilith, a cień zniknął w jednej chwili.

Znowu stała przed nimi tylko piękna kobieta o posągowych kształtach, jasnych, puszystych włosach i oczach niczym wiosenne niebo. – Choć nie gniewam się, kiedy ktoś go używa.

Zresztą teraz... – Uniosła ramiona, a poły płaszcza rozchyliły się, ukazując pełne piersi o różowych, nabrzmiałych sutkach. Na jednej było nawet widać ślad po zębach Margot. – Teraz nie mogę się gniewać na nic i na nikogo. Zwłaszcza na was, którzy wydobyliście mnie z lodowatej pustki...

– Co chcesz, byśmy uczynili? – Severin mówił spokojnie, ale Margot wyczuwała wibrujące w nim zaniepokojenie.

– Już niemal nic – odparła Lilith. – Otrzymałam tyle sił, że nigdy się nie spodziewałam...

– Uśmiechnęła się do złodziejki. – Wystarczy, że wyprowadzicie mnie stąd... Bo ufam, że znacie drogę? Oczywiście ona – spojrzenie fiołkowych oczu znowu spoczęło na Margot –

zostanie ze mną.

Dziewczyna poczuła zalewającą ją falę szczęścia. Czowała, że serce tłucze się w jej piersiach jak oszalałe.

– Jeśli jesteś wiedźmą, znasz magię – rzekł szlachcic prawie napastliwie. – Więc może ty nas wyprowadzisz?

– Nie, Severinie – odpowiedziała bez gniewu. – Moja magia nie służy rozbijaniu murów, odnajdywaniu dróg czy kopaniu tuneli. Nie potrafię również wzniecać płomieni, chyba, że są to płomienie rozgrzewające ludzkie ciała, serca oraz umysły. Pomóż mi, a otrzymasz stosowną nagrodę...

– Zgoda – rzekł mężczyzna po chwili namysłu. – Niech i tak będzie. Droga nie jest już długa.

I faktycznie, droga nie była już ani długa, ani uciążliwa, a na drodze, tym razem, nie czyhały na złodziei żadne pułapki.

– Posłuchajcie uważnie – odezwał się w pewnym momencie Severin. – Wyjście z tych lochów wygląda następująco: najpierw należy otworzyć żelazne drzwi, jak je opisuje mapa,

„niezwykle ściśle przylegające do muru”. To tak naprawdę coś w rodzaju śluzy. Potem musimy zamknąć je za sobą. I wtedy czeka nas najtrudniejsze zadanie. Przed nami będą następne wrota śluzy, otwierane tylko od wewnątrz. Tym razem łączą się one z rzeką na wysokości mniej więcej piętnastu stóp pod powierzchnią wody. Aby przejść bezpiecznie, musimy poczekać, aż woda zaleje cały korytarz. Wtedy wypłyniemy na powierzchnię. Być może wypłyniemy – dodał.

– Nie mogliśmy od razu wejść tamtędy? – warknął Nochal. – Zamiast wdzierać się do świątyni i błądzić po labiryntach?

– Głupcze! – odburknął Severin. – A jak chciałbyś skuć żelazne wrota piętnaście stóp pod wodą? A gdybyśmy już jednak weszli, to przecież rzeka wlałaby się w korytarze! Jak sądzisz, co z nas by zostało?

Josip wzruszył ramionami i Margot była pewna, że nie rozumiał wyjaśnień szlachcica.

Ale przynajmniej już się nie odezwał.

Korytarz wyraźnie się zwężił, a również sufit znajdował się coraz niżej. W pewnym momencie tak nisko, że nawet niewysoka Trishia musiała iść mocno przygarbiona. Severin zatrzymał się i przyświecił pochodnią na ściany. Margot dostrzegła ogromne koło z wpisanym pośrodku krzyżem. Przed nimi widniały żelazne drzwi. Nie było w nich ani zamka, ani klamki.

– A jeśli tamte, drugie drzwi zostały zniszczone, a my otworzymy te? – Josip stuknął knykciami w żelazo. – Co się wtedy z nami stanie?

– Wtedy zginiemy – odparł spokojnie Severin, a Margot zdziwiła się, nie tyle jego spokojem, ile tym, że Nochal jednak od początku rozumiał zawile wyjaśnienia szlachcica.

Obaj zabrali się za żelazne koło i na początku wydawało się, iż nie będą w stanie nawet go ruszyć. Stękali i klęli, aż w końcu zniecierpliwiona Lilith tupnęła bosą stopą.

– Mężczyźni są tak śmiertelnie nudni – powiedziała. – Niczego nie potrafią porządnie zrobić. – Chwyciła Margot za włosy i przyciągnęła jej głowę do swej piersi. Wciągnęła z sykiem powietrze, kiedy dziewczyna zaczęła z zapalem ssać naprężony sutek.

Ale Severinowi i Josipowi wreszcie się udało, chociaż szlachcic zaczął już się zastanawiać, czy nie przyjdzie im wracać tą samą drogą, którą przyszli. Koło wyraźnie drgnęło, a w ścianach usłyszeli przeraźliwe zgrzytanie. Jeszcze chwila i drzwi wyraźnie się uniosły. Między ich dolną krawędzią a kamiennym podłożem pojawiła się szpara. I na szczęście, nie zaczęła się przez nią wlewać woda. Obaj niemal zawiśli na kole, ale wrota unosiły się, nie dość, że z potwornym zgrzytaniem, to w dodatku bardzo niechętnie.

– Wystarczy – rozkazał zadyszany szlachcic. – Przeczolgamy się przez szparę. Bo jeśli łańcuchy pękną, to już po nas. Wy czekajcie, póki nie sprawdzimy, czy drugie drzwi nadają się do użytku.

Z trudem przepęłzli w ciemność, a potem Margot zobaczyła tylko dwie dłonie, które wyciągnęły się po pozostawione na kamieniach pochodnie.

– Wszystko dobrze. – Ich uszu doszedł po chwili zduszony głos Severina. – Margot, Trishia, przejdźcie na drugą stronę. Potem pomożecie wciągnąć panią Lilith.

Margot spojrzała pytającą w stronę wiedźmy, niepewna, czy ma posłuchać polecenia.

Lilith skinęła jednak głową. Jej oczy były tak granatowe, że prawie czarne.

Kiedy obie dziewczyny znalazły się już po drugiej stronie, Severin całym ciężarem ciała rzucił się na koło zamachowe zamykające śluzę. Rozległ się przejmujący zgrzyt, pisk pękających łańcuchów, a potem huk żelaza wbijającego się w kamień. Drzwi się zatrzasnęły.

– Neeee! – wrzasnęła Margot. – Wypuść ją!

Skoczyła w stronę Severina, ale Josip zdołał podstawić jej nogę. Upadła, a wtedy dostała potężne kopnięcie w zębra, które niemal wydusiło jej dech z płuc. Szlachcic pochylił się nad nią.

– Ciesz się, że żyjesz – warknął. – A żyjesz tylko dlatego, żebyś mogła wskazać człowieka, który wrobił nas w to wszystko.

Razem z Josipem związali jej ręce na plecach.

– Utonę – jęknęła, chociaż, tak naprawdę, było jej wszystko jedno. Wiedziała, że nie przeżyje nawet tygodnia bez objęć i pocałunków Lilith. I było jej to zresztą najzupełniej obojętne.

Wydarzenia rozegrały się tak, jak zaplanował je Severin. Woda wdarła się do odgradzonego korytarza, a kiedy wypełniła go od podłogi po sufit, mogli spokojnie wypłynąć na powierzchnię. Cóż, może nie aż tak spokojnie, gdyż niemal na wpół utopioną Trishię wyciągnął Josip Nochal, a Severin ledwo dał sobie radę ze sztywną niczym kłoda i otępiałą na wszystko Margot. Dziewczynę uratował jedynie samozachowawczy instynkt, który kazał jej jednak wciągnąć głęboko powietrze w płuca i nie próbować zaczerpnąć oddechu, zanim nie wyłonili się na powierzchni.

Podpłynęli we czwórkę do brzegu. Josip Nochal złożył wymiotującą i dławiącą się Trishię na ziemi, a Severin rozplątał więzy na przegubach Margot. Złodziejka poddała się temu z całkowitą obojętnością. Potem, kiedy kapłanka doszła już do siebie, przeszli mulistym wybrzeżem na skarpe, wznoszącą się kilka stóp nad ciemnogramatową, głęboką wodą.

– Straciliśmy ich... – Josip Nochal ciężko klapnął na ziemię. – I nic w zamian. A miały być bogactwa, kosztowności, złoto – mówił monotonnym, ale pełnym rozpaczyci głosem.

– Ważne, że my żyjemy – rzekł twardo Severin. – I ważne, że pozbyliśmy się wiedźmy...

– Nie na długo – odezwał się ktoś za jego plecami.

Szlachcic odwrócił się jak oparzony. Lilith stała kilka kroków od niego. Margot podbiegła do wiedźmy z radosnym piskiem i natychmiast przytuliła się do niej całym ciałem.

– Obmyśliłam dla ciebie nagrodę, Severinie – powiedziała Lilith z uśmiechem, na widok którego serce Margot ścisnęło się lękiem. Nie miała już na sobie płaszcz, który musiała zabrać jej woda. Jej pokryte kropelkami ciało błyszczało w różowym świetle zachodzącego słońca, a oczy pociemniały w granat wieczornego nieba. – W zamian za jakże szlachetne dochowanie obietnic. I w zamian za twą nieocenioną pomoc.

Severin przypatrywał się wiedźmie bez słowa i z niemal znudzonym wyrazem twarzy.

Ona tymczasem mówiła dalej:

– Postanowiłam obdarować cię miłością. Pożądaniem. Tęsknotą. Będiesz kochał mnie rozpaczliwą miłością i przeżywał nieznośny ból, kiedy tylko będę dotykać innej osoby. –

Położyła dłoń na piersi złodziejki. – Czyż to nie piękny, wzruszający dar? Godny upamiętnienia w pieśni?

Uniosła drugą dłoń, jakby szykując się do rzucenia zaklęcia, ale Severin był szybszy.

Zachował jeszcze ostatnie resztki wolnej woli, nie dał się całkowicie zawładnąć głosowi Lilith. Wyrwał zza pasa sztylet i wbił go sobie prosto w pierś. Po raz pierwszy, od kiedy Margot go знаła, roześmiał się głośno. A potem postąpił krok w tył, obcasy jego butów ześlizgnęły się na błocie i spadł z wysokiego brzegu, rozbijając plecami tafle wody. Bystry nurt poniósł go ku zakrętowi rzeki.

– Głupi – warknęła zawiedziona Lilith. – Jaki głupi!

Wbiła paznokcie w pierś Margot, a złodziejka jęknęła boleśnie. Te paznokcie były ostre jak szpony drapieżnika, ale nawet ból, wywołany przez nie, niósł ze sobą jakąś niezwykłą rozkosz. Wiedźma zerknęła z rozdrażnieniem na dziewczynę, a potem dojrzała krew, spływającą z jej piersi, i rozcięty na pół sutek. Jej twarz złagodniała. Nachyliła się i polizała rany miękkim, różowym językiem. Dziewczyna wyprężyła się i jęknęła, ale tym razem już tylko z rozkoszy. Ślady po paznokciach oraz krew zniknęły. Na skórze Margot nie pozostały nawet blade kreseczki blizn.

– Mmmm – mruknęła Lilith i zlizwała z kącika ust ostatnie ślady krwi. – Wybacz mi, moja mała. Muszę na nowo uczyć się cierpliwości.

Margot pocałowała wewnątrz jej dłoni, a potem wtuliła się w nie policzkiem. Wiedziała, że już nigdy i do nikogo nie będzie płonąć podobnym uczuciem, jak do kobiety, która otworzyła przed nią bramy czerwonego sztormu.

– *Cztery króliczki przysięgły sobie*

Marchewkowego skarbcza zdobyć podwoje.

Chwilkę nad życiem swym podumały

I już zostało ich tylko troje – wyrecytował Josip Nochal z głupią miną.

Margot była ciekawa, czy tak naprawdę zdaje sobie sprawę z tego, co się wokół niego dzieje.

– Chodźmy – westchnęła Lilith. – Jestem jeszcze taka słaba. A wyłamanie żelaznych drzwi nie powinno być zadaniem dla kogoś, kto dopiero co obudził się z głębokiego i długiego snu.

Potarła ramiona, a wtedy Nochal zerwał z ramion swój brudny, porwany płaszcz i podał

jej. Przyjęła go z uśmiechem pełnym wdzięczności. Otuliła się szczelnie i podała Margot dłoń. Zaczęły schodzić z wysokiego brzegu nad samą rzekę. Woda sprawiała wrażenie nieprzyjemnej i głębokiej, ale złodziejka ufała, iż w towarzystwie Lilith nie może im się stać żadna krzywda.

I nagle, kiedy zamoczyli już stopy w przybrzeżnej płytczynie, z drugiego brzegu poderwały się zbrojne postaci, ukryte do tej pory w gęstych chaszczach. Żołnierze straży świątynnej. Dziewięciu mężczyzn, uzbrojonych w łuki oraz miecze.

– Stać w imię Świątyni! – rzekł ich kapitan, siwobrody olbrzym z mieczem w dłoniach.

Jako jedyny nie trzymał napiętego łuku.

Josip Nochal wrzasnął. W tej samej chwili musiał przypomnieć sobie czasy, w których został złapany, a potem torturowany i do końca życia oszpecony. Ruszył biegiem przez płytczynę, rozchlapując wodę pod podeszwami butów. Trzej stojący w pierwszym rzędzie żołnierze wypuścili strzały. Pociski zaświergotały w powietrzu, a ich groty wbiły się prosto w cel. Jedna w prawe udo Nochala, druga w ramię, trzecia przebiła policzek i przeszła na wylot przez drugi. Złodziej siłą rozpędu uczynił jeszcze kilka kroków i upadł na brzeg. Jeden but spadł mu ze stopy i teraz cholewka wystawała z płytkiej wody, kołysana nurtem.

– *Trzy króliczki szły łapka w łapkę,*

A każdy przeżyć bardzo się starał.

Chwilkę nad życiem swym podumały

I pozostała ich tylko para – Josip wypowiedział te słowa z grymasem bólu na twarzy.

Spomiędzy warg wydobył mu się krwawy bąbel, a potem wciągnął głęboko powietrze w płuca, wbił palce, niczym szpony, w miękką ziemię i umarł. Jego twarz zastygła w koszmarną maskę, poznaczoną plamami czerwieni.

Lilith szybkim gestem zrzuciła płaszcz z ramion. Zagarnęła dłońmi włosy i uniosła ramiona, pozwalając, by żołnierze przyjrzeni się dokładnie jej wdziękom.

– Nie chcecie przecież nas zabić – powiedziała, a jej głos, choć wydawał się pełnym ciepła i słodczy pomrukiem, to tak naprawdę niósł się daleko. – Trzech bezbronnych kobiet.

Prawda?

Strażnicy gapili się na nią jak zauroczeni. Lilith zdawała się być otoczona różowym poblaskiem zachodzącego słońca, który tylko podkreślał pełną linię piersi, krągłość bioder, smukłość ud, delikatność ramion. Margot wpatrywała się w nią, pewna, iż nigdy przedtem nie widziała nic, choć w drobnej części dorównującego piękności tego widoku.

I wtedy Lilith zaczęła mówić coś śpiewnie, ale w języku, którego Margot nie była w stanie nie tylko zrozumieć, lecz nawet rozpoznać żadnego znajomego słowa. Ale z całą pewnością była to mowa,

niosąca ze sobą zarazem pokusę i obietnicę, żar i słodycz.

Dziewczyna z uwielbieniem uklękła u stóp wiedźmy i przytuliła się do jej nagiego kolana.

Zacisnęła palce na jej pośladkach i z rozrzewnieniem płakała prosto w pachnące miłością łono. Lilith wydawało się to nie przeszkadzać nawet w najmniejszym stopniu. Ton wiedźmy spotęźniał i sięgnął wyższych rejestrów, a biodra krążyły coraz szybciej, w miarę jak język Margot wirował między jej udami. Ale słowa nie były już tak wdzięczne, ciepłe i melodyjne, jak przedtem. Pojawiła się w nich ostra, drapieżna nuta, tak jakby ktoś chlusnął smołą w miednicę pełną żółtej farby.

Złodziejka poczuła, że te słowa zaczynają sprawiać jej ból, sięgają gdzieś głębi serca, rozrywają tkanki i zalewają mózg falami nieznośnego gorąca...

– Już, już. – Mocne ramiona Lilith pomogły Margot wstać, a w głosie wiedźmy pojawiła się troska. – Bo zawędrujesz niebezpiecznie daleko. Jesteś potężnym zbiornikiem, moja mała, ale nie chciałybyśmy cię opróżnić zbyt szybko.

Dziewczyna poczuła, że ból ustępuje, a nieznośny ciężar przygniatający jej umysł znika, jakby go nigdy nie było. Zakłęcie prysnęło. Czowała na swoich ustach i języku smak potu Lilith.

Uśmiechnęła się do niej, a wiedźma odpowiedziała uśmiechem, który jednak zniknął z jej twarzy, kiedy spojrzała w stronę Trishii. Kapłanka wydawała się niemal nie reagować na zakłęcie.

– Czyżbyś była odporna na moje czary? – Lilith chwyciła Trishię za włosy i poderwała do góry. W jej gestach nie było nawet śladu tej delikatności, którą kierowała w stronę Margot.

– Bolało mnie – zajęczała Trishia. – Tak strasznie bolało...

Lilith puściła włosy dziewczyny i pozwoliła opaść jej do swych stóp.

– A więc tak to na ciebie działa – mruknęła. – Ciekawe... Ludzie się zmienili od dawnych, dawnych czasów. Chodź, kapłanko. – Zagarnęła Trishię, tym razem dość delikatnie. –

Następnym razem będę lepiej uważała, by nie zrobić wam krzywdy.

Drugim ramieniem objęła Margot i teraz wszystkie mogły spokojnie przyjrzeć się temu, co działo się na drugim brzegu rzeki.

* * *

Jakob Osgoth był człowiekiem przemyślnym, rozumnym, a niektórzy, być może, nazwaliby go również chytrym. Dlatego też wystarczyło mu jedno spojrzenie na to, co się dzieje, aby zrozumieć, iż sprawy zaszły niezwykle daleko. Dużo, dużo dalej niż kiedykolwiek miały zajść. Arcykapłan widział dwóch swoich ludzi, wijących się na brzegu rzeki w jakiejś niepojętej męce. Kapitana, który odrzuciwszy miecz, przytulił się do pnia drzewa i wykonywał szybkie ruchy kopulacyjne, zawodząc przy tym i jęcząc. Czwartego żołnierza, wchodzącego w środek rzeki i nie zważającego na to, że nurt zaczyna go znosić. Wreszcie pięciu pozostałych, którzy po prostu stali niemal po kolana w gęstym

mule i jak zakłęci wpatrywali się w nagą kobietę.

Jakob wiedział, że ma do czynienia z manifestacją potężnej magii. Magii tak diabolicznej, iż pamięć o niej przetrwała jedynie w dawnych opowieściach i na kartach starożytnych ksiąg, których autorzy opisywali zdarzenia z lat, jakich nie byli w stanie pamiętać. Osgoth nie zastanawiał się już nad tym, dlaczego zakłęcie nie dosięgło również jego. Może uwaga wiedźmy skupiła się na uzbrojonych strażnikach, pomijając niegroźnego starca? A może po prostu stał dalej niż inni? Tak czy inaczej, podkasał płaszcz i truchtem pobiegł w stronę ściany drzew, za którą czekały wierzchowce oraz powóz. Zamierzał jak najszybciej opuścić to przeklęte miejsce.

Przedzierał się przez krzaki, ale nagle osunął się ze skarpy i zarył twarzą w mięsistym bloku. Jednak zerwał się nad wyraz szybko jak na swoją tuszę oraz wiek. Ze wznesienia, na którym się znalazł, zobaczył, że nad brzeg rzeki wbiega kobieta w białych szatach, a przed nią podążają uzbrojeni po zęby świątynni strażnicy. A więc Anneke miała swoich szpiegów, pomyślał Osgoth. Nie zamierzał jednak obserwować, co wydarzy się dalej. Pobiegł w stronę stojącego na polanie powozu i wgramolił się do środka, obserwowany ze zdumieniem przez siedzącego na koźle woźnicę.

– Do miasta! – krzyknął, a jego głos załamał się pełnym strachu falsetem. – Do miasta!

Prędko!

* * *

– Ha! – niemal wykrzyknęła Lilith. – Dziewczynka z klasztoru!

Anneke stała na brzegu rzeki. Jasna, wysmukła i otoczona jakby aureolą białego światła, a w każdym razie powietrze, migoczące wokół jej ramion i głowy, sprawiało takie wrażenie.

Czterech świątynnych strażników otaczało ją półkolem. Każdy trzymał w dłoniach włócznię zakończoną ostrzem oraz hakiem w kształcie niepełnego półksiężyca.

– Yashka – powiedziała czarodziejka zimnym głosem, a jej oczy wpatrywały się bez strachu w marmurową twarz wiedźmy.

– Wolę, kiedy mnie nazywają Lilith – odparła wiedźma. – Choć to prawda, że niegdyś nazywałam się Yashka. Dawno, dawno temu, zanim panie z Jasnego Klasztoru uznały, iż nie mamy prawa już żyć na tym świecie...

– Zapłaciliście za grzechy – rzekła Anneke. – I zapłacicie teraz. Nie trzeba było opuszczać grobowca.

Uniosła ramiona wysoko w górę i zaintonowała śpiewne zakłęcie. Wiedźma cofnęła się, jak odrzucona silnym uderzeniem, a Margot dostrzegła w jej oczach coś na kształt strachu.

Ale może to była tylko wściekłość?

Złodziejka zatrwożyła się na myśl, co się z nią stanie, gdy Lilith zginie. Pomyślała o ciągnących się w

nieskończoność torturach, które ku uciesze gawiedzi odbędą się na głównym placu nekropolii. Pomyślała też, że nigdy nie poczuje tego niezwykłego dotyku, jakim obdarzyła ją Lilith, i nigdy przez jej ciało oraz umysł nie przejdzie już czerwony sztorm. I kiedy zdała sobie sprawę z tego wszystkiego, jej mięśnie zadziały szybciej niż myśl. Z palców wyleciały dwie srebrne gwiazdki, które pomknęły z porażającą prędkością w stronę czarodziejki. Anneke była zbyt skoncentrowana na zaklęciu, musiała też czuć się pewnie, chroniona przez uzbrojonych po zęby strażników. Margot, zmęczona i przerażona, rzuciła mniej celnie i słabiej niż zwykle. Ale pierwsza gwiazdka wbiła się w ramię czarodziejki, a druga musnęła ją ostrzem po policzku, zostawiając krwawą kreskę na skórze.

To nie były groźne rany, ale ból oraz zaskoczenie, wywołane niespodziewanym obrotem spraw, wytrąciły Anneke z transu. Urwała w pół słowa i zachwiała się. To wystarczyło Lilith.

Z jej ust popłynęły chrapliwe słowa w nieznanym Margot języku, który brzmiał w niektórych frazach niczym krakanie kruków, a w innych jak bulgotanie człowieka zanurzonego pod wodą. Wiedźma już po chwili zdawała się być otoczona ciemnym, falującym całunem.

Margot jednak nie widziała, by zaklęcie zrobiło jakiekolwiek wrażenie na czarodziejce. Bo też nie ona była jego celem...

Pierwszy ze strażników obrócił się na pięcie i wyprowadził krótki sztych tępym końcem włóczni, trafiając Anneke prosto w brzuch. Czarodziejka krzyknęła i zgięła się wpół, a wtedy drugi ze strażników huknął ją w bok głową dłonią uzbrojoną w żelazną rękawicę. Upadła.

Margot w przerażeniu zmieszonym z podziwem przyglądała się, jak dwaj strażnicy unieruchamiają ręce i nogi Anneke, trzeci zdiera z niej szaty, a czwarty gwałtownymi ruchami pozbywa się spodni. Runął pomiędzy rozwarte uda czarodziejki, a Margot usłyszała tylko przeraźliwy krzyk.

– Niezłe rozdziejanie – zawołała ubawiona Lilith i klasnęła w dłonie. Odwróciła się w stronę złodziejki. – Nie zapomnę ci tego, moja mała – dodała nieoczekiwanie miłym tonem i przejechała palcami po policzku Margot. Miała długie, srebrnego koloru paznokcie, zakończone delikatnymi łukami. Gest był niezwykle delikatny, lecz Margot przypuszczała, że te srebrne paznokcie mogłyby z łatwością rozorać jej skórę do samej kości, niczym dobrze wyostrzone brzytwy.

Przyglądały się chwilę, jak strażnik podryguje na Anneke coraz szybciej i szybciej, wrywając z jej gardła bolesny wrzask. Kiedy znieruchomiał, zastąpił go następny. Kolejny majstrował przy pasie, kucając nad twarzą czarodziejki.

– Trochę to potrwa – zaśmiała się wiedźma. – Bo zaklęcie było silne. Kiedy wszystko się skończy, nie będzie już taką samą dziewczynką, jak dawniej. Szkoda, że nie mamy czasu popatrzeć...

Oblizła usta długim, czerwonym językiem i sięgnęła do piersi Margot.

– Chodź, moja mała – powiedziała. – Czas znaleźć sobie jakieś spokojne miejsce. Muszę odpracować tyle lat postu...

Margot poczuła, że dotyk Lilith wprowadza ją znowu na wody czerwonego sztormu. Nie marzyła już

o niczym innym, jak o jej pieszczotach. Uczucie zelżało nieco, kiedy wiedźma odsunęła dłoń.

– Chociaż będziemy musiały pomyśleć też o czymś innym niż przyjemności. – Uniosła twarz w stronę zachodzącego słońca, a Margot wydawało się, jakby czegoś nasłuchiwała lub wręcz węszyła.

– Powstali już – szepnęła Lilith. – Pani Gothre, twarda jak diament, o duszy mrocznej niczym bezgwiezdna noc. Dostojny Shiloh o krwawym wejrzeniu. Potężny Voltron, władający demonami. I piękna pani Leahandria z oczami jak jeziora jadeitu i słodką trucizną w głosie... Już niedługo pojawią się następni. Już niedługo...

– Pójdę z wami – niemal jęknęła Trishia. – Pozwól mi... pani.

Wiedźma, wyrwana z zamyślenia, przez chwilę przypatrywała się jej zmęczonej, zapłakanej twarzy.

– Miłość – powiedziała jakby do siebie. – Jak wielka moc tkwi w miłości. – Pokręciła głową. – A tylko głupcy sądzą, że można ją wykorzystać jedynie dla czynienia dobra. Chodź

więc z nami, mała kapłanko.

– Miłość jest najważniejsza – wyszeptała Trishia niby do Lilith, ale tak naprawdę prosto w ucho Margot. – Bo ona polega na tym, że kocha się nie za coś, lecz wbrew wszystkiemu.

Miłość zbawia...

Margot spojrzała w jej wilgotne oczy i zdawała się przytomnieć.

– *Ostatnie króliczki nieszczęście spotkało,*

Gdyż jeden zmysły całkiem utracił.

Chwilkę nad życiem swym podumały

I jak dwa były... Tak dwa zostały – wyrecytowała Lilith głosem Josipa Nochala.

Margot zdawała się przysłuchiwać wierszykowi wiedźmy, nawet wtedy, gdy słowa już przebrzmiały, a potem uśmiechnęła się samymi ustami i spojrzała na kapłankę.

– Nie ma miłości – szepnęła po chwili miękko, gdyż żal jej było zarówno Trishii, jak i samej siebie. – Jest tylko czerwona mgła, kochanie. I można z tym jakoś... żyć.

Lilith roześmiała się i wzięła obie dziewczyny za ręce.

– Właśnie – powiedziała. – Właśnie tak... Można z tym całkiem nieźle żyć.

Koniec tomu pierwszego

Tom drugi – „Necrosis. Dzień gniewu” – ukaze się w pierwszej połowie 2006 roku.